

Jakub Winiarski

Kronika
widzeń złudnych

Pisma edukacyjne

UWAGA!

Autor, Jakub Winiarski, zezwala na dowolne kopiowanie i rozpowszechnianie utworu pt. *Kronika widzeń złudnych* w celach niekomercyjnych, z zachowaniem integralności tekstu.

Warszawa 2014

*Niniejsza książka jest fikcją literacką.
Nazwiska, postacie, miejsca i zdarzenia
są tworem wyobraźni autora albo
zostały użyte fikcyjnie. Jakiegokolwiek
podobieństwo do prawdziwych osób,
żyjących lub zmarłych, miejsc i zdarzeń
jest zupełnie przypadkowe.*

*Basi, która jest całą
sztuką mojej sztuki*

I

Yoni

Ta gra miała zapewnić nam wielką swobodę i pewność w posługiwaniu się językiem i wielką niezależność od złudzeń, rodzących się z użytkowania go, złudzeń, którymi żyje Literatura – i człowiek.

Paul Valéry

PROLOG

Czy to komedia? Czy to tragedia?
Thomas Bernhard

W tej tajemnicy ja sam będę nagrodą.
Paul Valéry

– Sława, pieniądze, sztuka? Norbert, czy cię w ogóle coś jeszcze interesuje? – Luiza zadała mi to pytanie, siedząc na dywanie i przeglądając tabele kwadratów, domów i ascendentów. Ja siedziałem przed telewizorem, oglądałem główne wydanie Faktów i jeśli miałbym przy tym myśleć o sławie, pieniądzech czy sztuce, to na pewno nie myślałbym o sobie, tylko o tych, którzy snuli się po ekranie. W tej chwili zresztą po ekranie nikt się specjalnie nie snuł, jedynie stalowoszare, kanciaste buldożery rozjeżdżały palestyńskie osiedle, potem gdzieś biegli nieznani, wyglądający na przerażonych ludzie w zielonych chustach, kogoś tam w eleganckim, świetnie skrojonym garniturze stawiano przed sądem czy próbowano postawić przed sądem, ktoś tłumaczył przyczyny klęski; to wszystko, to samo, co zawsze.

– Owszem, sporo rzeczy mnie interesuje – oderwałem wzrok od powtarzanego co dzień widowiska i spróbowałem odpowiedzieć Luizie, chociaż nie było dla mnie w pełni jasne, co miała na myśli i czego zamierzała dowieść. – Czemu pytasz? – chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. – Ciebie nagle zainteresowała sława? Skończyły ci się pieniądze? Chcesz sztuki?

– Nie, nie o to chodzi – Luiza na moment przerwała kreślenie tabelki i spojrzała gdzieś ponad moją głowę. – Lepiej od ciebie wiem, że groza może pojawić się nieoczekiwanie... – nie dokończyła. – Wiem lepiej...

– To w czym rzecz? – zaniepokoiłem się nie na żarty. Luiza rzadko mówiła do mnie w ten sposób i zazwyczaj nie wróżyło to niczego dobrego.

– Po prostu od pewnego czasu zachowujesz się tak, jakby nie było na tym świecie osoby, przedmiotu, czy nawet sytuacji, która mogłaby wykrzesać z ciebie choć odrobinę entuzjazmu. Czasami myślę, że śpisz z otwartymi oczami. Większość tak żyje, wiem. Ale ty? Dlaczego żyjesz tak połowicznie?

– Do czego ci mój entuzjazm? – zapytałem i roześmiałem się w głos. – Mało masz nawiedzonych? Mało masz „przebudzonych”?

– Nie mało, ale nie o to chodzi. Mnie twój entuzjazm rzeczywiście nie jest do niczego potrzebny. Ty masz swoje sprawy, ja swoje. Zastanawiam się tylko czasem – Luiza wróciła do tabel i od nowa szeleściła planszami – jak to możliwe: żyć tak pozornie, tak połowicznie... Niczego ci nie brakuje? Nie tęsknisz? Zastanów się, Norbert, ja pytam zupełnie serio.

*

Oderwałem się od telewizora, rozejrzałem po naszym mieszkaniu, skupiłem umysł i spróbowałem zebrać rozproszone informacjami dnia myśli. Odkąd byliśmy razem, Luiza chyba nigdy nie zadała mi tylu pytań naraz. Czyżby – kombinowałem – dowiedziała się o Mercedes? Mariola lub Andżelika wycięły mi jakiś numer? W którejś z tych przykrych, niekontrolowanych wizji Luiza dostrzegła coś, co mnie dotyczyło? Przecież mówiła, że nie może wykonywać wizji dotyczących najbliższych jej osób. Przecież dotąd wszystko szło jak z płatka, żadnych wpadek, żadnych nieporozumień. O co chodzi? – W mojej głowie kłębiło się mnóstwo najdziwniejszych pytań, ale zadałem tylko to najprostsze:

– Do czego? Do czego ja miałbym tęsknić?

– Do pełni istnienia. Do autentycznej całości istnienia. Tobie także przydałoby się przebudzenie – Luiza powiedziała to z takim zapalem, że nawet nie próbowałem zakpić. Stwierdziłem tylko:

– Wiesz, Luiza, jakoś się nad tym nie zastanawiałem. A co?

– Nic. Interesowało mnie, co odpowiesz, kiedy spytam, jak to z tobą jest. Twój ostatni horoskop...

– Podejrzewasz mnie o coś? – starałem się, by to pytanie nie zabrzmiało Luizie fałszywie.

– Co najwyżej – roześmiała się – podejrzewam cię czasem o nihilizm.

– O co? – patrzyłem na nią jak szpak w drewniane pięć złotych. – Jaki nihilizm? Mnie? Przecież ja jestem najpogodniejszym człowiekiem w strefie wpływów euro, nie uważasz?

– A jednak – Luiza przestała się śmiać. – Twój ostatni horoskop...

Zaczyna się – pomyślałem. I miałem – niestety – rację.

*

Wysoko na listopadowym niebie stał Skorpion, wróżąc obfitość seksu i erotycznych ekscesów. Gwiazdozbiór ten był mi przyjazny, a jego energie bliskie i takie na niebie widoki prorokowały mi dobrze. Tak w każdym razie mówiła moja jasnowidząca kobieta – Luiza, ognista brunetka, z którą w tym czasie żyłem. Nie zgodziłby się z Luizą osiedlowy artysta i mistyk, człowiek ortodoksyjny, mój przyjaciel Izajasz Anioł. Lecz Izajasza Anioła, z racji jego konserwatywnych poglądów, Luiza – ezoteryczka, buddystka i feministka – nie považowała na tyle, by głowić się nad tym, co mówił. Na szczęście Izajasz Anioł nie wiedział o horoskopie, a ja mu nie powiedziałem, by nie wywoływać burzy.

Siedziałem w naszym mieszkaniu na małym warszawskim osiedlu, paliłem krótkiego camela i obserwowałem Luizę, która, jak zawsze pod koniec księżycowego cyklu, bawiła się układaniem horoskopów dla mnie i dla znajomych. Bawiła się? Ona raczej nie nazwałaby tego w ten sposób. Ale dla mnie to była zabawa, mój sceptycyzm stanowił barierę, której wiara nie mogła pokonać – ani w horoskop, ani żadna inna. Luiza siedziała na dywanie w pozycji zwanej lotosem i patrzyła w jakieś obłędne tabelki, coś notowała na kartce, sprawdzała, porównywała i znowu patrzyła w tabelki. Słyszałem jak mamrotała: „ascendent”, „trygon”, „koniunkcja”, „Mars w opozycji do Słońca”. Nic z tego nie rozumiałem i było mi z tym naprawdę niestrasznie. Na dywanie walały się ścinki, ołówki, tabele, chaos panował tu zdecy-

dowanie od zawsze, może mniejszy niż w domu Izajasza Anioła, czy nawet w moich prostych myślach, jednak zdecydowanie chaos był tutaj czymś naturalnym. Także ja miałem wtedy chaos, w myślach miałem wtedy chaos znaczny, ale nic nie mówiłem, czekałem, horoskop był prawie gotowy.

*

W naszym blokowym mieszkaniu mieliśmy, jak myślę, wszystko. A nawet więcej niż wszystko, mieliśmy w nim bowiem także – obok pokoju, sypialni i kuchni – osobno wydzielony kącik na konsylium mojej jasnowidzącej żony. Było to miejsce, w którym wykonywała wizje, stawiała tarota i runy, miejsce, w którym spotykała się z lesbijkami, Mariolą i Andżeliką, by skomentować to, co było do skomentowania, nawet jeśli nie działało się nic. Ja miałem też swoje miejsce, biurko, przy którym siadałem, na przykład czekając na nowy horoskop i sekshoroskop. Dokładnie taki, jak dostałem przed chwilą, chociaż wcale o niego nie prosiłem. Mogłem prosić albo nie prosić – Luiza i tak go robiła.

*

Czekałem więc bez niepokoju na przejaw działania Skorpiona, na jęgo w świecie widzialnym pierwsze erotyczne błyski, czekałem na szal mojej nowej, cudownie zaślepionej kochanki, mówiłem na nią Mercedes i wypatrywałem zabawy. Czuję jak wzrasta mi szybko poziom testosteronu, o którym wiedziałem tyle, że łączy się z oksytocyną w wymyślne seksualne figury, w alfabet ciał i pieszczoty. Czekałem na – jak to mówiła Luiza, moja jasnowidząca kobieta – słynne misterium cielesnej, szalenie zmysłowej koniunkcji, czekałem – jak ja to mówiłem – na nowe, wesołe przygody. Wczuwałem się w moje straszne, ewidentnie zwierzęce żądze, tak wielkie, że ja bym nie mówił, tak jak Luiza, „misterium”, a mówiłbym może „dożynki”, i w końcu – tak było – mówiłem, lecz wtedy, no właśnie, wtedy – zaczynał się spór nieskończony.

– Misteria! Norbert, misteria! Nasz związek to ma być misterium! – powietrze wokół Luizy tężało, a ja kulilem się w sobie. Nie

chciałem, by jasnowidztwem poznała, że znowu ściemniam, że zdradzam ją z piękną i chętną Mercedes, zupełnie inną niż ona.

– Szacunek do kobiet! Do ciała! – Luiza nie wyglądała jednak na zainteresowaną sprawdzaniem, czy znowu jej z nikim nie zdradzam. – Norbercie! Szacunek do *tao*! Szacunek do wiedzy tajemnej! – Luiza przy takich okazjach nie bawiła się w spekulacje, jej argumenty bywały po prostu wykrzyknikami.

– Szacunek, zgoda. Masz rację. Ale dlaczego „misterium”? Poza tym, przecież dożynki to także nazwa misteriów... – nie mogłem w ogóle pojąć, o co Luizie chodzi i dla odwrócenia uwagi zadawałem to bezsensowne pytanie, na które za każdym razem padała ta sama odpowiedź .

– Bo wszystko ma być misterium – Luiza mówiła tak zawsze. – Misterium życia! Żadne dożynki! *Tao*! Budda! Kiełki zbożowe! Oddychaj wraz ze wszechświatem! Każdy twój krok niesie spokój! Pamiętaj! Twój umysł trzeba oczyścić! Twój umysł to szklanka!

– Naprawdę? – zazwyczaj w ten sposób kończyłem nasz niemożliwy spór, nawet jeżeli nie bardzo wiedziałem, skąd „szklanka”. „Naprawdę?” powtarzałem w myślach, wyłączałem się i osiągałem natychmiastowy spokój. Bez *tao*, bez kiełków zbożowych, z myślami o nowej kochance, dla której jedynym misterium było spotkanie ze mną.

Patrzyłem na nasze mieszkanie, na stół i na wazon na stole. Wpatrywałem się w naszkicowane na nim postacie błękitnych kobiet w łagodnym stylu Matisse’a, malarza kobiecych krągłości. Myślałem o horoskopach stawianych przez jasnowidzącą Luizę, o moim z nią dziwnym związku, o Izajaszu Aniele. Izajasz Anioł, myślałem, skrzywiłby się na słowo „*tao*”. Na słowo „misterium” by zadrżał. A zaraz przy „Buddzie” oszalał. Oszalał może nie całkiem i pewnie też raczej nie trwale, lecz wystarczająco znacznie, bym wolał tego nie widzieć.

*

Znakomity horoskop i jeszcze lepszy sekshoroskop ofiarowany mi w listopadzie dwutysięcznego pierwszego albo drugiego

roku przez jasnowidzącą (ale nie wszytkowiedzącą) Luizę wprawił mnie w nastrój szampański, w czystą i pustą euforię. Ponosił mnie znowu optymizm i nie dostrzegałem zagrożeń – to dla mnie rzecz naturalna, taki mam system nerwowy. Już od samego czytania o dobroczynnym dla *sex appealu* Skorpionie, robiło się we mnie dobrze i błogo jak w fazie *plateau*. I nic mi nie przeszkadzało, że nie wierzyłem w horoskopowy zabobon. I nic nie zakłócało sielanki oczekiwania na kontakt z Mercedes i napalonymi laskami, które musiały zjawić się lada moment, i tylko jedno sprawiało, że był w tym oczekiwaniu element przykrej i dwuznacznej natury, jedyny niepokojący, zdaniem mojej jasnowidzącej Luizy. Otóż Skorpion, o czym poinformowała mnie moja jasnowidząca żona, przewidując jak przyjmę jej słowa, otóż Skorpion, dawniej zwany Niedźwiadkiem, tak hojny w sprawach Erosa, wróżył także nieco złego napięcia, nieco fatalnej aury w dziedzinach innych niż miłość.

Siłą rzeczy mój tak przebogaty horoskop wraz z sekshoroskopem dostarczonem w pakiecie, być może tylko dla zabawy, o której tyle marzyłem, na tyle był w sobie mętny i zawierał tyle błazeńskiej, niepotrzebnej, czczej gadaniny, że nie mogłem i nie powinienem traktować go w ogóle poważnie. Może to było tylko jeszcze jedno jasnowidzkie kuriozum i mogłem nie zwracać na nie uwagi, nie myśleć i zapomnieć o nim, jak gdybym go nigdy nie dostał. Mogłem też potraktować wybiórczo rokowania przezeń przedstawiane, jednak moja jasnowidząca żona przekonywała mnie całym ciałem – słowami, mimiką, gestami, całą gamą kobiecych sposobów – bym zaakceptował całość werdyktu gwiazd i planet, co do mojego jak zawsze chybotliwego losu. Przekonywała mnie długo, bym uwierzył we wszystko i wszystko przyśwoił sobie na najbliższe tygodnie, całość mowy wyrocznej, fatalnej i nieprzyjaznej, bo już ją za taką miałem, odkąd co nieco pojąłem. I ja mojej kobiecie uległem, po raz już nie wiem który, uległem i popełniłem niewybaczalny błąd.

*

I ja mojej jasnowidzącej kobiecie, po raz już nie wiem który uległem, jak ulegałem jej zawsze w tylu zwyczajnych sprawach.

Na których także, przyznaję, nie znałem się chyba za dobrze i co do których, przyznaję, brakowało mi precyzyjnego zdania. A że w istocie rzeczy sprecyzowane zdanie miałem tylko w kwestii moich cudownie, lecz nigdy dość trwale zaślepionych kochanek, to i tak widać musiało być. Zgodziłem się więc bez szemrania i oczekiwałem wszystkiego. Jedno wyłącznie mnie zastanawiało, kiedy brałem od Luizy horoskop. Zastanawiała mnie mianowicie skuteczność horoskopów sporządzanych przez moją jasnowidzącą żonę, w istocie mylącą się rzadko, a rzekłbym nawet, że nigdy. Dręczyła mnie irracjonalność tych praktyk tak precyzyjnych, którym poddany byłem przy mojej jasnowidzącej żonie, dręczyła mnie mroczne przeczucie, że to nie może być tak, by horoskop stanowił zapowiedź wydarzeń. Męczyło mnie to i dręczyło i starałem się nie raz przechytrzyć wyroki horoskopowe, nie raz próbowałem ominąć wyroki gwiazdnych konstelacji. Próbowałem najrozmaitszych sposobów, żeby wyrwać się w listopadzie spod wpływu uśmiechniętego Strzelca, a w maju, żeby ominąć Byka. Próbowałem sposobów na Ryby, na Wodnika i na Koziorożca, próbowałem bez żadnych efektów, zawsze wychodząc na osła. Kiedy gwiazdy zapowiadały spokój, próbowałem doprowadzić do spięcia, kiedy wróżyły mi nerwy, siedziałem cicho jak trusia. Jak miało być z przygodami, to nic już nie planowałem, a jak być miało nudno, wybierałem się w dalekie podróże albo brałem się do bałamucenia kolejnej uroczej kobiety, tak by stała się jeszcze jedną cudownie zaślepioną kochanką. A jednak, co przyznaję z bólem, ponosiłem za każdym razem klęskę. A jednak nic to nie dało i nie udało mi się doprowadzić do zmiany wydarzeń zapisanych wśród odległych planet na tym zwoju, który pewien znany bohater oświeceniowej powiastki przywoływał tak często w rozmowie; wyglądało, że taki mój los. I stale mi coś przeszkadzało tak poprowadzić życie, by nie było podległe wpływom. I nie mogłem połapać się, o co może w tym wszystkim chodzić, chyba nie byłem gotów, za trudna to była wiedza. I tak, kiedy gwiazdne układy zapowiadały tydzień spokoju, mogłem być pewien, że choćbym na głowie stawał, tydzień przemienie spokojnie i nikt mnie nie zauważy, a jedyne, co mogę osiągnąć tym szalonym stawaniem na głowie, to pewnośc, że w następnym

tygodniu, jeśli w gwiazdach będzie coś o przykrości, wszyscy rzucą się komentować te błazeństwa i nazwą mnie durniem. A ponieważ wtedy nie będę chroniony już astralnym fluidem i nie będą miały nade mną władzy planety, komety i gwiazdy, dadzą mi w kość za wybryki, których się dopuściłem i które nie obchodziły nikogo, kiedy w gwiazdach nie było czasu po temu. Muszę przyznać, że w takich warunkach stawałem się zabobonny. Dalej nie wierzyłem w to wszystko, w horoskopy i cały ten cyrk, ale gdzieś tam, głęboko, daleko, mój sceptycyzm doznawał uszczerbku – i czułem się wtedy nieswój i patrzyłem na rzeczywistość spode łba. A Luizę prosiłem, by więcej nie dawała mi swych horoskopów, ona jednak chichotała i klaskała jak strojące sobie żarty dziecko.

*

– Norbert, głuptasie – Luiza śmiała się w takich momentach w głos. – Przecież próbuję ci pomóc.

– Naprawdę? – odpowiadałem sucho, z nieufnością i goryczą. – Być może, ale ja nie chcę nic wiedzieć o przyszłości, o przeznaczeniu. Nie chcę wiedzieć, co mnie może spotkać, chcę być wolny od takiej wiedzy. Nie chcę żadnych, ale to żadnych wskazówek, wolę czekać na niespodzianki.

– Nie rozumiem – Luiza robiła klasyczne duże oczy. – Wolisz nie wiedzieć, co będzie? – pytała kpiąco.

– Tak właśnie wolę – za każdym razem ucinałem tak samo.

– Ale to miłe wiedzieć, co zdarzy się w najbliższym czasie.

– Nie dla mnie, ja wolę nie wiedzieć. Wolę myśleć, że sam decyduję, że sam rządę sobą na tyle, na ile to jest możliwe. Że sam mogę w życiu zyskać i sam mogę w życiu stracić; nie chcę myśleć, że zawdzięczam coś temu, że na niebie poplątało się w gwiazdach.

– A więc masz swoje widzenia złudne – pierwszy raz usłyszałem te słowa, kiedy Skorpion stał wysoko na niebie i wróżył mi komplikacje.

– Co? – chciałem usłyszeć raz jeszcze dziwną nazwę tego, co niby mam, ale Luiza tylko popatrzyła na mnie z politowaniem i westchnęła.

– Jak ty nic nie wiesz – powiedziała po chwili głosem słodkim i bez niecierpliwości. – A popatrz tutaj – wyciągnęła w moją stronę czystą kartkę i podetknęła mi ją pod sam nos. – Co widzisz?

– Kartka? – wietrzyłem podstęp, kolejną sztuczkę mojej jasnowidzki.

– Gdybyś spojrział na ten papier oczami poety – zaczęła Luiza, a ja spróbowałem skupić się na jej słowach – zobaczyłbyś, że jest tu wszystko we wszystkim. W tej kartce masz przed oczami wszechświat...

– Naprawdę? – zaskoczyła mnie i zaintrygowała. – No popatrz. Jak to?

– W tej kartce, popatrz, jest wszystko, od czego zależy papier. Są drzewa, z których go zrobiono, fabryka, robotnicy, a także słońce, które świeciło nad tym drzewem i woda, którą piło ono korzeniami.

Popatrzyłem na kawałek papieru w ręce Luizy i dalej nie rozumiałem.

– A kiedy popatrzyś głębiej – ciągnęła moja jasnowidząca żona, jakby ślepa na to, że mało co rozumiem – kiedy spojrzysz na ten kawałek materii oczami istoty oświeconej, zobaczysz w nim nie tylko blask słońca, ale też to, że jest tu każdy promień, każdy podmuch powietrza, zobaczysz drwala, który ściał to drzewo i rodzinę drwala...

– Wystarczy – przerwałem Luizie, bo nieco mnie skołowała i czułem się już jak po jeździe na przesterowanej karuzeli. – Pewnie masz rację, ale ja nic tu nie widzę. Przykro mi. Nic. Zero. Nul. Kartka to kartka, papier to papier, a drwal to drwal.

– Bo ty to tak wszystko dzielisz... A to trzeba zobaczyć jako całość.

– Całość istnienia? – upewniłem się.

– Tak, autentyczną całość istnienia.

– Luiza, mówiłaś o jakichś widzeniach. A przecież z nas dwojga tylko ty masz widzenia. O co tu chodzi?

– Nieważne, pewnie dowiesz się jeszcze – tu mnie Luiza kompletnie zaskoczyła swoją małomównością.

*

Lecz dowiedziałem się, dowiedziałem, co to znaczy mieć widzenia złudne. Dowiedziałem się szybciej niż chciałem i w okolicznościach bolesnych. I dlatego, kiedy już tak wiele zmieniło się w moim życiu, i kiedy nie ma ani jednej z cudownie, ale jak zawsze powtarzałem, nie dość trwale zaślepionych kochanek, i kiedy nie ma Izajasza Anioła, który okazał się trochę też Ezechielem, mogę już tylko notować, spisywać tę moją relację. I teraz już tylko spisuję zdarzenia, ja, przypadkowy narrator przygodny i nieokiełznany, przypadkowy kronikarz mało znanych historii z dwudziestego pierwszego stulecia, ja, kpiarz i melancholik w jednym, zbieracz pamiątek i dokumentów niezwykłych, ja, który czuję za sobą ciszę nagłą i przestronne ciemności. Ale nie o mnie tu będzie, lecz o tych, których zapamiętałem. Bo jedynie w ten sposób mogę połączyć się z nimi raz jeszcze. Wiem, że w ten sposób oddaję hołd niejednemu złudzeniu, ale nie mam za dużego wyboru: czasem łudzić się, błędzić i tracić to jest po prostu konieczność. A co do tej całej magii, w którą wdepnąłem przypadkiem, z powodu tak banalnego, jak miłość do pięknej kobiety, to zacytuję fragment, na który trafiłem kiedyś – przypadkiem, lecz jakże szczęśliwie: „Najlepiej prostuje te sprawy Aleksandra David-Neel. W książce *Mistycy i cudotwórcy Tybetu* opisuje m.in. szybkobiegacza. Facet się poświęcił (lata ciężkich wyrzeczeń i pracy), w coś tam zainwestował, do pewnych krain się w końcu *dopukał*. Jak mawiał Żaba z ulicy Gierymskiego na Dolnym Mokotowie: *Też bym to zrobił, ale za dużo piłem.*” Choć nie znałem Żaby, podzielałem jego zdanie w pełni. Miał chłop swój rozum, to pewne, i świetnie czuł rzeczywistość. I pewnie też zgodziłby się, że wiele na świecie jest złego z powodu chorych ambicji i równie niezdrowych pomysłów. Moja jasnowiedząca Luiza miała pomysł na białą magię, Izajasz Anioł miał pomysł, by świata z rąk nie wypuścić, a mnie pozostała nadzieja – dziś wiem, że zupełnie bez sensu – na zaprowadzenie porządku w moim dość poplątanym życiu.

*

Od ilu lat, niech ustalę, od ilu lat trzymam się tej frajerskiej idei, od ilu lat tkwię zakopany po uszy w urojeniach z dziedziny frajerstwa utopijnego, od jak dawna żywię swoim ciałem i duszą to banalne, idiotyczne wręcz przekonanie, że możliwe jest uporządkowanie życia, że możliwy jest w życiu człowieka choć prowizoryczny porządek? Od czasu, kiedy przeczytałem w jednej z książek z biblioteki Izajasza Anioła o *ukrytym porządku* Bohma? Odkąd dotarły do mnie jego słowa, słowa słynnego fizyka: że materia, a więc i świat widzialny jest ledwie małą zmarszczką w oceanie kosmicznej energii? Zmarszczką względnie stabilną i obserwowalną? Od ilu lat próbuję uporządkować swój żywot, od jak dawna daremnie zabieram się, by to zrobić? Ile czasu mi ta bzdura zabrała, chociaż wiem, że zasadą naczelną, podstawową i niezniszczalną zasadą ludzkiego życia jest jego stałe, komiczne, a czasem komiczno-tragiczne nieuporządkowanie, że życiem stale rządzi chaos. Bardzo trwałe i stabilny chaos w świecie ciężkiej i widzialnej materii. Może nie jest to najgłośniejsza z zasad, są też pewnie zasady mniej życiowo dotkliwe, wszystko to może być prawda, jednak mnie zastanawia fenomen. A tym właśnie jest sam w sobie chaos pojmowany jako cecha szczególna egzystencji. Kto z moich bliskich na przykład uporządkował sobie kiedykolwiek życie? Kto z mojej bliskiej i dalszej rodziny zdołał w życiu nieuporządkowanym fatalnie zaprowadzić chociaż pozór ładu, choć na moment, na jeden ułamek sekundy? Nikt. A byli to przecież ludzie zwyczajni, żadni spece od zadym, nikt taki. A tu jednak, jak patrzę, nikogo, kto by mógł wstać i powiedzieć: „Miałem życie od początku do końca, tak jak wszyscy, pogmatwane i ciężkie, ale tutaj, o, w tym krótkim czasie, wszystko (wszystko!) było ułożone i na miejscu.” Więc nikogo, kto by wstał i tak stwierdził. To mnie boli, ale to mnie nie dziwi. Moja matka na przykład, było nie było postacią mi bliska, chociaż nie powiem, że znana jakoś specjalnie dobrze. Życie jej w wielkim skrócie to chaos od początku do końca, to jest wielka, nieskończona noc duszy, która wpadła w sam środek chaosu. Trwałe nieuporządkowanie, cecha szczególna nie każ-

dego, jak zakładamy frajersko, istnienia, było w przypadku mojej rodzicielki wyrazistą dominantą żywota. Trwałe nieuporządkowanie życia było motywem głównym, zupełnie jak muzyczny temat, wokół niego działały się wszelkie wariacje, w których matka celowała od zawsze, bo w wariacjach była nie do pobicia, o czym jeszcze kiedyś pewnie napomknę. Na razie wyjaśniam krótko: wariacje, a także mniej albo bardziej, częściej to drugie bywało, nieudane improwizacje miały miejsce w życiu mojej matki. Improwizowała udając, że gra na domowym pianinie; improwizowała gotując (o gotowaniu nie miała pojęcia). Improwizowała płacząc i przekonując lekarzy, którzy mieli do niej świętą cierpliwość, gdy była w Drewnicy i Tworkach; improwizowała, dając mi same dobre i szlachetne rady, z których nigdy nie korzystałem, chyba że naśladowując jej własne improwizacje, oszukując ją jej metodami. I tak życie mojej szalonej matki miało za podstawę właśnie to: trwałe nieuporządkowanie żywota, pomieszanie porządków i znaczeń. Ojciec także, choć sam zapewne kłamałby i przeczył, nie osiągnął żadnych trwałych sukcesów w swoim życiu całkowicie przegranym. Ojciec życia swego nie uporządkował wcale, mimo ciężkich wieloletnich wyrzeczeń. Ojciec, jak mi się zdaje i jedynie to skłonny jestem mu przyznać, osiągał niekiedy pozór względnego uporządkowania życia, ale nie był na tyle naiwny, żeby umieć cieszyć się tym pozorem. A ponieważ trudno zrobić coś więcej i niemożliwe jest w życiu osiągnięcie czegoś trwalszego niż pozór porządku, wynik ojca doceniam w pełni. Po większej jednak części, zważywszy, że jego młodość i wiek średni zaowocowały kilkoma decyzjami, całkowicie tragicznymi w skutkach, tak dla niego jak i dla reszty rodziny, nie ma sensu dalsze upieranie się, trzeba dać jego imię na listę, zbierającą ludzi wszystkich profesji, których życiem rządził jednak chaos.

Tyle o tym dowiedziałem się ja, tyle mogłem ustalić w kwestii, czy możliwy jest jakikolwiek porządek w tak zwanym chaosie życia. Niemożliwy jest – tak ustaliłem – niemożliwy i nie do zrobienia. Moje życie też takie było: ciągła wojna z nieporządkiem w chaosie. I dlatego – może właśnie dlatego – wziąłem się za spisanie nieznanych i tajemniczych fragmentów groteskowe-

go życia seksualnego mojego i mojej jasnowidzącej żony. Z dodaniem przygód duchowych, ekscesów cielesnych oraz kilku pocużeń moralnych.

Niemożliwy i nie do zrobienia jest tak zwany życiowy porządek, a jednak ja spróbowałem, biorąc przykład z narratorów przygodnych.

ROZDZIAŁ I

Fenomen narratorów przygodnych....

Mężczyznę, który przedstawił się jako narrator przygodny, widziałem u Luizy tylko raz i nawet nie jestem pewien, czy przyszedł wysłuchać wróżby. Wyglądał zdecydowanie na kogoś, kto tak jak ja nie lubi wiedzieć o swojej przyszłości więcej niż to konieczne, ale być może myłę się, w końcu widziałem go w konsyltorium Luizy, a to mogło świadczyć o jednym: że mężczyzna przyszedł dowiedzieć się czegoś o sobie.

– Niestety, panie Jakubie, nie mogę spełnić pana prośby – Luiza była stanowcza, lecz w jej głosie brzmiała też nuta smutku, że akurat w tej sprawie musi odmówić pomocy.

– Ale niech pani wysłucha jeszcze jednej historii – mężczyzna nazwany Jakubem nie chciał pozwolić, by spotkanie zakończyło się fiaskiem. – Niech pani posłucha, jak stałem się narratorem przygodnym i nieokiełznanym...

– Co to za nazwa? – wyrwało mi się na głos, choć stałem dopiero w przedpokoju, wróciwszy od mojej cudownie zaślepionej Mercedes, zdejmowałem buty i nie powinienem wtrącać się, kiedy Luiza pracuje.

– No chodź tu, też sobie posłuchasz – Luiza, o dziwo, nie miała mi za złe wtargnięcia i najwyraźniej zapraszała mnie do konsyltorium.

– Tak, niech pan tu do nas podejdzie – usłyszałem też głos mężczyzny. – Może panu uda się panią Luizę przekonać.

Zdjąłem buty, założyłem kaptcie i wszedłem do pokoju wróżb.

*

– Nigdy nie ukrywałem – mężczyzna podał mi rękę i zaczął swoją opowieść – że ja jestem tu jedynie tak zwanym narratorem, czyli opowiadaczem, że ja jestem narratorem przygodnym, w żadnym razie nie profesjonalnym i właściwie na nie swoim miejscu. I że jak każdy narrator przygodny mówię to, co mi ślina na język przyniesie. Fenomen narratorów przygodnych i nieokiełznanych, tym bardziej fenomenalny, im mniej, a też może i więcej w nich przygodności i nieokiełznania, im bardziej, a może też mniej w nich samorzutnej i samonapędzającej się akcji, fabuły, tudzież narracji, czy jak tam kto zwał ten porządek, fenomen narratorów przygodnych i nieokiełznanych, to jest temat na osobną historię. Żeby jednak co nieco wyjaśnić, powiem teraz pokrótce, w czym rzecz i dlaczego nie opowiadam po ludzku, tylko takim nieokiełznanym i przypadkowym sposobem. Przygodni narratorzy, tak ich w skrócie będę wszystkich nazywał, towarzyszą każdemu z nas od lat najmłodszych po starość. Przygodnym narratorem może zostać bezwzględnie i dosłownie każdy, a jednak kto już przygodnym narratorem zostaje, ten rzadko, o ile w ogóle zdaje sobie sprawę z – że tak to ujmę – faktu narracji mającego miejsce. Wiem jak to brzmi dla fachowców, ale nie dla nich tworzę. A przecież, tak sobie myślałem, a przecież samonapędzające się narracje to jest rzecz bardzo ludzka, wręcz arcyludzka.

– Czy mógłby pan opowiadać po ludzku? – Luiza nie wytrzymała i chociaż musiało kosztować ją to sporo, przerwała mężczyźnie opowieść o narratorach przygodnych i o narracjach nieokiełznanych, która mnie – jak zwykle różniłem się w tym od Luizy – od początku podobała się bardzo.

– Niestety – mężczyzna nie wyglądał na strapionego. – To taki sposób opowiadania, że inaczej nie można. Zwłaszcza, że tutaj, jak zawsze, chodzi o tajemnicę, o skarb.

*

– Dla mnie pierwszym przygodnym narratorem – mężczyzna mówił niezrażony dalej, a Luiza tylko głębiej zapadła się

w żółty fotel – była mojej świętej pamięci ciotka Anastazja z domu Siecka, a po mężu Lupczyk, której postać widzę w mrokach dzieciństwa, niewyraźną już, ale i tak wyraźniejszą, niż postaci rzadziej oglądanych ciotek. Ciotka Anastazja i jej przygodne narracje, została zapamiętana przeze mnie jako ta, której nieobcy był życiowy dryf, permanentny i nieustający dryf poprzez życie w oparach kropli miętowych i walerianowych, w oparach podskórnego, miotającego jej drobną postacią *delirium tremens*. Nic nie upiększam i nie dodaję, niestety, ta narracja jest też absolutnie przygodna, ale tak właśnie z ciotką było i tak muszę to opowiedzieć. Wiem, że brzmi to mało wiarygodnie, rozumiem tych, którzy zdaniu o ciotce, przez życie dryfującej w oparach kropli miętowych i walerianowych, nie dadzą wiary, wszystko to jestem w stanie pojąć i przyjąć, i zrozumieć, a nawet zgadzam się, tak jest, zgadzam się, że obrona prawdziwości zdania o ciotce dryfującej przez życie w oparach, że obrona tego stanowiska i tych melancholią zaprawionych stwierdzeń będzie trudna lub wręcz niemożliwa. Ale fakt pozostaje faktem: ciotka piła i chodziła nadźgana, ciotka wciąż dryfowała przez życie w oparach i aurze kropelek walerianowych, miętowych i innych, zawierających alkohol w formie przyswajalnej. Ciotka tak dryfowała aż w końcu – by trzymać się marynistycznych porównań – na skały ją zniosło i padła, i łeb sobie mocno rozbiła o kuchni metalowy kant, i tak zakończyły się dryfy mojej pierwszej przygodnej narracji, tak skończyła narratorka przygodna, Anastazja z domu Siecka, a po mężu Lupczyk. Taki był los narratorki pierwszej, narratorki nieokiełznanej stylem dawnych nieokiełznanych mistrzów, równie co ona, najczęściej, łożących i co dzień nadźganych. Równie co ona niespójnych, a przez to tak bardzo ciekawych.

– Wie pan co – Luiza uśmiechnęła się kwaśno. – Mnie się wydaje, że nie dla wszystkich to takie ciekawe.

– A mnie się podoba – powiedziałem ze swojego żółtego fotela, gdzie siedziałem ze szklanką pomarańczowego soku, zastanawiając się, po co ten facet przyszedł.

– Dziękuję – mężczyzna kiwnął mi w podziękowaniu głową. – Już kończę, pani Luizo. Proszę poczekać, to dla mnie naprawdę ważne.

Luiza westchnęła i zapadła się w fotel do końca.

*

– Być może nie dryfowała ciotka, kiedy jeszcze nie była ciotką, ale ładną, młodą dziewczyną – i wtedy, przypuszczam, wolała rozrywki mniej ekstremalne, przypuszczam, że wtedy wolała na przykład facetów i seks. Ja jednak poznałem ją dobrze, gdy zaczynała już, jak na ciotkę dość wcześnie, siwieć, poznałem ją będąc jej pierwszym siostrzeńcem – a wtedy już dryfowała, wtedy już była taka, jaką ją miałem na zawsze bezwzględnie i nieodwołalnie zapamiętać. To śmieszne, ale dopiero po latach zacząłem skądinąd rozumieć, że ta zabawna w swoich nawykach kobieta jest moją, właśnie moją ciotką, że przez to jest bliska, rzekłbym, w sposób wcale a wcale poważny. Wtedy jednak, w tamtych wesołych latach, wtedy, w tamtych ponurych i strasznych latach opary spowijające ciotkę były już utrwalone w powietrzu i znaczyły jej ślad, kiedy chodziła po domu, bądź też gdy wychodziła po kolejną porcję. W tamtym czasie miętowo-walerianowy aromat towarzyszył już ciotce wszędzie, tak jak i dryf towarzyszył jej krokom i najczęściej już też nimi kierował. To były jej krzyż i jej karma, to była komiczna tragedia, to działo się niepojęte na moich dziecięcych oczach. Dla mnie jednak liczyło się przede wszystkim to, że ciotka Anastazja była pierwszą narratorką przygodną i nieokiełznaną, była pierwszą opowiadającą, której klecone z niesamowitą językową dezynwolturą opowieści, klechdy, bajki, bujdy i opowiadania realistyczne w sensie ścisłym tak cieszyły moje ucho trzylatka, że do dziś jeszcze niektóre pamiętam i do dziś z tych historii opowiadanych ukradkiem, kiedy leżałem koło niej na wielkim jak lotniskowiec tapczanie, potrafię nauczyć się wiele o sztuce opowiadania przygód. – Mężczyzna przerwał na moment, sięgnął po suche ciasteczka z soi, które Luiza wyciągnęła z barku. Okrągłe, upieczone na złoto wyglądały nawet apetycznie, dla mnie jednak ich czar nie mógł istnieć, od lat byłem niepoprawnym mięsożercą. Mężczyzna jednak zjadł ciasteczko ze smakiem, strzepnął okruszki z palców na talerzyk, uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

– Pycha! Ale, na czym to ja skończyłem? A tak, już mówię, co było dalej – zatarł dłonie i monologował dalej: – Jak każdego

przygodnego narratora i jak każdą przygodną narratorkę nawiedzał moją ciotkę Anastazję, niczym jakieś absolutne medium, nawiedzał ją duch opowieści, nawiedzał ją demon narracji, któremu służyła wytrwale, co dzisiaj wspominam z czułością, bo miłe to były momenty, tkliwe i niezapomniane. Bez specjalnej niechęci, bez złości, bez frustracji użyczała ciotka Anastazja głosu demonowi narracji, a także użyczała mu swojego drobnego ciała, tak pięknie przy okazji gestykującego, że naprawdę robiło wrażenie, kiedy snuła niestworzone bajędy. Nie będę ukrywał czy zmyślał, naiwne to były historie, naiwne w nich tkwiły koncepty i kłamstwa do rozszyfrowania łatwe. Nie będę ukrywał, że jak tylko odrobinę podrosłem, wszystko to szybko mi się ograło. W historiach ciotki czaiło się jednak piękno nieznane, czaiła się groza narracji mogącej pochwycić za gardło, już dzięki legendom ciotki i bajkom wciąż, nie zaprzeczam, tym samym, dosłuchać się mogłem prawdy o sile ustnego przekazu. Nie wiem, czy miała talent, na pewno starała się bardzo, nauczona, że każdemu dziecku trzeba co noc przed zaśnięciem opowiadać bajkę albo inną zmyśloną historię – i wciąż mi opowiadała. Może nie była tak sugestywna, może ją we wspomnieniach cukruję, nie ma to jednak większego znaczenia – była ważna, a przez jakiś czas może nawet była wręcz najważniejsza, bo to była moja pierwsza widzialna narratorka opowieści przygodnych, bo to była moja rodzona ciotka Anastazja z domu Siecka, a po mężu Lupczyk. Nie ma to dla mnie znaczenia czy prawdę wam o niej streszczam, bo w końcu jest ważne jedynie, czy prawda ta bawi i wciąga. Ja nie wiem, czy to jest prawda, nie dowiem się tego nigdy, nie do mnie należy opowieść o losach historii prawdziwej mojej ciotki, narratorki przygodnej, mnie zawsze wystarczy fantazja i to, co wymyślę, to uznam za prawdę – i tak to przedstawię. Wiem, że nie każdemu przypadnie do gustu takie podejście i nie każdy uzna, że mam prawo traktować w ten sposób opowieść i jej bohaterów, mnie jednak nie wzrusza to wcale, mnie interesują jedynie znane losy, dryfującej w oparach kropli miętowych, walerianowych i innych żalonych napitków, mojej ciotki notorycznie nadźganej. Wiem, że lepsza byłaby historia prostsza, całkowicie przy tym rzeczywista, ale takiej nie mam w głowie

ani jednej i nie bardzo wiem, co z tym zrobić. Wiem, że lepsza byłaby historia prosta i taka bardziej prawdziwa, ale nie umiem opowiedzieć historii, żeby była realna i prosta. Bo nie umiem ot tak sobie przypomnieć wszystkich zdarzeń z mojej marnej przeszłości, by nie dodać do nich czegoś od siebie, czegoś ekstra, niekoniecznie na temat – mężczyzna przerwał, popatrzył na Luizę i na mnie, sięgnął po papierosa, zapalił i opowiadał dalej, najwyraźniej zbliżając się do scen finałowych.

*

– Wiem, co zyskałem, opróżniając pamięć z historii o ciotce i innych, dryfujących przez życie postaciach – mężczyzna zaczął kolejną sekwencję narracji, a ja byłem naprawdę zdziwiony wyłącznie tym, że do tej pory nie zaschło mu całkowicie w gardle. – Ale nie wiem jeszcze dokładnie nic o tym, co straciłem i dlaczego straciłem. I żałuję, że nie wiem, a także jestem pewien, że bałbym się poznać cały rejestr i potencjał tych strat... Ale jedną historię pamiętam.

– Jeszcze jedną historię? – jęknęła Luiza.

– Niech pan mówi, to ciekawe – mnie tam nie przeszkadzało, że mężczyzna opowiada i opowiada.

*

– Działo się to pod koniec lat siedemdziesiątych – mężczyzna opowiadał dalej, niezrażony pojękiwaniem Luizy ani też, co mnie zdziwiło, wcale nie zachęcony moimi zachęczeniami. – Reżim zagłuszał co wieczór Wolną Europę, propaganda sukcesu szalała, w kraju głośno było o Solidarności. W tym czasie chesano mnie na poleczkę i jeszcze nie zaznałem szkoły. Ciotka Anastazja miała lat ponad czterdzieści, w każdym razie była w takim wieku, że nie musiała czuć się jeszcze staro, wyglądała zresztą, mimo siwizny, dobrze, może nawet miała jeszcze kochanków. Było piękne, soczyste lato, paliło niemilosierne słońce, w domu ciotki stała maszyna do szycia, stary Singer na pedał – cudenka. Nim jednak opowiem o maszynie Singer na pedał, wyjawię wam drob-

ny sekret. Otóż nigdy nie byłem fanem samochodów czy też motocykli, nigdy nie planowałem posiadania volvo ani golfa, nie widziałem siebie w myślach nawet na iskrzącym się od niklu harleyu. Nawet na drętwej wuesce, było kiedyś takie cudo techniki, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym gdziekolwiek pojechać. Ale był czas – zmierzam do meritum – kiedy wręcz pokochałem szalenie kierowanie niesamowitym pojazdem, maszyną do szycia Singer. Widzieliście kiedyś taką maszynę? To konstrukcja z litego żelaza, o podstawie podobnej do przęsła miniaturowego mostu. Górna część maszyny, spore, ciemnozielone ramię, pociągnięta jest zawsze błyszczącym lakierem, a tam, gdzie umieszczono duszę tego cudu techniki, w miejscu na małe szpulki i długą, grubą lub cienką igłę, jest blaszka – w mojej też taka była.

*

Ach, poznałem tę maszynę dobrze – mężczyzna rozmarzył się najwyraźniej, Luiza gryzła bezwiednie paznokcie, a mnie coraz bardziej podobała się ta sytuacja, tak podobna do innych w konsyltorium i zarazem – tak niecodzienna. – Wprawiona w ruch – mężczyzna opowiadał dalej nie zważając na ziewanie Luizy ani moje zachęcające spojrzenia – snuła nic jak pajęcza sieć. To było zdumiewające! Ale – mężczyzna jakby wreszcie nas dostrzegł – nudzę państwa? Tak? Dobrze, w takim razie przejdę do konkretów. – Luiza wykonała gest, jakby chciała wstać z fotela i uciec, lecz przytrzymałem ją za rękę i posłałem jej spojrzenie „zostań”. – Był więc czas – mężczyzna kontynuował monolog – był czas, gdy lubiłem przy ciotce, dryfującej nieustannie w oparach kropli miętowych lub walerianowych, usiąść blisko na szerokim pedale Singera. I był dla mnie ten pedał zwyczajnej, bardzo starej maszyny do szycia tak magicznym i cudownym pojazdem, tak bajecznie pięknym wehikułem, że marzyłem, by nim ruszyć z miejsca. Zasiadałem o każdej porze dnia, jeśli ciotka nie szła akurat na maszynie, sadowiłem się na szerokim pedale, brałem w dłonie olbrzymie koło i kręciłem nim ze wszystkich sił, jakbym jechał po szosach i mostach, jakbym jechał górskimi serpentynami, jakbym jechał po wyścigowym torze Monte Carlo,

jakbym szalał na torze w Monzie, jakbym gnał po niemożliwych ścieżkach, biorąc w natchnieniu wiraż za wirażem. I jechałem tak bardzo daleko, czując tylko, że zostawiam wszystkich, zabierałem się w podróż bez ruchu, i myślałem, że tak już zostanie. No i teraz, gdy podróże mnie boją, gdy nie umiem pojechać gdziekolwiek, kiedy ruszyć się z mojej Warszawy to jest dla mnie wyjątkowa udręka, przypomina mi się tamten pojazd, i tamta jazda najprzyjemniejsza, twardy pedał maszyny do szycia i długie godziny na nim. – Wyglądało na to, że mężczyzna skończył, choć opowieść wydawała się urwana w połowie. Pierwsza odezwała się Luiza:

– No dobrze, to już kolejna pana, panie narratorze przygodny i nieokiełznany, opowieść, której wysłuchałam. Urocza – byłem pewien, że mówiąc to słówko Luiza uśmiechnęła się złośliwie. – Ale dalej nie wiem za dobrze, czego pan oczekuje ode mnie. Co ja mam wspólnego z tym pana, jak pan to kiedyś nazwał, darem?

– Musi mi pani powiedzieć – mężczyzna miał w tej chwili głos inny niż kiedy opowiadał o ciotce – zaklinam panią, niech mi pani powie, czy...

*

W tym momencie zadzwonił telefon i Luiza, zapewne błogosławiąc w duchu ten moment, zerwała się, jak gdyby wręcz czekała na sygnał, podbiegła do aparatu i z miejsca, w ogóle nie dając dojść do słowa temu, kto dzwonił, powiedziała:

– Tak... Tak... Mogę, oczywiście, że mogę, Mariolciu... Tak... Poważna sprawa... Tak... Już idę. – Luiza odłożyła słuchawkę, rozejrzała się po konsyltorium i nie czekając na pytanie mężczyzny powiedziała:

– Przepraszam. Wiem, że nie powinnam tak pana zostawiać, ale niestety, na to spotkanie byłam umówiona wcześniej. Zostawiam pana z Norbertem – wskazała ręką na mnie. – Norbert, zajmij się panem – poprosiła, a ja kiwnąłem w odpowiedzi głową.

Po czym ubrała się szybko i wyszła.

*

– Narrator przygodny, to ładnie brzmi – powiedziałem do mężczyzny, kiedy zostaliśmy sami. Wyglądał na nieszkodliwego wariata, a tacy odwiedzali konsyltorium Luizy regularnie.

– Narrator przygodny i nieokiełznany – doprecyzował z dumą mężczyzna, wyraźnie zadowolony, że chociaż na mnie jego opowieść zrobiła wrażenie.

– Niestety – chciałem załatwić tę sprawę od ręki. – Ja nie jestem Luizą, nie mam jej daru i nawet nie chcę wiedzieć, z jakim problemem przyszedł pan tutaj – mężczyzna wyraźnie sposepniał. – Mam tylko do pana prośbę – popatrzyłem na niego uważniej. – Czy mógłbym od czasu do czasu użyć pańskiego sformułowania?

– To znaczy?

– Czy mógłbym, gdyby mi przyszła ochota, nazwać się narratorem przygodnym i nieokiełznanym? Bo – chciałem wytłumaczyć się jakoś nieznanemu – ja czasem też coś zmyślam, notuję... Mam nawet podobne do pańskich doświadczenia z wiecznie nadźganą babką, także lojącą krople walerianowe, miętowe i inne specyfiki z apteki... i z matką, która... Ale to pewnie pana nie zainteresuje, w końcu każdy narrator przygodny ma swoje własne opowieści...

– To prawda – mężczyzna przytaknął. – Nie potrzebuję pańskich historii. Zresztą, przekona się pan jeszcze nieraz, że wszystkie historie są w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobne. Na przykład ta, którą opowiedziałem, miała już swojego narratorka przede mną... Może niezupełnie, ale... wie pan, ten opis maszyny Singer, znalazłem taki kiedyś u pewnego autora i długo musiałem tłumaczyć sobie, że on też miał prawo przeżyć to, co ja. Pan też się zetknie z czymś takim. To będzie trudne, ale – popatrzył mi głęboko w oczy – pan sobie poradzi. Rozumie mnie pan?

– Rozumiem – przytaknąłem skwapliwie, chociaż nie bardzo wiedziałem, o co mu może chodzić. – Ja tylko pytam, czy mógłbym od czasu do czasu...

– Zrozumiałem – rysy twarzy mężczyzny na jeden moment złagodniały i choć powiedział to słowo tonem nagany, wiedzia-

łem, że rzeczywiście zrozumiał. – Oczywiście, kiedy tylko będzie to panu pomocne. Ja i tak nie korzystam z tego miana za często. Właściwie było mi ono potrzebne dzisiaj, by opowiedzieć o pewnej sprawie pani Luizie, ale, jak sam pan widział, dzisiaj nie bardzo mi się udało.

– Tak, widziałem. To przykre.

– Pójdę już – mężczyzna podniósł się z miejsca dla klienta. – Pani Luiza uprzedzała mnie, że dzisiaj to tak może wyglądać i dlatego nie mam jej za złe. Obiecała, że jeszcze znajdzie dla mnie czas.

– Rozumiem.

W drzwiach pożegnaliśmy się krótkim uściskiem dłoni i mężczyzna, który pozwolił mi na używanie nazwy narratora przygodnego i nieokiełznanego, zniknął na czas nieokreślony.

Ja wróciłem do konsyltorium, sprzątnąłem szklanki i popielniczkę, po czym przeszedłem do pokoju drugiego, w którym miałem krzesło i biurko, a na biurku komputer. Czasami przydawał się Luizie w pracy. Od czasu do czasu przydawał się także mnie.

*

Nie jestem pewien, lecz zakładam, że nie skłamię wiele, jeśli powiem, że chyba pod wpływem tego spotkania postanowiłem notować wszystkie lub prawie wszystkie zdarzenia z życia mojego i jasnowidzącej Luizy. I niekiedy dodawać nieoczekiwane – śmieszny mi ten nieco perfidny, lecz w gruncie rzeczy niewinny pomysł – to, co zupełnie zmyślone. Miała to być – tak sobie wyobrażałem z początku to swoje notowanie – wciągająca zabawa, najlepszy środek na nudę. I tak było. Nauczyłem się dzięki tej rozrywce – z początku absolutnie niezobowiązującej i dopiero później tak bardzo przypominającej nałóg – jak odnajdywać ślady niezwyklej oryginalności, cudowności i tajemnicy w najbanalniejszych zdarzeniach codziennych. Nauczyłem się też, że czekanie, aż terażniejszość stanie się przeszłością, którą można nazywać wspomnieniem, nie ma sensu i jest stratą czasu. Bo potem jest niemal zawsze za późno: na wspomnienia i na życie

chwila. Zaczalem prowadzic zapisy, zaczalem przysluchiwac sie
słowom i przypatrywac gestom. Zaczalem zapamietywac. W taki
sposob stalem sie narratorem przygodnym.

ROZDZIAŁ II

Kawałek historii dryfującego małżeństwa...

Jedynie czysta perwersja skłania mnie do pisania, kiedy tuż za plecami wyczuwam ciszę nagłą i przestronne ciemności. Jedynie czysta perwersja pozwala mi wierzyć, że słowa przekażą choć część prawdy o tym, jak było w moim życiu z jasnowidzącą kobietą naprawdę. Gdy piszę, zgadzam się absolutnie na wszystko, na to jałowe bycie – poza wspólnotą, miłością, z daleka od bliskich i obcych. Zgadzam się na nieobecność najbliższych, Izajasha i mojej jasnowidzącej żony, na ich nagłe, choć przewidywalne zniknięcie z mojego życia, na tę wyrwę w niepojętej rzeczywistości, otchłań pełną straszliwego bezsensu. Gdy piszę, nikt i nic nie może mnie dotknąć, każdy cios wstrzymuje niewidzialna tarcza, żaden cios nie potrafi mnie sięgnąć. Ta niewidzialna tarcza od lat zajmuje jedno i to samo miejsce: na granicy obsesyjnych myśli, na granicy między ciszą a ciszą, na granicy ludzkiej samotności w tych olbrzymich, przestronnych ciemnościach.

*

Z jednej strony, spróbuję nie być tak liryczny i będę wręcz obsesowy, od razu przechodząc do kwestii, o których trzeba powiedzieć, z jednej strony każde spotkanie z którąkolwiek z moich cudownie zaślepionych kochanek kończyła z ich strony ślizgawka w triumfach albo palmersach, z drugiej jednakże dość

rzadko – i mówię to z bólem w głosie – dość rzadko (przynajmniej ja tak to widziałem) realizowaliśmy to, czego pełno było w naszych myślach. Tak czytelnych – jak mi się mylnie z początku zdawało – dla jasnowidzącej Luizy, że aż trudno było czasem myśleć. Wszystko było tu na pierwszy rzut oka przynajmniej dość nieśmiałe i platoniczne, cały zachwyty i epifaniczność, wszystko było tu tak, że i dziś jeszcze odczuwam silny niepokój, mając zwierzać się komukolwiek z tych przygód. Że nie wspomnę o wielkiej wierze w nieskończone, prawdziwe uczucie, że nie wspomnę o tej naiwności, którą żyła moja jasnowidząca Luiza. A jednak opowiadając historię jasnowidzącej kobiety, z którą, jak pisze poeta, obcowałem długo i poufnie, nie mogę pominąć wątku jej głębokiej i niezniszczalnej wiary, jej niewinnej jak u dziecka pewności, że zdarzają się spotkania cudowne i że miłość, piękna miłość – istnieje. To przekonanie, którego ja nie dzieliłem z nią nigdy. W tym miejscu jest to historia jasnowidzącej kobiety, więc zacznę tu od jej fantazji zdradliwej i niebezpiecznej. Zacznę tak jak przystało na narratora przygodnego zupełnie...

*

Nie, nie zacznę od żadnej fantazji, najpierw powiem, jak się poznaliśmy, bo to historia dziwna i dla mnie samego niejasna. W końcu jestem narratorem przygodnym, nieokiełznanym i zręcznym i jako taki mam zamiar tak opowiadać, jak zechcę. A raczej jak poprowadzi mnie demon tej opowieści, rosnący wraz z nią i jak ona chimeryczny i nieobliczalny.

Historia poznania Luizy to jedna z wielu historii w moim dość pokręconym życiu, o której nie wiem, co myśleć. Tym razem rzecz mówi o tym, jak może wyglądać początek, ponieważ gdy po raz pierwszy ujrzałem jasnowidzącą Luizę...

*

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Luizę, patrzyła na mnie tak, jakby miłość, którą mi ofiarowała, miała być całkowitym przeciwieństwem tego, czego większość z nas doświadczyła

w przeszłości. Nauczyłem się wylapywać takie spojrzenia i nauczyłem się nigdy nie dawać im wiary. Znałem dobrze ten tryb uwodzenia, po którym zostaje wspomnienie, kłamstwo wspomnienia i nicość. Znałem pustkę, w jakiej znaleźć się można, kiedy rozum traci władzę nad ciałem, dlatego ceniłem sobie swój nie-naturalnie rozwinięty sceptycyzm, który już nieraz pomógł mi wyjść cało z pogmatwanej sytuacji z kobietą. Wiedziałem więc, że kobiecie kłamstwa, które inni braliby najzupełniej serio, odbijają się na mojej twarzy niedowierzaniem w szczęście, upojeniem, chytryością. Jakbym wierzył, że ode mnie zależy, co mi zrobi ta akurat kobieta, niepodobna do żadnej innej, o czym jeszcze miałem czas się przekonać. Jej historie miały wiele wersji, zawsze takich, jakie chciałem usłyszeć. Udawało jej się mnie zaciekawić, choć z natury rzeczy nie lubię, jak się wznosi piramidę Cheopsa wokół sprawy tak prostej jak seks. Fantastyczne były jej opowieści, czasem dziwne, zawsze pełne wciągających szczegółów i intryg, w których nie potrafiłem znaleźć żadnego porządkującego je sensu. Nigdy nie wiedziałem, kto tracił coś ze swojego życia w tych kreowanych przez nią na moje potrzeby historiach. Bawiła się, tak to czułem, mną, moją ignorancją, tą historią, której nie rozumiałem, ale która wciągała mnie prawie zawsze. Wyglądało na to, że ona wie, że jej nie wierzę, ale w ogóle jej to nie przeszkadzało. Zachowywała się tak, jakby blisko niej siedział inny mężczyzna, a ja byłbym tylko kimś obok, kimś, kogo właściwie nie ma. Udawała, że przenosi wzrok z niego na mnie, nie zmieniając nic w swoim szerokim, anielskim uśmiechu, zawieszając głos i po chwili wracała do fałszywych, jak mi się zdawało, wyjaśnień. Moje milczenie i z daleka widoczna samotność nie miały chyba nic wspólnego z jej późną, dojrzałą młodością i przynależnym jej płci zainteresowaniem, z jakim patrzyła nie na niego, wymyślonego mężczyznę, ale na mnie. Wiele brało się z tego, że w twarzy, w tym spojrzeniu słabo skrywanym miała już, bardzo wcześnie, nie starość, lecz to właśnie, co najbardziej lubiłem u kobiet: miała wyraz doświadczenia i wiedzy, że w miłości można jedynie skłamać. O czym zresztą nie miała pojęcia, jak okazało się później. Nie był to pierwszy dzień lata, upał męczył już od wielu dni i jeśli miałbym wyodrębnić jakoś

tamten czas, nazwałbym go, nie zwracając uwagi na patos, a może nawet z pełną za ten patos odpowiedzialnością: czasem utajonej kaźni. Pamiętam, że to właśnie wtedy po wyjściu z pracy pierwszy raz od wielu miesięcy nie poszedłem prostą drogą do domu, lecz skręciłem do sklepu, gdzie bez wahania poprosiłem całkiem zgrabną sprzedawczynię o dużą butelkę kadarki, której smak chodził za mną od dawna. Nie było w tym żadnej pozy, w tamtej chwili tylko tak mogłem sobie pomóc. Nie liczyłem na nieoczekiwane spotkanie, chciałem spędzić ten wieczór sam, bez wnikania w sens albo bezsens, bez dręczenia się tym, co w pamięci. Potem nagle zmieniłem zdanie, zostawiłem w domu butelkę, zmieniłem koszulę i buty i poszedłem do tamtego lokalu. Nie pamiętam, jak on się wtedy nazywał. Stokrotka? Różyczka? Tulipan? W nazwie był, to pamiętam, kwiatek.

*

Jej czerwona sukienka szyta tak, żeby każdy mógł wyobrazić sobie, jak zdejmuje ją gestem nagłym i niemal zwierzęco okrutnym, była tylko, czego ona miała pełną świadomość, najuprzejmiej sporządzonym złudzeniem, żartobliwym tworem najmłodniejszego w tamtej epoce dizajnera i ustępstwem na rzecz tej części społeczeństwa, która nie tolerowałaby całkiem jawnej nagości. Bawiło ją, co opowiedziała mi później, wyobrażanie sobie, że on, jej wymyślony mężczyzna, patrzy na tę sukienkę, na ruch uda pod nią, i ma przy tym spojrzenie kogoś, komu obiecano niedawno wielką i nieoczekiwaną przyjemność, raj luksusu i grzechu albo chociaż daleką podróż, o której od wczesnego dzieciństwa nie umiał przestać marzyć. Właściwie nie przysiadła się do mnie, tylko tak bezceremonialnie podeszła, przysunęła sobie nogą krzesło i zanim on, ten mężczyzna z jej wyobraźni, zdołał zaprotestować, już siedziała na krześle całym ciężarem. Było mi wszystko jedno. Skłamałem. Nie było mi wszystko jedno. Kiwnąłem jej na powitanie głową, on, jej wymyślony mężczyzna, był trochę skonsternowany, ale nikt poza nią nie zobaczył go, bo nie istniał. Ja istniałem. A nawet gotów byłem do niej zagadać. Z głową wspartą na dłoniach przypominała mi kogoś, o kim wo-

lałbym może nie pamiętać. Pomyślałem, że jak i tamta ze wspomnień musi być niesamowita w łóżku. Przez chwilę chciałem nawet zobaczyć ją w akcji na żywo, ale machnąłem ręką, rzecz jasna metaforycznie. Mam wrażenie, że już wtedy wiedziała, jak to się musi skończyć. Nie patrzyłaby tak na mnie z ukosa, gdyby miała choć cień wątpliwości, że ja nie wiem, że i ona już wie, i że tak jest po prostu najlepiej. I było. I wiele dni później, kiedy byliśmy sami i kiedy mogłem podziwiać jej nie tylko cielesne, ale i jasnowidzkie zdolności, miałem jeszcze cały czas na dnie źrenic tamto dziwne, niesamowite spojrzenie. Byłem wtedy w nastroju lirycznym, nie wiedziałem bardzo wielu rzeczy. Nie wiedziałem, dowiedziałem się później, że myślała wtedy o wymyślonym, nieobecny mężczyźnie, którego miałem zastąpić i którego, tak jest, zastąpiłem, ponieważ ona tak chciała. Tak musiało się stać i tak się stało.

Tak właśnie poznałem Luizę, moją jasnowidzącą kobietę, jej cudowność i jej ciemną stronę, jej myślenie i jej brak sceptycyzmu. A z nią mogłem też poznać marzenia niepospolitej kobiety, bo była niepospolita tak bardzo, że mogła uchodzić za wzór. W Sèvres mogłaby leżeć po śmierci obok metrowej skali, jako wzorzec wiadomo czego: niepospolitej kobiety.

*

I czym uraczyła mnie ta niepospolita kobieta? I co się okazało? I okazało się, że jak każda przedstawicielka płci pięknej, jak każda po prostu kobieta o niczym innym nie marzy tak bardzo, jak o szalonym uczuciu. A jeśli nie wręcz o szalonym, to już na pewno o wiecznym. Każda straszliwa brzydula żyje tym przekonaniem. Każda straszliwa brzydula i każda supermodelka odpręża się, fantazjując na temat swych wielbicieli. Znana mi w każdym calu swojego ponętного ciała, wciąż tajemnicza dla mnie od strony swojej duchowości jasnowidząca kobieta, z którą dzieliłem i łoże, i stół, i na koniec wspólnie zebrany księgozbiór, nie była tu żadnym wyjątkiem, też była we władzy Amora; Kupidyna o maślanym spojrzeniu wysoko stawiała wśród bożków. Lubilem czasem podrażnić tę jej biologiczną ufność, tę ezote-

rycznie popartą wiarę pokładaną w nieznaną przyszłość. Szczególnie, że owa przyszłość miała być raczej beze mnie – i przez to o wiele szczęśliwsza niż dotychczasowe przygody. W swych jasnowidzeniach moja szlachetna kobieta widziała nie raz dokładnie, jakie to szczęście ją spotka. Ja byłem zaledwie przechodniem. Być może, nie będę się spierać, być może, że nawet przechodniem nie potrafiłem zostać i przy przechodzeniu kulałem, nie przechodziłem dość szybko, prawdę rzekłszy to szedłem dość wolno i często bez sensu przystając. Wszystkie trudności potęgowała okoliczność wcale nie wesoła, że żywiłem kult bałwochwalczy dla sekretów mojej jasnowidzącej Luizy. A szczególnie dla jej, jak to nazwał poeta, wonnej i miódopłynnej *yoni*, czarującej i wszechmocnej *yoni*, ekstatycznie doświadczanej *yoni*, czyli słodkiej i gościnnej pizdy.

*

Wszechmocna i czarująca cipa, ta miódopłynna *yoni* tylekroć całowana przeze mnie, tylekroć dopieszczana szpara, pokryta niewyobrażalnym gąszczem czarnych mocno skręconych kędziarów, była dla jasnowidzki źródłem bólu, rozkoszy i szczęścia. Patrzyłem, jak ją traktowała i wzrastałem w pewności, że jest to dla niej kapliczka *mons pubis* z wrotami *labia minoris*, z ołtarzem i tabernakulum, skrywającym duchowość *clitoris*, kapliczka ukrywająca zestaw prawd i tajemnic życiowo najistotniejszych, które wcale nie łatwo jest poznać. Drażniąca bywała jej pewność, bulwersujące było przekonanie mojej jasnowidzącej żony, wygłaszającej opinię, że w tej to malutkiej kapliczce, na tym to właśnie ołtarzu odbywać się będą co najmniej rytualne eleuzyńskie misteria. Mój sceptycyzm, zazwyczaj dość znaczny, na te słowa rósł i ogromniał i mówiłem, że to tylko dożynki, ale ona szeptała: „Misteria”. „Dożynki” – powtarzałem głosem wykluczającym dyskusję, gotowy w razie czego do sporu, choć bez nadmiernej ochoty. „Misteria” – powtarzała ona, cała w złości i tajonej furii, piękna przy tym niczym anielica z wydętymi pogardliwie ustami. Nie mogliśmy dojść do porozumienia, nie nada-

wałem się na celebriansa, a jej natchnione gesty czynione soczystym ciałem widziałem nie jak składanie zmysłowej ofiary na dzikim, pierwotnym ołtarzu czystej, bo młodo małżeńskiej miłości, ale niczym całkiem normalne, przyjemne ruszanie tyłeczkiem, mające nam sprawić przyjemność bez zbytnio wygórowanych ambicji. Nie mogliśmy dojść do porozumienia w tej jakże istotnej kwestii, ponieważ zbyt diametralnie odmiennie postrzegaliśmy Erosa. Dla mnie proste stwierdzenie: „Twoja cipa to wielka artystka” było ewidentnym i czułym komplementem, dla niej była to tylko obraza i wulgarna wręcz poufałość. Nie mogliśmy osiągnąć w tym zgody i męczyło nas to niesłuchanie.

– Możesz nazywać moją *yonī* artystką, więc dlaczego nie potrafisz kapłanką? – pytała moja jasnowidząca Luiza, próbując uzyskać w ten sposób potwierdzenie mojej ignorancji w tych sprawach.

– Staram się zawsze – odpowiadałem jej jednak równie chytrze i prowokacyjnie – oddzielać religię od sztuki, bo wydaje mi się to znacznie lepsze, niż mieszanie tych różnych porządków. Bo tak jest poważniej i lepiej...

– A skąd pewność – atakowała Luiza – skąd ta pewność, że tak jest rzeczywiście poważniej? – próbowała zbić mnie z tropu od razu, bym nie zaczął jej czegoś wkręcać.

– Choćby z tej to, kochana, przyczyny, że artysta, ten sztukmistrz i kuglarz, nie wbija się nadmiernie w pychę i nie twierdzi, że ma prawdę od Boga. Bo kto twierdzi, że ma prawdę od Boga, jak powiada Izajasz Anioł, ten najpewniej ma konszachty z diabłem, więc dlatego, kochana, dlatego... To pokora, najprawdziwsza pokora...

– A Izajasz? Dobrze, że o nim wspomniałeś – w spojrzeniu Luizy czaiła się jadowitość i czułem, że chce mnie przygwoździć.

– Czy jego ortodoksyjna, arcykatolicka prawda też jest od diabła? I co ty na to, łgarzu? – Luiza chwyciła mnie za słowa.

– Izajasz Anioł to temat osobny i nic ci nie powiem, jak to u niego jest z prawdą. – Nie była to dobra odpowiedź i mnożyły się złe incydenty, rosła liczba nieporozumień, niejasności, konfliktów, zamieszek. Rosły fale jasnowidzkiej pretensji i zabawa ta nie mogła mieć końca.

– Misteria – zacięła się jasnowidzka.

- Dożynki – ripostowałem leniwie.
- Misteria – Luiza miała w takich razach łzy w oczach.
- Bajery-rowery – mruczałem. – Dożynki, dożynki, dożynki...

*

 Nie zmieniało to postaci rzeczy, sprawa była nie do rozstrzygnięcia.

– Słyszę – skarciła mnie wzrokiem. – Co z tego, że słyszę? Co z tego? Znowu mi marne świństwa wyciągasz, Norbert, znowu mi czytasz zboczeńców! Czy ty się nigdy nie zmienisz? – zaczęła się straszna perora. Moja jasnowidząca żona pozostawała w takich sytuacjach nieubłagana, a mnie pozostawało zdziwienie, że robić, to i owszem, umiała, robić, tak, tak, to lubiła, ale ze mną porozmawiać czy może nawet poświęcić ostrzej dla relaksu i dla porcji śmiechu, to już wcale nie wchodziło w grę. Nie rozumiałem tego, wiele bitew stoczyłem o to, kupiłem jej nawet w prezencie pouczające *Monologi waginy*. Nic to nie dało. Luiza nawet ich nie przeczytała, tylko z miejsca wrzuciła na wysoko ułożoną półkę, dlatego teraz nie chciałem zadrażniać i łagodziłem, jak mogłem:

– Luizo, Luizo kochana, wiem, że bardzo nie lubisz liryki tak ekspresyjnie mówiącej o ciele, ale, proszę, posłuchaj choć tego – wyciągałem następny kawałek i nie zważając na jego wymowę – a lepiej bym zrobił, zważając – modulowałem swój głos i w natchnieniu zaczynałem dramatycznie skandować:

Musimy włączyć pizdy do naszego kanonu piękna.

W tym momencie miałem już przerabane, w tym momencie przez zielone źrenice Luizy przebiegały zimne ognie błyskawic, gdyby mogła, to by mnie z miejsca zabiła. Ale ja, w uniesieniu i w locie, przerzucałem pismo z ręki do ręki, miętosiłem i nerwowymi palcami skubałem co kilka stron. I czytałem, czytałem dla piękna, dla słów, które brzmiały tak miękko. Nie chciałem przy tym spoglądać w oczy Luizy zmrużone z wściekłości, w których mógłbym wyczytać i groźbę, i natychmiast wykonany wyrok:

*Kobieta kiedyś w łóżku
chcąc ucałować moją duszę, skłoniła się w dół
a jednocześnie uniosła dupę do mojej twarzy drząc cała
i pojąłem, że ofiarowano mi coś niezwykłego; oczywiście
jej bliskość budziła ekstazę i w tej ekstazie
jej oddalona twarz wciąż rosła i mogłem pić...*

– Przestań – sapnęła ze złością Luiza. – To twoje własne czy Asnyka? – szydziła. Trudno w to było uwierzyć, a jednak głos miała przy tym znudzony. Nie przesłyszałam się wcale: znudzony i jakiś blady.

– To Updike – powiedziałem z godnością. – John Updike. Zresztą, wierz mi, nieważne, kto pisze tak wspaniale i czyste wersy, ale... Posłuchaj! Teraz będzie najlepsze!

– Przestań natychmiast! – to zabrzmiało kategorycznie i groźnie. – Nie wspominaj mi o grafomanach-zboczeńcach! Dość mam twoich tak zwanych pomyłek, lepiej wzięłybyś się do roboty.

– Ale posłuchaj tylko tego do końca, proszę. Tylko tego i już nigdy nic więcej – kłamałem. Kłamałem bezczelnie, jak zawsze, jak od początku naszej znajomości, kłamałem i wykorzystywałem fakt bezsprzeczny: gigantyczną naiwność Luizy.

– No dobrze – moja jasnowidząca Luiza, mimo że jasnowidząca, była jednak nie tylko naiwna, moja jasnowidząca Luiza miała do mnie także trochę słabości. – Ale streść się, bo mam zaraz seans, nie mam czasu na te twoje błazeństwa. Wiesz, że klienci nie lubią, kiedy spóźniam się na spotkanie.

Wiedziałem, że seans to świętość, rytuał i ceremonia. Oprócz tego żyliśmy z wróżenia i jasnowidzenia Luizy. A praca to sprawa święta nawet dla bezbożnika, którym mnie nazywała w złości i w chwilach gniewu moja – wierząca i w Pana Boga i w Bóg raczy wiedzieć co jeszcze – jasnowidząca kobieta, której czytałem obscena i którą też nimi dręczyłem.

Nabrałem w płuca powietrza, aż o mało co się nie udusiłem, nastroiłem się na deklamację i przeszedłem do samego sedna poematu, który mnie oczarował, a Luizę mógł najwyżej rozsierdzić:

*Powiedz nam Och powiedz dlaczego tak jest dlaczego
dlaczego włoski na twoim karku mówią pizda
i wibrowanie twego śmiechu mówi pizda
i twoje palce ugniatające czubek papierosa
i czerwień twoich ust i twoje psoty
i twoja słabość do śpiących psów i sposób
w jaki trzymasz hamburgera w ręce i sposób
w jaki pochylasz się nad płaczącym dzieckiem tak że wargi
sromowe*

*zabarwiają twoje odcisnięte majtki i krzyczą pizda PIZDA
tam jest PIZDA dużo PIZDY dobra PIZDA...*

*

– Przegiąłeś – nie musiała mi tego mówić, sam wiedziałem, że tym razem przegiąłem. – Od dziś śpisz na wycieraczcze – brzmiało to jak żart, ale widząc minę mojej jasnowidzącej kobiety czułem, że tym razem to nie będzie żart. – Co ty sobie wyobrażasz, no powiedz. Ja jestem porządną kobietą, żadne takie... – na chwilę się zapowietrzyła, ponieważ wszystkie słowa poprzednie wymówiła na jednym wydechu, jakby chciała mnie przy okazji zdmuchnąć.

– Ależ ten wiersz – próbowałem nieśmiało prostować – nie dotyczy jedynie kurew. W końcu wszystkie i każda z osobna, nie licząc, rzecz jasna, kalek, macie to samo, pizdę... Nie powiesz mi chyba, że nie! – Nie było to dobre i mogłem przypuszczać, co powie Luiza.

– Nie powiem, ja nic już nie powiem. Ja dziś już nie chcę rozmawiać, a już na pewno nie z tobą. Kolację masz w mikrofalówce. – Odwróciła się szybko i wyszła na seans. Zostałem sam z moimi myślami i z kolacją do podgrzania.

*

Miałem czas, by przypomnieć sobie naszą pierwszą na ten temat rozmowę, kiedy dyskutowałem z jasnowidzką o pornografii. Kiedy nie tylko szukałem dojścia do jej erotycznych pokładów, ale próbowałem także przekonać ją do istnienia poezji innej niż oficjalna, znana ze szkół i gimnazjów. Przeczytałem jej bodaj wtedy wiersz dwudziestokilkuletniego autora o raczej nieznanym nazwisku, z którego zapamiętałem strof kilka:

*Wsuń rękę pod poduszkę i wyjmij ciężkie dildo.
Potrzymaj je chwilę w ustach, a potem każ mu: niech zrobi
ci perwersyjne zdjęcie. Najlepiej polaroidem.
Wsadź sobie w yoni wisienkę i zachęć go, by ją wyssał.*

*Zachowuj się jak ta, która od lat najmłodszych marzyła
o seksie bez wstydu, miłostkach, perwersji i orgazmach.*

Nie wiem, czy to powtarzające się w różnych odmianach w tym wierszu nikczemne słowo „perwersja” tak rozsierdziło Luizę, fakt faktem, że utwór ten raczej nie zawojował jej serca i usłyszałem opinię wycedzoną przez zaciśnięte zęby:

– To grafomania i pornografia! Nędza!

– Ależ, Luizko, słodka, posłuchaj dalej – wtedy też nie dawałem za wygraną. – Posłuchaj chociaż końcówki – użyłem tego samego chwytu. I przeczytałem:

*Pociągnij go ku sobie, a on niech pobiegnie za tobą;
wprowadź go niczym króla w swój najtajniejszy ogród.
Na koniec jak kotka otrzyj się ciałem o kochanka
tak, by mógł poczuć, co czułaś, gdy szeptał ci słodkie głupstwa,
bo miłość na pewno wprawia w ruch doskonały gwiazdy,
lecz czasem też ręce i biodra. Nie pozwól, by o tym zapomniał.*

– Daj spokój. Autorem jest jakiś erotoman? Co to za grafomania?

– Zestaw podniet na dzisiaj dla twojego mężczyzny albo krótki poradnik dla sfrustrowanych kochanek.

– No to co w końcu, zestaw czy poradnik?

– Luiza, przecież to taki tytuł.

– Za długi nawet jak na grafomanię.

*

Próbowałem zaprotestować i broniłem mało znanego autora:

– Pornografia, która cię tak bulwersuje – przybrałem ton jadowitej perswazji – moja Luizko kochana, to tylko chwyt literacki, technika lub sztuczka, myśl, co chcesz, którą autorzy budzą w czytelniku ciekawość, wprowadzając, że tak powiem, poczucie rzeczywistości nieliterackiej zupełnie. Tak widział to Henry Miller, który zresztą stwierdził też, że gdybyśmy potrafili zrozumieć zagadkę tego, co dziś nazywamy „szparą” albo „dziurą”

i gdybyśmy mieli choć minimalny szacunek do tej tajemnicy, jaką jest tak zwana obsceniczność, świat rozleciałby się na kawałki i dobrze by się...

– Bzdura! A Miller to wiesz co... Miller! – Luizie starczało na razie szydzenie z samego nazwiska. – Miller to stary grafoman! Miller to obleśny staruch! Nie powołuj się na Millera! To pornograf nie mający pojęcia o erotyce! Erotyka! Seks! Przecież to może być samo bycie, patrzanie, czułość. Erotyka to nie kopulacje, nie pornografia, zrozumi!

– A co powiesz na Fredericka Perlsa?

– Kogo? – Luizę najwyraźniej zatkało. Spojrzała na mnie z niepewnością, zastanawiając się pewnie, co znowu zmyśliłem, żeby ją zgnębić.

– Twórcę psychologii gestalt. Tego guru Eichelbergerów, Monet Malewskich i innych. Już kojarzysz? – bawiłem się bezlitośnie.

– A ten co? – poruszyła się niespokojnie.

– Frederick Perls w autobiografii napisał: „Doświadczenie pizdy jest intensywne i niewerbalne.” Ładnie, prawda?

– Kłamiesz! Tak nie napisał!

– To patrz – podszedłem do półki z książkami i nieomylną ręką księgarza, którym przez kilka lat byłem, sięgnąłem po *Wokół śmietnika*, otworzyłem pod koniec i podając oszołomionej Luizie, powiedziałem:

– Masz, czytaj. O, tutaj – wskazałem jej palcem linijkę.

Luiza przebiegła wzrokiem pół strony, gwałtownie zamknęła książkę i stała jak porażona. Wiedziałem, że cios trafił w jeden z jej słabszych punktów. Frederick Perls uznawany jest za twórcę gestalt, a gestalt – to jej Eichelberger. A tego miała na półce chyba wszystko, co napisał i wydał. Sprawilem jej więc sporą przykrość.

*

– Każdy współczesny artysta – próbowałem załagodzić sprawę i dokończyć swoją myśl o obscenach – wykorzystuje to, co ty nazywasz tu pornografią, tak samo jak dawni mistrzowie wyko-

rzystywali tajemniczość i elementy cudowności. Na przykład Arystofanes, o którym Heine powiedział: „Bóg istnieje i nazywa się Arystofanes”...

– Arystofanes-śmanes! Arystofanes-głupanes! Nic mnie nie obchodzi martwi biali mężczyźni! Weź sobie swojego Arystofanesa, zamknij się z nim w toalecie i nie zwracaj mi głowy. To trup! – Wiedziałem, że kiedy Luiza odwołuje się do haseł feministycznych, to znak, że jest bliska furii i miotania się po całym mieszkaniu. A jednak, coś mnie kusilo i prowadziłem tę rozmowę dalej:

– A taki na przykład Diderot... Wiem, to też trup, ale... Co powiesz o Diderocie, Luiza?

– No co Diderot? Diderot? Napisał twój ulubiony *Kubusia*.

– No właśnie, a w nim wyłożył, jak to jest z obscenicznością w dziele. Pamiętasz: „Czemu nie marszczycie brwi przy Katulu, Marcjalu, Horacym, Juwenalu, Petroniuszu, La Fontainie i tylu innych? Czemu jesteście pobłażliwi tylko dla zmarłych?” Czemu – spojrzałem na Luizę z wyrzutem – nie uznasz wartości dzieł, które opowiadając o seksie, mówią więcej o kondycji człowieka niż wszystkie razem wzięte uczone traktaty i pseudomagiczne brednie?

– Bo nie mam na to ochoty. Mnie to po prostu nie bawi – Luiza postanowiła, że szybko skończy ze mną tę wymianę zdań, która stała się nieprzyjemna, odkąd pojęła, że tym razem nie wygra.

– Naprawdę, Luizo, naprawdę – udawałem stoicki spokój i nie pozwalałem jej odejść, bo chciałem coś jeszcze powiedzieć. – U sedna obsceniczności, od starożytności do dzisiaj, leży chęć nawrócenia, transgresji – wiedziałem, że lubi to słowo – pragnienie religii i sacrum...

– I ty to mówisz! – wybuchła – Ty, bezbożniku jeden? Ty, dla którego nie ma żadnej świętości? Ty, co nie wierzysz w magię, w *wicca*, w ekofilozofię i dobrotliwego Buddę? Ty, który nie wierzysz nawet w ortodoksyjny katolicyzm, jak choćby ten twój serdeczny przyjaciel, ten nawiedzony artysta Izajasz? No wiesz co, masz sporo tupetu. Gdybym nie znała cię dobrze... – Myślałem, że się zapieni, ale wyhamowała. Faktycznie, miała rację, trochę się zagalopowałem. Ale, myślałem, obscena temu służyły od za-

wsze: doprowadzeniu do drżenia, do ekstazy i do katharsis. Ale dzisiaj... no tak, tu Luiza miała wiele, bardzo wiele racji. Rozumiałem ją doskonale, ale ona wcale mnie nie rozumiała. Tak było i wtedy i dzisiaj, gdy czytałem jej *Pizdy* Updike'a. Czytałem przecież – dla zabawy. Lecz Luizę co innego bawiło.

*

Rozumiałem moją jasnowidzącą kobietę lepiej niż by ktokolwiek przypuszczał. Rozumiałem tak dobrze, że od tamtej pory już tylko z moimi cudownie zaślepionymi kochankami pozwalałem sobie na tego typu zagrywki, urozmaicenia i drobne perwersje. Z Dużą Agą, lubiącą fellatio, przy którym z wielką finezją poruszała pełnymi ustami; z mniejszą Kingą, która słabiej lizala, za to krzyczeć potrafiła tak pięknie, że mnie brało od samego słuchania, przez co mogłem oszczędzić na czasie i dwa razy wziąć ją szybko raz po raz; i z pozostałymi, które może wspominać będę jeszcze, lecz przy innych okazjach. W końcu ważne jest to, że Luizie nie czytałem już poetów frywolnych, darowałem jej Fredrę, *Priapea*, oszczędziłem *Na doktora Hiszpana*, oszczędziłem klasyków i błaznów, rozumiałem jej czystość i wstyd. Prawdę mówiąc, wołałem brać się za to, z czego Luiza pozwalała korzystać i czasami jedynie, w chwilach, nomen omen podniosłych, szeptałem: „Tu jest pizda, dużo pizdy, dobra pizda. Tu jest pizda, dużo pizdy, dobra pizda.” Przez czas jakiś mantrowałem tak sobie i polecam tę mantrę każdemu, bo to świetny, chociaż prosty środek, afrodyzjak z tych, co znałem, najlepszy. Luiza w takich momentach wołała mantrować raczej klasycznym, buddyjskim zaśpiewem: *Om mani padme hum. Om mani padme hum.* Co znaczy, jak mi wyjaśniła: *Om*, klejnot świadomości Buddy, *om*, klejnot świadomości Buddy, jest w kwiecie lotosu świata. Tak powiedziała: w kwiecie lotosu świata.

*

– Dlaczego lotosu? – spytałem ją kiedyś tuż po miłości, leżąc obok jej rozgrzanego ciała. – Czy to coś znaczy, kochanie? – położyłem się na poduszce wygodnie.

– Lotos to symbol kobiecy – Luiza wyraźnie ucieszyła się z tego pytania, buddyzm to był jej konik i wiedziała o nim chyba wszystko. – Lotos to symbol buddyjskiej doskonałości. Wyobraża to, co wznosi się ponad zgniłe wody i zachwyca swoim niebiańskim pięknem. Każdy ma swój lotos i powinien go pielęgnować, mówią Hindusi, to znaczy każdy powinien starać się odzyskać tak zwane pierwotne światło. Ku śmierci, mawiają Hindusi, najlepiej iść po płatkach lotosu. Dać się prowadzić zapachem – Luiza stawała się coraz bardziej wzruszona. – Tak, lotos to rozwój człowieka, a także symbol bogini Lakszmi – Luiza leżała obok i bawiła się rąbkami poduszki.

– Kogo? – sięgnąłem po paczkę cameli.

– Lakszmi, co zresztą też znaczy „lotos”, żony boga Wisznu – Luiza już to widziała i chciała, żebym i ja zobaczył. – On leży na oceanie, a z pępka wyrasta mu lotos. Ten lotos to właśnie Lakszmi. Lakszmi, czyli lotos.

– Zaraz, poczekaj. Z pępka? – nie mogłem wyjść ze zdumienia dla pomysłowości ludzkiej; ten co wymyślił te bajki musiał być trochę dziwny.

Palilem swojego camela, głaskałem Luizę po brzuchu i byłem gotów wysłuchać jakiejś postkoitalnej historii. W rozgrzanym powietrzu mieszkania unosił się zapach perfum zmieszany z zapachem potu, z energią stworzoną z dotyku. Ubrania leżały w nieładzie, przedmioty wyglądały tak, jak gdyby rozsypały się wokół łóżka, wokół miejsca, gdzie teraz byliśmy oddaleni od całego świata. Przedmioty wyglądały tak, jakby w trakcie naszego zbliżenia cały dom się gwałtownie poruszył i rozsypał zawartość na dywan, na stół i na wszystkie regały, tworząc wzór chaotyczny i kolorowy: żółć i czerwień z zielenią i bielą w zaplątanym niesamowicie znaku.

– Z pępka. A co? – Luiza myślała chyba, że robię się ironiczny. – Mógł Bóg chrześcijański wyjąć żebro pierwszego Adama i z żebra (ta estetyka chrześcijan!) stworzyć pramatkę Ewę, to dlaczego Wisznu nie mógłby stworzyć sobie bogini Lakszmi z lotosu?

– No mógłby, faktycznie, mógłby – zaciągnąłem się dymem z lubością. – I co z tym lotosem? Z klejnotem.

– Legenda mówi, że także Brahman wziął się z kwiatu lotosu, że wyrósł z tego samego pędu, który zrodził się z pępka Wisznu. W ikonografii buddyjskiej *bodhisattwowie* siedzą w kręgu z płatków lotosu przypominających płomień i medytują nad tym, jak wyzwolić istnienia z *samsary*...

– Lakszmi, Wisznu, Brahman, *bodhisattwowie*, *samsara*, nirwana, wiesz co? To chyba nie dla mnie – sięgnąłem do popielniczki i dokładnie zgasilem camela. – Izajasz wciąż mówi o świętych, ty masz swój prywatny panteon. To nie dla mnie. Wiesz, że cię kocham, ale nie ma w tym dla mnie miejsca.

– Dlaczego?

– Po prostu nie wierzę w nic z tego. Ani w buddyzm ani w chrześcijaństwo. To wszystko kompromitacja, skoro ludzie i tak zdychają. Co roku miliony dzieci, tysiące ludzi codziennie.

– Jesteś zmanierowany, jesteś demagogiczny. Od kiedy obchodzą cię dzieci umierające z głodu? Może ty jesteś lewakiem?

– Nie jestem ani lewakiem, ani konserwatystą. Politycy to najwięksi złodzieje, prawica i lewica po równo – zaciekrzewiłem się, bo czego jak czego, ale polityków nie znosiłem wręcz organicznie. – Ci z prawicy to rasowe dranie, udają twardszych niż są i zawsze możesz na nich liczyć, kiedy trzeba odebrać coś biednym, a ci z lewicy – sapnąłem z wściekłością – to błazny. Niby mówią, jak jest, ale wiedzą, że nic nie mogą zrobić, mogą sobie co najwyżej pomanifestować z gejami czy emerytami... Szyderstwo, z jednej i z drugiej strony szyderstwo. Aż dziw bierze, jak ci tak zwani politycy, pełniący podobno tak zwane funkcje publiczne, mogą tak cynicznie okradać innych ludzi i kłamać... Ale to może – zastanowiłem się – może to w końcu normalne. Może taki jest sens polityki. Prawica, lewica – szyderstwo. Ci z centrum, jeżeli istnieją, nie są zresztą ani trochę lepsi. Są równie szyderczy w swojej demagogii. Jedni i drudzy są straszni. Politycy całego świata. prostytutki na usługach systemu. Pokaż mi polityka, który nie żyje jak dziwka. Drogie ciuchy, drogie szluki, drogie wódki, drogie wozy, drogie domy i na okrągło pieprzenie, że jest bieda i że trzeba oszczędzać. No pokaż mi chociaż jednego, co nie jest karierowiczem. Jednego!

– Masz rację, zgadzam się z tobą – Luiza myślała podobnie. – Ale chcę spytać teraz o ciebie. A więc? Za kogo ty się uważasz? Kim jesteś?

– Człowiekiem, Luiza, zwyczajnym, bardzo przeciętnym człowiekiem. Zgoda, być może jestem zmanierowany. Ale nie bardziej niż inni. Oprócz tego interesują mnie tylko doskonale zbudowane kobiety – popatrzyłem na Luizę przeciągle – i jeszcze doskonale zbudowane zdania. Interesuje mnie notowanie tego, co widzę wokół siebie... Ale ja nie ma poglądów. Nie jestem jakimś świętym Tołstojem. Mam tylko nerwy i pamięć. Nic więcej, nerwy i pamięć. Jestem, a raczej jesteśmy wszyscy, bo ciebie też to dotyczy, jak ten nieszcześny jastrząb z modnego ostatnio dowcipu.

– Jakiego znowu dowcipu? – Luiza zbystrzała na moment.

*

– Jakiego dowcipu, co? – Luiza spojrzała na mnie, jak gdyby spodziewała się może, że kpię z niej w tej chwili brutalnie.

– Był sobie pewien facet – zacząłem, żeby pozbawić ją złudzeń i nie dać jej szansy przerwania mi tej opowieści – który żył na odludziu z żoną. Codziennie rano żona robiła mu kilka kanapek, on brał je i szedł na pole. Orał, zajmował się ziemią.

– Streszczaj się – Luiza nie lubiła, gdy opowiadałem dowcipy. A w łóżku, tuż po „misterium” uznawała to za profanację.

– Już już, poczekaj. Ten facet któregoś razu wziął tak, jak co dzień kanapki, poszedł na swoje pole, położył kanapki na pieńku, lecz kiedy w południe wrócił, zmęczony i wygłodzony, kanapek nie było nigdzie, więc zdziwił się i...

– Długo jeszcze?

– Już zaraz koniec. Poczekaj. Ćwicz słynną buddyjską cierpliwość, ćwicz spokój reklamowany z uśmiechem przez Dalajlamę.

– Nie kpij. Co było dalej?

– Facet wrócił do domu, zapytał żonę, czy aby na pewno rano dała mu tak jak zawsze kanapki, a kiedy to potwierdziła, postanowili sprawdzić, co dzieje się z kanapkami, które tak tajemniczo znikają.

– Wiesz co? Ty chyba nie umiesz opowiadać kawałów. Bo zasnę!
– Poczekaj. Rano chłopina wziął swoje kanapki, poszedł na pole, położył je na pniaku, i schował się za drzewami, skąd obserwował pole. Po kilku długich godzinach z zachodu nadleciał jastrząb...

– Nareszcie coś się tu dzieje. Ale dalej nic nie kojarzę.

– Nadleciał jastrząb i chwycił szponami kanapki z pniaka, po czym oddalił się szybko, a chłop dawaj za nim przez pole. Ale tak, że by go nie wystraszyć, żeby jastrząb go w ogóle nie dostrzegł. Ptak leciał, a facet biegł. Ptak leciał nad dolinami, rzekami, omijał góry i miasta, a facet wielkimi susami pędził za nim, by nie stracić go z oczu. Ptak za górę, chłop za górę. Ptak nad miastem, chłop przez miasto. Ptak nad łąką, chłop przez łąkę. Ptak przez dżunglę, chłop po lianach. Ptak wysoko, chłop nisko. Ptak tunelem, chłop tunelem...

– Skróć to. Bo sobie pójdę.

– Dobrze. Słuchaj. W końcu jastrząb znalazł się nad polaną, prawie taką, jak poletko chłopca. Wylądował z tymi kanapkami, a chłop dysząc stał za drzewem i patrzył. Jastrząb ruchem majestatycznym i prężnym zerwał papier i wziął w skrzydło jedną kromkę z wierzchu. Drugim skrzydłem zaczął wyjmować z kanapki i wyrzucać po kolei wszystko. Wyrzucił serek, wyrzucił pomidor, wyrzucił plasterek szynki, aż została sama kromka z masłem.

– To już koniec, tak?

– Luiza! Przestań przerywać, bo nie skończę tego dowcipu nigdy. Jastrząb wziął obie kromki w skrzydła, zaczął mazać nimi po swoich piórach, po dziobie i po pazurach, po czym zakrzyknął na całą polaną, aż echo po lesie poszło: „O kurwa, jaki ja jestem cudownie popierdolony!”

Luizie nie drgnął żaden mięsień.

– I co dalej? – spytała.

– Nic dalej, Luiza, to koniec. Dalszego ciągu nie będzie. Nie wymyślili. Ale to o nas wszystkich i o naszym czasie. Jesteśmy jak ten jastrząb z kanapkami. Rzucamy się na cokolwiek, na idee, religie, poglądy. Smarujemy się nimi dokładnie i mówimy to samo, co jastrząb. Zachwyceni, że tacy jesteśmy. W każdym razie, ja tak to widzę.

*

Luiza milczała dłuższą chwilę, patrząc na mnie z niesmaką i politowaniem. W pokoju zrobiło się głucho, martwo i nieprzyjemnie. Czuję, że dowcip dotknął ją do żywego, choć zanim go nie opowiedziałem, nie myślałem, że tak może być. Dopiero teraz stało się dla mnie jasne, że Luiza odebrała go osobiście i osobiście zamierza na niego odpowiedzieć. Rzeczywiście, po chwili wahania zaczęła:

– Ty – spiorunowała mnie wzrokiem – masz wszystkich poszukujących prawdy, którzy nie są katolikami jak Izajasz, za duchowych materialistów, tak? Dobrze cię zrozumiałam? – To ostatnie było powiedziane ciszej, ale było to ściszenie głosu złowrogie.

– Nie wiem, o czym mówisz? – próbowałem trochę rozwlec rozmowę, licząc, że jasnowidzącej nie będzie chciało się robić mi długich wykładów. Chyba się pomyliłem, bo Luiza już otwierała usta:

– Mówię, że wszystkich, którzy szukają wśród technik, interesują się niekonwencjonalnymi, jak to się mówi, dziedzinami wiedzy, masz za duchowych materialistów, kolekcjonerów rupieci i antyków. Tobie się pewnie zdaje, że każdy, kto szuka dla siebie czegoś innego niż niedzielna msza, jest w duchu materialistą, a więc jest materialistą duchowym. O tym mówił ten twój marny dowcip.

– Marny jak marny – mruknąłem urażony. – Mnie się wydał bardzo *à propos* wszystkiego.

– Typowe! – Luiza nie wiedzieć czemu triumfowała wyraźnie. – Typowe myślenie kogoś, komu nie chce się kiwnąć palcem, żeby pojąć, żeby spróbować zrozumieć, że ludzie, przynajmniej niektórzy ludzie potrzebują czegoś więcej niż alkohol i papierosy, czegoś więcej niż banalny seks.

Rozmowa zrobiła się nieprzyjemna i chciałem ją już zakończyć. Gestem przerwałem Luizie i powiedziałem:

– Ale ja nie o tym...

– A o czym? No o czym? – Luizę trudno było powstrzymać w rozmowie. Ona także, jak Izajasz Anioł, chciała, ba, wręcz musiała udowodnić swoją rację za wszelką cenę. – O czym ty chciałeś, mówiąc mi taki dowcip, powiedzieć? Co? Nie o tym?

– Nie – byłem już trochę zmęczony. – Chciałem powiedzieć tylko, że wszystko, no nie, może nie wszystko, ale większość tego, co człowiek ze sobą robi, to...

*

– To – Luiza weszła mi w słowo – po prostu wyłącznie maska. A co do tych kobiet, uważaj: Badinter twierdzi...

Zapomniałem już, że mówiliśmy wcześniej o mojej nieskrywanej sympatii do kobiet, ale tylko tych zbudowanych doskonale, niczym zdanie najlepszego z pisarzy. Luiza postanowiła widocznie wrócić do tego wątku. Chciała mi udowodnić, że płęć to jest mit i przeżytek.

– Daj spokój pani Badinter – wszedłem jej ostro w zdanie. – Słyszałem. Że mężczyzn nie ma. Ale cóż zrobić: ja jestem. I kilku jeszcze facetów. I moje poczucie męskości jest tak nieusuwalne i silne, że nawet jeśli to konstrukt, to moja męskość jest faktem. A maska? Maską jest dzisiaj wszystko. Charakter naszej epoki polega na maskowaniu. To najpierw jest maskowanie, a potem zazwyczaj wybuch. To, co wybucha, obnaża – i ludzi, i czas, i mnie także.

– Nie wszystko jest maską, jak mówisz. A nawet jeżeli wszystko, to nie jest usprawiedliwienie – Luiza zrezygnowała z rozmowy, podniosła się z łóżka, wzięła spodnie i wyszła z pokoju. Jej doskonale pośladki miały kształt cudownego zdania. Takiego, o którym myślałem, że może je kiedyś napiszę.

*

Luiza wróciła po chwili z czajniczkiem i dwoma szklankami na tacce. Wziąłem bez słowa jedną, którą podała mi z tajemniczą miną, a ona zaczęła nalewać. Patrzyła mi przy tym prosto w oczy i uśmiechała się rozbrajająco, na co ja również uśmiechałem się do niej – do momentu, aż z przepelnionej szklanki – spostrzegłem – zaczęło się lać po pościeli.

– Pogięło cię? Co ty wyprawiasz? – wrzasnąłem i odsunąłem się na bok.

– Pokazuję ci, jaki jesteś naprawdę – Luiza stała i wylewała herbatę. Na kołdrze zrobiła się plama w kształcie Azji albo może Afryki.

– Lepiej pokaż, jak sprać plamę z herbaty – nie miałem ochoty na żarty, a już na pewno nie takie.

– Jesteś jak ta szklanka – powiedziała moja jasnowidząca łagodnie. – Po brzegi wypełniony chaotycznymi myślami. Masz mnóstwo bezsensownych pomysłów na uporządkowanie życia, mnóstwo dziwnych przekonań i ograniczeń. Dlatego nie jesteś w stanie przyjąć niczego nowego. Więcej się w tobie nie zmieści. Musisz oczyścić swój umysł.

Patrzyłem na nią i w myślach zastanawiałem się tylko, czy ja zawsze muszę mieć takiego pecha, że spotykam kobiety piękne, ale zdecydowanie przy tym nawiedzone. Czy kobiet innych już zwyczajnie nie ma? Tylko takie egzemplarze zostały? Rozbestwione przez ekofeminizm i ezoterykę ślicznotki, widzące w mężczyźnie jedynie niedouczony przeżytek. Pogrążyłem się w ciężkim myśleniu, skubiąc wargi i patrząc na ruchy Luizy. Ona jeszcze nie była najgorsza, rozumiała, że czasem wystarczy z życzliwością postrzegać różnice, by nie zniszczyć tak zwanej miłości. Powiedziałem jej kiedyś:

– Życzliwość jest w każdym przypadku ważniejsza niż tak zwana miłość. Bo miłość to czysta chemia i zawsze może się skończyć.

– A życzliwość? – zaciekało ją to.

– Życzliwość trwa wcześniej i później, o ile jest się życzliwym. I bywa, że kończy się chemia, a pozostaje życzliwość.

Nie odezwała się słowem, nie rzuciła tuzina nazwisk, nie było Junga i Eichelbergera, ani Clarissy Pinkoli Estes. Zastanawiała się pewnie, skąd wzięłem to przekonanie i pewnie doszła do wniosku, że od Izajasza Anioła. Ale Izajasz Anioł nie miał z tym nic wspólnego.

*

A jednak byliśmy z Luizą, mimo wszystkich odmiennych poglądów, byliśmy, jak mawiam w nastroju lirycznym i delikat-

nym, błogo i świętokradczo, z prostotą i z wyuzdaniem, a jednak – jak o tym mówiła – aktywowaliśmy wspólnie podczas zabaw wszystkie nasze czakry. A jednak dosiadaliśmy beztrzesko energetycznego węża kundalini – i nie mogło być wcale inaczej, bo mieliśmy na tym punkcie świra. Tantra, czyli sztuka świadomego bzykania („Kochania, kochanie, kochania!” – strofowała mnie łagodnie Luiza), a więc tantra, czyli transcendentne i mistyczne figo-fago w duecie, to był świr i to była szajba, to był bzik jasnowidzki po prostu. Któremu sekundowałem i w którym miałem swój udział, rzecz jasna, nieco pogański, a w każdym razie daleki od jej jakże ekstatycznych uniesień i orgazmów w stylu Sziwy i Siakti. Ona była sacrum, ja byłem profanum. Ona była jak płomienisty gotyk z jego strzelistym oddaniem, ja byłem niczym późne rokoko – dekadencja i przerafinowanie. Ponieważ jednak, co wiedzą smakosze win i kasztanów, przeciwieństwa lgną do siebie najmocniej, niczym pszczoły do kwiatowych pyłków, mieliśmy się całkiem dobrze, a nawet, chwilami, wspaniale. Odczuwałem to na własnej skórze: ciągnęło nas do siebie jak diabli. Może to nawet sam diabeł tak nami poruszał dla żartów. Jestem pewien, że maczała w tym palce siła większa od zaklęć dostępnych Luizie. Moje profańskie zapędy w obliczu jej sakralności, moje zwierzęce chucie wobec jej ideałów – jakże to groteskowo musiało wtedy wyglądać dla kogoś, kto stałby i patrzył, jak brniemy w kolejne przygody. Dzisiaj myślę, że przyglądał się diabeł (mój sceptycyzm nie może mi pomóc) i że było mu z tym bardzo dobrze. Dzisiaj wierzę, że tam były demony i niektóre postanowiłem nazwać. Tak jak kiedyś je nazywałem, by rozbawić w ten sposób Luizę. A kiedy postanowiłem, wziąłem się do działania, zacząłem wymyślać demony, by było zabawniej i mroczniej. Zacząłem dla mojej Luizy wymyślać nazwy demonów i tak się w te sprawy wciągnąłem, że czasem mnie ponosiło.

ROZDZIAŁ IV

Arcydemony zmyślone...

Wiele mógłbym wam zmyślić o diable (tak jak zmyślałem Luizie). Jakich sztuczek używa, by nikt szczęścia nie zaznał. Czemu nie śpi po nocach, ulice przemierza. W jaki sposób zadbał, byście postradali zmysły oraz dusze. I jak można z nim – nie, nie wygrać, bo to niemożliwe – jak z nim można nie przegrać, wyjść na bolesny remis. Wiem o nim dużo, bo dużo zmyślałem. To wszystko przez jasnowidzącą, którą lubiłem tak bardzo, że postanowiłem doświadczyć również strony tajemnej. O diable wiem zatem sporo, o jego czarnych nawykach, o jego oślizłych podstępach bez problemu napisałbym traktat. Wiem dosyć, by umieć zobaczyć go w lustrze i szybie wystawowej sklepu, kiedy idę wyludnioną ulicą, jego kroki słyszę zawsze w pobliżu, słyszę go za plecami lub z boku, wiem, że krąży, że ma na wszystko złe oko. Moja jasnowidząca kobieta – chociaż robiłem to dla niej, dla niej poznawałem diabła i jego przykre nawyki – moja jasnowidząca nie uznawała diabła, to znaczy wierzyła w niego, lecz nigdy nie była skłonna uznać, że właśnie diabeł rządzi od zawsze na ziemskim padole. Moja jasnowidząca Luiza nie wierzyła, że Księżę Ciemności jest autentycznym Księciem, Władcą Tego Świata i nie szło jej przetłumaczyć, że znaki na niebie, a zwłaszcza rozliczne znaki na ziemi wskazują, że tak jest istotnie i basta. Rozmawiałem z nią na ten temat dość często, próbowałem wyjaśniać, tłumaczyć, mówiłem, że trzeba uznać istnienie takie-

go diabła, co ingeruje w życie, lecz moja jasnowidząca kobieta zacięła się w sobie, milczała, nie było, znowu nie było szans na rozsądny kompromis.

– Nawet ładnie to wszystko zmyślasz – powiedziała mi za którymś razem. – Lecz cóż z tego, skoro diabła nie ma? Ja lubię, kiedy mi opowiadasz o tych diabłach i demonach zmyślonych, o demonie pryncypialności i demonie samopoświęcenia, ale nie mówi mi, że w tych bajkach jest coś więcej niż jedynie fantazja. Diabła nie ma! Rozumiesz? Nie ma! Ty, sceptyku, powinienes to wiedzieć najlepiej.

– A twoje duchy? Twoje jasnowidzenia? – próbowałem ją zaskakiwać.

– To jest we mnie, w mojej, wyłącznie mojej głowie. A diabeł, jakiego ty próbujesz mi wmówić, nie istnieje. Ty pewnie działasz za namową Izajasza Anioła.

– Naprawdę? – dziwiłem się.

*

Nie było żadnej możliwości, byśmy mieli się co do diabła zgodzić i tutaj także dostrzegałem rękę o złowieszczu wykreconych szponach. A spór ten trwał nieprzerwanie od czasu, gdy spróbowałem wytłumaczyć mojej jasnowidzącej żonie, że ludzie są raczej niewdzięczni, że raczej są źli niż przyjaźni, że taki jest rzeczy porządek. Moją jasnowidzącą Luizę zirytowałem takimi słowami i to porządnie, bo dla niej każdy był dobry z natury, tak jak i ona była z natury dobra. Gdy usiłowałem jej wyjaśnić, że nie ma czegoś takiego, jak tak zwana natura ludzka, a jest jedynie sieć zależności, wśród których tkwi każdy człowiek, niezależnie od usposobienia, przerwała mi ostro, czyniąc dłońmi w powietrzu łamańce, wyrażające totalną niezgodę.

– Co ty bredzisz! – krzyczała. – Nie istnieje natura ludzka? A diabelska istnieje, tak? – natrzęsała się. – Nie ma ludzi, a diabeł istnieje? No, to jest dopiero odkrycie – uspokajała się z wolna, przypominając sobie, że według niej nigdy nie byłem zbyt lotny i że przecież nie za lotność mnie kocha. – Dałbyś spokój tym głupim pomysłom – mówiła już żartem. – Nie dla ciebie takie trudne problemy, nie na twoją, wybacz, że ci to mówię, głowę.

*

Nie starałem się jej wytłumaczyć, że to wszystko jest znacznie trudniejsze i że nawet za rok czy za dziesięć lat nie przekonam jej wyłącznie dlatego, że nie umiem. Nie starałem się nawet zaczynać porządnej dyskusji na temat natury ludzkiej, myśląc swoje i nie mając ochoty na słuchanie o dobroci wrodzonej, o naturalnej ludzkiej skłonności do dobra. O dobroci naturalnej człowieka, z którą nigdy się nie spotkałem, miałem zdanie wyrobione od dawna, lecz Luiza miała swoją opinię. Może była to kwestia doświadczeń, które uniemożliwiały nam porozumienie. Ale diabła czułem stale w pobliżu i dziś wiem, że przyglądał się uważnie. Ale który to był z demonów, nie wiedziałem, miałem dowiedzieć się dopiero później. Moja jasnowidząca kobieta uznawała, że bredzę jak chory, serwowała mi ziółka na nerwy i mówiła, że mam przywidzenia. Wyręczała się homeopatią i nie chciała już słuchać o diable, który dla mnie stał się odtąd leitmotywem rozważań i codziennych przemyśleń. Może i miałem zwidy, może i ciężko bredziłem, może kto inny – lecz kto? – dokonywał we mnie tych zniszczeń. Przystawałem być pewien, wątpilem, przystawałem naciskać, puszczałem, odpuszczałem i w niepamięć szły wszystkie rozmowy o siłach zdecydowanie nieczystych. Może tak właśnie wyglądał sposób Luizy na niebranie pod uwagę diabła, może takim właśnie łagodnym sposobem udawało się jej go ominąć. Ja, z wątpienia powstały i ze sceptycyzmu, w proch wątpiący zamierzałem zmienić się całkowicie. Moja jasnowidząca kobieta nie miała w tym uczestniczyć. Wiedziałem, że moja Luiza znajdzie sobie zajęcie ciekawsze. Mnie z diabłem już wtedy pewnie nie będzie, choć może jednak diabeł zostanie. Byłem właściwie pewien, że diabeł to jednak zostanie, legenda zostaje zawsze, jeżeli jest legendarna. Lecz byłem też pewien zupełnie, że Luiza go nie zauważy, że może przeoczyć diabła, a nawet zapomnieć o nim. Nawet jeśli jej popsuje robotę, myślałem, w przygotowach i ziołach namiesza, nawet jak garnek przypali, nóż tępo wyostrzy lub zgubi, nawet jak wizje podsunie, albo sen z podgatunku koszmarów, myślałem i byłem pewien, że moja ognista Luiza, tak świetnie wszechstronnie jasnowidząca w ogóle, w tych

paru szczególnych przypadkach co do diabła nie zorientuje się nigdy. Próbowałem ją delikatnie ostrzec, kochałem ją i bałem się o nią, stawałem w kuchni za jej plecami, kiedy robiła obiad i przemawiałem łagodnie, licząc, że może pojmie, że nie uzna tego za kolejne szyderstwo:

– Nie ufaj sobie ani nikomu, Luizo. Nie ufaj sprzętom domowym ani zwierzętom. Obserwuj rośliny, czy nie planują nic złego, bądź czujna i nigdy nie daj się podejść, nie daj zaskoczyć się siłom ciemnym i nieprzyjaznym, które bez przerwy czyhają na błąd – mówiłem to, zapominając na moment o sceptycyzmie.

– Zanadto się wszystkim przejmujesz. Za dużo przebywasz z Aniołem. Uważaj, bo to się źle skończy – zbywała mnie jasnowidząca kobieta.

– Uważaj, proszę. Mimo wszystko, Luizo, uważaj – prosiłem skonsternowany jej niepojętym uporem.

*

A gdzie tam! Nie docierało do niej, jakby nic a nic nie słyszała. Miałem pewność, że mnie ignoruje, że to robi widziałem wyraźnie. A ja głupi to pewnie i byłem, ale diabła wyczuwałem od zawsze. Zlizując krew, kiedy zaciałem się nożem, który miał być absolutnie tępy, bo nie ostrzyłem go miesiącami, nie wierzyłem, że przekonam Luizę, że to sprawa na pewno diabelska. Wracając od Izajasa, który mówił o własnej batalii toczonej od Bóg wie jak dawna z siłami namolnych biesów, też nie liczyłem, że Luiza podejdzie ze zrozumieniem do tematu. Opowiadałem Luizie, co mówił Izajasz Anioł, lecz do niej nie docierało, jej *new age* nie przewidywał piekła. Nie przekonałem jej nigdy i na zawsze zachowała swój słynny jasnowidzki spokój. Podziwiałem ten spokój i ufność, ale czułem się niewyraźnie. Czułem w sobie i wokół siebie coś z tego, co wygląda jak tchnienie diabelstwa. O Luizę nie martwiłem się wcale, jednak przecież... przecież ja wiedziałem. I wiedział Izajasz, lecz u Luizy, niestety, Izajasz nie miał autorytetu.

– Co on tam wie? Co ty tam wiesz? On nic nie wie i ty nic nie wiesz – mówiła moja jasnowidząca kobieta, śmiejąca się z moich obaw i prezentująca swój jasnowidzki spokój. – Co ty wiesz, sko-

ro nic nie wiesz? – kpiła sobie, nieświadoma gęstniejącego wokół nas piekła. A mnie nie było do śmiechu i pytałem nawet trochę ponuro:

– A jak się zjawi, to uwierzysz wreszcie?

– Jak się zjawi, to będziemy się martwić.

I zjawił się, zjawiły się stada. Zmyślałem, by była szczęśliwa. Poznałem te wszystkie stwory tak boleśnie, jak nigdy bym nie chciał. Nie wiedziałem, że zmyślając będę przeżywać tak realistycznie wszystko. Nie wiedziałem, że to, co zmyślone, potrafi być takie realne. Na przykład...

*

Na przykład demon pryncypialności, tego znałem całkiem dokładnie, zmyśliłem go od początku do końca, opierając się na pewnych faktach. Zmyśliłem, ponieważ Luiza lubiła mój rodzaj fantazji. Twierdziła, że ją odpręża po trudach jasnowidzenia.

– Wymyślaj – prosiła często.

Więc wymyślałem.

*

Moja jasnowidząca Luiza rzadko bywała pryncypialna, a jeśli już istotnie bywała, to powody musiała mieć po temu znaczne. Do pryncypialności nie pobudzały jej zdarzenia małostkowe, żadne nieposkładane ubranie, żadne na czas niewyniesione śmieci. Po prawdzie, będąc fanatykiem uporządkowanego życia, nie mogłem dostarczyć jej wielu tak małostkowych powodów, a jednak, gdyby naprawdę chciała, jestem pewien, że coś by znalazła. Przede wszystkim chcę jednak powiedzieć, że pryncypialność, jakkolwiek, owszem, bywała udziałem jasnowidzącej, jakkolwiek bywała nawet okrutna i nie do zniesienia, to nigdy z powodu błahostek, tak więc cenilem i chwale tę jej wspaniałomyślną postawę. Po prawdzie był zaledwie jeden, lecz za to fundamentalny powód pryncypialności tej tajemniczej kobiety. Było to najpierw skrywane, a później już wyrażane otwarcie przekonanie o trwałości małżeńskich więzów, które ja, niczym sznurek par-

ciany, z zaślepienymi uczuciami do mnie, cudownymi nowymi wciąż kochankami, jeśli wręcz nie zrywałem, to przynajmniej solidnie nadwyręzałem. Nieusuwalne przekonanie dotyczące trwałości małżeńskiego pożycia oraz wzajemnej wierności jako znaku poszanowania – zupełnie nie nadażałem za takim trybem myślenia i to było pierwotnym powodem szalonej pryncypialności Luizy. Niestety, właśnie w tych momentach, kiedy nie nadażałem za uczuciami Luizy i za jej temperamentem, w momentach, kiedy nie mogłem sprostać stawianym mi wymaganiom i kiedy słabł we mnie zapal małżeński, w tych właśnie gorczych chwilach brał moją żonę w swe szpony, brał i jej serce i ciało najpryncypialniejszy z demonów – arcydemon pryncypialności, mój wróg zaprzysięgły i groźny, jeden z tych, których lubić nie mogłem i może też bałem się nieco. Dramatyczne finały małżeńskich dysput o wszystkim, mordercze końcówki i dogrywki oparte o straszną zasadę jednej „bramki śmierci” miały miejsce, kiedy moja jasnowidząca Luiza, pod wpływem demona pryncypialności – bo kogo? – obmyślała i przygotowywała, a następnie bez skrupułów realizowała wielkie plany niszczycielskiej krucjaty względem moich osobistych przywar.

*

Demon pryncypialności straszne miał moce tajemne, a opętana przez niego żona była jeszcze po dwakroć straszniejsza. Jednak jeszcze straszliwym demonem okazywał się złośliwy, mały demon kobiecy, dobrze znany burzyciel spokoju – arcydemon samopoświęcenia. Oprawca ten miotał niekiedy moją jasnowidzącą kobietą, tak samo jak miotał od rana wszystkimi babami z okolic, wszystkimi sukami grabarza, co nie wezmą i drugiemu nie dadzą, a na koniec jeszcze żywcem pogrzebią, zgodnie z babskim, tradycyjnym obrzędkiem. O ile jednak na suki grabarza demon samopoświęcenia działał czasem dość delikatnie, o tyle na moją Luizę działał, myślę, o wiele za mocno. Zapewne, bo była zdolniejsza i duchy – jak mawiała – lgnęły do jej aury i do jej bicepsów. Duchowych, ma się rozumieć. O ile więc na tę moją, tak bliską mi jasnowidzkę, nawiedzenia te oddziaływały stymulu-

jąco i energetycznie, o tyle na mnie ich wpływy działały zdecydowanie źle, destrukcyjnie, a nawet miażdżąco, tak że po każdym moim zetknięciu z przejawami ich działalności w Luizie demolały mnie wyrzuty sumienia, dręczyło mnie zbydlęcenie. Czułem wtedy wrzący lód w żyłach, czułem szron pod szorstkimi palcami i czarne widziałem słońce, i dotykała mnie ciemność. Nie mogę ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że jedynie te dwa infernalne monstra dręczyły mnie poprzez Luizę, mając przystęp do jej ducha i ciała, a przez to niestety i do mnie, nie mam niezbitych dowodów i mieć ich już pewnie nie będę, ale wystarczy mi pewność poparta intuicjami, że dwa te potwory wystarczą.

*

W tamtych dniach wystarczały zupełnie i gdyby zjawilo się więcej przedstawicieli tej rasy i egzemplarzy gatunku, gdyby zjawiały się częściej i częściej wyprawiały swe harce, to mnie by już pewnie nie było. A jakbym nawet, w co wątpię, był jeszcze i mógł coś uczynić, to pewnie uczyniłbym tyle, że wziąłbym relanium i zasnął. Albo czekałbym na egzorcystę, kontemplując popadanie w obłęd, dla mnie bowiem były to wszystko przeżycia niezwykle i wyczerpujące. Dla mnie były to zdarzenia doniosłe, dla mnie były to sytuacje graniczne, zbyt nadmierne w swojej wyrazistości z zaświatów, bym potrafił wcale o nich nie myśleć. Dla mnie były to zdarzenia trudne, w każdej chwili zagrażał mi niebyt i musiałem być niezwykle skupiony, wystawiając swoją siłę na sprawdzian. Tym większym więc podziwem darzyłem moją szlachetną, jasnowidzącą Luizę, jej nie szkodziły dwa własne, prawie całkiem oswojone demony. A jeśli zaznawala ich więcej, jeśli nie dwa, ale dziesięć albo sto, albo jeszcze więcej, jeśli było tych demonów tyle, to wolałem tego nie wiedzieć, wystarczała mi irracjonalna pewność, że nie może jej spotkać nic złego ani od dwu, ani od stu demonów. Pięknie radziła sobie moja jasnowidząca kobieta z nawiedzającą ją często złą zaświatową sforą, finezyjnie unikała pułapek, w które wpadło tylu egzorcystów. Jej metoda była ogromnie skuteczna, ta jej metoda, ażeby nie wyganiać, lecz pozwolić na moment diabelstwu wniknąć w ciało,

serce i umysł. I diabelstwo wnikało na moment, zdziwione lub wręcz zszokowane, aż na koniec poruszone faktem, że Luiza nie próbuje nic zrobić, umykało ze skowytami diabelskimi, po czym wracało, ale jakby skruszone. Podziwiałem tę skuteczną metodę i nie miałem w sobie dosyć odwagi, by z jej pięknej prostoty skorzystać. Stąd też moje demoniczne przygody miały zawsze nieco inny wydźwięk.

*

Mnie – szedłem dalej w zmyślaniu dla mojej Luizy – dopadały i brały w posiadanie demony innej natury i proveniencji, nie tak drapieżne, nie tak demoniczne nawet, lecz plugawe i pospolite, i w rzeczywistości – trywialne. Może chodziło zresztą o jednego demona, może o dwa, a może było ich jeszcze więcej. Nie umiałem nigdy tego ustalić, pozostało to na zawsze zagadką. Mnie uskrzydlały straszdyła słynące z pospolitości. Nie znałem ich nazw ani imion, nie znałem ich stopni w hierarchii, na pewno nie były to diabły wybitne i powszechnie znane. Nie sądzę, żeby którykolwiek z demonów, jakie miałem nieprzyjemność poznawać, okazał się dość dobry w swoim fachu piekielnym. Raczej marni to byli bluźniercy, kreatury dość nijakie i miałki. Najczęściej właśnie brał mnie w posiadanie demon trywialności, chyba najgłupszy ze wszystkich. I gdy tak patrzę wstecz, widzę, że właśnie pod jego wpływem głupiałem zdecydowanie najczęściej i zupełnie okazywałem się miałki. Trywialne dopadały mnie myśli. Zamieniałem je w zdania trywialne. Najtrywialniejszy z demonów kazał mi dokonywać tych wszystkich pospolitości i głupot. Za jego to poduszczeniem najwyraźniej upadłem duszę, za jego namową czytałem najkoszmarniej nikczemne książki i przez niego to przepędziłem wiele godzin przed telewizorem, patrząc na polityków, słaby futbol albo kiepskie porno. Kiedy wydawałem pieniądze, wcześniej z jasnowidzącą przeznaczony na cele szlachetne, na przykład nową zastawę albo żelazko czy mikser, to demon trywialności igrał moją lewą ręką, sięgającą w chytrości po portfel. Kiedy budziłem się w obcym mieszkaniu z bezimienną kobietą u boku, a w mojej głowie nie było ani jednej

nieplugawej myśli, to demon trywialności śmiał się i natrzasał z mojego upadku, zarykując się czarnym, bezwzględny i jadowitym chichotem. To jemu zawdzięczam swoje wszechstronne klęski, ciągi bluźnierczych, pokątnych uniesień, natrętą pamięć zaznanych poniżeń. To jemu zawdzięczam w moim życiu serię zaślepionych kochanek. Zaślepionych, faktycznie, cudownie, jednak nie dość całkowicie i trwale. Nikt inny nie sprawiłby tego tak łatwo i tak mimowolnie, żaden człowiek nie miałby takiej mocy. Dziś rozpoznaję dopiero, jak fatalną i jak bezwzględnie opętającą władzę kierował mną w chwilach upadku ten podlec, ten duszobiorca.

– Każdy człowiek – pouczała mnie jasnowidząca – każda dusza w ludzkim ciele ukryta ma nad sobą i podlega zupełnie sile wyższej z duchowego świata.

– Jaka dusza, Luiza? – drażniłem dla żartów. – O czym ty mówisz?

– Większość z nas nie ma o tym pojęcia – kontynuowała niezrażona moim sceptycyzmem. – Dla większości jest to wymysł i bujda, ale większość nie dopuszcza do siebie niewidzialnej rzeczywistej istoty, nie zna świata w rzeczywistej postaci. Istnieją wielcy wrogowie...

– Jacy znowu wrogowie? – próbowałem dowiedzieć się czegoś o ewentualnych kłopotach.

– Nasi najwięksi wrogowie – żywo gestykulowała i unosiła się jasnowidząca – nasi najwięksi prześladowcy: podejrzliwość, strach i zwątpienie, wszystko krwawe i cyniczne potwory, lęgające się w naszych umysłach, uniemożliwiają nam zwykłe poznanie ścieżek innych niż dopuszcza rozum. Dlatego właśnie – doprowadzała myśl swoją jasnowidząca i złotousta kobieta do konkluzji – dlatego właśnie trzeba słuchać głosu, trzeba zdać się na mądrość z tych głębi, w których mądrość jest głębsza i większa. Już lama Ole, już Sokrates...

*

Kiedy brała się moja jasnowidząca za swoich lamów, za Sokratesa i za Daimoniona, wiedziałem, że za moment wspomni, że mnie też przydałby się duchowy przewodnik. Izajasza Anioła, z powodu jego katolicyzmu i ortodoksji, nie traktowała poważ-

nie. Mimo tego, co jej o Izajaszu mówiłem, mimo tego, że mnie uratował. Chciała dla mnie innego guru. Buddystę, sufiego, druida albo inny egzotyczny model. Ignorowałem to jednak, starałem się temat omijać. Ignorowałem jej rady co do mistrzów i przewodników duchowych. Izajasza szanowałem za to, że był sobą, a nie, że był świętym. Jemu też wymykałem się przecież, jego rady ignorowałem tak samo.

Wytrwale i z powodzeniem ignorowałem i tę dobrą radę, jeszcze jedną i podobnie zbyt dobrą, co i inne, mimo uszu wcześniej przeze mnie puszczonych. Najzupełniej spokojnie, bez nerwów wysłuchiwałem tych historii o wewnętrznych głosach, nie myślałem albo za rzadko myślałem o szaleństwie i o schizofrenii w postaci klinicznej, miałem jednak dość instynktu prostaczka, by nie wspominać o chorobach dyskretnych. Zresztą żaden z najstraszliwszych wrogów, ani wróg strach, ani wróg zwątpienie, ani też wróg podejrzliwość, nie miały do mnie przystępu, a w każdym razie nie miały przystępu za często. Żaden z tych wrogów ludzkości nie wziął mnie nigdy całkiem, bo przegrywały sromotnie z demonami trywialnymi z trywialnych. Tamte były mi chyba pisane, ja dla tamtych byłem jakby stworzony specjalnie. Dla tamtych... Albo dla tamtego... Do dziś nie znam dokładnej ich liczby.

*

Niepełny, ubogi oraz zakłamany byłby portret mojej jasnowidzącej kobiety, kreślony moją niezdarną ręką z tak jawnie widocznym mozołem, gdybym choć słowem nie wspomniał o demonicznym rysie związku, o popadnięciu w erotyczny obłęd i złowroźną, czarną magię ciała. Uznacie, że oszalałem, a jednak wam to opowiem. Przedstawię całą historię tak, jak się wydarzyła. Tak było.

*

Obłęd i magia ciała, najpierw jasna, później ciemna, wzięły nas w posiadanie niebawem po pierwszych ekscesach. Wzięły

nas w swoje kleszcze i odtąd zaczęły się dla nas mroczne praktyki erosa, i odtąd zaczęły się straszne, łózkowe i inne sabaty. A myśmy się nie spostrzegli. I dalej nas to tak bawiło, że nie wyczuliśmy grozy. Zajmowały nas wszelkie perwersje i szalone wyuzdane rozkosze. Z wytrwałością neofitów brnęliśmy w głąb tych szaleństw, które można popełniać we dwoje. Może nie pobiliśmy wszystkich możliwych rekordów, w perwersji i wyuzdaniu nie sięgnęliśmy po wszystko, daleko nam w końcu było do pionierów tak zacnych jak markiz, którego pisma znosiłem z antykwariatów i księgarń. Ale i nas nie minęły momenty totalnych zamroczeń, momenty utraty rozumu, gdy wspólnie drżeliśmy w ekstazie, łudząc się, że jest trwała i zawsze już dla nas dostępna. Z wielkim doprawdy potężnym samozaparciem i ciała, i ducha, z udziałem i świadomości własnej, i nieświadomości zbiorowej, z prostotą hinduskich fakirów i chrześcijańskich ascetów zanurzaliśmy się w piekle szaleństwa wśród akcesoriów rozputy. Zaczęło się od bielizny, to zawsze i nieodmiennie zaczyna się od bielizny, to wie dokładnie każda, choćby zupełnie zblazowana para. Zaczęło się do bielizny fikuśnej i prowokacyjnej, choć równie uczciwie mogło zacząć się od wideo i długich seansów hard porno z małowównymi gwiazdami. My zaczęliśmy od majtek czarnych i koronkowych i szybko przeszliśmy do stringów, pejczyków, kajdanek, a także, to ja wymyśliłem, do gładkich ubranek z lateksu, o których włożenie prosiłem wynudzony już komunijną bielą kreacji jasnowidzącej, wynudzony ponad wszelką miarę.

ROZDZIAŁ V

Bezradni w obliczu grozy i piękna...

Jesteśmy bezradni wobec grozy i jesteśmy tak samo bezradni wobec piękna, które spotkane przypadkiem często niszczy z równą precyzją i zawziętością, co przerażenie doświadczane bezwiednie, ale systematycznie. Ten walor piękna, ten aspekt jego zdradliwej, bo rozdwojonej natury, ten jego charakter, co dopowiadam, żeby dodać pięknu cech istoty żywej, jest wyzwaniem, któremu człowiek jedynie z rzadka może tak bez przygotowania sprostać. Zazwyczaj człowiek nie daje rady, człowiek sam nie daje rady i ludzie nie dają rady i ja także nie daję rady, jestem tak samo słaby jak inni. I piękno z precyzją i zawziętością pustoszy mój obraz świata, rozsadza go, nie pozwala scalić, i wcale nie daje poczucia spełnienia i bezpieczeństwa, nie tworzy ułatwionego i serwującego ułatwienia świata, a wręcz przeciwnie. Takie piękno bezwzględnie i nagle objawione, bez skrupułów panoszące się w świecie, jest bliskie i dalekie zarazem, lecz przede wszystkim jest niszczące, a wręcz pustoszące to, co do tej pory było światem, czyli obrazem świata. A jest to jedynie obraz widziany przez pryzmat smutku i melancholii, kiedy traci się dobry humor, zyskując poczucie zamknięcia i uwięzienia. To, co dzieje się między jednym a drugim, między uczuciem tracenia dobrego humoru, a uczuciem zamknięcia na zawsze w nieskończonym obiegu smutku i melancholii, to dla niektórych najmniej ważna część życia, ale dla wszystkich trwająca zdecydo-

wanie najdłużej. Czasami to rok, czasem kilka bądź kilkadziesiąt lat, naprawdę nie to jest ważne, lecz nieuchronność procesu, prowadzącego i doprowadzającego do unicestwienia, zawsze i jedynie do całkowitego i niepowstrzymanego unicestwienia. Później można jedynie powiedzieć: tego dnia czułem się unicestwiony, metodycznie, z rozmysłem i całkowicie. Tego dnia nie było nikogo zdolnego wyrwać mnie z tego stanu, stąd uczucie stałego, metodycznego i całkowitego unicestwienia. Taka jest siła pustoszącego piękna, a także smutku i melancholii. Tego smutku i tej melancholii, które kazały mi spisać tę legendę o potężnym Izajaszu Aniele, jego straszliwym wpięklówstąpieniu w obłęd, a także kawałek własnej biografii duchowej i intelektualnej. Kawałek o aureoli nad głową Izajasza Anioła, po trosze Ezechiela, po trosze niezwykłego Hioba.

*

Izajasz Anioł był nie tylko znawcą Pisma i jego wyjątkowym egzegetą, nie tylko natchnionym i płomiennym mówcą, mogącym bez problemu konkurować i zwyciężyć w każdym turnieju oratorskim imienia starotestamentowych proroków i patriarchów każdego wyznania. Był przede wszystkim malarzem, rzeźbiarzem oraz poetą-mistykiem czystej wody, a jego dzieła z wymienionych dziedzin w każdej chwili mogły zostać zaprezentowane jako najblęskotliwsze dokonania jego czasów. Wielu uznawało talent Izajasza Anioła, wielu przyznawało mu palmę pierwszeństwa i stawiało za niedościgły wzór, Izajasz Anioł wyprzedzał epokę i epoka nie miała szans, by go dogonić. Nie było to zresztą dla niego zaskoczeniem ani tajemnicą, więc przyjmował ten fakt obiektywny ze spokojem iście patriarchalnym. Jego sztuka dorównująca i przewyższająca najlepszą współczesną sztukę, jego poezja sięgająca wyżyn najczystszej poezji, wreszcie zaś jego mistycyzm w żaden sposób nieporównywalny z niczym, stanowiły o jego wielkości, której nikomu nie narzucał, a jedynie czasem, w wyjątkowych okolicznościach delikatnie dawał odczuć wybrańcom. Typowe *tremendum religiosus* ogarniało wybrańców, którym Izajasz Anioł postanowił po swojemu dopomóc. A dopoma-

gał najczęściej w zrozumieniu faktu, że szatan, który rządzi światem, jest słabszy niż Bóg chrześcijaństwa.

*

Byłem świadkiem, jak kiedyś Izajasz dopadł na naszym osiedlu pewnego nieboraka, mężczyznę już niemłodego, być może ojca dzieciom, niewadzącego nikomu. Człowiek ten miał tego pecha, że przeklął przy Izajaszu wszystko. I nawet nie jestem pewien, czy nie uczynił tego niebezpiecznie.

– A niech to wszystko szlag trafi! Do diabła! – zaklął ów około trzydziestoletni mężczyzna, gdy obok przechodził Izajasz, wychulony na wszelkie bluźnierstwa. Zaczęły się zaraz homilie, kazania i regularne wykłady. Izajasz szedł obok mężczyzny i przemawiał do niego łagodnie, ja szedłem obok i jedynie słuchałem, czekając, co będzie, jak rozstrzygnie się to spotkanie.

– Jest napisane, a podyktował to Pan – zaczął Izajasz Anioł cicho i powoli, jednak widziałem że rozkręci się zaraz – „Biada światu z powodu zgorszeń! Muszą wprawdzie przyjść zgorszenia, lecz biada człowiekowi, przez którego dokonuje się zgorszenie.” Mateusz osiemnaście i sześć! Nie chcesz się chyba człowieku znaleźć w piekielnej otchłani?

Mężczyzna popatrzył na nas, a zwłaszcza na Izajasza, popatrzył na pustą uliczkę i nie próbował uciekać.

– Czego pan chce? – spytał ostro, widząc, że to nie agresorzy, lecz kudłaty szaleniec i jego młodszy kolega. – Spieszę się. Do widzenia.

– Nie tak prędko, nie tak szybko, kochany – Izajasz Anioł już trzymał mężczyznę pod ramię. – Musisz posłuchać o diable, bo chyba nie wiesz nic na jego temat. A mówisz, jakbyście się znali. Ładnie to tak?

Mężczyzna próbował uciekać, Izajasz trzymał go jednak mocno swoimi wielkimi jak łopaty rękami.

– A do którego diabła – zaczął Izajasz i natychmiast spochmurniał – zwracasz się młody człowieku? Do Baala, Beliala czy Azazela? A może – Izajasz spojrzał na struchlałego przechodnia – a może wolisz któregoś z pomniejszych? Nuberusa, Asmodeusza, Yperosa? Mastema?

– Kogo?

– Nie zna pan? Imię Mastema jest hebrajskim słowem oznaczającym „wrogość”, „obrzydliwości” – Izajasz pełnił swoją pedagogiczną misję pełen wiary w jej niezaprzeczalny sens. – Jest Mastema, wielki demon Mastema – Izajasz szarpnął mężczyzną rozkładając ręce, by pokazać, jak wielki jest demon Mastema – aniołem-oskarżycielem, kusicielem i katem, który zorganizował zamach na życie Mojżesza. To Mastema sprawiał, że serce faraona stało się zatwardziałe i to Mastema pomagał egipskim wróżbitom przeciwko Izraelowi. Tak było – Izajasz spojrzał groźnie na mężczyznę, który pod ciężarem tego spojrzenia stracił jakieś dziesięć centymetrów wzrostu. – Mastema też zabijał pierworodnych w Egipcie i uchodzi za jednego z pierwszych, którzy zbuntowali się przeciwko Bogu. To jego miał pan na myśli? – zapytał już spokojniej, jakby pewien, że nie pouczał na darmo.

*

– Panie, daj pan spokój! Spieszę się – mężczyzna wywijał się bezskutecznie.

A ja nie wiem już dzisiaj, czy ktokolwiek poza mną to dostrzegł, ale powietrze wyraźnie pociemniało, powietrze zrobiło się ciężkie, jak gdyby jego cząsteczki zbierające się wokół naszej trójki zgęstniały tak, że prawie stworzyły mgłę. Ale nie była to ta piękna, zjawiająca się czasem o świcie i wypełniona spokojem mgła. Była to mgła aż zwęglona, szerniała i drapiąca w gardle, mgła nieprzyjemnie naelektryzowana i w gruncie rzeczy, pomyślałem, okrutna.

– Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy – zna pan to? – Izajasz nic sobie z mgły nie robił, może nawet przeoczył ją całkiem. – Zresztą panu to chyba jest na rękę, co? Może jednak któregoś pan wybierze? Proszę pomyśleć – mój przyjaciel okazywał jadowitą uprzejmość i nie luzował chwytu, którym unieruchomił przedramię przechodnia. – Już wiem! – wrzasnął nagle w niezrozumiałej dla nikogo oprócz niego samej euforii, aż obejrzeni się spacerowicze z drugiej strony ulicy. – Już wiem! Pana interesuje Satanel, zło zła, które łączy w sobie chciwość Mammona, pychę Lucyfera, lubieżność Asmodeusza, zazdrość

Lewiatana, żarłoczność Belzebuba i lenistwo ociężałego Belfegora. Prawda? Oto jest demon, którego pan chce spotkać, teraz widzę to w panu wyraźnie.

– Zawołam policję! – mężczyzna zdradzał już takie przerażenie, że pomieszczenie zmysłów zdawało się w jego przypadku nieuniknione, ale okazywał też zdecydowaną wściekłość.

– No to jak? – zapytał poważnie Izajasz, niezrażony agresywnością przechodnia. – Woła pan diabła czy policję?

Mężczyzna szarpnął się ruchem węzowym i zostawiwszy w dłoni Izajasza Anioła strzęp welwetowej marynarki w kratę, pobiegł w kierunku przystanku i wskoczył w nadjeżdżający autobus. Przez moment widziałem jeszcze mimo mgły rzędniejącej powoli, jak żwawo gestykulował, objaśniając coś współpasażerom, stukał palcami w szybę, wskazywał na Izajasza Anioła i na mnie, a potem – tak jest, tak to było – zaczął kręcić na czole kółka. Chaotycznie i niedokładnie, ale na pewno – kółka. Odwróciłem się zawstydzony. Mgła rozwiała się szybko i cała zła elektryczność wyraźnie uszła z powietrza. Rzeczywistość, ulica i niebo rozjaśniły się do naturalnych kolorów, szarość tynków i zieleń trawników powróciły jak gdyby nigdy nic. Ale mnie, chyba wciąż pod wrażeniem zajścia, ta widzialna, taka zdawałoby się normalna, naturalna i łagodna przezroczystość i oczywistość całego osiedlowego świata nagle wydała się nieprzyzwoicie naga, nieoczywista i wcale nie taka łagodna. Stałem więc wystraszony i nie odzywałem się wcale.

Tymczasem Izajasz Anioł patrzył za autobusem i mruzczył pod nosem modlitwę za duszę nieszczęsnego mężczyzny. Widziałem, jak jego wargi układały się w delikatne słowa, jak formowały sylaby, jak cały Izajasz Anioł uczestniczył w tej chwili. Izajaszowi zależało naprawdę.

*

Nauki, jakie w domu Izajasza Anioła pobierałem od dwunastego roku życia sam, a kilkanaście lat później – dość krótko, bo szybko uciekła – z moją niechętną im jasnovidzącą Luizą w okresie naszego tajnego i nieoficjalnego narzeczeństwa, a także przez

pewien czas później, nauki te głęboko przeorały moją świadomość, a i na jasnowidzącej Luizie pozostawiły tak zwane – z braku precyzyjniejszej nazwy – ślady, pozostawiły tak zwane niezacieralne i nie do zmazania piętno. Luiza się buntowała, buntował się cały jej buddyzm, buntował się jej feminizm, buntowała się jej filozofia oparta na ekofeministycznych mądrościach, jej charakter podpowiadał jej sprzeciw, jej ucieczka była kwestią czasu. Jednak ja naciskałem stanowczo, zależało mi, by ich ze sobą poznać, choć nie wiedziałem, jakie mogą być skutki zetknięcia dwóch tak podobnych w gruncie rzeczy natur. Z początku zachęcałem Luizę, opowiadając jej, jak to się stało, jak doszło do mojego spotkania z pompatycznym Izajaszem Aniołem. Później zrezygnowałem, lecz jeszcze później – wiedziała już wszystko.

*

– Nie raz i nie dwa razy usiłowałem przypomnieć sobie – opowiadałem Luizie o początku tej znajomości – jak doszło do mojego pierwszego spotkania z osobą, a raczej osobowością Izajasza Anioła, występującego zawsze – jak twierdził – w otoczeniu niewidzialnych, lecz doskonale wyczuwalnych aniołów stróżów i innych, krążących wokół jego atletycznej postaci. „Mój anioł stróż czasami przysypia – mówił Izajasz Anioł – ale nawet jak śpi, to jest blisko. Nawet jak śpi, to krąży wokół mnie inny anioł niebiański”. I śmiał się głębokim, niecodziennym śmiechem, takim śmiechem, którego ludzie nie potrafią zrozumieć i poznać.

– Nie raz i nie dwa razy – opowiadałem Luizie – usiłowałem przypomnieć to sobie i wychodziło mi zawsze, że Izajasza Anioła spotkałem po raz pierwszy w drodze ze ślubu jednego z moich szkolnych nauczycieli, kiedy to w tramwaju linii trzydzieści trzy albo trzydzieści sześć rozgorzał między mną a koleżankami spór o tak zwane prawo do aborcji. Jakbyśmy, mając po te swoje dwanaście lat, mieli pojęcie, co to naprawdę jest. Izajasz Anioł, którego trudno było nie zauważyć, wtrącił się wtedy i od razu zdominował dyskusję, zamieniając ją w monolog, kazanie i wykład. Była to jego normalna taktyka i potem doświadczałem jej często, tamtego jednak dnia uległem pierwszej, głębokiej i trwałej –

bo starczyło na kilkanaście lat – fascynacji. A na sposób mówienia Anioła zwróciłem uwagę, ponieważ był on retorycznie i eurytycznie mistrzowski, stylistycznie bezbłędny i miażdżący pod względem precyzji logicznej, w której Izajasz Anioł celował. Nie pamiętam jego argumentów, pamiętam jedynie, że w aborcji widział narzędzie diabła, niszczącego i zabijającego. Pamiętam także, że kiedy wysiadł w deszczu na swoim przystanku, gdzie i ja także wysiadałem, zdjął sandały, wziął je w prawą rękę, lewą chwycił mocno dłoń swojego kilkuletniego syna i poczłapał niebawale dostojnie asfaltową dróżką, robiąc piorunujące wrażenie: chłopisko na dwa metry, prowadzące za rękę malca. Przedtem jednak dał mnie i innym swój adres, zapraszając na dokończenie dyskusji przy herbacie i konfiturach. Jak okazało się później, wyłącznie ja skorzystałem z zaproszenia.

*

Do tego momentu Luiza nie odezwała się słowem, widziałem jednak, że hasło „rozmowa o aborcji” wprawilo ją w lekki dygot i byłem pewien, że zaraz usłyszę jej zdanie na ten kontrowersyjny temat.

– Mówisz, że Izajasz wtrącił się wam do rozmowy – zaczęła niby łagodnie, z ledwie tajoną złością. – Izajasz w sprawach aborcji miażdżący i precyzyjny! A cóż Izajasz wie o aborcji?! Co znaczy dla niego aborcja?

– Aborcja to zabijanie nienarodzonych dzieci – było mi głupio, że muszę mówić za Izajasza. – Aborcja, no... to aborcja... Zabijanie dzieci... Wiesz, nie pamiętam już dobrze, to było kilkanaście lat temu, więc nie powtórzę ci dokładnie jego słów...

– Aborcja – wrzasnęła Luiza – to nie jest zabijanie dzieci! Zygota nie jest człowiekiem! Kobieta ma naturalne prawo decydowania o sobie! Kobieta nie jest maszynką do rodzenia dzieci! Kobieta ma prawo żyć godnie i tak, jak ma na to ochotę. Mężczyźni ciągle są ślepi, a już ty i ten twój Izajasz... Czy ten człowiek odróżnia pigułkę „dzień po” od pigułki wczesnoporonnej? Czy wie, jak wygląda życie zgwałconej i mającej urodzić kobiety?

– Wiem, ja to wiem, i Izajasz Anioł to wie – przerwałem gwałtowny potok słów pomieszanych ze złością. – Ale wtedy właśnie bronił prawa do godnego życia. Mówił, że tak być nie może, by rządzący jeździli bmw, lanciami i peugotami, a gdzieś tam biedna dziewczyna będzie dłubać sobie w kroczu szydełkiem, bo, tak powiedział, rząd nie ma dla takiej pieniędzy.

– To znowu brednie! Znowu fantastyczne teorie! Co ma do tego rząd? Co mają do tego pieniądze?

– Mają, Luiza, mają. Izajasz twierdzi, że mają. Że kłamstwo szerzone jest po to, by ludzi ogłupiać, okradać. Że wmawia się ludziom biedę, po to, by nakraść dla siebie. Dlaczego, mówił Izajasz, dlaczego te urzędasy, które bez końca płaczą, że nie ma pieniędzy, dlaczego dostają pensje, na które nie zapracowali? Dlaczego wciąż kradną, mataczą i nie trafiają za kraty? Izajasz – postanowiłem bronić honoru mojego jurodiwego – urąga światu, tak jest! Lecz nie urąga bez sensu! Przecież nawet z aborcją...

– O aborcji nie może nic wiedzieć Izajasz ani żaden mężczyzna.

– Dlaczego? Skąd taka pewność?

– Bo nigdy nie rodził! I nigdy nie będzie rodził! I nigdy nie będzie wiedział, co to naprawdę znaczy: urodzić i wychować dziecko! I dlatego, że nie wie, protestuje przeciwko klinikom, przeciwko Langenortowi, przeciwko uświadomieniu kobietom, kim są i co mogą. Rozumiesz?

Nie rozumiałem. Lub rozumiałem nie całkiem. Nie całkiem i nie do końca. Nie dobrze i nie zupełnie. Luiza mówiła niegłupio w tej sprawie i w wielu innych, ale Izajasz także miał zawsze sto argumentów.

– Naprawdę? – zacząłem po swojemu. – Wiesz co, Luiza, daj spokój. Ja nie mam do tego głowy. Ja nigdy nie zgodziłbym się, by przeze mnie jakieś dziecko cierpiało. Ale co zrobi kobieta, gdy zmusi ją życie do tego, to jest już jej prywatna sprawa. I wiem, że to mój minimalizm.

– Jaki minimalizm? – teraz ona nie zrozumiała.

– Mój minimalizm etyczny.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie chcę się wtrącać w sprawy, które mnie przerażają. Idź, pokłoń się z Izajaszem, spędzicie uroczy wieczór.

– A ty co?

– Ja? Zrobię coś do jedzenia. Odpocznę. Przeżyję kilka spokojnych chwil, stracę je bezpowrotnie i będę patrzył, jak mija czas. Będę patrzył, jak wszystko mi się ulatnia. Nie mam żadnych innych planów. Te są najpoważniejsze.

Luiza spojrzała na mnie, jak gdyby próbowała poznać, czy to, co jej powiedziałem, jest szyderstwem. O propozycji spotkania z Izajaszem chyba nie pomyślała. Nie miała ochoty spotykać się z Izajaszem, wołała uniknąć zetknięcia z jego gwałtowną osobą. Byli zanadto podobni i w sporze nikt by nie wygrał.

– Dobrze – westchnęła Luiza. – To zrób może coś do jedzenia. Ja muszę jeszcze przygotować się na spotkanie z Mariolą, która ma drobne kłopoty i prosiła, żebym jej pomogła.

– W porządku, coś przygotowuję – powiedziałem. – Ty rób swoje.

*

Okoliczności, w jakich doszło do pierwszego zetknięcia mojej nastoletniej osoby z około trzydziestoletnią osobą Izajasha Anioła – myślałem krzątając się po kuchni, wydając przyprawy i szykując dla mojej jasnowidzącej kobiety pełnokaloryczny, wegetariański posiłek – po dziś dzień budzą moje zdumienie, bo właściwie spotkać się nie powinniśmy. Było to przecież w czasach, kiedy nie miałem jeszcze świadomości, w czasach, kiedy żyłem na sposób czysto zwierzęcy, z rzadka myśląc, słabo czując, jakbym lewitował w półśnie. Miałem dwanaście lat, do świadomego i dojrzałego życia budziłem się nader ospale, właściwie nie budziłem się nawet cały, jedynie hormony budziły się we mnie i zaczynały swój obłąkańczy taniec, który miał moje życie zmienić, tak jak zmienia życie każdego. Hormony budziły się we mnie, poruszały lekko moim ciałem, cała reszta – duch, dusza, rozum – istniały jak gdyby słabiej, jakby ich jeszcze nie było. A jednak – podobno – istniały i Izajasz zobaczył je we mnie. Izajasz Anioł ujrzał też we mnie hormony i postanowił mnie zmienić. A ponieważ tak postanowił, zrobił to. Zmienił mnie na czas jakiś, tchnął we mnie życie i nadzieję, a także – na krótko, na lat może dwa, może pięć – dał mi poczucie istnienia w świecie celowym i sensownym. Być może świat, jak głosili filozofowie, został bezpow-

rotnie wypuszczony z ręki jedyne Boga, ale z ręki Izajasza Anioła żaden świat wypuszczony nie został. I żyłem w owym świecie trzymanym jego ręką, spędzając długie godziny na czytaniu podsuniętych mi przez Izajasza Anioła wierszy, oglądając albumy malarskie z Luwru, Prado, Uffizi, a także słuchając najlepszej dostępnej muzyki klasycznej i nowoczesnej. Być może – myślałem dalej – nikomu nic nie zawdzięczam, jestem typowym prostaczkiem, tak zwanym self-made-manem, jednak jemu, Izajaszowi zawdzięczam to, co niepolicone, o czym nie można powiedzieć, że mane, że tekel, że fares. Być może nikomu nic nie jestem winien, a jedynie Izajaszowi, bo bez niego świat uleciałby z ręki Boga jeszcze dalej, w jeszcze głębsze czeluście, a ja wolałbym wtedy też ulecieć z takiego świata. Przy Izajaszu to było niewykonalne. Przy Izajaszu nawet tak nie myślałem.

*

Izajasz mówił, a właściwie pouczał:

– Kluczowym problemem tego czasu i twoim kluczowym problemem jest problem *acedii*, a więc lenistwa i zniechęcenia, a więc – już płonął od wewnątrz, już stawał się samym głosem niosącym śmierć wszystkim grzechom i nosicielom grzechu – tak zwanej dzisiaj depresji, najpopularniejszej choroby, choroby woli i myśli dotkniętych pazurem szatana.

– Ale ja – próbowałem zaprotestować – wcale nie jestem leniwy. Ani zniechęcony – gdyby Izajasz wiedział, jak uwijałem się zwinnie, wtedy jeszcze nie przy kobietach, ale w nauce i z kolegami, jak wiele miałem energii i radości.

– To nieistotne, że ty teraz nie jesteś leniwy – Izajasz nie słuchał w ogóle, wskazywał mnie swoim palcem i nie przestawał mówić. – Grzech zamieszkuje każdego, trwa w każdym jak inne prawo. Pamiętasz *Pismo Święte*? – rzecz jasna nie pamiętałem. – „W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne – recytował mi Izajasz Anioł – które toczy walkę z prawem mojego umysłu i podbija mnie w niewolę pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach. Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała co wiedzie ku tej śmierci.” Święty Paweł! Do Rzymian! A święty Grzegorz Wielki...

– Co święty Grzegorz Wielki? – tego też oczywiście nie znałem.

– W *Moraliach* podaje siedem motywów zła w postaci siedmiu wad głównych. I jest wśród nich lenistwo!

– Ale ja... – jeszcze raz zaprotestowałem, chociaż było to niebezpieczne: protestować, kiedy Izajasz Anioł brał się za apostołstwo i misję.

– Ty? Ty? Ty nie masz tu nic do tego! Już ci to przecież mówiłem! Ty jesteś taki, jak wszyscy, a wszyscy nurzają się w grzechu! – obrócił to słowo w ustach i jeszcze głośniej powtórzył:

– Nurzają się! I lenistwo, także według Ewagriusza z Pontu, jest jednym z demonów kuszenia. Obok obżarstwa, próżności, pychy, nieczystości, chciwości i gniewu! *Acedia!* – Izajasz Anioł kiwał się na trzeszczącym krześle, odchyłał do tyłu i palcem groził niewidzialnemu wrogowi – lenistwo jest najgroźniejsze i trzeba z nim walczyć bez końca! Cała *saligia* jest groźna, ale lenistwo najbardziej! Lenistwo i melancholia! – ryknął tak, że wystraszył ptaki, które obsiadły balustradę na jego przyozdobionym kamiennymi rzeźbami balkonie. – Lenistwo i melancholia – wyszeptał nagle głosem słabszym i straszliwie napiętym.

– Ale... – może chciałem wydukać pytanie, a może prośbę, by już tak nie ryczał, nie szeptał, ale Izajasz nie skończył:

– Pamiętaj słowa Zacchiasa – nie wiem, jak Izajasz wyobrażał sobie, że ja to zapamiętam. – Ten prywatny lekarz papieża Innocentego X napisał, że cieszy się diabeł z melancholii! Pamiętaj! – Izajasz Anioł wierzył niewzruszenie, że jego rozkaz zostanie wykonany. – I słowa świętej Teresy, która wiedziała! – jego głos huczał i choć w całym mieszkaniu nie było miejsca na echo, coś jakby echo szło i dudniło, odbijając się od kantów i sprzętów, wybuchając przede wszystkim w moich uszach. – Teresy, która wiedziała – powtórzył już nieco ciszej, dostrzegając moje błagalne spojrzenia – że u niektórych ludzi nad melancholią panuje diabeł i przyciąga tych ludzi do siebie. Diabeł i melancholia! *Saligia!* Lenistwo! A ty szczególnie uważaj – zwrócił się do mnie raz jeszcze tak osobiście, że pragnąłem zapaść się z miejsca pod ziemię. – Ty powtarzaj sobie codziennie słowa Anioła Ślązaka „Dwóch jest we mnie ludzi: jeden z Bogiem dąży, drugi w świecie z diabłem i ze śmiercią krąży”. Zapamiętałeś? –

przebił mnie wzrokiem jak włócznią. – To powtórz! – Powtórzyłem i dopiero wtedy odetchnął.

I później, jeszcze długo po wyjściu od Izajasza grzmiały mi w uszach te słowa, wznosiły się i rozpadały na tysiące kawałków, a w każdym było to samo: lenistwo, melancholia, *saligia*. I dwuwers mistyka ze Śląska, o którym tego dnia usłyszałem po raz pierwszy od Izajasza Anioła, bo właśnie czytał go w oryginale.

*

To także od Izajasza Anioła dowiedziałem się o saligii, słynnym skrócie Henryka z Ostii, który niegdyś nazwał tak wszystkie siedem grzechów głównych, tworząc akrostych brzmiący jak rzadkie kobiece imię. Słowo to było zresztą ładujące tak doskonale, że nawet jasnowidząca Luiza, gdy pierwszy raz je wspomniałem, spytała nieufnie:

– *Saligia?* A co to za dziwka?

Wy tłumaczyłem jej wszystko, co wiedziałem od Izajasza Anioła, na co miałem w rewanżu od niej niesłychanie pouczający wykładzik o wyższości subtelnej *Tao te king* nad banalnym dziesięciorgiem przykazań i głębokiej *Księgi Południowego Kwiatu* nad do szpiku szowinistycznie męskimi *Dziejami Apostolskimi*.

– Lao Tsy i Czuang Tsy stawiali na spontaniczność – przekonywała mnie jasnowidząca, natchniona, kiedy tylko przychodziło do mądrości wschodnich i niezrozumiałych dla mnie. – Spontaniczność to radość i piękno! – Luiza uniosła dłonie i pokazała do góry, jak gdyby pod naszym sufitem lewitowały bliźniaki w pieluchach. – Zobacz dzieci, jakie są spontaniczne, radosne! Niewinne, bezgrzeszne, szczęśliwe! I co z nimi robi ten Kościół! Jak je wypacza! – Luiza opuściła ręce, wzruszyła się i rozgniewała na serio, ale też otrząsnęła się szybko i mówiła dalej:

– Fundamentem spontaniczności jest odrzucenie poczucia grzechu. Ci chrześcijanie wszystko pomiesza. A judaizm to piękna religia, ale...

– A Jezus? – przerwałem Luizie znowu, zaskoczony rozwojem sytuacji. – Jezus też mówił o dzieciach. Żeby im pozwolono, by przychodziły do niego. Mówił również, że i my powinniśmy stać się jak małe dzieci.

Niestety, Luiza nabrała ochoty do sporu i ostro, zdecydowanie zaczęła:

– Jezus był wielkim magiem i próbował to wszystko odkręcić. Próbował przywrócić harmonię pomiędzy człowiekiem i światem, lecz głupcy go ukrzyżowali, a teraz Watykan wypacza całą jego naukę. I jeszcze każe sobie za to słono płacić! Czy ty wiesz, ile Kościół w Polsce zbiera co roku od ludzi?

– No ile?

– Półtora miliarda złotych! Słyszysz! Półtora miliarda! I płacę ja i ty płacisz, chociaż ty nie wierzysz, a ja jestem buddystką. To złodziejstwo! Kościół okrada biednych ludzi w majestacie prawa wynaturzonego kraju! Złodzieje pomagają złodziejom! Więc nie mów mi o ich naukach! Gorzej jest tylko w islamie!

– W islamie?

– Przecież mówię wyraźnie: w islamie. W islamie, który jest nie do pojęcia. To najbardziej zacofana religia, jeszcze gorsza niż katolicyzm. Nie wiem, jak arabowie mogli coś takiego wymyślić. Nie rozumiem jak nacja, która wydała mędrców takich jak ibn Arabi i ibn Hazm, jak nacja, która wydała Awerroesa i Rumiego, jak taka nacja mogła stoczyć się na takie dno. Samo dno! Dno dna! Czy ty wiesz, co o nich mówi mój lama i guru? – spytała pewna, że nie wiem i miała, jak zawsze, rację. – Mówi, że dzisiaj to religia gangsterów, mówi też, że londyńscy muzułmanie, podobno najbardziej oświeceni i cywilizowani na świecie, poparli wyrok na Salmana Rushdiego, jak gdyby było oczywiste, że należy go zabić za napisanie książki. No, to ciebie akurat – popatrzyła mi prosto w oczy, jakby chciała przewiercić mi czaszkę – akurat ciebie to powinno od razu przekonać. – Nie odzywałem się wcale, bo mnie też wydawało się oczywiste myśleć, że w przypadku Rushdiego i *fatwy* świat islamu zagalopował się nieco w braku poczucia humoru. Zabijanie wydawców w Japonii i Włoszech to była po prostu zbrodnia. Nawet jeśli ta książka rzeczywiście obrażała Allaha, myślałem, to sam Allah powinien zająć się sprawą Rushdiego. Tak myślałem, ale Luiza mówiła dalej swoje, nie zwracając na moje milczenie uwagi:

– I jak oni traktują kobiety! Kobieta to u nich gorzej niż pies. Przecież one ślepną za tymi zasłonami na twarzy. Wpadają pod

samochody... Zresztą arabowie jeżdżą gorzej niż Polacy... Zgroza! Mówię ci, Norbert, zgroza! Feministki będą tam miały pełne ręce roboty! Mówię ci: islam to, to... – Luizę z wściekłości zatkało, ale zaraz odzyskała głos i krzyczała swój monolog dalej:

– Lama Ole mówi, że gdyby Allah żył dzisiaj, to na pewno siedziałby w więzieniu jak bandyta. Siedziałby razem z Bogiem chrześcijan. Lama Ole mówi też, że są to postacie, obok których nikt nie chciałby zamieszkać, a jak nie chcesz mieć kogoś za sąsiada, to o czym to świadczy, Norbert, no o czym? – Nie odzywałem się, więc Luiza wzięła głęboki wdech i jechała dalej:

– Nie znamy prawdziwego Chrystusa, nie mamy o nim pojęcia. Dlatego ludzie przestają interesować się chrześcijaństwem. I ta pogarda księży, kiedy każdego, kto myśli inaczej nazywają „poszukującym”, „zagubionym”, „owieczką oddzieloną od stada”. Jakby dorosły człowiek nie umiał zdecydować sam, kim jest i czego mu trzeba. To przerażające! To terror! A już ten nasz – powtórzyła z szyderstwem – nasz polski papież, szkoda gadać. Konserwa! Cenzor! Hamulec! Kij w szprychach koła postępu! Wypowiada się o życiu płciowym, chociaż nie ma o tym pojęcia! Wypowiada się o prezerwatywach, chociaż nigdy sobie takiej nie założył! Wypowiada się o kobietach, ale co on może wiedzieć o kobietach! Jezus? Jezus to co innego! Jezus był spontaniczny, ale miał kiepską karmę i zamiast osiągnąć nirwanę został ukrzyżowany – ręce Luizy chodziły jak skrzydła holenderskiego wiatraka i bałem się, że za moment moja jasnowidząca kobieta porunie i rozwali żyrandol. Na szczęście wisiał za wysoko. Luiza zamilkła, usiadła na środku dywanu i powtarzając *om mani peme hung, om mani peme hung* próbowała uregulować oddech.

*

Pomyślałem, że co do postępu, to Izajasz myśli inaczej. Według niego to słowo zostało sprowadzone do roli fetysza. Co do Wojtyły – tak samo. Nawet gorzej, bo to żywy człowiek. A co do islamu to tam istnieje nakaz jałmużny i prawo pilnuje tego, by nikt nie umierał z głodu. Nie było to wszystko proste. Nie zagnałem jednak i postanowiłem milczeć, szczególnie że przypo-

mniałem sobie o Marioli i Andželice, które były niedawno u Luizy, by wykonała wizję w sprawie adopcji dziecka, o które chciały się starać. A że we wróżbach wyszło, że w państwie tak katolickim lesbijki – Luiza mówiła to z taką goryczą i mając w oczach łzy tak olbrzymie – dostaną dziecko, choćby było najbardziej opuszczone, zaniedbane i potrzebujące rodziny na wychowanie dopiero wtedy, jak wszystkim po kolei biskupom kaktus na dłoni wyrośnie, moja jasnowidząca i jej dwie przyjaciółki chodziły wściekle jak osy, płakały i przeklinały katoli – i nawet ja rozumiałem, że cierpią, nawet ja podzielałem ich żal. Bo wiedziałem, że suki grabarza byłyby dwiema świetnymi, mądrymi i kochającymi matkami i wiedziałem, że nie doczekają, żeby mogły takimi matkami być.

– Naprawdę? – powiedziałem więc jak zwykle, byle jakoś zakończyć rozmowę. Luiza coś tam jeszcze pod nosem mówiła, dochodziły mnie pojedyncze słowa: „natura”, „makroświat”, „technoza” „kler”, „barany”, „cyberprzestrzeń”, „sieć Indry”, „porządek”, „matriarchat”, „patriarchat”, „koniec”, a nawet – to też usłyszałem – powiedziała „Izajasz Anioł”.

I oczywiście: „*tao*”. To było jej słowo-bumerang, słowo-wytrych, słowo-klucz. Tym słowem kłuła i dźgała, tym słowem sprawiała mi ból. „*Tao-śmao*” – zgrzytałem zębami. A jednak mnie też ciekawiło i zgodziłem się, by pod żyrandolem powiesiła mały czarnobiałą krążek z dzwoneczkiem – jak go nazwała – uważności.

*

Co zaś do Izajasza Anioła, to Luiza ceniła jedynie jego malarstwo i rzeźbę, szczególnie awangardową. Po którejś z kolejnych wizyt wyznała mi w tajemnicy i zaufaniu, że chciałaby kiedyś mieć obraz namalowany przez niego.

– To go poprosz – skwitowałem ją krótko. – Jeszcze nikomu niczego nie odmówił.

– Nie mogę – wyszeptała Luiza.

– Dlaczego?

– Bo jakoś mi wstyd – wyksztusiła nieśmiało Luiza. – No nie wypada, rozumiesz? Ja i Izajasz... No nie...

I tego nie pojmowałem. Izajasz dałby jej obraz i o nic nie pytał. Po prostu. Izajasz był katolikiem, wierzącym ortodoksyjnie, nie znosił aury *new age*, ale obrazy rozdawał. Miał też w domu dwa takie, które nazywał inaczej: dwa ciemne portrety madonny malowane „za Solidarności”. Izajasz wyznał mi, że jeszcze przed namalowaniem tych ikon przez całe lata marzył o srebrnych pudełkach z kostkami farb wodnych, o tubkach pełnych tytanowej lub cynkowej bieli, o akrylach w słoikach. Marzył o opalizującym medium dodawanym do akwareli, o pędzłach z koziego włosia, o pędzłach od Kolinsky’ego, o żółcieniach, oranżach i ultramarynie. Nieskromne były te jego marzenia i sam to po latach przyznawał. Jego pycha malarza rosła, rosła też jego chciwość, pragnął dla swojej sztuki wszystkiego w najlepszym gatunku. Kiedy wytropił w sobie te dwa fundamentalne grzechy, postanowił nie oglądać więcej katalogów z akcesoriami. Postanowił nie zajmować się więcej jakością pędzli i farb.

I przyznawał, że te dwa niesamowite obrazy, o których mówił „ikony”, to najlepsze, co mu dały malarski post i asceza. Osiągnął w tamtym czasie stan – niechętnie i rzadko to mówił – przeżywania w samotności i ciszy Żywego i Działającego Boga. Przeżywał Boga pustyni i ogrodów, Boga ciemności i światłości, Boga udreki i nasycenia, Świętego i Ukrytego, Raniącego swoją miłością, który chwyta człowieka po to, by człowiek stał się Tym-czym-nie-jest i Czego-nie-zna. Niewiele z tego rozumiałem, ale Izajaszowi to nie przeszkadzało.

– Zrobiłem je pastą do zębów i czarną pastą do butów – powiedział o „ikonach”, gdy mi je wreszcie pokazał. – Od tamtej pory przestałem malować, rzeźbić i pisać.

– Dlaczego? – spytałem.

– Wiara wygrała ze sztuką. Nie mogłem... – nie dokończył.

*

W oczach namalowanych pastą do zębów i pastą do butów madonn paliło się światło i były jak najpiękniejsze oranty. Widziałem w nich ciała kobiece namalowane z miłością. Ich dwie zwyczajne twarze zostały umieszczone poza czasem. W przestrze-

ni, byłem przekonany, nieosiągalnej dla wrażliwości współczesnej. Dwa ciała dwóch pięknych kobiet. To znaczy: ja tak myślałem. Nie widząc w nich nic mistycznego i nie próbując zobaczyć. Mistyczna otoczka dzieła nie poruszała mnie nigdy. A jednak pamiętam ten dreszcz, który rozdzierał mi rdzeń kręgosłupa, ilekroć spojrzałem w oczy jednej lub drugiej madonny. I żadnej w tych malowidłach dewocji, żadnego przepychu z Lichenia. Nic z makabrycznej urody nowobogackich kościołów polskich. Zaledwie dwie pasty: biała i czarna. Do zębów i do lakierów. I tu – w efekcie – dreszcz. Nawet dla niedowiarka.

Mając to wszystko na myśli, raz jeszcze zaproponowałem Luizie:

– Poproś go. Spróbuj, Luiza. Izajasz naprawdę jest hojnym człowiekiem.

– Nie, Norbert, po prostu nie mogę. To byłoby nie w porządku. Chciałem zapytać „Dlaczego?”, lecz zapytałem:

– Naprawdę?

ROZDZIAŁ VI

O sztuce i jej okrucieństwach...

Straszny, nieznający litości, miazdzący bywał jako polemista Izajasz Anioł, którego znałem i podziwiałem nieprzyzwoicie wręcz bałwochwalczo. Straszność mów Izajasza nie brała się z okrucieństwa ani wyrachowania, była to straszność Jahwe, któremu nie można wyrządzić krzywdy i któremu jedynie zupełny szaleniec próbuje wyrządzić krzywdę. Było to tak, jakby w obronie czystości doktryny i fundamentów Izajasz Anioł nie wahał się w sposób odziedziczony po Ojcach Pustyni, walczyć bez pardonu do pierwszej i do ostatniej krwi. Brutalne filipiki studziły oponentów i powstrzymywały przed zagłębianiem się w kwestie sporne lub choćby wątpliwe i dyskusyjne, w obecności Izajasza Anioła mało kto podejmował temat. Izajasz Anioł miał misję, niósł Dobrą Nowinę na ziemi *ubi leones* i zabobonów, niósł ją gromiąc i każąc, jak ten, po którym odziedziczył imię. Szedł przy tym tak pewien zwycięstwa swej wiary, jak pewni byli pierwsi chrześcijanie. Zaiste, pasowało mu imię Izajasza – najwyrazistszego z proroków – pasowało mu także nazwisko, jakim go obdarowałem na potrzeby tego rękopisu – nazwisko po wielkim artyście, malarzu, rzeźbiarzu, poecie, nazwisko po anielskości, którą nosił w sobie także Izajasz.

*

Izajasz Anioł bywał więc bezwzględny, szczególnie w chwilach, jak sam mówił, wyższej konieczności. Przekonał się o tym młody adept sztuk pięknych, Remigiusz Kolec, dwudziestolatek, któremu jeden z profesorów stołecznej Akademii, dawniej kolega z roku Izajasza, polecił spotkać się z Aniołem na nieoficjalnych konsultacjach. Remigiusz Kolec uznał to za dziwactwo, ale ze względu na sławę Izajasza Anioła postanowił polecenie wykonać i zobaczyć tę undergroundową legendę na żywo. Nie wiem, czemu Izajasz zaprosił mnie tego dnia do siebie, ale przyszedłem, usiadłem w zagraconym kącie i słuchałem. Kolec przyszedł z panienką o dziwnym imieniu Diamanda, wyglądającą jak pokaz mody dla ekscentryków i wernisaż malarstwa niedyskretnie abstrakcyjnego, przyszedł w jasnym garniturze od Armaniego nieco później niż ja, ale punktualnie. Wyluzowany, co chwila zacierający delikatne dłonie, na powitanie wręczył Izajaszowi list polecający od profesora, po czym wygodnie się rozsiadł, kręcąc głową ze zdumienia, że można żyć w takim bałaganie. Jak na adepta sztuk pięknych Kolec prezentował się względnie skromnie, żadnej – prócz garnituru od Armaniego – fanfaronady w stroju, żadnych jaskrawych apaszek, szali z jedwabiu i beretu *à la* Picasso. W twarzy miał jednak coś, co nie pozwalało przejść obok niego spokojnie. Zastanawiałem się, czy to może oczy, brązowe i otoczone długimi rzęsami, czy nos – krótki i mięsisty. Zastanawiałem się, ale nic nie przychodziło mi do głowy, prócz tego, że nie polubiłem go instynktownie. Diamanda nie spodobała mi się również: typowa *haute couture* anorektyczka z intelektualnymi pretensjami. Beckett owszem, tak, ale dlaczego jest taki mroczny. Joyce? No nie, Joyce, *il est passé*. Malarze? Oczywiście Beksiński, Warhol, Łempicka. Miała to wypisane na twarzy ta cała plastikowa Diamanda tuż pod zielonym makijażem, pod szminką Rimmela lub Christiana Diora, pod czarno pomalowanymi paznokciami, pod skórą, gdzie pewnie czaiła się pustka.

*

Izajasz Anioł także spoglądał na Remigiusza Kolca i na Diamandę przez chwilę w absolutnym milczeniu, skubał brodę i poruszał bezdźwięcznie wargami jak gdyby odmawiał niesłyszalną modlitwę. Wreszcie sapnął i rzekł głosem wykluczającym sprzeciw:

– Nie masz szans. Radzę ci, młody człowieku, zmień profesję.

– Dlaczego? Co pan mówi? – zaskoczenie Kolca było całkowite, a jego konsternacja widoczna. Widocznie profesor nie uprzedził go o sposobie prowadzenia rozmowy przez Izajasza. – Mam talent i co pan mi... – tłumaczył lub pytał, widać było, że nie wie, jak zareagować. Diamanda siedziała sztywno, patrząc na Izajasza jak na akwarium z krabami i innymi *frutti di mare*.

– Masz delikatne spojrzenie – Izajasz mówił powoli, nalewając do szklanek herbatę. – Nie umiesz zabijać modela i nigdy się tego nie nauczysz. No i – Izajasz nachylił się w stronę Kolca – nie ma w tobie nic z fanatyka.

– Jestem malarzem, nie mordercą! Dlaczego miałbym mieć w sobie coś z fanatyka! – Kolec krzyknął tak, że Diamanda zrezygnowała na moment ze swojej maski i syknęła w jego stronę ostrzegawczo. – Czy pan oszalał? O jakim zabijaniu pan mówi?

– Spróbujmy raz jeszcze – Izajasz nie odpowiedział na pytanie i wyglądało, że nie zamierza odpowiedzieć. – Jakie były twoje ostatnie projekty? Malowałeś coś? Rzeźbiłeś? Powiedz.

*

– Ostatnio – Remigiusz wziął oddech tak głęboki, jak gdyby miał zejść na dno oceanu. – Ostatnio miałem taki projekt, połączenie motywów z *Piekle* Dantego z ideą Holocaustu i technikami wideo... Taki trochę... – wydało mi się, że gość Izajasza na moment stracił swoją pewność, bo uświadomił sobie, gdzie jest i z kim rozmawia. – Taki trochę – wypalił wreszcie – piekielny sado-maso *Big Brother* z elementami drugiej wojny światowej, Zagładą, takie klimaty... – skończył na jednym oddechu i czekał, co powie Izajasz.

– I na czym by to miało polegać? – Izajasz póki co zachowywał spokój.

– Widzę to tak – Kolec rozluźnił się i zaczął opowiadać, zerkając co chwila czy poświęcamy mu należyłą ilość uwagi. – Sala, w sali krzesło, a naprzeciwko telewizor. Na krześle pilot z napisem Wergiliusz. Widz wchodzi, bierze Wergiliusza do ręki, siada, włącza telewizor. Na ekranie pojawia się napis „Kanał pierwszy – krąg pierwszy – Auschwitz”. I lecą obrazy z obozu grane przez upozowanych, ubranych w brudne pasiaki aktorów. Tortury, śmierć, palenie ludzi w krematorium, komory gazowe. W pewnej chwili głos z *offu* pyta widza, kogo ten chce nominować do wyjścia i wtedy wszyscy więźniowie rzucają się do kamery i skomlą, że chcą wyjść. Każdy chce się wydostać z tego piekła.

– Widz zmienia kanał – Izajasz powiedział to jeszcze spokojniej, jeszcze mocniej pozorując łagodność.

– Widz zmienia kanał – przytaknął Kolec – a na następnym to samo. Tylko plansza na początku inna: „Kanał drugi – krąg drugi – Dachau”. I tak dalej.

– I co? – spytałem ja, ponieważ nie do końca rozumiałem, o co w tej sztuce chodzi.

– Szok! Skandal! Sukces! – Remigiusz Kolec promieniał. – Zakasowałem swoim projektem lego Auschwitz, zakasowałem Nieznalską z jej penisem na krzyżu. Czy pan to widzi? – to pytanie Kolec skierował do Izajasza – czy pan to potrafi docenić?

– Chyba nie – nigdy w życiu nie słyszałem zimniejszego tonu niż ten, którym Izajasz Anioł wypowiedział te trzy sylaby. – Chyba nie.

– Jak pan widzi – Kolec był niezrażony – nie trzeba być, jak pan to nazwał, mordercą, żeby mieć pomysł i coś stworzyć. Nie trzeba być mordercą, trzeba mieć pieniądze.

*

– Otóż to! – miałem wrażenie, że Izajasz uśmiechnął się promiennie, jak gdyby cała rozmowa przebiegała wedle tylko jemu znanego planu. – Tak niestety myślisz i dlatego nigdy nie dasz rady być prawdziwym artystą. Nie rozumiesz, że tak zwana głębia dzieła, głębia wiersza, obrazu czy rzeźby to przede wszystkim

kim ukryte w tym dziele okrucieństwo, presja, nacisk artysty na odbiorcę, by zmienić się przez to dzieło, pojmujesz? Zmienił przez kontakt z dziełem! – Izajasz złapał drugi oddech i mówił podniesionym o kilka oktaw głosem, a Remigiusz jedynie ścisnął palce, jak gdyby chciał je sobie połamać. – Może uda ci się stworzyć coś ciekawego – atakował Izajasz – czym zainteresujesz marszandów i właścicieli galerii, może nawet odniesiesz sukces i będziesz tak zwanym nazwiskiem, ale, mówię ci to przez wzgląd na moją przyjaźń z profesorem, który cię do mnie przysłał, nigdy nie dasz sobie rady, gdy trzeba będzie zadać sobie poprzez dzieło ból. Zadać ból sobie i innym. Gdy dziełem będzie trzeba zranić, wycofasz się, stchórzysz, odpuścisz. A fanatyzm? Fanatyzm to największa zaleta artysty. Cnota główna! Powinieneś czuć, że jesteś prześladowany przez obsesje, że drażą cię niewyjawione tajemnice, że niszczą cię własne myśli. Musisz wierzyć, że poświęcisz wszystko, że dla sztuki potrafiłbyś zrobić więcej niż dla kogokolwiek. – głos Izajasza Anioła brzmiał smutno. – Dlatego mówię – zmień profesję. Masz jeszcze czas, mój chłopcze.

– A pan? Kim pan jest, żeby mi to wszystko mówić? – na twarzy młodego adepta sztuk pięknych malowała się wściekłość, odraza, malował się żal.

– A czy ty – Izajasz zignorował pytanie Kolca – powiedz, wierzysz czy nie wierzysz w Boga?

Remigiusz Kolec i Diamanda wymienili znaczące spojrzenia, a ja, mimo że byłem niedowiarkiem, miałem ochotę wyrzucić oboje natychmiast.

– W Boga? – teraz to Diamanda była szybsza. Mogłem zobaczyć z jakim wystudiowaniem umie zadawać pytania i czekać na efekt. – Co to ma do rzeczy? Po co Remkowi Bóg?

– W Boga, w Absolut, w cokolwiek większego niż Rynek, Giełda i Pieniądz – Izajasz, gdy chciał, potrafił nie widzieć pozy i tak właśnie zignorował wystudiowanie panienki. – Pytam pana – zwrócił się do Remigiusza i Diamanda cofnęła się na krześle urażona – czy wierzy pan w jakiś Absolut?

*

– Czemu pan pyta? – Kolec przyjął pozycję defensywną, skulił się, skupił, wyglądał jakby dopiero zrozumiał, że ta rozmowa jednak nie jest tylko czystą formalnością.

– Bo musisz zrozumieć, kim tak naprawdę jest artysta. Żeby być artystą, musisz zrozumieć to koniecznie – Izajasz wpił się w Remigiusza Kolca spojrzeniem tak strasznym, że aż ciarki przeszły mu po plecach. Rzadko go takim widziałem. Ale też rzadko mówił tak wiele o sztuce.

– A kim, według pana, jest artysta? – Kolec uspokoił się już nieco i patrzył teraz na Izajasza z ironią, jak na robaka, któremu można darować życie, ale którego najchętniej rozdeptałoby się w jednej chwili. W jego brązowych oczach okolonych długimi rzęsami nie było łagodności i zrozumienia, ale nienawiść i złość oraz bunt. Taki bunt, który nie bierze się z rzeczywistego upokorzenia, lecz ze złości, że markowy garnitur, dobra koszula i buty nie wystarczają, żeby być dla rozmówcy kimś.

– Słyszałeś o Jacku Sempolińskim? – nieoczekiwanie zapytał Izajasz.

– Oczywiście. Za kogo pan mnie ma? – obruszył się Kolec.

– To posłuchaj – Izajasz podszedł do pokrzywionej szafy, zanurzył rękę między książki i sprzęty, chwilę grzebał mamrocząc modlitwę do świętego Antoniego z Padwy, a w końcu tryumfalnym gestem uniósł do góry to, czego szukał.

– Jest! – huknął. Przewertował grubą zieloną książkę kilka razy, zajrzał do spisu treści, a wreszcie otworzył w połowie i zaczął czytać:

– „Sztuka i twórczość wymagają od artysty wykroczenia religijnego. Sztuka, życie w sztuce i dla sztuki skazuje artystę na samotność rozstrzygnięć, na próbę zasadniczą: albo na samotność doskonałą, albo na taką, o której mniema, że jest miejscem przeznaczonym na ingerencję Boga. Takim miejscem, jakim dla świętego Pawła była droga do Damaszku. Tyle że dla artysty ta droga musi być permanentna, bez Powołania, bo jeśli ono się zjawi, ustać musi źródło i potrzeba twórczości. Artysta musi więc być poganinem w nieustannym stadium nawrócenia. Dwa punk-

ty w czasie: przed olśnieniem i po nim, muszą być punktem jednym.”

– Tak – Izajasz Anioł zamknął książkę i odłożył do szafy. – Czy teraz rozumiesz więcej? – popatrzył na Kolca jak lekarz, który pyta, czy chory jest świadomy kłopotów związanych z chorobą.

– Żeby tworzyć nie trzeba być religijnym – Remigiusz Kolec wydał pogardliwie usta, a Diamanda milcząco mu przytaknęła uśmiechając się lekkim, suchym uśmieszkiem. – Bóg w sztuce, to było dobre w średniowieczu, ale na pewno nie dzisiaj.

– A co jest dzisiaj? – dosłyszałem się w głosie Izajasza tego śmiechu, który już wcześniej przemknął po jego twarzy.

– No co? – pytał Kolec zaskoczony. – Niech pan mi powie, pan pewnie wie, prawda? – Kolec szydził już jawnie, sprawiał wrażenie kogoś, kto bawi się wyśmienice, zdradzało go jedynie ponure spojrzenie i zaciśnięte, zbielejące wargi.

– Dziś rządzi pieniądz, przede wszystkim pieniądz. Pieniądz decyduje dzisiaj: „To jest sprzedajne, a to nie jest”. Ale co więcej może powiedzieć pieniądz? Wyłącznie to: „To się sprzeda, a to nie”! Dlatego sztuce światowej, całej sztuce światowej i nawet naszej rodzimej, tak marnej obecnie sztuce, grozi zagłada. Dobrze to widzi Sempoliński, gdy twierdzi, że Szatan komercji wyszczerza do sztuki swoje zęby. Szatan dba o to, by zamiast twórczości i sztuki były kolekcje – Izajasz grzmiał już tak, że Remigiusz Kolec patrzył na niego struchlały. – Kolekcja na jesień, kolekcja na zimę, kolekcja na lato, kolekcja na wiosnę, a zamiast sztuki konfekcja! Konfekcja!

– Ale tak było zawsze – Kolec chciał chyba przerwać Izajaszowi monolog, jednak ten jeszcze wyraźniej rozsierdził się i nastroszył.

– Tak! Zawsze! Ale nigdy w tak masowej skali! Ilu artystów to zniszczyło, ilu artystów zniszczyły prawa pieniądza! Willem de Kooning! Między *Kobietą* namalowaną w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, a tą z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego – przepaść! Artystyczna przepaść! Francis Bacon! Między *Głową* z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, a *Postacią w ruchu* z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego – przepaść! Przepaść i zgroza! Nawet tak witalny i suwerenny gigant jak Picasso został wchłonięty przez rynek, przez

pieniądz! To byli twórcy, których debiuty porażały, twórcy, którzy odnieśli natychmiastowy sukces, i którzy zapłacili za ten sukces cenę największą z możliwych. Stracili talent. Zmanierowali się. Robili te swoje ilustracje do własnych pomysłów, pastiszowali swój geniusz, nic więcej. Dostał ich w swoje ręce szatan komercji, Mammon, wielki kusiciel. Dlaczego? – Izajasz Anioł wyciszył nieco swój głos. – Dlaczego Van Gogha to nie spotkało? Dlaczego Paolo Uccello, malarz *Tebaidy*, pozostał wielki od początku do końca? Czy już to widzisz? – to pytanie Izajasz skierował do Kolca.

– Co do Kooninga i Bacona absolutnie się z panem nie zgadzam. Ich późne dzieła to kwintesencja, cudowny ekstrakt sztuki nowoczesnej. Jest w nich przerażenie kondycją człowieka, rozdarcie, to naprawdę świadczy o rozwoju – Remigiusz Kolec zaczął gestykulować, uniósł ręce do góry i grzmiał już tak, jak przed momentem Izajasz. – A co do biedy, wie pan: mit biednego artysty to przeżytek. Nie chciałbym pana obrazić, ale nic z tego, co mi pan tu tak emfatycznie powiedział, nie przekonało mnie. Ja mam talent i zamierzam odnieść sukces, wielki i spektakularny. Nigdy tego nie ukrywałem i nie sądzę, by ktoś mi mógł przeszkodzić. Ani pan, ani ktokolwiek inny – Remigiusz Kolec mówił szybko, jakby bał się, że Izajasz zaraz mu przerwie. Ale Izajasz słuchał bez słowa, ze smutkiem w oczach i dopiero, kiedy Kolec skończył, rzekł:

– Ja już nie tworzę. Dwie ikony, które udało mi się namalować, to ostatnie, co zrobiłem i może jedyne, co ma jakąś wartość. Owszem, czasami bierze mnie jeszcze ochota, chwytam za pędzle, ołówki, dłuto, ale... To nie to samo, co dawniej... Może się wypaliłem? – Izajasz zadał to pytanie tak, jakby chciał wszystko, co powiedział w tych ostatnich zdaniach, obrócić w żart. – Może nie jestem...

– Ależ nieprawda – Kolec przerwał Izajaszowi gwałtownie. – Na Akademii pana obraży są słynne. Profesorowie mówią o panu z szacunkiem.

– Być może – Izajasz uśmiechnął się, jakby chciał ukryć ból, sprawiony mu przez słowa studenta Akademii, z której usunięto Anioła za przynależność do Solidarności i karykatury poli-

tyczne, jakie szkicował i rozwieszał na korytarzach uczelni. – Być może, nie mnie to oceniać. Ja tylko mówię, że już nie tworzę, nie szukam i nie błędę. W moim wypadku wygrało, teraz tak to widzę, Powołanie. Przestałem być poganinem... Zresztą... W dzisiejszych czasach artystów się przecenia, robi się z nich kapłanów, którymi nie są, a robi się tak po to, by móc niedoceniać dzieł sztuki, by wszyscy mogli spać spokojnie. A ty – Izajasz wskazał na Remigiusza Kolca palcem – ty jesteś z tego czasu, z czasu bez sztuki i bez prawdziwych artystów.

– Pan znowu próbuje mnie obrazić.

– Nie. Mówię jak jest, bo prosił mnie o to w liście twój profesor.

– Kim pan jest? – raz jeszcze zapytał student.

– Jestem tym, który ci to mówi – powiedział cicho Izajasz, a zabrzmiało to jak „Ja jestem Jahwe”. – A teraz dopij herbatę i idź już. Mam dziś jeszcze trochę do zrobienia.

Remigiusz Kolec popatrzył na Izajasza Anioła zza stołu, zgarmał do kieszeni papierosa i zapalniczkę, wstał i stwierdził tak, jakby to było oczywiste:

– Tak, pora na mnie. Dziękuję za rozmowę. Chciałem pana zobaczyć i zobaczyłem.

*

W drzwiach Izajasz Anioł przytrzymał gościa swoim zwyczajem za ramię i patrząc mu prosto w oczy powiedział:

– Myślisz, widzę to w twoich oczach, że życie to dziwka, którą trzeba ujarzmić i że sztuka to kobieta wulgarna i rozkraczona tak, że widać szramę wilgoci między jej gładkimi udami. Myślisz się. Życie domaga się okrucieństwa i namiętności, i sztuka domaga się okrucieństwa i namiętności, ale jest jeszcze coś oprócz tego, świętość, którą dzisiaj mało kto widzi.

– Dlaczego?

– Ponieważ rządzi pieniądz, rzecz najmniej święta na świecie. Dawniej, kiedy dużo podróżowałem po świecie – mekka artystów Paryż, mekka artystów Berlin, mekka Tokio, mekka Nowy Jork – zastanawiałem się, czy tak wiele przedmiotów to nie za dużo radości dla oczu? Neony, reklamy, te kolory, ta komputero-

wa precyzja... Czy ta namiastka przeżycia estetycznego nie rozleniwia umysłów? I wiesz co? – Izajasz patrzył teraz Remigiuszowi Kolcowi prosto w oczy. – Nie umiałem odpowiedzieć sobie na te pytania, ale to, że nie spotkałem tam nikogo z wielkim głodem w oczach, nikogo z wielkim talentem – to mnie zastanawiało... No, idź już – Izajasz Anioł wypchnął zdumionego Remigiusza Kolca za drzwi gestem łagodnym i prawie że ojcowskim. Diamanda ze swoim kobiecym przedstawieniem podreptała za Kolcem, rzucając Izajaszowi, a nawet mnie, spojrzenia tyleż nienawistne, co onieśmielone.

Po zamknięciu drzwi Izajasz opuścił brodę na piersi i poczłapał do pokoju zrezygnowany. W jego oczach było wypisane, że postanowił nigdy więcej nie spotykać się ze studentami Akademii Sztuk Pięknych. Przynajmniej tymi, których chwalono za talent i wrócono karierę w opanowanym całkowicie przez rynek – jak to miał sarkastycznie nazwać – „szołbiznesie artystyczno-handlowym”.

– Widzisz – powiedział do mnie, kiedy już usiedliśmy z herbatą i nastawionymi cicho *Koncertami Brandenburskimi* Bacha – awansowali mnie na *underground*. Ciekawe, co? – westchnął z bólem i poszedł do równie jak pokój zagraconej, *undergroundowej* kuchni wstawić obiad dla rodziny i dla mnie.

Nie wiedziałem, co myśleć. Połowy z tego, o czym mówił, nie rozumiałem. Miałem może piętnaście lat, może szesnaście. W takim wieku niewiele jest do pojęcia.

*

Tak, diabeł, którego ignorowała, bał się mojej jasnowidzącej Luizy. Jej anielskość – myślę z ironią – była dla niego nie do przejścia, charakter miała kryształowy. Jej anielskość była nie do pobicia, o czym ja, na ten przykład, zdążyłem przekonać się dosyć wcześnie i gdyby diabeł zwrócił się do mnie z pytaniem, ostrzegłbym go bez wahania, jak kolegę. Nie miałem jednak okazji, diabeł nie interesował się mną. Wystarczyło, że gnębiły mnie demony słabsze, ja i tak byłem dość nieodporny. Co innego słynna jasnowidzka, co innego jej anielski charakter, tak, to było dla

diabła wyzwanie, i pewnie dlatego tak mieszał. Diabeł czekał i patrzył, szukał luki w pancerzu świętości mojej jasnowidzącej kobiety, diabeł patrzył i obmyślał w milczeniu druzgoczący, ostateczny cios, jaki zadać miał biednej Luizie, która nic nie podejrzewała. Miałem czasem poczucie, że diabeł patrzy czujnie i że jest w pobliżu, kątem oka zwidywałem cień szary, kiedy leciał tuż pod sufitem. Ale byłem o Luizę spokojny, nie wiem czemu, ale byłem spokojny, może miałem za mało rozumu, a może nie doceniałem diabła. Tak, diabeł bał się Luizy, ale bał się jej nie tak, jak tego, o którym tu opowiadam – cudownego Izajasza Anioła. Bał się jego straszliwych talentów, którymi go Bóg obdarował, bał się daru pompatyczności, daru głoszenia homilii, daru kazań błyskotliwych i pięknych, daru słowa żywego. Bał się może najbardziej pogardy, w jakiej Izajasz Anioł miał pieniądze i jego straszliwe prawa. Straszliwe jednak wyłącznie dla tych, którzy podporządkowali się im bez zastanowienia.

I zostało do opowiedzenia wiele i o pompatyczności, i o homiliach, kazaniach, wykładach na temat Ojców Pustyni, wykładach na temat ekstazy. Zostało do opowiedzenia wiele, bo wiele było w Izajaszu, skupiającym w swojej postaci – tak myślę – wszystkie zalety swojej epoki, ale też wszystkie jej wady. Powaga aż do śmieszności, fanatyzm, radość istnienia i smutek, raz jeszcze religia, o której wiedział więcej niż synod biskupi. Nie sądzę, bym dał radę zwyczajnie opowiedzieć to wszystko tutaj, lecz postanowiłem spróbować. Opowiadam więc to, czego byłem świadkiem: codzienną krucjatę Anioła. I wspominam o jego nieuchronnym, chwalebny w piekłowstąpieniu, czyli o popadaniu w szaleństwo i jego powolnym zgłębianiu, któremu nie było końca, więc przywołuję to tutaj. Także i biesa, który okazał się tu szaleństwem i który dla Izajasza Anioła stworzył rodzaj straszliwej tortury w codzienności kolejnych poranków.

ROZDZIAŁ VII

Prywatna historia karnawału...

Może nie pobiliśmy z Luizą absolutnie wszystkich rekordów tantrycznej perwersji, może nie zdobyliśmy we dwoje Czomolungmy wyuzdania i szału, a jednak byliśmy blisko, co do tego nie mam wątpliwości. Kiedy wreszcie znudzony świetlistością komunijnej bieli luksusowej, a jakże, bielizny mojej świętej – jak ironizowałem – i jasnowidzącej – o czym byłem przekonany – kobiety, uprosiłem ją, pokonując barierę jej wrodzonej wyuzdanej skromności, o czarne oraz czerwone majteczki z siateczką na wzgórku łonowym, nie miałem zielonego pojęcia, do czego to doprowadzi. Gdybym wiedział, powstrzymałbym żądze lub chociaż próbował powstrzymać. Nie miałem pojęcia, przyznaję, a później nie miałem już wpływu na bieg zwariowanych wydarzeń, na wariactwo nie do zatrzymania. W czarnej bądź krwiście czerwonej bieliźnie moja jasnowidząca Luiza robiła wielkie wrażenie i duch mój rósł niepomiarnie i czułem, że robiło się coraz goręcej. Wiele miałem drobnych przyjemności z samego niewinnego patrzenia, wiele miałem z samych wrażeń wzrokowych, lecz rzecz jasna domagałem się więcej i więcej. A Luiza, gdy w końcu pojęła, jak wiele może w ten sposób osiągnąć, jeszcze śmieiej wkroczyła na ścieżkę prowadzącą w erotyczny Mordor. Pejczyki, kajdanki, wiązanie, zabawy co i raz mocniejsze, rozrywka coraz ostrzejsza, to dla nas zaczęło się wtedy. To wtedy wpadliśmy po uszy w karnawał i jego lubieżność, w zabawę na pograniczu eks-

tazy i z elementami zwyrodnień. Upiększam to wszystko nieznacznie, w istocie to właśnie tak było.

*

Moja jasnowidząca kobieta wiedziała w tamtym momencie, że nie spocznie, póki nie sprawdzi, jak działa i jakie efekty daje złamanie tabu i granic. Prowadzili ją seksualni guru, ja byłem jedynie partnerem. W każdym razie nie czułem specjalnie, bym miał coś do powiedzenia. Co i raz Luiza namawiała mnie sama z siebie już nie tylko na *fellatio* z wisienką czy *cunnilingus*, jej ulubiony, z bakaliami i naturalnym jogurtem, lecz namawiała mnie na wymyślne transgresje w okolicznościach coraz to bardziej obcych. Lecz wyłącznie we dwoje, zastrzegła, żadnego tam wydziwiania. Żadnego łączenia się w pary, trójki i kółka graniaste. Zboczeńców traktowaliśmy chłodno, zboczeńcami mogli być prawie wszyscy, wiedzieliśmy, że żyjemy w czasach, kiedy ludziom naprawdę odbiło. Tak więc pedofilom mieliśmy do zaoferowania jedynie okrutnie bolesną kastrację, podobnie jak zoofilom, całą resztę zaś widzieliśmy na seansach u proktologa, bądź życzyliśmy im zgodnie szankra i kiły złośliwej, a w pewnych specjalnych przypadkach szybkożrącej odmiany trądu.

*

Tak więc we dwoje, bez towarzystwa, pragnęliśmy zbadać granice ludzkich możliwości. W duecie czuliśmy radość, jeżeli nawet nam nie szło. W podwójnej rozkoszy szukaliśmy zaspokojenia i szczęścia, nie bawiła nas chora otoczka współczesności z jej mitologią seksu. Bawiliśmy się jak w karnawale i lat osiem trwał dla nas karnawał. I jedynie wielka nieśmiałość mojej jasnowidzącej Luizy dawała czasem znać o sobie, przerywając karnawałowy błogostan. W niezrozumiałych atakach nieśmiałości wychodziła z jasnowidzącej odmiennosc, jej nieśmiałość przypominała mi zawsze o jej drugiej, skrywanej naturze. Nieśmiałość mojej jasnowidzącej kobiety była, rzekłbym, typowa dla mentalności kobiety, która z małego miasteczka i jego spokojnego kli-

matu została rzucona przez los w samo centrum stołecznego miasta, znacznie większego i bogatszego w rozrywki. Wszystko, co widziała w dzieciństwie, próbowała w wielkim mieście odtworzyć w atmosferze arkadyjskiej sielskości, zamieniając nasze duże mieszkanie w dom podobny do jej rodzinnego. Nieśmiałość mojej jasnowidzącej kobiety kłóciła się w sposób czytelny z jej brauworowym temperamentem ognisto-krwistej brunetki, lisicy biegłej w sztuce uwodzenia, choć nie do końca tego talentu świadomej. Nieśmiałość ta przysporzyła mojej jasnowidzącej Luizie niemało przykrości i cierpień, ponieważ – jak mówiły bez końca nasze bliskie osiedlowe sąsiadki, zwane przeze mnie ze względu na ich naturę sukami grabarza – jakże miała nie cierpieć kobieta tak skora do żartów i figli, żyjąca z musu pod jarzmem takiego jak ja krzywdziciela, bezwzględного i ponurego oprawcy – tak mówiły o mnie suki grabarza. Nie było to prawdą. Mówiły tak wyłącznie dlatego, że nie znały naszych wspólnych wypraw w głąb codziennych, zmysłowo-duchowych doświadczeń, mówiły tak z nienawiści, nie wiedząc, co powiedzieć z sensem. O sposobach tyranizowania przeze mnie mojej jasnowidzącej żony należałoby pewnie – wedle suk grabarza – podjąć zupełnie nową i całkiem osobną narrację. Ale chciałbym od razu wyjaśnić jedną kwestię bezspornie istotną. Chcę uwypuklić tło zdarzeń, na jakim wprawdzie zaistniały, następnie zaś pięknie rozkwitły tak słynne dziś w wielu miejscach i wtedy już dość dobrze znane – kwiaty jasnowidzenia, pierwiosnki wielkich zdolności. Chcę, ponieważ moim zamiarem nie jest wcale niszczenie tajemnic otaczających życie intymne jasnowidzącej kobiety, lecz pragnę jedynie ocalić od zapomnienia historię, delikatny zbiór faktów i doznań, z których latami formował się miąższ bytu naszego związku. Ta jego forma istnienia, niepodobna do niczego znanego. Wypełnionego diabelstwem, ale nigdy nie satanizmem.

*

Nieśmiałość mojej jasnowidzącej kobiety miała na szczęście granice, inaczej nic by nie wyszło, nie byłoby o czym mówić, nie byłoby żadnej historii. A jest, jest wiele historii i wszystkie chcę

opowiedzieć. I chociaż są to historie nie do wyjawienia, powoli wyjawiam je wszystkie, świadomy niebezpieczeństwa, jakim jest lekki balans na cienkiej strunie wyznania, napiętej wprost niemożliwie, gotowej zerwać się nagle. Świadomy jestem zagrożeń tkwiących w tej mrocznej formule, jaką jest autoekspresja tak skrajnie obnażająca. Chociaż mało kto ma dziś jeszcze cokolwiek przeciw obnażeniom w tekście, to jednak we mnie została resztką archaicznie wyglądających skrupułów. Tych skrupułów i przyzwoitości, dla których gotowy jestem, mimo buczenia publiki, zrezygnować z co pikantniejszych wynurzeń. I nawet w pisarskim szwungu, w drapieżnym pisarskim rozpędzie, nawet cisnąc pedał epickiego rozmachu nie dostrzegam żadnej możliwości, żeby w amoku strzelić jakąś gafę. Można obnażyć dziś seks, jestem pewien, lecz to nie szokuje nikogo. Skoro zaś nie szokuje, nie warto w ogóle obnażać. Tam, gdzie nie może być szoku, bo szok stał się wręcz niemożliwy, tam zostaje wyłącznie rozrywka, zostają żart i karnawał. A ja zwierzam się na poważnie, tak poważnie, jak to możliwe. I wcale nie dla rozrywki i wcale nie dla karnawału. I naprawdę zależy mi, żeby wszystko dokładnie wyjaśnić, by być tak prawdziwym jak prawda, tak szczerym jak sama szczerłość... Patrzenie z nieufnością? To źle. A zresztą... A zresztą, skąd wy to macie wiedzieć, małe żuczki tak dalekie ode mnie, narratora z gatunku przygodnych i nieskrępowanych niczym, że ja tu wcale nie kłamię, jak mielibyście rozpoznać, że pod postacią mojej jasnowidzącej żony nie ukryłem – ja, zwyrodnialec – którejś z moich zaślepionych cudownie kochanek, damy skłonnej w swoim do mnie uczuciu totalnym wybaczyć mi każdy eksces, nawet – zgroza! – tę wymianę na jasnowidzącą Luizę, nawet ciemne jasnowidzkie historie, nawet – zgroza! – odebranie imienia, i zamianę koloru oczu i włosów oraz inne, równie wstrętne zamiany? Nie może tak być? Ależ może! Zostawiam wam, moje żuczki, tę małą, dotkliwą niepewność, zostawiam i nic nie podpowiem, niczego wam nie ułatwię. I nawet jeżeli kiedyś traficie na zdjęcie prawdziwej jasnowidzącej kobiety, z którą byłem blisko, nawet jeśli spotkacie się kiedyś z prototypem rzeczywistej kochanki, niczego wam nie da sprawdzanie i porównywanie z faktami. Nie doszukacie się prawdy, ja

sam nie wiem, gdzie ta prawda jest. Ale szukajcie, szukajcie, ja jestem po waszej stronie. Życzę wam powodzenia: bywajcie, moje małe żuczki. Ja odejdę, a wy zostaniecie – tak to kończy się zawsze. Wiadomo. Nie ma co mówić. Nikt z nas nie jest nieśmiertelny.

Ale wracając do sprawy, przechodząc do sedna...

*

Zajmowanie się seksem i diabelstwami, białą i czarną magią, orgazmami i eksterioryzacją, rozkoszą i *channelingiem* – to stało się, jeszcze raz podkreślam, hobby i pasją mojej jasnowidzącej kobiety, to było też moją formą spędzania wolnego czasu. Seksem i diabelstwami interesowałem się teoretycznie na poważnie, jednak tym pierwszym ostrożnie, a tym drugim ze sceptycyzmem. Sam pewnie w żadnym wypadku nie wniknąłbym tak głęboko i nie wsiąkłbym tak ostatecznie w te niebezpieczne rewiry, lecz przykład jasnowidzącej okazał się zaraźliwy, zachęta z jej strony znaczna, a moje opory dość nikłe. Po prawdzie to w kwestii diabelstwa, a już zwłaszcza w seksie oporów nie miałem żadnych i wspominając o nich, jak również o ostrożności i ciężącym mi sceptycyzmie, uprawiam cczą kokieterię, nie mówię wszystkiego wprost. Uprawiam cczą kokieterię, dobrze wiedząc, dlaczego to robię, chciałbym bowiem w ten sposób zaznaczyć, że swego czasu miałem dystans większy, który, niestety, straciłem. Na moim miejscu każdy by go stracił. Bolałem nad utratą dystansu i gotów byłem głosić jego pochwałę, wiedziałem jednak za dobrze, że nie da się zrobić inaczej, że jak chcę poznać w pełni granice mojego ducha lub choćby po większej części chcę poznać wiedzę o życiu, wiedzę zebraną na temat diabelstwa, seksu i magii, wiedzę dotyczącą każdego i w każdych okolicznościach – muszę pogodzić się szybko z czasową utratą rozumu. Zgodziłem się na utratę rozumu i utratę zdrowego rozsądku i dzięki temu zyskałem dostęp do prawd objawionych. Zgodziłem się, ale na krótko, na utratę męskiego zdrowego rozsądku, bo była to główna przeszkoda na drodze do wtajemniczeń.

*

– Zdrowy rozsądek! – szydziła jasnowidząca – Zdrowy rozsądek! Czymże jest zdrowy rozsądek? – grzmiała w tyradzie skierowanej przeciw rozsądkowi. – Zdrowy rozsądek jest niczym! Absolutnie niczym! Zdrowy rozsądek to dzuma dwudziestego pierwszego wieku! Zdrowy rozsądek to dzuma i najbardziej chora część społeczeństwa! A człowieka – pieniała się coraz łagodniej Luiza, nie widząc, żebym chciał się z nią sprzeczać – człowieka trzeba widzieć holistycznie! Ho-lis-tycz-nie! – wyrykiwała to słowo i opadała z sił wyczerpana, wzburzenie w niej trwało jeszcze, ale osłabłe, zamglone.

Mnie zanato nie chciało się patrzeć holistycznie, może nie byłem dość zdrowy, może za wiele miałem cały czas w sobie chorego, męskiego zdrowego rozsądku, może dusza moja nie była jeszcze – to tłumaczenie mogło nawet do Luizy trafić – przebudzona i gotowa na przyjęcie naraz tylu tajemnic. Z pokorą chyliłem głowę, słuchając tych nagłych wystąpień, obnażających słabości męskiego zdrowego rozsądku. O wyższości kobiecej intuicji informowany byłem na bieżąco, nie uważałem jednak za konieczne tak zupełnie rezygnować z męskości. Głowę więc chyliłem w geście autentycznej, chociaż męskiej skruchy, a następnie oddalałem się szybko, by w zaciszu mojej małej samotni, czyli w jednym z maleńkich pokoi, zarykiwać się z samego siebie. Oto bowiem ja, z moją słabą głową, z moim maleńkim rozumem i z tymże niepozornym rozsądkiem, tak mikrym, że mnie nawet od demonów nie ustrzegł, miałem brać się za bary z kobiecością tyleż wyższą i silniejszą ode mnie. Śmiałem się z siebie do bólu, do bólu przepony i żeber. Nie umiałem inaczej, nie mogłem, co nie znaczy jednakże, bym wcale nie brał sobie głęboko do serca tego, co słyszałem od jasnowidzącej. A że wiele słyszałem, to wiele skłonny jestem opowiedzieć każdemu, kto nie nudzi się słysząc obłudne opowieści i zmyślane historie.

*

Opowiedzieć, jak z najwyższą trudnością unikałem popadnięcia w szaleństwo, zdać relację z lucyferycznej udręki, zrobić

tak, jakbym pisał kronikę niezapowiedzianej psychozy, kronikę ekstatycznego obłądu, kronikę paranoicznych wystąpień i wniebowstąpień, księgę wyjścia i kronikę zejścia do ostatniego kręgu piekła natury ludzkiej. Opowiedzieć to, jak nie własne, lecz zupełnie mi obce przygody duchowe postaci zabawnej i może nawet pogodnej – to mogłoby nawet być śmieszne, dlatego zaryzykuję. Nie zamierzam nikogo oszczędzać i o każdym małe słówko szepnę. Sobie też nie zamierzam odpuścić, w końcu siebie znam w tym wszystkim najlepiej. Można, wiem to już teraz, można rozpręgać zmysły w ciągu ułamka sekundy, można bawić się błyskawicznie w uszkodzanie swoich zmysłów na trwałe, można pozbawić się nagle władz umysłowych i siły, można natychmiast i gruntownie oszaleć, można całkiem też ostatecznie porzucić racjonalne myślenie, ale można też dziczyć powoli, miarowym i dostojnym krokiem przechodzić na pozycje myślenia innego niż oficjalne. Najczęściej tak właśnie oddala się człowiek od najbliższych, od świata i od społeczności. Mnie spotkało to drugie szaleństwo i może dlatego przeżyłem. Mnie spotkało to mniej groźne zwierzę, słabo znane przez medycynę, nie zwariowałem tak nagle, bym nie umiał rozpoznać się w lustrze, nie spotkałem gorejącego krzaku, nie miałem nawet prawie żadnych widzeń, jedynie maleńkie zwiidy i nie tak jak innych straszliwe; nie doświadczyłem choroby odmieniającej na stałe percepcję, nic na szczęście nie wyrwało z zawiasów wrót rozumu, którym się posługuję. Ale znowu zboczyłem z tematu...

Trzeba przyznać, że rzecz między moją żoną i mną, figurantem, zakończyła się na marzeniach. Właśnie tak, na marzeniach.

*

Marzenia jasnowidzącej przybierały najwymyślniejsze formy. Było marzenie o *coitusach* doniosłych sejsmicznie i fantazyjnych, było marzenie orgazmów wytwornych i poetyckich, było marzenie sięgnięcia wewnętrznym skupionym wzrokiem w najodleglejszą przyszłość całego ludzkiego gatunku... I było też małe pragnienie wpisania się do annałów, zaistnienia w encyklopedii magii, w galerii wielkich wtajemniczonych. Wielcy wtajemnicze-

ni, najgenialniejsi z genialnych, najcudowniejsi z cudownych i najbardziej spośród wtajemniczonych boscy byli niedosiężnymi idolami mojej jasnowidzącej kobiety, modelami i wzorcami, nauczycielami, mistrzami i guru. Z początku, ale jedynie z początku, miałem drobne problemy z rozróżnianiem ich właściwości i specjalizacji, trochę myliłem ich cnoty, talenty i zasługi, a nawet, co szczególnie niepokoiło Luizę, nie miałem pamięci do imion. Zawsze jednak mogłem liczyć na to, że Luiza opowie mi wszystko dokładnie – moja jasnowidząca kobieta była bowiem cierpliwa, wytrwała i pełna prostoty, tak że chciało jej się mnie nauczać i klarować, aż przestanę się mylić. Ja jednak nigdy nie przestałem się mylić.

*

Spośród wtajemniczonych, największych z wtajemniczonych, zwłaszcza dwóch stanowiło dla mojej jasnowidzącej kobiety wyzwanie natury nie tylko dogłębnie i nieskończenie duchowej, ale również emocjonalnej, a nawet – intelektualnej. Byli to: Lesław Igła i Maksymilian Długi. Pierwszy to spec od magii plemienia tak zwanych Kahunów, drugi zaś znał się po trochu na wszystkim, jego książki zajmowały półkę przy biurku jasnowidzącej, jego zdjęcie nosiła w portfelu i mówiła, że przynosi jej szczęście. Moja jasnowidząca Luiza w ogóle miała o nich zdanie wyjątkowo dobre. W każdym razie na pewno lepsze niż ja, który miałem opory z uznaniem wątpliwej wiedzy i jej przydatności, tak objawiał się we mnie przyływ logicznego myślenia i chorego zdrowego rozsądku. Ale do jasnowidzącej przemawiały szajby tych guru, natomiast nie przemawiał do niej mój, jak pieszczotliwie mówiła, zakompleksiony sceptycyzm. Nie dyskutowaliśmy zresztą na ten temat zbyt wiele i w zasadzie sprawę wielkości mistrzów omijaliśmy swobodnie i ze świadomym rozmysłem. Tematów innych mieliśmy pod dostatkiem, na tematach nigdy nam nie zbywało. Jednym z tematów dyżurnych było szaleństwo. Obląkanie było tematem wielkim i dyskusyjnym, rzecz jasna mieliśmy osobne koncepcje i broniliśmy swoich pozycji zażarcie. Jasnowidzka lansowała teorię wpływu horoskopu na naturę czło-

wieka, ja twierdziłem, że w kwestii szaleństwa astrologia nie ma nic do stwierdzenia.

Ja, jako człowiek skromny – mówiłem – chciałbym nauczyć się znosić własne szaleństwo z godnością. Ludzie w ogóle nie mają wyboru w tej dziedzinie i każdy powinien nauczyć się znosić własne szaleństwo z godnością. Być może niedługo wyłącznie to będzie jeszcze świadczyć o człowieczeństwie i nadejdą czasy, kiedy jedynie znoszenie własnego szaleństwa z godnością poświadczać będzie ludzki rozwój i najdojrzalszy humanizm. Taka jest doniosła rola szaleństwa, taka jest prawda obłędu i nie wolno zapominać, że obłęd i szaleństwo są wszechobecne. Bo – zapamiętaj, kiedy o szaleństwie mówiłem, nie słałem, a przeciwnie, wzmagalem się z każdym zdaniem – czy miłość bez rysu szaleństwa mogłaby być miłością? Czy miłość – trzymałem się tego retorycznego przykładu – czy nasza miłość nie jest wtedy najbardziej miłością, kiedy jest jak najbardziej szalona, do rdzenia przeżarta obłędem? To są poważne pytania. To są kwestie fundamentalne i ostateczne. To są problemy, które każdemu w końcu objawią się w całej straszności. Nie dam rady ich teraz rozstrzygnąć, mogę najwyżej opowiedzieć krótko, jak szaleństwo zaistniało dla nas, w związku moim i jasnowidzącej. Jakie były konsekwencje straszliwe zanurzenia się w otchłań uczucia.

*

Zaczynaliśmy, jak już wspominałem, od bielizny i fatałaszków, lecz nie to było prawdziwym początkiem. Zaczynaliśmy nasze miłosne nauki, muszę tak to precyzyjnie oznajmić, nieśmiało, lirycznie, nieporadnie i nieprofesjonalnie. Zaczynaliśmy od gimnastyki niemieckiej podpatrywanej na filmach z zza Odry, od scenariuszy *soft* oraz *light*, od tego, co proste, sprawdzone i skuteczne. Chcieliśmy bawić się i przechodzić pogodnie kolejne granice zabawy, poznawać nowe przestrzenie i dawać z siebie tak wiele, ile to tylko możliwe. Nie próbowaliśmy z miejsca rzucać się na głębokie wody perwersji, nie przyspieszaliśmy nadmiernie jak nastolatki, ideę mieliśmy taką, by wolno stopniować rozkosz, by dawać sobie odetchnąć i nie mieć poczucia gonitwy, co często potrafi zepsuć najfantastyczniejsze doznanie. Idea

ta, ze wszechmiar prawdziwie rozsądna, była nam drogowską-
zem dość długo w naszych igraszkach. Była nam bliska przy
pierwszych, nie tak drapieżnych jak te, które przyszyły później,
lekcjach miłosnego kunsztu, była nam jak latarnia, która wska-
zuje kierunek. Pierwsze te wspólne lekcje zachodniej *ars aman-*
di, bo wschodnie techniki tantry zjawily się w naszym pożyciu
później, pobieraliśmy śledząc poczynania – jak ich nazywałem,
budząc niesmak Luizy – anonimowych aryjskich mistrzów szyb-
kiego pchnięcia i długotrwałego sztosu. Było to nawet zabawne,
lecz także, o czym przekonać się przyszło nam tak boleśnie, nie-
bezpieczne. Wtedy jednak nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.
Oglądaliśmy mistrzów aryjskich, oglądaliśmy *latin loverów*, oglą-
daliśmy duety, trójkąty i kwadraty, rajcowały nas możliwości
giętkiego ludzkiego ciała, dającego wykorzystać się ładnie w sztuce
genitalnego *origami*; na ekranie wszystko to było do przeji-
ścia, na ekranie nie wyglądało to strasznie, było nawet coś przy-
jemnego w tych chwilach, kiedy ludzie z ekranu tak łatwo udo-
wadniali, że można ominąć prawa fizyki, natury i geometrii,
wiążąc się prawie na supeł pełen westchnień i dramatycznych
jęków. Śmiechu było przy okazji co niemiara, zaśmiewaliśmy się
z ekranowych kochanków, śmieliśmy się z siebie i raz po raz
biała pościel, w której tarzaliśmy się słodko, wirowała jak gdyby
pozbawiona ciężaru, lżejsza niż piórko, lekka jak balon z helem,
wirowała nad naszymi ciałami, opadała na spoczone ciała i uno-
siła się znowu radośnie i szczęście zdawało się trwałe, takie lek-
kie i takie przyjemne.

*

Zaśmiewaliśmy się z aryjskich i włoskich ogierów i klaczy,
bawiliśmy się w naśladowanie, słuchaliśmy aryjskich onomato-
pei i było nam przyjemnie. Pewnego dnia mieliśmy się dopiero
przekonać, co kryje w sobie powielanie technik godzinnego szto-
su, aryjskich i włoskich sztuczek lizania i całowania, pewnego
dnia niezwykle jasno zobaczyliśmy w czym rzecz. Otóż w trakcie
którejś to już tego dnia miłosnej sesji, w ferworze i ekstazie cia-
ła, doleciał mnie nagle głos: *Weiter!... Weiter!...* Nie pełny głos
nawet, mocny, wyraźnie wyartykułowany, a szept albo jęk, coś

pomiędzy... Takie jakby delikatne westchnienie, tyle że całkiem dobrze słyszalne.

Pewnego dnia wyraźnie usłyszałem „weiter”. Zgłupiałem, sparciałem i skisłem, nie mogłem wydusić słowa. Skurczyłem się jak smagnięty najcieńszym biczem. Zdębiałem, byłem jak zamrożony. Rzecz jasna wiedziałem, co znaczy to degradujące mnie „weiter”, rozumiałem, że to prośba o jeszcze, ale co miałem zrobić, nie byłem przygotowany zupełnie i poraziło mnie słowo, którego nie spodziewałem się w łóżku. „Dlaczego?” – zapytałem w końcu, gdy już mogłem wydusić coś z siebie. – „Dlaczego?” – zapytałem zdruzgotany i w pomieszaniu. – „Dlaczego? Co się stało? Dlaczego?” – bełkotałem raz po raz, zniszczony.

*

I gdybym wtedy nie zadał tych rozpaczliwych pytań, i gdybym wtedy odpuścił i udał, że nie słyszałem, nie mógłbym dzisiaj powiedzieć tego, co za moment powiem i może naprawdę wszystko potoczyłoby się dalej inaczej. Ja jednak, znieruchomiały, sparciały, sfilcowany i znikły, a także w zasadzie i dla zasady gotowy już jakby do wyjścia, spytałem najidiotyczniej, choć także najzrozumiałej: „Dlaczego?”. I stało się to, co musiało i co było przepowiedziane w gwiazdach, i nadeszła sodomska godzina, i Pan wywarł na mnie swoją zemstę, i rozstało się niebo, i rozstał się sufit nade mną, i rozległ się potępieńczy chichot, którego wspomnienie boli. Wstrząsnął mną dreszcz tak potężny, wkroczyłem na niebotyczny szczyt i spadłem z niego tak strasznie, że bałem się, czy przeżyję. Wtedy też usłyszałem, a bodaj bym nie usłyszał, łagodny ton głosu mojej jasnowidzącej kobiety, mówiącej do mnie językiem tak obcym i tak nie na miejscu: *Du bist fantastisch! Wirklich! Oh! Weiter, weiter! Das ist so schön!*

Od tamtej pory na czas nieokreślony, na kilka ponurych tygodni zaprzestaliśmy aryjskich i włoskich seansów, moja jasnowidząca żona zgodziła się ze mną w tej kwestii. A także zgodziła się podjąć wspólnie ze mną badania nad Wschodem, nad seksem w wydaniu mistrzów mniej brutalnych, za to bardziej lirycznych. Przyjąłem z ulgą jej zgodę, licząc po cichu na to, że *hindi* oraz chińskiego nie nauczy się tak błyskawicznie.

ROZDZIAŁ VIII

Zawartość pięknego umysłu...

W domu Izajasza Anioła nazwiska Fiodora Dostojewskiego, Fryderyka Nietzschego, podobnie jak i lewicujących intelektualistów w typie Jeana-Paula Sartre'a nie pojawiały się wcale, bądź pojawiały się z rzadka i jedynie w sytuacjach wyjątkowych, z reguły jako przykłady wybitnie negatywne. Izajasz Anioł, posiadający olbrzymią bibliotekę myśli teologicznej, mistycznej i historii zakonów kontemplatywnych, nie miał książek wspomnianych autorów ani nie myślał też ich kategoriami. Uniezależniało to jego myślenie od – jak mawiał – pospolitego i prymitywnego w swoich odruchach warunkowych myślenia tak zwanych wybitnych intelektualistów, a także stwarzało miejsce, wielką połąć otwartej mentalnie przestrzeni, w której zjawienie się *sposobów myślenia innych od proponowanych* w tak zwanych opiniotwórczych kręgach było jedynie kwestią czasu i było nieuniknione. Że ci, jak o nich mówił z oczywistym przekąsem Izajasz Anioł, że ci tak zwani intelektualiści, których zresztą Izajasz Anioł w młodości jednak czytywał, cali byli właśnie z tego, to umykało mu i to ignorował. Izajasz Anioł wolał zapewne myśleć, że nie czytając Dostojewskiego czy Nietzschego i nie zgłębiając myśli opitych lekturą tej pary tak zwanych współczesnych intelektualistów, że zgłębiając się w żywoty braci mniejszych, a z punktu widzenia świata materii i konsumpcjonizmu szalonych, że brnąc w odczytania *Nauk ascetycznych* Grzegorza

z Nareku, *Kazań* mistrza Jana Taulera, *Drogi na Karmel* świętego Jana od Krzyża i *Traktatów* Mistrza Eckharta, bądź też zgłębiając podręczniki wypełnione widzeniami niekoniecznie nawet złudnymi, że w ten sposób zrywa z całą tradycją i szkołą tak uznawanego powszechnie wątpienia i tak szanowanej dziś podejrzliwości, i że idzie z tym w parze coś jeszcze. Nie zauważył mianowicie Izajasz Anioł, a ja nie znażyłem tak wiele, że- bym mógł mu to prosto przedstawić, że idąc krok w krok za świętymi Franciszkiem, Antonim i Pawłem, że krok w krok postępując za Hildegardą z Bingen i świętą Faustyną, oddala się wprawdzie od świata na trwale naznaczonego złem, lecz równocześnie gubi siebie, oddalając się od zdrowego ciała i zmysłów, wydając się na pastwę widzeń złudnych i wykańczających. Rzeczy, którą ja zrozumiałem niedawno, mój opiekun i mistrz nie rozumiał wcale.

*

Nieczytanie Dostojewskiego, Nietzschego ani też skromniej wątpiających, nieczytanie zamienione w modlitwę, post i lekturę tekstów świętego Tomasza, Szestowa, Ruusbroeca, ewangelistów i błogosławionych nie uchroniło Izajasza Anioła od choroby umysłu i duszy, od szaleństwa i straszliwych poniżeń, jakich zaznać może dziś zdiagnozowany schizofrenik. Same *Cztery Ewangelie* nie starczyły mu za skuteczny środek na wątpliwości, których wolał nie dopatrywać się w sobie, nie obroniło go trzymanie się wiary na sposób dziecięcy i ufny, o czym wspominam ze smutkiem i bez szyderstwa, ze smutną w gruncie rzeczy ironią, z ironicznym, ale bolesnym do rdzenia namysłem, ponieważ uważam, że brak w spisie lektur mojego nauczyciela tak Dostojewskiego jak Nietzschego i spółki nie sprawdził się wręcz najokrutniej i nie spełnił pokładanych nadziei. A szaleństwo pojawiło się nagle, by zawładnąć lekką duszą Anioła i odegnać od niego anioły, krążące wokół tej atletycznej postaci.

*

Z początku jednak, kiedy nie było jeszcze ani cienia, ani poddmuchu obłędu, nie poznając w domu Izajasza Anioła myśli Dostojewskiego, Nietzschego i reszty – jak mówił – sfalszowanych umysłowo kreatur, nie poznając, jak ich nazywał, lewicujących bądź klerkizujących tak zwanych gwiazd współczesnej humanistyki światowej, poznawałem pod czujnym okiem mentora żywoty świętych i opowieści o cudach zrodzonych z wiary w nieskończone miłosierdzie boskie, w które nigdy nie potrafiłem uwierzyć. Czytałem brane z pietyzmem i w karmelitańskim skupieniu żywoty świętych i błogosławionych, zaczytywałem się w życiowych przygodach i poglądach ludzi z panteonu chrześcijańskiej a przede wszystkim katolickiej i prawosławnej doktryny, a jedynym tego na lata efektem było – rzecz, która zgrozę i rozpacz tchnęłaby w pierś Izajasza, gdybym mu o tym kiedykolwiek powiedział – przekonanie, że tak szlachetne historie, hagiografie i apoftegmaty są jedynie skansenem kultury, wycinkiem z tego, co potrzebne światu i co w życiu jest najwartościowsze, tak dla ludzi, jak i dla całych społeczeństw. Doszedłem do tych heretyckich i wolnomyślnych idei dość późno i nie zdążyłem na szczęście obarczyć nimi poranionego serca Izajasza Anioła. Wierzę jednak, że Izajasz pojąłby to, chociaż byłoby to z jego punktu widzenia nieszczęście. I dlatego jeszcze większą niesprawiedliwością wydaje mi się jego choroba, ciemna chmura, w której stracił świadomość i duszę. Jeszcze straszliwszym szyderstwem wyzbytej jakichkolwiek bóstw czy bogów natury, czyli prawdy, więc dla mnie szyderstwem biologii i chemii przede wszystkim wydaje mi się jego schizofrenia poprzedzona melancholią, depresją i tysiącem mikroskopijnych śmierci, jakie stają się udziałem chorego, przeżywającego lęk o prawdę i świat. Jego choroba w formie skrajnej stawała się argumentem za niewiarą w Boga, jego choroba niszczyła wiarę u tych, którzy wcześniej zazdrościli mu zdrowia. Zwariował od tych modłów i postów – tak brzmiała obiegowa diagnoza, powtarzana przez suki grabarza i przez osiedlowych pijaczków, wiecznie złąknionych browaru i dni wolnych od jakiegokolwiek pracy. Walczenie z tą diagnozą nie miało sensu.

Jest jak jest i każdy, kto potrafi myśleć, sam musi ocenić, dlaczego Izajasz Anioł, człowiek pobożny i miłosierny, przyjmujący w swoich progach każdego i każdemu wyświadczający dobro, dlaczego człowiek ten popadł w szaleństwo, doświadczył klęsk oraz chorób i jak Hiob upokorzony został i w proch obrócony – przez Boga.

*

Dlaczego w proch rozsypano zawartość tej mądrej i szlachetnej czaszki? Każdy musi odpowiedzieć sobie na to pytanie sam. Jakim zamysłem kierował się katolicki Bóg Izajasza Anioła, zsyłając na niego klęskę i niszcząc jego zdrowie psychiczne? To temat do rozmyślań bez nadziei na znalezienie rozwiązania. Bez nadziei i równie daremnie, jakby siedziało się nad koanem życia, nad koanem, a więc jakby nad pustką. Ale – co powtarzam z uporem, tak stanowczo jak mogę – nie przysporzyło to chwały Panu Bogu, że Izajasz Anioł odleciał w świat drastycznych, schizofrenicznych urojeń, nie umocniło to wiary u bliskich tego malarza, rzeźbiarza, poety i mistyka, którym pozostał przez całe życie, choć epoka była niesprzyjająca. Wręcz przeciwnie, wiara jego bliskich skłęśla, skisła i zwiędła, cała wiara stała się nagle szalona, a więc – może – powróciła do świętego źródła, co by jeszcze tłumaczyło cokolwiek.

Dla mnie jednak nie ma tu nic niepojętego, niepojęta byłaby historia odwrotna. Niepojęta byłaby taka fabuła, w której wiara zostaje wzmocniona. Niepojęta, więc nie zdarzyła się, bo i nie mogła. Rozmawiałem – rzadko, bo rzadko – rozmawiałem z żoną Izajasza Anioła, obserwowałem jego dorastających synów, zamyslałem się nad okrutną i niesprawiedliwą puentą tego życiorysu i mnie także nie pomagało to wierzyć. Ale ja nie aspirowałem do wiary.

*

No ale ja nie wierzyłem od zawsze, nie wierzyłem i nie potrafiłem zaufać. Mnie nie była nigdy dana łaska, toteż nawet nie

próbowałem wierzyć w coś takiego jak sama wiara, nie myślałem nawet o wzniesieniu się na ten niedosiężny z mojego punktu widzenia poziom, na jakim wierzy się w samego Boga. Nie próbując, bo po co, uwierzyć w coś takiego jak Bóg i łaska, nie znajdując argumentów sensownych za istnieniem żadnych wiar i doktryn, nie widziałem sensowności wierzenia od początku na ile to tylko możliwe świadomego życia i niewiara moja była i pozostała dla mnie czymś zwyczajnym, nieistotnym, normalnym. Nie wierzyłem i mało też o wierze myślałem, co nie przeszkadzało mi zupełnie i dopiero ślub z jasnowidzącą odmienił nieco mój pogląd i poszerzył tak zwany horyzont. Izajasz Anioł, mój mentor, wierzył i – jak widziałem – pomagało mu to i szkodziło, było słodkie i gorzkie zarazem. Widziałem więc wyraźnie, że to jest nic innego, jak sposób prowadzenia swoich ziemskich spraw, inny styl życia i sposób: życie z wiarą czy też życie wiarą, życie w wierze wraz z wierzącymi bliźnimi. Wtedy to dowiedziałem się, że mnie pisane było życie bez wiary, życie wypełnione po brzegi niewiarą, niemożnością wierzenia i łaski. Nie byłem z tego powodu szczęśliwy, ale martwić się nie zamierzałem tak samo. Ani dziękować czy kląć. Przyjąłem to do wiadomości.

*

Mówienie o życiu w niewierze jest zresztą w moim niereformowalnym przypadku czystym i może nawet zbędnym uleganiem konwencji istniejącego języka, który, mówiąc oględnie, wypowiada nie myśli człowieka, lecz własną istotę i braki. Gdyby to zależało ode mnie, mówiłbym zupełnie inaczej, gdyby to tylko mogło zależeć od moich prywatnych obsesji, preferencji i uwarunkowań, mówiłbym z pewnością językiem, w którym odniesienia do metafizyki, do Boga i absolutów byłyby niemożliwe. Lecz metafizyka istnieje i to wyraźnie istnieje w języku, którym zmuszony jestem, jak my wszyscy, posługiwać się co dzień, aż do niechybnej i podejrzewam, że też nieomyślnej śmierci. Nie żalę się, a jedynie przyjmuję za fakt nie do obalenia, fakt w swojej niezmienności brutalny, że skazany jestem na używanie języka, zmuszającego mnie do złych kompromisów ze światem metafizyki.

zyki, który być może istnieje, jednak dla mnie pozostaje fikcją. W takich okolicznościach dobrze jest chociaż wiedzieć, czego nie pojął Izajasz Anioł i co mogło go uratować. Że po części i to części dość znacznej, te problemy zwane z dawna przekleństwem, te tak zwane przekłete problemy są zaledwie igraszkami języka, groźnymi gierkami, ale groźnymi do czasu. Pytanie, czemu ten język istnieje w takiej właśnie, nie innej postaci, czemu w języku istnieje ten mechanizm zwany metafizyką, a także, jak mającą, nieuleczalną tęsknotą za metafizyką jest też pytaniem metafizycznym. Dzięki czemu łatwo dostrzec i poznać, jak daleko doszło tu do zapętlenia, jak potężne jest tu pomieszenie.

A pytanie drugie, które zadałem sobie, zrozumiałem dopiero niedawno, pytanie o to, dlaczego niszcząc język, ten z wbudowaną w niego metafizyką i tęsknotą za metafizyką, niszczy się jednocześnie tak zwaną istotę tego, które znamy, człowieczeństwa, jest pytaniem jeszcze dalekosiężniejszym i jeszcze wyraźniej metafizycznie naznaczonym, tęszym więc głowom zostawiam przegryzanie się przez jego zawilóść. Ze swojej nieuczzonej strony zauważam jedynie spokojnie, że tak jak Izajasza Anioła nie ustrzegła przed chorobą umysłową wiara w celowe, Boską mocą sprawione istnienie metafizyki z jej zaświatową sforą i geografiją, tej właśnie metafizyki z wpisaną w nią tęsknotą nieusuwalną i jedyną w swoim rodzaju, sankcjonowaną przez język oraz jego możliwości kreacji, tak i mnie nie ustrzegła od licznych, po większości jak najbardziej jałowych rozważań moja niewiara, której ostrzem pociąłem i ten język i metafizykę.

*

Rozważania te notowałem z myślą o ludziach obu rodzajów, dla wierzących i dla niewierzących przemyślałem pewne zagadnienia. Pisałem to z myślą o dwóch grupach ludzi. O tych, którzy ufają także w język i jego zastane struktury oraz dla tych, którzy nie wierzą we wpisaną w te struktury metafizykę, transcendentne wymiary wszechświata wraz z Bogiem, który ma nad wszystkim czuwać. Dla nich Bóg to też twór językowy. Nie piszę dla tych, którzy dostrzegają obie strony medalu, dwa aspekty niejasnego istnienia, nie wymyślam też tego dla tych, co jak ja

nie potrafią pogodzić się z daremnością i niepocieszeniem. Wybór, mówiąc żartem, jest wciąż nieoczywisty. Dalej są egzegeci. Za nimi są egzorcyciści. Psychiatrów świadomie pomijam.

*

Mój własny wybór, wybór niewybierania, jest natomiast aktem świadomym. Dzięki temu wiem już, że jest to dla mnie i mojej konstrukcji psychofizycznej wybór jedynie dostępny. Nie mając w sobie nic z fanatyka i wyznawcy mogłem wybrać jedynie to i przypadek Izajasza Anioła okazał się w moim wyborze pomocą i argumentem za. Izajasz Anioł przed popadnięciem w umysłową chorobę był mi nauczycielem i spełniał funkcje nieistniejącego w moim życiu intelektualnym, duchowym i emocjonalnym rodzica. Tym większą więc odczuwam przykrość i jest mi jakoś nieswojo z tą myślą, że Bóg katolicki, w którego mój mistrz i opiekun wierzył równie mocno, co ja nie potrafiłem uwierzyć, że ten jego miłosierny i tylekroć przywoływany w modlitwach Bóg, po raz kolejny od stworzenia świata dopuścił do upodlenia i jawnej degrengolady tak wspaniałego człowieka, cudownego egzemplarza gatunku.

Izajasz Anioł mógł zostać kolejnym prorokiem, Izajasz Anioł mógł być prawą ręką Boga, a stał się udręczonym trywialnymi, a także egzystencjalnymi, a z czasem podobnie apokaliptycznymi lękami zwyczajnym schizofrenikiem. Nie widzę w jego losie sensu i to jest – jak mi się zdaje i nawet nie zmartwiłbym się, gdybym się pomylił – to jest jedyny sens właśnie: że nie widzę w jego losie żadnego sensu. Od wielu lat żyję i pracuję w całkowitym bezsensie, myślę i piszę w obliczu całkowitej nieobecności sensu, dlatego jest dla mnie rzeczą nie tak straszną, że być może jedyny sens historii życia, legendy o wzlocie i upadku Izajasza Anioła leży w jej widocznym gołym okiem bezsensie.

*

Niełatwo opanować sztukę niedomagania się sensu, niedopytywania o sens i zważania na to, że być może żadnych sensów

nie ma, że jest bezsens i przestronna ciemność. Sensu być nie musi i nikt nie jest w stanie go udowodnić. Żałuję, że dopiero teraz to widzę, bo gdybym zobaczył wcześniej, być może powiedziałbym to mojemu nieulekłemu do czasu choroby psychicznej nauczycielowi, mojemu duchowemu, emocjonalnemu i przede wszystkim intelektualnemu ojcu, kochanemu przeze mnie z oddaniem, na jakie mnie było stać. Powiedziałbym to Izajaszowi Aniołowi, którego choroba psychiczna dotknęła mnie tak samo, jak choroba psychicznej drugiej ważnej, choć inaczej, osoby, mojej rodzonej matki, mojej rodzonej, rozedrganej matki. Dni spędzone w towarzystwie i pod opieką Izajasza Anioła były wyjątkowe i najpiękniejsze być może w całym moim nie tak łatwym życiu, a na pewno w całym moim dzieciństwie. Domostwo Izajasza Anioła było moją arkadyjską krainą, jak też rajem odzyskiwanym po stracie raję rodzinnego domu, skąd przychodziłem, jak przychodzi się z jądra ciemności. Mój dom oznaczał chaos i klęskę, zaś dom Izajasza Anioła był oazą najcieplejszego spokoju i miejscem, w którym mogłem nabrać energii do nastoletniego, obudzonego życia. Pozwalało mi to domostwo ocalić duszę, rozum i uczucia, tracone przeze mnie niemal co dzień w obliczu szaleństw popełnianych przez najbliższych w moim własnym domu.

*

Domostwo Izajasza Anioła to były zwierzęta i książki, starocie, szpargały, cymelia, to były rzeźby, obrazy i wiersze autorstwa Izajaszowej wyobraźni, prace jego rąk i wielu godzin namysłu, którego potrzebował przed rozpoczęciem czegokolwiek. Nic innego jak to właśnie domostwo ukształtowało moją estetykę, dzięki temu natłokowi przedmiotów odnalazłem w sobie samym wolność, to mieszkanie z jego empirowym przepychem na równi z siermiężnymi wytworami komunistycznej tandety ukształtowało mój sposób widzenia oraz styl czy też bezstyl mówienia. To właśnie nagromadzenie przedmiotów w dwupokojowym mieszkaniu plus świecące gołymi półkami sklepy wytworzyły we mnie dosyć napięcia, bym zrozumiał, czym jest kraj,

w którym rośłem. Szyderczo, ja także szyderczo mówiłem o cywilizacji komunizmu, szyderczo i jadowicie, bo przecież żadnej cywilizacji komunizmu nie było i być żadną miarą nie mogło, gdyż komunizm w swoim chamstwie i nędzy stanowił zaprzeczenie jakiejkolwiek cywilizacji, pozostając do ostatniego dnia antycywilizacją i antyestetyką. Mieszkanie zaś Izajasza Anioła było z punktu widzenia estetyki mieszczańskiej zagracone do biedniackiej obrzydliwości, dla mnie jednak było miejscem wykwintnym o największej i piorunującej elegancji. Pod sufitem wisiały tam poziomo równo ułożone wąskie i szerokie deski, na których stały rzeźby drewniane, metalowe i kamienne. Pod sufitem także zaczepione wisiały kwiaty pnące się w każdą stronę, ściany pełne były wielkich obrazów, malowanych świetnym pędzlem Anioła, a nad stołem w malusieńkiej kuchni, gdzie również pełno było obrazów i rzeźb, przytwierdzony do lampy kołysał się i okręcał wokół niewidzialnej osi *mobile*, pierwszy jakiego w życiu widziałem.

*

Zachwyty jakiego doświadczyłem już podczas pierwszej wizyty w owym miejscu, zagraconym z taką beztroską i nieokiełznaną fantazją, zauroczenie jakiego padłem ofiarą na widok mieszkania tak niesztampowo urządzonego przez jego mieszkańców z Izajaszem Aniołem na czele, okazał się trwalszy niż myślałem i dziś jeszcze ściska za gardło. Oniemienie, w jakie popadłem na pierwszy widok pomieszczenia z tak cudownie zaaranżowaną i wypełnioną przestrzenią, trwał wiele lat, prawie dwadzieścia i dopiero później pojawiła się i kiełkować zaczęła w mojej głowie myśl, że być może to, co dla mnie było najwspanialszym objawieniem ludzkiego ducha wolnego od konwenansu i typowej, morderczej w każdej postaci obawy przed tym, co też powiedzą ludzie, co powiedzą suki grabarza i jak na to zareagują znajomi suk grabarza, że to, co dla mnie było piękne, naprawdę wcale piękne nie było, że okazało się jeszcze jednym dziecinnym widzeniem, złudnym i przemijającym. Dobrze żeśmy wiedzieli, to jest wiedział Izajasz Anioł, a ja już wtedy domyślałem się, jak to

jest pośród wściekłych i głupich suk grabarza, które same nie wezmą i drugiemu nie dadzą, jak to jest pośród nich i ich znajomych, które niszczą swoich wiecznie skutych browarem mężów, a ponieważ tej zbrodni sukom grabarza mało, chciałyby zniszczyć też wszystkich, którzy się od nich różnią – dobrze to wiedzieliśmy już wtedy i zupełnie nas to nie obchodziło.

*

I tutaj przypomniało mi się, co na ten temat miała do powiedzenia moja babka Stefania, a myśl jej może nieco zawiła, ponieważ zmetaforyzowana, pasowała do sytuacji jak ulał, dlatego ją tutaj powtórzę. „Ludzie? – upewniała się moja babka Stefania, kiedy mówiłem jej, że ktoś coś o kimś powiedział, czyli naplotkował. – Ludzie to srają po udzie, he, he” – rechotała i tak wyrażała swój sprzeciw. Sprzeciw przeciwko obmowie, której sama po wielokroć doświadczyła.

Izajasz Anioł zapewne nigdy by tak nie powiedział, Izajasz Anioł nie przeklinał nigdy, ale pewnie z moją babką Stefanią zgodziłby się co do istoty rzeczy.

*

Urządzone przez Izajasza Anioła mieszkanie, w którego umeblowanie zaangażował się z właściwą sobie siłą i ekstrawagancją było tak oczywistym dowodem nieprzystosowania tego pięknego i miłosiernego człowieka, było tak jawnym wyrazem jego pogmatwanej osobowości, której nawet ortodoksyjnie uprawiany katolicyzm nie potrafił okiełznać i uspokoić, że dziwi mnie, jak to możliwe, że z tak olbrzymim spóźnieniem dostrzegłem w Izajaszu Aniele to, co latami nieświadomie obserwowałem. Było to po prostu absolutne respektowanie wolności woli i fantazji własnej oraz cudzej, a także równie absolutne podporządkowanie się prawom własnej osobowości twórczej, intuicyjne i bezbłędne pójście za głosem posiadanego talentu. Była to siła zdolna walczyć mocno o siebie.

Z tej przyczyny wyjątkowość natury mojego mistrza Izajasza Anioła nie ulegała dla mnie wątpliwości. Lubiłem jego dom z całym biedniackim przepychem, lubiłem artystyczne zacięcie, z jakim Izajasz tworzył atmosferę i aurę, podobały mi się rzeźby, malunki, zanurzałem się między rozchybotane regały i półki, buszowałem po kątach pokoi, myszkowałem, brałem książki i płyty. Mój padrone patrzył okiem łaskawym i pozwalał, bym korzystał z wszystkiego, więc chłonałem wszystko, co mi ten dom oferował, intensywnie i bez zastanowienia, z wdzięcznością autentycznie dozągoną. Dzisiaj wiem, jakim to wielkim dobrem dzielił się ze mną Izajasz, słynący z mądrości i miękkiego serca, dziś wiem, co mi tam podarował, gdy przychodziłem dzień po dniu. Wiem też dobrze, że bez tamtych lat ciszy i spokoju nieosiągalnego gdzie indziej, bez nauk Izajasza Anioła, bez podsuwanych mi lektur i bez wykładów na temat sztuki, filozofii, religii i polityki, a nawet zielarstwa i naturalnych sposobów leczenia, że byłbym bez tego kaleką, ponieważ byłbym kimś innym. Nie umiałbym słuchać muzyki Brahmsa, Liszta i Vivaldiego, nie znałbym grupy Osjan, SBB ani Czesława Niemena, nie umiałbym tak naprawdę czytać z namysłem i zrozumieniem, w ogóle nic bym nie umiał, nie wiedziałbym nic o nauce. A może, czasami przemyka ta myśl przez przestronne ciemności mojej głowy tak dalekiej obecnie od Izajasza Anioła, może nie byłoby mnie wcale, byłym kimś, kogo nigdy nie było. To jest możliwe, choć brzmi nieprawdopodobnie.

Nie ma we mnie, kiedy piszę te słowa, kokieterii, uśmieszków, zabawy. I zrozumiałby mnie mój Izajasz, gdyby nie jego choroba.

ROZDZIAŁ IX

Dylematy wieczne, widzenia wciąż złudne...

Mojej jasnowidzącej kobiety broniły przede mną, narratorem przygodnym i nieokiełznanym, nawet moje cudownie, lecz nigdy dość trwale zaślepione kochanki. A że poziom ich zaślepienia wzrastał niepomiaralnie podczas naszych utajnionych schadzek, więc niekiedy rósł też we mnie niepokój. Były chwile, że widziałem wprost czarno i to sprawy dla pisania istotne. Czarnowidztwo moje dotyczyło – tak powiem – spraw, było nie było, dla opowieści kluczowych. Stawała oto przede mną kwestia w postaci priorytetowego pytania, które tak postawiła Mercedes, ostatnia z zaślepionych kochanek:

– Na ile krzywdzisz osoby, o których tak beztrosko piszesz?

Siedzieliśmy w mieszkaniu Mercedes, jedliśmy śniadaniowe tosty i pytanie to padło tak nieoczekiwanie, że postanowiłem odpowiedzieć szczerze.

– Nie mam pojęcia, kochana – odpowiadałem szczerze i widziałem, jak ta odpowiedź mrozi krew w żyłach mojej cudownej Mercedes, kochanki bieglej i inteligentnej, lecz zaślepionej tak samo, jak wszystkie jej poprzedniczki.

– Jak to? – Mercedes była w ewidentnym szoku. Nie spodziewała się chyba z mojej strony aż takiej dezynwoltury.

*

Dylemat, o którym tu mowa – wiedziałem to teoretycznie od dawna – mroził krew w żyłach moich cudownie zaślepionych kochanek, z których każda w głębi serca drżała, bym i o niej nie napisał podstępnie. Każda bała się ludzkim strachem totalnego obciachu i wpadki, gdybym wspomniał o zabawnych pierdołach i wyciągnął to i owo na jaw. Było to niebezpieczne, ponieważ realne – ja zwykłem po prostu wszystko notować codziennie jak leci. A że nigdy tego nie ukrywałem, musiałem tłumaczyć się gęsto, szczególnie kobietom tak bliskim i przy mnie tak – w każdym sensie – nagim. Powstawały z tego powodu kłótnie, sprzeczki lżejsze i starcia wręcz krwawe. Zwłaszcza, że rzecz dotyczyła problemów istotnych dla sztuki.

Na przykład, a mógłbym wymieniać długo, więc poprzestaną na jednym przykładzie, otóż na przykład półtoragodzinna rozmowa z Mercedes, kochanką czułą i inteligentną, wzmogła we mnie niepokój związany z tą ludzką, wręcz arcyłudzką nieumiejętnością odróżniania fikcji literackiej od rzeczywistości. Co było tym boleśniejsze, im pewniejszy byłem, że urocza Mercedes, kiedy chce, to potrafi myśleć – ale tutaj najwyraźniej nie chciała. Poróżniliśmy się i to okrutnie. Mercedes zajęła stanowisko niezłomnej obrończyni ludzkiej, a konkretnie żoninej godności, podczas gdy ja równie mocno akcentowałem kreatorskie prawa. Próbowiałem przekonać Mercedes, że autor ma niezbywalne prawo, by z biografii autentycznych osób lepić życia fikcyjne i obce, lecz próby moje i prośby dramatycznie spełzały na niczym. Moja cudownie zaślepiona kochanka, mimo że była pod wrażeniem i słuchała w milczącym skupieniu, nie brała mnie na poważnie i na pewno – ignorowała. Moja zaślepiona Mercedes słuchała, milczała, nie ruszała się, a jednak widziałem dobrze, co się święci i co się szykuje. Oboje wykazaliśmy się nieprzejednaniem i konkluzji godzącej sprzeczne interesy nie udało się nam wypracować. Ja mówiłem o estetyce, Mercedes zbaczała w stronę etyki. Mercedes obstawała przy aspekcie dwuznaczności moralnej pisania i przy prostej odpowiedzialności autora za samopoczucie pierwowzoru literackiej postaci, ja nalegałem, by dać autorowi spokój, immunitet i *carte blanche* na dowolność w korzystaniu

z przypadkowych realiów, które służą ledwie jako dekoracja. Trudny spór, niemożliwy do rozstrzygnięcia. Za oknami przesuwała się burza, dzień następny miał być pełen śniegu, jesień szybko zamieniała się w zimę jak stary Schulz w karakona.

*

– Popatrz – powiedziałem nagle, olśniony prostotą druzgoczącego przykładu, rzecz jasna, że fałszywego i tendencyjnego jak rzadko. – Za oknami przesuwa się burza, jesień szybko zamienia się w zimę. A pamiętasz, *à propos*, starego Schulza? Jak zamienił się w obrzydliwego karakona? I zobacz – agitowałem dalej świadom popełnianego bluźnierstwa – nikt dziś nie lamentuje nad poniżeniem straszliwym, jakiego stary Schulz zaznał na kartach opowiadań syna. Nie ma dziś takich, co by się za starym Schulzem, przemienionym przez bystrą latorośl w karakona odrażającego, ujęli. Nikomu dzisiaj do głowy nie przyjdzie, by odsądzać zdolnego Brunona od czci i wiary synowskiej w rodzinny *savoir-vivre* wyłącznie z tego powodu, że swego najprawdziwszego ojca, odklejonego od rzeczywistości widzialnej marnego bławatnego kupca, wpierw bezlitośnie kilkoma pod względem artystycznym pierwszorzędnymi zdaniami zamienił w obrzydliwe, budzące litość i trwogę karakona, a następnie pozwolił uśmiercić tegoż karakona w sposób najoczywściej cyniczny i bestialski. I to komu? Czyimi rękami? Rękami własnej, odklejonego od rzeczywistości kupca bławatnego żony, matki niegodziwego Brunona, której też nieźle dostało się od artysty. A jeśli dodać do tego na koniec akapit lub dwa z tych intymnych, o tragicznym w sensie ścisłym finale, bez obawy będzie można uznać, że ten synek bławatnej rodziny to prawdziwa zakała rodu i Schulzowie nie powinni być dumni. I kto jeszcze chciałby toto czytać? Kto chciałby czytać te zdania, te obraźliwe szyderstwa – zapytałem jeszcze raz i sięgnąłem i przeczytałem fragment: „Zakłęsy między wieloma swymi kabłąkowatymi nogami, przebierał nimi nieznacznie. Uniesione nieco szczypcę i wąsy zdawały się nasłuchiwać.”

– Co ty na to? – spytałem tryumfalnie. – Czytać dalej? Czy może masz dosyć?

– Czytaj – Mercedes była zdecydowana wytrwać. Czytałem więc dalej: „Wstrząsnąłem się z instynktowną odrazą, śledząc wielocłonkową wędrówkę, posuwającą się z łopotem po papierowych tapetach. Ojciec tymczasem doszedł do małej wmurowanej szafki kuchennej, przez chwilę przegiął się na jej krawędzi, badając szczypcami teren wewnątrz szafki, po czym wlaźł cały do środka.”

– Nic mocniejszego nie masz? To tyle? – przerwała złośliwie Mercedes.

– Mam – sapnąłem. Przewertowałem książkę dwa razy, aż trafiłem na poszukiwany fragment. – To będzie najbardziej braurowy opis zatwardzenia w literaturze światowej.

*

– Czego? – oczy Mercedes zrobiły się kwadratowe.

– Zatwardzenia – wyszczałem z jadowitością kobry i wziąłem się do czytania: „Słyszeliśmy łomot walki i jęk ojca, jęk tytana ze złamanym biodrem, który jeszcze urąga. Nie widziałem nigdy proroków Starego Testamentu, ale na widok tego męża, którego gniew boży obalił, rozkraczonego szeroko na ogromnym porcelanowym urynale, zakrytego wichrem ramion, chmurą rozpaczliwych łamańców...” – zerknąłem w stronę Mercedes i przerwałem czytanie.

Moja cudownie zaślepiona kochanka siedziała na kanapie sztywno, z oczami wbitymi w narzutę, a na jej zaróżowionej twarzy malowało się obrzydzenie i ciężka wewnętrzna walka, którą zapewne przegrała, skoro zerwała się z miejsca i z zasłoniętymi dłońmi ustami pobiegła do toalety, bo jednak – wiedziałem to zawsze – nie brakowało jej wrażliwości.

Kiedy wróciła, pozieleniała i wściekła, milczała i patrzyła na mnie z pogardą. Wcale nie zamierzała przyznać się do porażki, wcale nie zamierzała przyznać, że w kwestii sztuki pisarskiej mam rację. Dla niej istniały tabu inne niż dla Luizy, a jednak także istniały. Nie pomagało tłumaczenie, żaden argument nie działał. Nie przekonałem Mercedes. Ale i ja sam miałem zdanie wyrobione od dawna na temat praw kreowania postaci. I Merce-

des wiedziała dobrze, że cokolwiek by nie powiedziała, ja i tak, jeśli zechcę napisać cokolwiek, to napiszę bez taryfy ulgowej.

Miała rację. Była inteligentna i słusznie się obawiała, że z życia jej i jej poprzedniczek też można by zrobić fikcję.

*

Swoją drogą, pouczenia moralne udzielane mi przez kobiety zupełnie różne, ale zawsze jak gdyby uczuciowo niepoczytalne były zawsze w pewnym sensie paradoksem. Akurat nie o Mercedes tu chodzi. Zdarzało się jednak, że pouczeń moralnych słu-chałem z pięknych ust kobiety, która była przeze mnie i dla mnie cudownie zaślepioną kochanką. Zdarzało się, że wszelkich wska-zówek nasłuchiwałem się z ust kobiety, zaślepionej kochanki uro-czej, która miała odwagę mówić o tym, co wolno i można mimo wspólnych regularnych kontaktów, podczas których polerowali-śmy rogi jej mężowi, chłopakowi, a nawet bywało, że narzecz-o-nemu. Niby nic, a jednak nieswojo. Swoją drogą, pouczenia mo-ralne udzielane mi przez kobietę regularnie przyprawiającą ze mną rogi swojemu towarzyszowi życia, nie mogły brzmieć dosta-tecznie poważnie. Jeżeli istnieje dziedzina, w której należy oka-zywać zalety moralne, to jest nią chyba związek i tak zwane zwykłe szare życie. I to zwykłe, to codzienne życie z większym utęsknieniem czeka na moralność niż fikcja przelewana z wy-obrażni na papier przy dość znacznym przerysowaniu zdarzeń.

*

Tak więc argumentacja moja była równie nie do pobicia, jak nie do przejścia było żelazne przekonanie żywione przez wszyst-kie cudownie zaślepione kochanki, nalegające, bym uznał, że jednak nie jest w porządku, gdy pisanie i publikowanie dotyczy osób znanych poufnie, intymnie i gruntownie. A ponieważ ja nie miałem zamiaru poddać się presji ogółu zaślepionych cudownie kochanek, nie pozostawało mi nic innego, jak mnożyć przykłady i bronić prawa artysty, choćby i skryby zwykłego, szaraczka w genialnym fachu.

*

– Posłuchaj – mówiłem łagodnie nie wiem który już raz inteligentnej Mercedes. – Posłuchaj, bo to jest istotne. Na kartach literatury światowej nie ma czegoś takiego jak człowiek. Na kartach arcydzieł literatury światowej, a już na pewno na kartach dzieł grafomańskich są tylko słowa, lepiej lub gorzej złączone, małe czarne, niepozorne znaczki uformowane przez drukarską farbę. A nawet jeśli zieloną, to fakt pozostaje faktem: człowieka wśród tych znaczków nie ma, bo człowiek – podnosiłem głos do emfazy, by osiągnąć retoryczny efekt – człowiek to się nawet rzadko we własne życie mieści. Nawet tak zwane ramy człowieczego żywota za ciasne są dla żywego – z krwi, kości, żył, mięśni i ścięgien, z wody, węgla i reszty tablicy Mendelejewa, z tkanek, komórek i czego tam kto chce jeszcze – człowieka. Zrozum – wzmacniałem swoje słowa w udręce, widząc w oczach tej jednej z absolutnie cudownie zaślepionych kochanek absolutny i wcale nie cudowny brak wyrozumiałości – zrozum, śliczna, ja nie mam absolutnie ochoty pisać prawdy i jedynie prawdy, jak niektórzy obłąkańcy dzisiejsi, zwłaszcza ci fanatycznie wierzący. Otóż ja nie mam na to ochoty i nie uważam zupełnie, jak niektórzy dziś obłąkańcy, żeby wyłącznie prawda mogła w życiu pomagać i krzepić. Ja to najwyżej tak sobie lubię wieczorami dla zabawy popisać, ponotować, trochę powymyślać. Nic na serio – same figliki. Tak jest, lubię pokonfabulować z wieczora. A więc czasem – poczułem na koniec – czasem prawda, a czasem zmyślenie. Czy rozumiesz? – łudziłem się. Pozostawał jeszcze jeden argument. – Tu i teraz, wszem i wobec oświadczam, że nie przyszło mi ani razu do głowy, żeby znęcać się nad moją jasnowidzącą żoną, kobietą pełną cnót i talentów. Różnie było – kończyłem zmęczony – i co było, to było, jednak żony nie przestałem szanować... Może czasem trochę sobie z niej zakpię. Ale przecież – dodawałem natychmiast – przecież z siebie drwię najmocniej, najokrutniej i najbezwzględniej. Siebie ośmieszam najbardziej, rozumiesz? Widzisz to? Powiedz?

*

Rozpaczliwe to były przemowy i każda niemal kończyła się fiaskiem. Wszystkie moje zaślepione kochanki nabierały w dodatku złowrogiej pewności, że pisarze to nocne koszmary, łotry, świnie i krwiożercze bestie. Co zresztą nie miało się bardzo z rzeczywistym obrazem rzeczy.

*

Najdojrzalsze w całym zamieszaniu było zachowanie mojej jasnowidzącej Luizy, która trzymała do wszystkiego dystans. Z wielką klasą zносиła Luiza zarówno lekturę moich konfabulowanych ekscesów, które w pewnym momencie zacząłem jej we fragmentach serwować, jak i ataki obrończyń jej jasnowidzkiej i przede wszystkim kobiecej czci i godności. Jej wstrzemięźliwość co do wypowiedzianych zdań, a także jej znakomite poczucie humoru, dzięki którym mogłem zupełnie bez lęku dać jej do przeczytania co pikantniejsze z wynurzeń, całe jej doskonałe jeststwo i wielkość duchowa ratowały mnie z przykrej opresji, pozwalały nie martwić się sforą suk grabarza i tabunem zaślepionych cudownie kochanek.

Mężczyznami nie martwiłem się nigdy, nie umieli nigdy ranić tak mocno. To kobiety były zawsze najcelniej i jedynie kilka z nich było innych. Wśród nich Luiza. Jej łagodne podejście do tekstu odczytywanego zawsze na gorąco, jej wnikliwe i pogłębiające moje własne rozumienie pisanych zdań uwagi, jej potężna i jak wzór niedościgła kobiecość, macierzyńska i wszechogarniająca wyrozumiałość dla moich fanaberii, oszczędzały mi w tej dość dwuznacznej duchowo, życiowo i literacko sytuacji napięć i możliwych stresów, pozwalały mi pisać jak chciałem, przyzywały na nieuniknione. Za to jestem jej ogromnie wdzięczny i za to ją ogromnie podziwiam. A o mojej jasnowidzącej kobiecie wiem to samo, co wiedziałem zawsze, a więc tyle, ile sobie zmyśliłem, komponując z ułamków wydarzeń.

*

Pochyłam się nad wspomnieniami, obserwuję je, próbuję uporządkować fragmenty wyszarpanej światu intymności, wyłuskać próbuję piękno z rozpanoszonej dokoła ohydy. Chcę zająć się tylko tym pięknem, nieobecnością i smutkiem, tym smutkiem, który potrafi zaistnieć wyłącznie na tle przeogromnej pustki. W wielkiej chorobie okazuje się zdrowie – myślę – okazuje się najprawdziwsze zdrowie. Ale nie to banalne, naturalne, normalne, nie – to obce, odmienne, szalone. Całkowicie i niepospolicie szalone. I muszę wam powtarzać, że nie ma szans na porozumienie. Niemożliwe jest zrozumienie, chociaż starać się jest obowiązkiem. I muszę uczulić was na to i ostrzec, byście nie uwierzyli na próżno. Pochyłam się nad wspomnieniami i zdarzeniami z tych wspomnień, składam w całość to, co całością na pewno nie będzie już nigdy. I nie czekam na końcowy rezultat, ponieważ dobrze wiem, jaki będzie. Na nic nie czekam, bo po co. Przecież to mi nie wróci przeszłości.

ROZDZIAŁ X

Tymczasem legendy krążyły...

Legendy, legendy krążyły o mojej jasnowidzącej kobiecie. Jej sława zataczała kręgi, jej imię wymieniano w rozmowach, jej duchowe i cielesne zasługi omawiano w kolorowych pismach na równi z jej psychotronicznymi talentami i osiągnięciami w dziedzinie. Domeną jej były widzenia, piętnowane przez Izajasza Anioła, który przy każdej okazji głosił wyższość katolickiego Kościoła. Izajasz nie miał jednak żadnego autorytetu w kobiecej prasie. Luiza to co innego, jej chętnie proponowano rubrykę, zachęcano, by opowiadała o klientach i o swojej pracy, ale ona wolała – przynajmniej do pewnego czasu – odmówić i mieć święty spokój, by doskonalić swój warsztat. A jednak pisano o niej i obgadywano straszliwie. Jakby w kraju brakowało afer na początku nowego milenium. A przecież nie brakowało, pod dostatkiem było różnych przekrętów, przy których Luiza naprawdę nie wydawała się specjalnie ciekawa. A jednak, powtarzam, pisali i komentowali ją wszyscy.

*

Prawdziwe życie mojej jasnowidzącej kobiety urastało w tych opowieściach tak ogromnie, że nie było to już jedno życie, ale dwa albo pięć – coraz więcej. Skromność wrodzona, wsparta latami nabytej praktyki, nie pozwalała mojej jasnowidzącej żonie

zaznać spokoju i szczęścia. Nie cieszyły jej fantastyczne plotki, dzięki którym znano ją w elitarnych kręgach, nie radowała jej myśl, że oto ona, skromna dziewczyna z wioski, dostępuje wyróżnienia i chwały, że dorównuje już albo i przewyższa Helenę Pietrowną, madame Bławatską, Paracelsusa, neopogan, Crowley'a, scjentystów, Medjugorie i Lourdes. *A channeling* w jej wykonaniu to była już klasyka gatunku, temat wielu entuzjastycznych omówień, doktoratów i prac magisterskich. Wolałaby anonimowość, starczyłaby jej sława lokalna, nie potrzebowała rozgłosu, męczył ją i podrażniał. Fama jednak poszła w świat, zresztą trochę wcześniej sama wywróżyła to sobie z kart. A że skorzystała nie z run, a z tarota, poznałem, że nie to było ważne. Nie martwiłem się więc, że ją wchłoną smutki sławy i rozkosze pychy. Praca uodporniała ją na pokusy niepraktycznych rozmyślań. W wirze licznych jasnowidzkich zatrudnień i codziennych, równie trudnych zajęć, jakimi bez końca parała się moja wtedy już legendarna żona, malały problemy sławy i związanych z nią niepospolitych cierpień. Malały tak dalece, aż znikły, jak za sprawą całkiem drobnych czarów.

*

Legendy, legendy krążyły także na temat jej uwodzicielskiej mocy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, jak wiotkie i smukłe ciało tej pięknej transcendentalnie kobiety potężne kryło w sobie apetyty, szczególnie na seks i miłosne przygody. Jak olbrzymie i nienasycone żądze kryła w sobie ta cnotliwa i subtelna powłoka. Dwoiłem się i troiłem, robiłem w łóżku i poza łóżkiem wszystko, co mogłem i na co pozwalał mi własny, niemały też temperament. Niekiedy odnosiłem nawet drobny, lecz spektakularny sukces, bywały zbliżenia zwieńczone tektonicznymi wstrząsami. Jednakże najczęściej kończyłem w poczuciu sromotnej porażki; bywało nienadzwyczajnie, bywało, że ziemia nie drżała. Ceniłem delikatność mojej jasnowidzącej kobiety, ceniłem jej wdzięk, z bólem serca godziłem się także na skromność, nie potrafiłem tylko przekonać jej do niektórych, szczególnie przeze mnie lubianych, niegroźnych dziedzin perwersji, o których, przez wzgląd na Luizę, nie wspomnę.

Luizy bronił przede mną ogrom wyuzdanej pruderii, odkryłem, że – nie ma siły – tak właśnie muszę to nazwać. Jest ona – wyuzdana pruderia – od dni tamtych moją wielką słabością. Jest słabością w złym sensie, bo przywodzi do mnie złe myśli. Oto bowiem nie umiałem sprawić, nie umiałem w żaden sposób osiągnąć, by przytomność mojej jasnowidzącej żony choć na moment uległa zatracie. By na chwilę postradała zmysły. Bym jak inkub wziął ją w posiadanie, zamroczoną erotycznym szałem. Jej zmysłowa, organoleptyczna nieomylność stawiała ją wysoko w hierarchii kochanek stulecia. Naturalna historia jej zmysłów znana akurat mnie nie tylko w cenzurowanych przez skromność fragmentach, mogła budzić i budziła zazdrość, mogła oczarować i oczarowywała. Była to kobieta niezwykła, której zarzucić dało się jedynie zbyt dokładnie rozwiniętą świadomość własnych przezwag cielesno-duchowych. Prócz tego bez zarzutu była w swej dojrzałości, nie żałowałem więc mężczyzn, których z miejsca kładła przed sobą trupem, którzy ulegli jasnej magii jej kokieterii, podobnie jak ja ulegałem jej przez lata naszego małżeństwa. Mój zachwyty okazał się tak bezkrytyczny i tak pozbawiony ironii, że zdawał się być organiczną częścią większego jak gdyby zachwyty – wielkim początkiem mojego zauroczenia naturą i jej wytworami, takimi jak czysta i wieczna kobiecość. Natura w osobie mojej jasnowidzącej żony stworzyła kobiecość lubiącą ezoterykę i Orient, pragnącą sztuki zmysłowej i niekoniecznie współczesnej, na której znała się dosyć, by umieć się znaleźć w rozmowie. O ile to była natura, czego nie gwarantuję...

ROZDZIAŁ XI

Między oddechem a ciałem...

Kawałek srebra ślizgający się melodyjnie w te i we w te między sromem i odbytem. Ślizgający się melodyjnie w te i we w te między sromem i odbytem kawałek srebra. Uderzenia czerwonego, ciepłego i wilgotnego kawałka mięsa o mały, różowy kawałek mięsa. Do bólu. Do bezdechu. I jeszcze raz do bólu. Ręce ześlizgujące się z ud, piersi, ręce pod pośladkami, ręce poruszające się po całej skórze jak kraby.

Ciało w ciało, skóra w skórę, aż do utraty kontroli nad tym, co moje, a co nie moje.

*

– Przestań, Norbert – głos Mercedes z zaświatów. – Bo oszaleję. Oszaleję i to wszystko zniknie! Przytul mnie, podaj mi papierosa – głos Mercedes doszedł mnie z daleka, nic dziwnego skoro jeszcze przed chwilą uszy miałem zatkane jej kolanami.

– Proszę – podałem jej zapalonego camela i sam zapaliłem drugiego.

Nasycona wilgocią przerwa między seksem a seksem. Dwa ogniki cameli w ciemnościach, zapałka gasnąca w popiołce.

– Dlaczego powiedziałaś przed chwilą, jeżeli dobrze słyszałem, że to wszystko zniknie?

– Czasem tak mam – Mercedes nie wydawała się zainteresowana udzieleniem odpowiedzi.

– Jak?

– Jak by ci to powiedzieć – Mercedes postanowiła jednak, że powie. – Widzisz, to wszystko w tym pokoju jest, prawda?

– No jest – przytaknąłem.

– A kiedy dochodzę, mam wrażenie, że wszystko znika.

– Jak to? Nie mów, że i ty doświadczasz osiemnastu rodzajów pustki – zażartowałem. – Podobno jest ich aż tyle.

– Daj mi dokończyć, nie przerywaj – Mercedes posłała mi uciszające spojrzenie. – Zostaje mgła, ściana mgły, nie ma łóżka, nie ma stołu, nie ma okna, nie ma, nie obraż się, siebie. Nie mówię, że to jest pustka, jeden z jej – uśmiechnęła się i mrugnęła do mnie – osiemnastu rodzajów, ale...

– Mnie nie ma? – poczułem się autentycznie dotknięty. Tyle wspólnego wysiłku, tyle zabawy, a tutaj, proszę, mnie nie ma.

– Tak – Mercedes spokojnie przytaknęła.

– No to co jest?

– Orgazm – przy tym słowie prawie że miała go znowu.

Gwizdnąłem z uznaniem.

– Aż tak? – zapytałem. – I to ja ci tak robię? – chciałem się upewnić.

– Nie pochlebiaj sobie. Sama to sobie robię. Ty mi tylko pomagasz.

– Naprawdę? – mruknąłem, udając lekko urażonego, chociaż naprawdę byłem już urażony ciężko.

Mercedes już miała zacząć tłumaczyć, że nie chciała nic złego powiedzieć, ale uznała chyba, że udaję i zdecydowała się zmienić temat.

– Ty nie wierzysz w Boga, prawda? – głos Mercedes wyrwał mnie z udawania obrażonego, co najwyraźniej słabo na nią działało.

– Przecież wiesz, że nie – wziąłem ostatni haust nikotyny i zaczęła się powolna wędrówka ręki, by przez ciemność dostać się z niedopałkiem do ciężkiej, kryształowej popielniczki ustawionej na brzegu nocnej szafki, obok zdjęcia uśmiechniętego mężczyzny, męża Mercedes, od pół roku na saksach w Zjedno-

czonym Królestwie, gdzie pracował, jak mi to wyjaśniła, na ich wspólne marzenia: dom ze stylizowanym kominkiem i ogrodem, samochód lepszy niż sąsiadów, kino domowe, kafelki, glazurę i terakotę... Drobnomieszczański raj, w którym ja, póki co, byłem wędrem.

– To skąd u ciebie ten krzyżyk? – Mercedes wyrwała mnie z zamyślenia i owinięta kołdrą po samą brodę domagała się odpowiedzi, wskazując spojrzeniem na moją szyję i zawieszony na niej na łańcuszku kawałek srebra.

– A, o to ci chodzi – dotknąłem łańcuszka ręką, dopiero przypominając sobie, że noszę ten srebrny łańcuszek. – To nic takiego – ziewnąłem. – Noszę go, bo to pamiątka po matce. Zapiła się na śmierć, biedaczka, ale zawsze była religijna. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak. Więc to taki mój czarny humor, żart osobisty, nic więcej.

– Żart? – oczy Mercedes na moment rozjaśniło zdumienie. – Ty to nazywasz żartem? – nie rozumiała albo nie chciała zrozumieć.

– Tak, taka pamiątka i żart – chciałem doprecyzować. – W końcu to raczej zabawne, że moja wiecznie nadźgana babka, którą pamiętam w oparach kropli walerianowych, miętowych lub żołądkowych i moja szalona matka, lądująca kilka razy do roku w Tworkach, w Drewnicy albo na Sobieskiego, że obie te kobiety, których nawet dobrze nie znałem, były najżarliwszymi katoliczkami i mszę, każdą mszę przeżywały bez końca.

– No co ty?

– Tak. Cały tydzień mogły chodzić nadźgane, cały tydzień mogły żreć się z sąsiadami i między sobą, ale zawsze w niedzielę trzeźwiały, odświeżały się i szły do kościoła. I śpiewały te swoje psalmy, godzinki, i rzucały jakieś grosze na wypolerowaną tacę. Gdybyś to mogła zobaczyć, zrozumiałabyś skąd ten łańcuszek. Zresztą, Luiza – Mercedes zesztyniała, ale nie pozwoliłem, żeby mi przerwała, bo chciałem już skończyć temat noszonych przeze mnie ozdób – też jest ciekawa. Wiesz, to buddystka...

– Wiem. Feministka, co raczej nie mówi „cipa”, jasnowidzka, która nie wie, że facet ją zdradza, i buddystka, która, no powiedz, co? Jestem ciekawa.

– Kiedy w zeszłym roku powiedziałem jej – zacząłem – żeby w grudniu nie ubierała choinki, wiesz, co mi wykrzyczała?

– Co? Mów już.

– Stwierdziła, że – spróbowałem naśladować Luizę – „buddyzm buddyzmem, ale choinka musi być”.

Oboje parsknęliśmy niepowstrzymanym śmiechem.

– Oto jaka jest siła katolicyzmu w tym kraju – śmiała się moja cudownie zaślepiona kochanka, a jej ciało skrzyło się od potu w refleksach wpadających zza okna.

– Dokładnie – myślałem tak samo. – Budda Budda, ale wigilia i choinka muszą być, no nie?

– Ale nie wszyscy buddyści są tacy.

– W Polsce większość. Rozumiesz, tradycja, dom, rodzina... Wytlumacz babci, że nie jesteś zainteresowana karpim i barszczem z uszkami. Przecież to rewolucja, Sodoma i Gomora, Che Guevara na podwieczorku i zmartwychwstały Breżniew. Dlatego większość mieszka to wszystko. Co zrobić? Ja już od dawna z katolikami jestem katolikiem, z żydami żydem, z muzułmanami wyznawcą Allaha, z buddystami buddystą, a w samotności, najrzadziej, sobą.

– To brak moralnego kręgosłupa.

– Być może – uśmiechnąłem się. – O widzisz, nawet teraz przytakuję tobie. Ale to raczej mimikra. Mnie zależy przede wszystkim na spokoju. Wiem swoje.

– Jesteś Zelig? Człowiek bez właściwości?

– Nie. Ale to wiem wyłącznie ja. Mam właściwości ukryte i nie widzę potrzeby ujawniania tego, co myślę. Jak to napisał poeta: „Mój zawód polega na tym, żeby nie dać duszy, żeby wziąć tylko pieniądze i nie dać duszy”.

– Kto to?

– Toma • Šalamun. Ale czuję, jakbym sam to napisał.

Mercedes przez chwilę przygryzała pościel, zamysłona i nieświadoma, że wygląda w tej chwili jak mała dziewczynka, która postanowiła nie bać się duchów i która niestety boi się ich panicznie, ponieważ ktoś ją wystraszył w dzieciństwie. Potem przekręciła głowę tak, że jej oczy znalazły się niemal w pionie i powiedziała:

– W sumie racja. Z tym niemówieniem, co się myśli. Chociaż to wygodnictwo. Ale z tą gwiazdką buddystki to dobre. Będę to opowiadać, pozwolisz?

– Bierz, nie ma sprawy.

Śmiałyśmy się jeszcze przez chwilę, aż Mercedes znieacka spoważniała, usiadła na kołdrze i zamyśliła się.

– Bo widzisz – Mercedes nie patrzyła w tej chwili na mnie – naprawdę to od kilku minut wiem tylko, że jestem tu z tobą i że przed chwilą po raz kolejny poczułam wyraźniej niż twój język i twojego kutasa ten twój „prezent i żart”, ten twój krzyżyk. I wiesz co? Zastanowiłam się, ile kobiet straciło przez niego swój spokój i nie odważyło się z tego wypowiadać.

– No, co ty, Mercedes? Gorzej ci?

– Nie przerywaj, posłuchaj. Wiem, że ty nawet tak nie pomyślisz i że śmiejesz się pewnie w duchu ze mnie teraz, ale chcę żebyś wiedział, rozumiesz? Bo tak w ogóle to nie ma dla mnie znaczenia, czy to krzyżyk dynda na twojej szyi, po prostu chcę jeszcze raz poczuć to, co przed chwilą.

– A może to właśnie krzyż cię podnieca?

– Nie, chyba nie, nie wiem. Chodź tu.

Srebrny krzyżyk kołysał się najpierw wolno, potem coraz szybciej i szybciej, w ciemności było słycać jedynie uderzenia wilgoci o wilgoć. Głos Laurie Anderson z Bright Red śpiewającej coś o uczuciach, na pewno coś o uczuciach, bo wszystkie piosenki napisane od początku świata są o uczuciach, rozbrzmiewał z ukrytych w czterech kątach pokoju głośników:

*I remember where I came from
There were burning buildings and a fiery red sea
I remember all my lovers
I remember how they held me
World without end remember me.*

*

– Muzykę stworzono po to, by pomagała nam w naszych odejściach – powiedziałem, kiedy Laurie skończyła śpiewać.

- Co chcesz powiedzieć?
- Nic. Tak pomyślałem.
- Nic?
- Nic. Takie zdania przychodzą mi czasem do głowy. Zabawne, co?

Milczała. Po czym spłynęła pod kołdrę i za moment poczułem jej wargi i język w okolicy moich spoconych ud.

Przewróciłem się na plecy, uniosłem głowę i lekko mrużąc oczy w tych ciemnościach próbowałem obserwować te pewne swojej władzy, wystudiowane ruchy, które tyle razy widziałem w świetle dnia.

– To lubię – wymruczałem z rozkoszą. – Jesteś jak zwykle niesamowita.

– Wiem – Mercedes przerwała jedynie na krótką chwilę, by popatrzeć swoimi błyszczącymi oczami przez ciemność w moje błyszczące oczy. – Wiem – powtórzyła ciszej i nachyliła się, wysuwając zwinnie język i zatrzymując go o milimetr od celu. Czekając tak, aż kropla śliny zdąży uformować się na czubku języka i potwierdzając prawa grawitacji spłynie, stapiając się z tą drugą, w tej chwili zaprzeczającej grawitacji kroplą.

Jej profil, kiedy przekreśliła głowę, przypominał obraz prerafaelitów.

- Teraz szybciej – poprosiłem.
- *Allegro. Fortissimo.*
- Tak.

*

Do domu wróciłem pierwszym porannym tramwajem. Luiza nie pytała o nic. Ona nigdy nie pytała mnie o nic.

– Wiesz, po co stworzono muzykę? – zapytałem, kiedy zdziwiona stanęła w progu naszej sypialni, spoglądając to na mnie to na antyczny zegarek na ścianie, podarunek od jej matki i babki.

– Muzykę – odpowiedziałem sam sobie – stworzono po to, by pomagała nam przy rozstaniach. Teraz w głowie odśpiewała dla mnie balladę zmysłowa Laurie Anderson. Zanuciłem:

*We're going down by the muddy river
We're walking down the muddy river
Somebody tell me please:
What happened here?*

– Błazen – jęknęła Luiza. – Idziesz spać? – kiwnęła głową w stronę łóżka, wskazując mi rozkopaną pościel. – Czy będziesz tak stał w przedpokoju i podśpiewywał?

– Jestem zmęczony – powiedziałem łagodnie, ponieważ wolałem, by nie pytała mnie, od czego to jestem zmęczony. – Wezmę kąpiel... Albo nie, wezmę szybki prysznic... Nie, raczej kąpiel i zaraz do ciebie przyjdę.

– Aha – Luiza ziewnęła. – Weź kąpiel – dodała i poczłapała do łóżka.

*

Leżąc w wannie zastanawiałem się, jak to możliwe, że ona nic jeszcze nie wie. Powinna była domyślić się na początku, każda inna na jej miejscu rozeznałaby się w sytuacji natychmiast. A Luiza? Nie miałem pojęcia, czy to mój fart czy przypadek. Czy też może, pomyślałem głupio, opieka dalekich gwiazd? To ostatecznie rozśmieszyło mnie tak, że poślizgnąłem się i wpadłem z głową pod wodę. Parskając i bulgocząc radośnie wyskoczyłem z parującej wanny i chwyciłem za błękitny ręcznik. Wycierałem się zamaszystymi ruchami, strasznie fałszując nucone *The muddy river*, wycierałem się i byłem pewien, że znowu mi się udało.

Kiedy wszedłem do naszej sypialni Luiza spała jak gdyby nigdy nic. Nie zadała mi ani jednego pytania. Zdążyłem się przyzwyczaić, dlatego nawet nie zachichotałem. Ułożyłem się grzecznie koło niej i po chwili zamknąłem oczy. Przyśniła mi się rozmowa o nefrytach, jaspisach, zdradzie...

ROZDZIAŁ XII

Intymne porady chińskich mistrzów...

- Powtarzaj za mną: nefrytowa brama...
- Naprawdę? – mruknąłem z łóżka. – Mam tak powiedzieć?
- ... nefrytowa izba, nefrytowe wrota – Luiza osiągnęła w tej chwili stan spokoju graniczącego z życzliwością, jednak pewien byłem, że to nie potrwa długo. – Cynobrowa jaskinia, anemon, lira...
- Pizda, cipa, szpara – wyrecytowałem wolno, próbując osiągnąć także japoński, jaki-taki spokój. – Daj spokój, Luiza, z czym do ludzi? Mogę, bo lubię to słowo, mówić czasami o *yoni*. Ale te wrota, jaskinie... Przecież to kpina i obłąd. A przede wszystkim parodia, parodia i karykatura.
- Dobrze – cierpliwość mojej jasnowidzącej kobiety dorównywała jej pedanterii. – To spróbujmy od strony męskiej. Powtarzaj: nefrytowy trzon, kuszący wierzchołek, pagoda *jang*...
- Taki chuj jak słonia trąba! – wybuchłem straszliwym błuzgiem, bo już mi nerwów zabrakło. – Daj spokój tym dyrdymalom! Po co nam to? – miałem nadzieję, że to pytanie nieco ją ostudzi i zatrzyma w jej pedagogicznym amoku, którego byłem ofiarą. A gdzie tam. I to przewidziała.
- Już nie pamiętasz, jak było ze strasznym niemieckim porno? Nie pamiętasz, jak zaboląło, kiedy jęczałam „weiter”? Nie pamiętasz, jak ustaliliśmy, że trzeba spróbować Wschodu?

– Nie myślałem o zmianie języka, ale o zmianie kontekstu.

– No to zmieniałam ci kontekst i czego ty jeszcze chcesz? Nie ładnie zrobiłam w mieszkaniu? Coś ci się nie podoba?

Wychyliłem się na moment z łóżka i rozejrzałem w półmroku. Na stole obok wazonu z krągłymi laskami o tyłkach w stylu Matisse'a paliło się jaśminowe kadzidełko, kupione za dychę od ulicznego sprzedawcy. Dym wtapiał się w suche powietrze, rysując w nim kręte wzory i mieszał z dymem camela, którego ja zapaliłem. Obok kadzidełka leżał ekskluzywnie wydany album *Intymne porady chińskich mistrzów, czyli sztuka miłości w twoim domu*. Otwarty był na jakimś niesamowitym sztychu, przedstawiającym Azjatę z członkiem wielkości ramienia. Azjata trzymał za biodra pannę wyraźnie zadowoloną w pozycji o wdzięcznej nazwie, nie wiem czy nie przekręcę: *Spiewająca Małpa Trzymająca się Drzewa, czy Igraszki Feniksa w Czerwonej Jaskini...* A może to była pozycja *Osiół Późną Wiosną*? Nie pamiętam...

*

Obok albumu leżały jeszcze trzy chińskie wachlarze, błękitny, czerwony i w paski, podobno do odganiania duchów. Jakieś gadzety z sex-shopu zbliżone kształtem do średniowiecznych narzędzi tortur. Opakowanie po eterycznym olejku Air Wick. Porcelanowy czajniczek. Kawałek czarnego futra zamontowany na gumce. Woreczek niewiadomego pochodzenia, dość spory. Camele i zapalniczka, a także niewinna z pozoru książeczka jakiegoś Chińczyka, z której Luiza wzięła te wszystkie nefryty i liry.

Mieszkanie zaznało zresztą przemiany gruntowniejszej, odkąd Luiza postanowiła zgłębić tajniki sztuki *fengshui* i wzięła się za przesuwanie mebli oraz aktywizowanie stref, która to nazwa mnie nic nie mówiła do czasu, kiedy moja jasnowidząca kobieta spróbowała powiesić nad moim biurkiem zdjęcie wodospadu Niagara w miejscu, gdzie do tej pory od zawsze wisiała reprodukcja *Sztuki konwersacji* Magritte'a, małego obrazu przedstawiającego plażę, a na niej klęczącego byka ze szpadą wbity między oczodoły.

– Co to jest? – zapytałem, kiedy mój Magritte zniknął.

– Tutaj piszą – Luiza postukała palcem w lakierowany papier jakiejś pomarańczowej książeczki – że woda, która w *fengshui* symbolizuje bogactwo i dobrobyt, może przez powieszenie na ścianie fotografii spokojnego wodospadu sprawić, że kariera popłynie jak rzeka. Dobrze jest też ustawić w widocznym miejscu mały żaglowiec w butelce, to pomaga trzymać się obranego kursu i płynąć z wiatrem. – Mówiąc to Luiza uśmiechała się rozbrajająco, jakby pewna była mojej dozgonnej wdzięczności.

– Niagara nie jest spokojnym wodospadem – stwierdziłem najłagodniejszym głosem, na jaki mnie wtedy było stać. – Zdejmij to.

– W ten sposób nigdy nie zrobisz kariery – moja jasnowidząca kobieta nie dała za wygraną.

– Po prostu zdejmij i nie wracajmy do tego, tylko o to cię proszę – pomyślałem, że *Sztuka konwersacji* jest tu zdecydowanie bardziej na miejscu.

*

Ale wodospad pozostał. Teraz wisiał na wprost łóżka, w którym leżałem i paliłem pod satynową pościelą w chińskie wzory, a energie krążyły i – jak śmiałem się w duchu – mieszały z dymem camela.

– No, postarałaś się bardzo – powiedziałem, kiedy skończyłem myśleć o *fengshui*, wodospadzie i karierze. – Ale nie o to chodziło.

– A o co? – Luiza wciąż jeszcze gotowa była zrozumieć.

– Chodziło o czysty seks. O *mięso w mięso*, pojmujesz?

– Już nie mogę. Jesteś jak zwykle wulgarny. To dla mnie jest zawsze misterium... Norbert, misterium! Misterium!

– No nie! – zawyłem z rozpaczy. – Daj spokój tym całym misteriom. Seks to nie pantomima.

– Ale...

– Żadnego ale – byłem już dobrze wściekły. – Podobam ci się?

– No tak.

– To weź się rozbierz i chodź tu.

Nic z tego. Siedziała metr dalej w fotelu, w szlafroku frotte rozchyłonym, bardzo kuszącym i patrzyła na mnie ze smutkiem, jakby chciała powiedzieć:

– Nie tak to zaplanowałam.

Jak miałem jej wytłumaczyć, że seks to seks i nic więcej? Jak miałem wybić jej z głowy nefryty i anemony? Z drugiej jednakże strony, sam też nie umiałem się przemóc i kiedy zmuszałem się wreszcie, by w chwili intymnej i słodkiej wyszeptać te właśnie słowa, na które tak gorąco czekała, dopadał mnie chichot szatański i śmiałem się niczym szatan. Diabelskim chichotem niszczyłem napięcie, intymność i aurę.

– Przepraszam – mówiłem zawsze – naprawdę nie mogę się nie śmiać. Nie mogę mówić do ciebie „uwielbiam twoją jaspisową komnatę”, bo zaraz widzę się w myślach, jak gdybym znalazł się w jakimś pałacu i biegał po jego komnatach o ścianach z lepkiego mięsa. W dodatku to porównanie, „komnata”, jest w nim coś komicznego. Tylko czekać aż echo usłyszę, kiedy zawołam hop-hop! Przy miniecie.

*

– Polski jest straszny, straszny! Co to za słowo „mineta”?

– Normalne. Wolisz patelnia, lizanko, wiercioszek, polerka? Bo można i tak powiedzieć.

– Wolałabym język Wschodu, jest taki... taki łagodny – w oczach mojej jasnowidzącej kobiety dostrzegłem ciepłe ogniki.

– Posłuchaj tylko: jaspisowe...

– Jaspisowe badziewie – zgrzytnąłem zębami. – Jaspisowe dyrzymały. Jaspisowe pierdoły. Jaspisowe cacko z dziurką – kpiłem. – Luiza, przecież to sztuczne – miałem już serdecznie dosyć. – A polski nie jest wulgarny. Nie można zakładać, że „pizda” i „chuj” to jedynie przekleństwa.

– Ale to są przekleństwa.

– Nie sądzisz, że nazwać kogoś na przykład „nefrytowym trzonem” to większa obraza?

– Wcale nie – Luiza nie dała mi skończyć. – A zresztą, wracajmy do nauki. Powtarzaj za mną: wojownik, samotny mnich, jednorożec...

– Kindybał, dzida, fujara... Naprawdę wolę po polsku.

– I co ja mam z tobą zrobić? – Luiza załamała ręce. – Może to cię przekona – sięgnęła po spory woreczek niewiadomego prze-

znaczenia. Z woreczka na prześcieradło wysypała kilka tajemniczo wyglądających przedmiotów i książkę.

– Dzisiaj ja coś przeczytam – powiedziała z błyskiem w oku.
– Posłuchaj: „Panna Radość poprosiła go do sypialni, gdzie czekał na nich obfity posiłek”.

– Co to za książka? – spytałem.

*

– Nie przerywaj – Luiza zmarszczyła brwi i czytała dalej:

– „Usiedli obok siebie i objęli się, a potem ona położyła swe drobne stopy na jego kolanach i pozwoliła mu ich dotknąć.” Widzisz – Luiza miała wypieki na twarzy. – Widzisz, jaka to piękna i delikatna kultura. Jaka subtelność – nie mogła wyjść z podziwu i nie wiedziałem, czy to o te stopy chodziło, czy może miała już na myśli ciąg dalszy.

– Naprawdę? – mruknąłem. – A słyszałaś o chińskich torturach?

– „Łoże przygotowała zawczasu – Luiza czytała dalej – z dużą dbałością. Na spodzie położyła dwie puchowe kołdry, żeby mogli się w nich wygodnie tarzać, a koce posypała wonnym proszkiem. Nad ich głowami wisiał obraz, który przedstawiał igraszki Zielonego Smoka i Białego Tygrysa, a na słupkach podtrzymujących baldachim wisiały dzwoneczki.”

– Luiza – spytałem cicho – czy to na pewno jest książka o seksie?

– Tak – pewnośc Luizy odrobinę mnie skonfundowała. – To *Złoty kwiat lotosu*, jedna ze słynniejszych powieści erotycznych Wschodu.

– W porządku – nie chciałem zaczynać dyskusji. – Tak sobie pytałem. A co to jest to? – wskazałem głową przedmioty wysypane z woreczka na prześcieradło.

– To jest ognisty pierścień żądz – Luiza wzięła niepozornie wyglądającą obrączkę i machnęła mi nią przed oczami.

– Co takiego? – nazwa wydała mi się nieco na wyrost i chciałem się upewnić, że to nie chory dowcip.

– To się nakłada na... No wiesz... – ogrom wyuzdanej pruderii mojej Luizy raz jeszcze dał o sobie znać. – Mężczyzna to sobie

zakłada i to pociera o wilgotne części ciała kobiety, a że jest w tym jakiś związek siarki, to następuje pobudzenie – Luiza nieco plątała się w opisie – i dochodzi do skurczów... „paków pszenicy” i... zwięzienia... no wiesz... „jaspisowej komnaty”...

– Naprawdę? – zaśmiałem się. – Jak zamontuję to na kutasie, to siarka przypali ci od środka cipkę i będzie bardzo przyjemnie, tak? Dobrze zrozumiałem?

– Czy ty musisz znowu wszystko wulgaryzować?

– A to drugie? – spytałem o dwie tasiemki, wyglądające jak troczki niezbyt do czegokolwiek przydatne. – Ta czerwona i ta błękitna tasiemka?

– To lecznicze wstążki namiętności – Luiza uniosła je z triumfem i pokazała mi ze wszystkich stron.

– Coś ci dolega, Luiza? – próbowałem ostudzić jej zapał.

– Idioty! Ty ignorancie! – moja jasnowidząca kobieta w końcu nie wytrzymała. – Te wstążeczki nasycy się olejkami pobudzającymi i stymulującymi i wiąże mężczyźnie wokół... no wiesz... I to pomaga... jak ktoś potrzebuje pomocy...

– Ja chyba nie potrzebuję – popatrzyłem na jej zaczerwienione z emocji policzki i nie spodziewałem się odpowiedzi. – Dobra, a to? – wskazałem na połyskliwą kulkę wielkości piłeczki do ping-ponga.

– Birmański dzwonek miłości. W tej srebrnej kuleczce jest druga, to sobie wkłada kobieta i to dzwoni w trakcie, no wiesz... Dziewczyny to uwielbiają. To takie śmieszne, urocze, romantyczne – wyglądała na zachwyconą. – Prawda, że fajne? No powiedz.

– Jak by mnie coś dzwoniło w trakcie – próbowałem dość nieudolnie żartować – to bym poszedł wyłączyć telefon. Z kontaktu. I domofon też. To wszystko jest pic na drążku. Tak bym to nazwał. Hurtem.

*

– Jesteś straszny – Luiza miała łzy w oczach. – Staralam się, a ty? Wszystko potrafisz zepsuć – chlipnęła. – I co ja mam z tobą zrobić? Sama nie wiem. Przecież to tak nie może być. Nie daję rady. Ja Wschód, ty Zachód – zaczęła dramatyzować, co zdarzało

się jej rzadko, dlatego nie przerywałem. – Ja łagodność, ty brutalność, ja jasnowidzenie, ty – taka ślepotą. Ja do ludzi, ty od ludzi. I co ja mam z tobą zrobić? – powtórzyła.

„Ty Lhasa, ja Ateny, a Izajasz – Jerozolima” – pomyślałem bez satysfakcji, ze smutkiem, ale nic nie mówiłem głośno. Ta rozmowa i tak była trudna, jak koszmarny, przedłużający się sen.

– Nie wiesz? – spytałem jednak, bo Luiza zacięła się w złości.
– Naprawdę nie wiesz, co masz ze mną zrobić?

– Może poszedłbyś ze mną na terapię? – zaskoczyła mnie tą propozycją, bo myślałem, że już się nie odezwie.

– Mażeńską? – chciałem się upewnić. – Taką dla par?

– Nie, myślałam o terapii gongiem...

– Czym? – włosy stanęły mi dęba. – Jakim znowu gongiem?

– Przyjeżdża niebawem wielki Mistrz Gongu Don Conreaux i pomyślałam, że może, jeśli się zgodzisz, poszlibyśmy na kilka kąpieli...

– Jakich kąpieli? Co ty wymodziłaś? Jakie gongi?

– Nie krzycz. Uzdrawiające kąpiele w gongu mogą zmienić wibrację i człowiek czuje się lepiej, uwierz mi, proszę – spojrzała z błaganiem i nadzieją – chociaż ten jeden raz... W twoim ciele jest tak mało duchowości... Norbert, zgódź się... Don Conreaux to prawdziwy oświecony...

– A może prawdziwy podświetlony, co? – warknąłem. – A na kaca? – opanowałem się i postanowiłem, że więcej nie dam się dziś wyprowadzić z równowagi ani gongiem oświeconego, ani dzwoneczkami, ani duchowością ciała, bądź czymkolwiek innym z ezoterycznej parafii Luizy. – A na kaca? – ironizowałem – Na kaca też może być gong? Bo ja właśnie mam ochotę napić się i to sporo, a jutro, domyślasz się chyba, pewnie przyda mi się kuracja – żartowałem złośliwie dalej i Luiza dobrze wiedziała, że żartuję, bo nigdy nie piłem tyle, by później obnosić się z kacem. – Ale wiesz, jak ktoś obok mnie strzeli wtedy, no nie, nawet nie gongiem, ale choćby zapalką o draskę, to rozumiesz, co będzie? Eksplozja. Eksploduję i to będzie finał. Takie miewam, moja droga, wibracje. Co ty na to? Chcesz może spróbować?

– Znowu kpisz, błażnie – nadała się. – A ja mówię naprawdę, ale to naprawdę poważnie. Potrzebna nam taka terapia. Wi-

dzisz przecież, że z nami ostatnio nie jest już tak, jak kiedy się poznaliśmy. Terapia mogłaby może pomóc, zastanów się, to dla naszego dobra.

– Ale nie gongiem – wycedziłem przez zęby, starając się nie podnieść głosu, nie wrzasnąć, że to jest straszny idiotyzm. – Luiza, nie gongiem! – dodałem szeptem i wziąłem głęboki oddech. – Nie terapeutyzuj mnie gongiem. Nie gongiem i nie czarną magią. Nie gongiem, nie czarną magią i nie aromaterapią. Ja wszystko rozumiem, hokus-pokus, wróżenie, seanse z sukami grabarza, kopanie w stół, brzuchomówstwo, lewitacje na żyłce, wyjazdy medytacyjne do Kuchar i na obozy w Katmandu, *channeling*, robienie runów, budzenie w sobie prawdziwej dzikiej kobiety, a nawet irracjonalne zachwyty nad coraz to nowym guru. – Luiza chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. – Rozumiem więcej niż ci się wydaje, wierz mi – mówiłem dalej, w coraz większej złości mówiłem, jakbym chciał swoim mówieniem wyrzucić za próg cały ten *new age’owy* szajs. – Ale naprawdę mam już tego potąd – wykonałem stosowny ruch dłonią. – Potąd mam tych dyrdymałów, wibracji, reinkarnacji, masturbacji przy pomocy energii i cholernego *tao!* Może mam złe wibracje, zgoda. Możesz myśleć sobie, co chcesz. Może mam słabe biopole i osłabiam je papierosami. Ale myślę, że rzecz jest w czym innym i że tutaj żaden gong nie pomoże. I wiesz co? – postanowiłem zakończyć żartem. – Tylko *wu-wei* trochę mi się podoba. Tylko ta jedna doktryna: niedziałania, niewtrącania się, nierobienia niczego, co nie wynika z absolutnej konieczności chwili. Być może mi pasuje, bo jestem leniwy, ale nawet jeśli tak jest, to co z tego?

*

– Ale ten wielki Mistrz Gongu... – Luiza chyba przestała mnie słuchać, znowu miałem przed sobą całą jej nieugiętość. – Ten uroczy, taki charyzmatyczny człowiek... Don Conreaux... Gdybyś go zobaczył...

– Dość – uciąłem. – Paru już takich widziałem, są diabła warci i ich metody też... Gongi-srongi, pitolenie. Chcesz iść kąpać się w gongu, to idź. Możesz się nawet wykąpać nago w wi-

bracjach z samym Wielkim Mistrzem Donem, nie ma sprawy, nie żałuj sobie, przeżyję to. Ale mnie nie namawiaj, ja nie chcę ani mistrza, ani jego kąpieli – popatrzyłem w jej smutne oczy i nawet zrobiło mi się jej trochę żal. – Więc naprawdę nie wiesz, co ze mną zrobić? – nie wiem, czemu tak uwziąłem się na to pytanie, ale faktycznie dręczyło mnie od dawna. – Tylko gong masz mi do zaproponowania? Ekscytującą wspólną kąpiel w wi-bracjach od walenia w jakieś blachy oprawione w ramkę?

– Już dosyć. Nie chcę tego słuchać. Tak, nie wiem, co z tobą zrobić. Jesteś taki... taki... •le nastawiony do tego, co stanowi całą treść mojego życia. Do magii, do przepowiedni, do moich ezoterycznych znajomych. To pewnie wpływ Izajasza... Wiem, nie powinnam tak mówić, to źle wpływa na moją karmę, ale nie wiem, co z tobą zrobić, nie wiem, nie wiem... – Luiza powtarzała to coraz ciszej, aż umilkła zupełnie, patrząc gdzieś ponad mną, na zdjęcie z odosobnienia w Ropkach powieszona obok zdjęcia szpakowatego lamy. Dopiero po chwili spytałem najdelikatniej i najspokojniej jak mogłem:

– Ale kochasz mnie?

– Tak. Niestety, wciąż jeszcze tak.

Zamyśliłem się. Luiza nigdy mnie o nic nie podejrzewała, nigdy mnie o nic nie pytała, nie wiedziała – tak mi się wydawało – o moich kolejnych, cudownie zaślepionych kochankach, a jednak, co było najgorsze, znacznie gorsze niż jej jasnowidzka naiwność, nie miała o mnie pojęcia. Sam nie wiem, jak to się stało, że tyle czasu przeżyliśmy ze sobą.

ROZDZIAŁ XIII

Zły znak...

Moja jasnowidząca Luiza nie wiedziała, co ze mną zrobić. Od kilku miesięcy nie układało się między nami i mimo wykazywanej z obu stron życzliwości nie wyglądało na to, by miało nam udać się tak, jak byśmy chcieli: zestarzeć się razem, w jednym domu, w jednym łóżku i potem – to była fantazja Luizy – pomóc sobie w umieraniu, w przejściu przez – jak to w zgodzie ze swoją buddyjską fascynacją nazwała – *Bardo*. Póki było nam dobrze, nie miało dla mnie znaczenia, że bredzi; byłem gotów dzielić z nią na swój sposób i buddyjskie, i ezoteryczne szaleństwo.

Jednak od pewnego czasu nie było już tak malinowo. Luiza nie potrafiła i nie wiedziała, co zrobić, ja za to wiedziałem dość dobrze. Widziałem koniec i postanowiłem nie przedłużać agonii. Nie zależało mi na awanturach, lecz nie chciałem też czekać w bezruchu. Dlatego teraz ubrałem się błyskawicznie i pod byle pretekstem wyszedłem, wcześniej chowając do plecaka *Moje nawrócenie* Mirabeau. Dobięłem do przystanku, wsiałem w nadjeżdżający autobus, pojechałem odwiedzić Mercedes, zabawzić się tak, jak lubiłem.

Mercedes była ostatnią, wciąż aktualną kochanką, cudownie już zaślepioną i otwartą na wszelkie pomysły. Mercedes nie bała się mówić po polsku o sprawach intymnych i z nią też bawiłem się w lekcje literatury miłosnej. Spotykaliśmy się już od dawna,

wykorzystując nieobecność jej męża i ewidentną ślepotę mojej ufnej, jasnowidzącej kobiety, spotykaliśmy się absolutnie świadomi, że nie powinniśmy byli tego robić.

*

- Od czego dzisiaj zaczniemy?
- Posłuchaj tego:

*Gdzie i kiedy poszliśmy pierwszy raz do łóżka?
Pamiętasz?*

przeczytałem Mercedes, kiedy już leżeliśmy.

- Pamiętam. A ty? Pamiętasz swój pierwszy raz?
- Jasne, pamiętam każdy szczegół. Ale teraz przychodzi mi do głowy inna nocna historia. Ta, kiedy po szaleńczym, alkoholowym rajdzie po Warszawie (Giovanni, Architekci, i sklep nocny na stacji Shella) wylądowałem w moim studenckim mieszkaniu z kumplem, knajpianym wygą, bratem-łata i alkoholikiem, i panienką... Jak ona się nazywała?... Edyta? Monika? Agnieszka?
- Już przestań. Co było dalej?
- W mieszkaniu my z kumplem piliśmy, a ona wolała tańczyć. Widziałem, jak krokiem tanecznym przemieszczała się od stołu do lustra, wsłuchana w siebie i taka nieuważna, próbowała zestroić się z rytmem muzyki, którą puściłem.
- Co to było?
- Fela Kuti. A może Kate Bush? Nie pamiętam.
- A co pamiętasz?
- Widziałem, że po kilku minutach poczuła, że udało się jej to osiągnąć: złapała fazę i rytm, widziałem to po jej ruchach. Muzyka zaczęła grać w niej, a wtedy ona stanęła, przymknęła oczy. Wzięła głęboki wdech...
- Zatrzymaj, przeczytam dalej.

*Na Fitzroy Avenue
Czy Cromwell Road, a może Nothing Hill?
U ciebie czy u mnie?*

– Mam! – przerwałem Mercedes czytanie. – Beata. Chyba Beata. W każdym razie prosiła, by tak ją tej nocy nazywać. No to tak mówiliśmy, ja i ten kumpel, Kuba. A więc kiedy już usiedliśmy i wypiliśmy po głębszym smirnoffa, ten pajac poszedł się odlać, a wtedy Beata – jakby to napisała Steel czy inna tam Sandra Brown – „przywarła do niego (czyli do mnie) całym drżącym siedemnastoletnim ciałem” i powiedziała cicho: „Wiem, że to on mnie chce, ale ja wolę ciebie.”

– Miała złudzenie, że to ona wybiera – lubiłem cynizm Mercedes. – Skąd ty ją wzięłeś, Norbert?

– Z knajpy. A może z pubu. Tak jakoś wyszło. Wiesz, siedzieliśmy z tym Kubą, piliśmy kolejne żywce i nudziliśmy się strasznie, aż nagle weszły dwie takie, całkiem niegłupie sunie. Od razu skapowaliśmy, że też są cholernie znudzone – mój język w towarzystwie Mercedes zmieniał się diametralnie. Mówiłem bez zahamowań i to, że przy niej tak mogłem, dawało mi znaczny komfort.

– I wtedy Kuba powiedział – ciągnąłem wątek przygody – że zmierzy mi czas, a ja na to, że nie rozumiem po co. „Startuj do niej”, powiedział. Zrozumiałem i natychmiast wstałem. Podszedłem, poprosiłem o ogień, zaproponowałem piwo, a sunie, rozchichotane, przysiadły się do naszego stolika. Potem ta nieco większa stwierdziła, że musi już iść, a mniejsza, Beata, została. Czas leciał.

– Ciekawe. I ile czasu zajęło ci odholowanie tej panny na chatę?

– Poczekaj. Teraz ja czytam:

– No ile?

– Za moment.

– Ile!

W Marsylii czy w Aix?

Czy może w tamten czwartkowy wieczór

Kiedyśmy się wdrapali przez wykuszowe okno

Na parter Aquinas Hill?

– przeczytałem.

– No ile? – spytała Mercedes już ciszej.

– Po osiemdziesięciu minutach byliśmy u Architektów – zacząłem opowiadać dalej – po stu trzydziestu u mnie. Kuba spał się dość szybko i zasnął, Beata natomiast poszła nieco wcześniej do pokoju, gdzie pościeliłem łóżko. Kiedy tam przyszedłem, siedziała na jego brzegu naga, ze szklanką herbaty w lewej ręce i papierosem w prawej, patrząc w nic, w pustkę, w ścianę. Zanim zdążyłem rozebrać się i jej dotknąć, powiedziała dwa krótkie zdania, po których każdemu przeszłaby ochota, ale ja byłem na niezłym rauszu, więc uśmiechnąłem się tylko, kiedy dotarło do mnie, że powiedziała przed chwilą: „Jestem dziewicą. Dopalę, dopiję, i możemy zaczynać.”

*

– Jestem dziewicą – powtórzyła matowym głosem Mercedes. – Niezłe. Jak cię znam, pozwoliłeś biedaczce w spokoju „dopalić i dopić”.

– Pozwoliłem – chciałem już skończyć tę opowieść, która nagle przestała mnie śmieszyć. – Ale przez cały czas zastanawiałem się potem, dlaczego to byłem ja? Dlaczego nie poczekała na kogoś, kto byłby naprawdę dla niej? Nie wyglądała na potrzebującą. A jednak... W każdym razie byłem na nią nawet trochę zły, że mi to powiedziała.

– Że jest dziewicą?

– Tak.

– Ale zrobiłeś to? Prawda?

– Mercedes!

– Zrobiłeś to. Wiem, że zrobiłeś. To chyba właśnie lubię w tobie najbardziej: że zawsze potrafisz zaprzeczyć najszlachetniejszym intencjom. Że nie ma dla ciebie świętości. I co? Była dobra? Smakował jej pierwszy raz? – Mercedes pociągnęła mnie na siebie i posłała mi promienny uśmiech. Jakby nie z tej sytuacji, jakby z miejsca, gdzie taka rozmowa byłaby niemożliwa. Z miejsca, gdzie wszystko jest czyste jak taniec tamtej dziewczyny, a pierwsze „poważne” miłości nie mogą skończyć się nigdy.

– Znasz mnie – szepnąłem i jednocześnie wzruszyłem ramionami. – Ale to było w końcu nieprzyjemne i drugi raz nie zdecy-

dowałbym się na pewno. Zresztą nie wiem. Jak tu można wiedzieć cokolwiek? – próbowałem obrócić to, co powiedziałem, w żart. Znowu sięgnąłem po książkę.

– Wróćmy do wiersza.

*A potem do pokoju, gdzie MacNeice napisał „Śnieg”.
Czy też gdzie się uważa, że napisał „Śnieg”.*

*

Skończyłem i odłożyłem książkę. Mercedes nieoczekiwanie wstała i zaczęła tańczyć, jej taniec spełniał się precyzyjnie, oszczędnie i zmysłowo. Poruszała ciałem jak gdyby nie było ciałem, lecz falą. Falą skupionej energii poruszającej się w ciszy po pokoju.

– To koniec? – Mercedes stanęła na moment z rękami wzniesionymi do góry, tak że linie jej ciała napięły się i uwidoczniły.

– Tak.

– A jak z mierzeniem czasu?

Widziałem jak uspokaja ciało, wirując jak śnieg albo liść. Okręciła się wokół osi, jakby chciała spróbować piruetu. Drobne kroki oraz płynne ruchy jej rąk wpasowały się idealnie w ciszę. Poruszała się coraz wolniej, ale miałem wrażenie, że teraz coraz szczelniej wypełnia pokój, że dotyka w niezwykle sposób ciemnego powietrza, mebli i ścian. Myślałem, że zapomniała o sobie, o historii, o czasie i o mnie. Ale Mercedes powtórzyła pytanie:

– No i jak z mierzeniem czasu?

– Ładny ten wiersz? Podobał ci się? – chciałem zmienić temat.

– Ładny. A czyj?

– Muldoona.

– Aha – nie była ciekawa. Pytała, by sprawić przyjemność. Podeszła do stołu, stanęła, wzięła z mojej paczki camela, usiadła na dywanie wciąż naga, zapaliła i patrzyła gdzieś w przestrzeń. Spoglądała na pokój jak gość z innego świata, gdzie nie ma chaosu i zdrady. Jakby sprzęty wydały się jej obce, nieprzyjazne i nie do dotknięcia. Nie trwało to długo. Po chwili spojrzała, jak zawsze: z uroczym i kokieteryjnym uśmiechem.

*

– Mam na dzisiaj coś jeszcze. Extra. Chcesz? – zapytałem po dłuższej chwili, kiedy Mercedes wynurzyła się spod kołdry i położyła z głową na moim ramieniu.

– Chcę. Pokaż.

– Poczekaj – sięgnąłem do plecaka. – O, jest. Znalazłem coś naprawdę ładnego.

– No nie gadaj już tyle, czytaj.

– „Pewien wymyślny sposób jebania – zacząłem – bawił szczególnie moją księżniczkę, a ponieważ jestem jego wynalazcą, przeto pozwolisz, że ci go opiszę.”

– Co dalej? – chichotała Mercedes, która w przeciwieństwie do Luizy uwielbiała tego typu atrakcje. – Co dalej?

– „Po dwóch pierwszych pchnięciach – kontynuowałem – rzecz całą należy bowiem przeprowadzić w czasie miłosnych igraszek – chwyc partnerkę w pól, obróć bokiem do siebie tak – zacząłem wolną ręką manipulować przy ciele Mercedes, która w lot zrozumiała o co chodzi i poddawała się moim zabiegom z radością – by była nieznacznie ku tobie pochylona. Lewą ręką ujmij lewą pierś: dziewczę będzie wtedy rżnięte na charcicę – to jasne.”

– Tak? – Mercedes w opisanej pozycji, którą przyjęła sama wyglądała imponująco.

– „Głowa jej – czytałem dalej, starając się współgrać z Mercedes mimo że wymagało to isticie cyrkowej zręczności – przybliżona do twojej sprawi, że usta będą mogły się połączyć, prawą ręką zaś – tego niestety nie mogłem zrobić, bo musiałem trzymać książkę, więc Mercedes natychmiast sama wzięła się do roboty – będziesz mógł pieścić *clitoris*. Wyobraź sobie jednoczesne puszczenie tego wszystkiego w ruch – w łagodnym ruchu byliśmy od kilku dobrych chwil – skłębione ciała, pieszczące ręce, język szukający języka, gryzące zęby... Najbardziej oziębłe kobiety skapitulują w takim momencie; sam zresztą oceń te młodą salamandrę... Mogę powiedzieć bez cienia próżności, iż mało jest kurew tak ujeżdżonych jak Wioletta, co tylko przynosi zaszczyt mej inwencji...” – Po tym zdaniu odrzuciłem książkę i zająłem się pieszczaniem Mercedes, chodzącej całym ciałem pode mną, jakby chciała wydostać się z tej pozycji; ale tym razem nie o to chodziło.

– Ujeżdżaj mnie – jęczała moja cudownie, w tej chwili trwale i nieodwołalnie zaślepiona kochanka. – Chcę cię, mów do mnie, mów! To bardzo, bardzo przyjemne... Chcę jeszcze... *Vite, vite chéri!* – zażartowała nagle, przechodząc nieoczekiwanie na francuski i przytulając się do mnie mocniej. Lecz tym razem ten język obcy w sypialni nie wyprowadził mnie z równowagi. – *Oh, c'est bon! Oh, la, la! C'est bon! Vite, vite chéri!* – krzyczała coraz gwałtowniej Mercedes, najwyraźniej zmierzająca wraz ze mną najkrótszą drogą do celu.

*

Ja także mówiłem do niej i obracałem nasze ciała tak, by odgarnąć jej włosy z karku i móc szeptać do ucha sprośności i głupstwa, których oczekiwała, a których Luiza nigdy nie chciałaby słyszeć.

– Mów! Mów do mnie! – Mercedes uwielbiała słuchać, jej erotyczne audiofilstwo równało się z jej apetytem. – Mów! Mów jak mnie pragniesz! – prosiła, a ja z radością dodawałem do naszych ciał mój głos, który te ciała opływał, mieszał się z potem i perfumami, po czym wsączał wszystkimi porami w skórę, wchodził w krew razem ze zdradą, której świadomi byliśmy oboje, choć może nie w tym akurat momencie.

– Co było dalej? – spytała zaczerwieniona Mercedes, kiedy odkleiliśmy już skórę od skóry.

Sięgnąłem po rzuconego przy łóżku Mirabeau i przeczytałem:

– „I ja miałbym nie przejść do potomności!... O, niewdzięczni śmiertelnicy! Zanudzającym was gadułem przyznajecie nagrody, skroń ich wieńczycie laurem... A dla mnie nic nie macie?”

– Wysoko się cenił – zauważyła Mercedes.

– Wiedział, że ma rację. Ale poczekaj – mój wzrok wyłapał fragment, który wydał mi się jeszcze śmieszniejszy. – To dobre: „Ongiś Apollo wodził po strunach liry własną pyta... Niestety! Już mu nie staje, więc zastąpił ją palcami!... Ach! Cóż obchodzić mnie może sto opasłych tomów wspaniale oprawnych w skórę, zawierających akademickie brednie, podobnie jak ich autorzy,

którzy już dawno obrócili się w proch? Moją księgą jest piczka: wertuję ją tysiące razy; rezultat poszukiwań jest równie zabawny, jak chwalebny...” Mercedes – chciałem żeby zabrzmiało to patetycznie – ile ten libertyn miał w sobie wzniosłości!

*

- Śmieszny facet. Próbowaleś czytać go Luizie?
- Jej wyuzdana skromność nie strawiłaby nawet kawałka. Dla niej to tylko świństwa, jak Aretino, Arystofanes, Miller. Ona nawet do Jong nie zajrzała, więc Mirabeau, sama rozumiesz, nie było sensu próbować...
- A mnie się podobało – moja cudownie zaślepiona i zaspokojona kochanka koniuszkiem języka przejechała po swoich pełnych, lekko zgryzionych wargach.
- Na pewno byście się polubili.
- Ty perwersie! – Mercedes udała, że rzuca się na mnie z pięściami. – Chciałbyś go tutaj, co? Przyznaj się. Puknęlibyście mnie obaj, tak?
- Chciałabyś... – zmrużyłem oczy, a Mercedes kilka razy lekko uderzyła mnie w ramię pięściami, zaśmiewając się przy tym uroczo.
- Przekomarzaliśmy się jeszcze przez godzinę.

*

- W drzwiach pocałowałem ją krótkim, namiętym pocałunkiem i powiedziałem:
- Trzy długie godziny, Mercedes. Bez sześciu czy siedmiu minut. Sprawdziłem.
 - Co trzy godziny? – popatrzyła zdziwiona.
 - Z tą Beatą, to, co ci opowiedziałem wcześniej.
 - Ach, to – skojarzyła. – Wierzę ci. Pa kotku – jedynie Mercedes tak do mnie mówiła.
 - Pa pa! – puściłem jej oko i zamknąłem za sobą drzwi.
- Szybkim marszem przeszedłem kilkadziesiąt metrów od bramy do przystanku, wskoczyłem w nadjeżdżający autobus, usia-

dłem na wolnym miejscu i postanowiłem przemyśleć, co powiem jasnowidzącej Luizie, kiedy spyta mnie gdzie i po co byłem. Zapomniałem, że Luiza nigdy mnie o nic nie pytała.

*

Jasnowidząca Luiza jak zwykle nie pytała o nic. Chodziła chmurna i w pierwszym momencie obawiałem się nawet, że może to mieć związek z Mercedes, lecz wyprowadziła mnie z błędu, jak tylko usiadłem w fotelu.

– Miałam nieplanowane widzenie – powiedziała grobowym głosem. – Nie wiem, co o tym myśleć.

Poruszyłem się niespokojnie. „Wydało się” – pomyślałem.

– Co to była za wizja? – spytałem jakby nigdy nic, jakby nie było Mercedes, jakbym nigdzie stąd nie wychodził, jakby nie było kłamstwa ani wcześniejszych wiarołomstw.

– Kiedy wyszedłeś – zaczęła, a ja momentalnie struchlałem – zrobiło mi się nagle słabo i stwierdziłam, że położę się na moment.

– I co?

– Położyłam się i zapadłam w drzemkę... Ale to była jakaś dziwna drzemka... Zaczęła się nagle i nagle... Ale nie, lepiej dam ci kartkę.

– Zapisłaś to?

– Oczywiście. Przecież zawsze zapisuję wizje.

Zaaferowana Luiza, chodząca w nerwach po pokoju, nie spostrzegła, jak odetchnąłem. Więc nie o Mercedes chodziło. Jeszcze raz oszukałem Luizę. Moja ostatnia cudownie zaślepiona kochanka nie miała z wizją Luizy nic wspólnego. Prawie szczęśliwy wzięłem od jasnowidzki kartkę. Spojrzałem na nerwowe pismo, świadczące o wielkim napięciu i zacząłem czytać:

Miejsce odludne, chyba góra, z jednego zbocza spływa strumień; źródło jest niewidoczne. Ze szczytu schodzi mężczyzna, niesie torbę na kiju, coś nuci. Widzę chmury układające się, jak przed burzą, jedna ma kształt zionącego ogniem smoka. Nie boję się. Ten smok, nie wiem, skąd wiem, ale wiem to, nic mi nie

zrobi. Słońce zachodzi szybko, mężczyzna schodzi, ja widzę to jakby z góry. Naraz zza grani wychodzi drugi mężczyzna, to znaczy wygląda jak mężczyzna, ale ja czuję, że to nie człowiek, że to wroga i niebezpieczna siła. Mężczyzna z torbą na kiju zatrzymał się na widok tego drugiego i rzucił na ziemię kij z torbą. Tamten roześmiał się i wtedy któryś z nich, ale nie wiem, który, powiedział czy może zapytał:

– Mastema?

I nic się nie stało. Ten, który był pytany nie odpowiedział, zaległa cisza, chmury przestały płynąć, wizja zastygła. Po nie wiem jak długim czasie ten pierwszy podniósł z powrotem kij z torbą i ruszył, jak wcześniej, w dół. Ten drugi, który raczej nie był istotą ludzką, zaśmiał się, może też zaklaskał i nagle wszystko znikło. Mężczyzna z torbą na kiju nie przejął się tym jednak i szedł dalej w pustce. W pustce białej jak zamieć i lód. Nie był sam, leciała nad nim ta chmura w kształcie zionącego ogniem smoka. Ale on chyba tej chmury nie widział. Szedł w białej i zimnej pustce i śmiał się tak samo (tak samo!) jak ten, który sprawił, że znikła góra i źródło, że zniknęła w jednej chwili świat.

Skończyłem i oddałem Luizie kartę.

– Co o tym myślisz? – spytałem.

– Mówię ci: nie wiem, co myśleć. Nie wiem, co znaczy „Mastema”... Ale ten z kijem, ten, co schodził z góry, to był...

– Kto? – pomyślałem, wstyd przyznać, egocentrycznie i w sposób absolutnie nieuzasadniony, że może to o mnie, że może to ja schodziłem.

– To był Izajasz Anioł – wyrzuciła z siebie Luiza.

– Naprawdę? – nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– To był Izajasz Anioł i wiesz co? – Luizie z przejęcia trzęsły się ręce. – Jestem pewna, że to był znak. Zły znak.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Ale to ty jesteś jasnowidzką!

– Tak.

*

Pomyślałem, że Izajasz Anioł, który już nieraz wplątywał się w niezłą kabałę, nie z takich wychodził opresji. Próbowałem uspokoić się tą myślą, pocieszałem się, że to tylko wizja i że Luiza nie jest nieomylna. W końcu i jej zdarzały się wpadki. Wprawdzie rzadko, ale jednak.

Rozebrałem się w minorowym nastroju, przewąchując dyskretnie ubranie, czy nie ma na nim zapachu mojej cudownie zaślepionej kochanki. A stwierdziwszy, że wszystko pochłonął dym palonych przeze mnie i Mercedes cameli, wrzuciłem ciuchy do pralki, umyłem się, włożyłem świeżą bieliznę i powiedziałem do Luizy, która cały czas wyglądała na przejętą swoim niespodziewanym widzeniem:

– Nie przejmuj się. Nic mu nie będzie.

– Tak myślisz? Czy tylko pocieszasz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć Luizie. Poszedłem do kuchni, wstawiłem wodę na herbatę i zajrzałem do lodówki. Wyjąłem pora, niskokaloryczną śmietanę, żółty ser ze sklepu ze zdrową żywnością. Krzyknąłem w stronę Luizy:

– Zjesz coś?

– Nie mogę. Martwię się tym widzeniem.

– Nic mu nie będzie, zobaczysz. Poza tym – ugryzłem kanapkę, którą postanowiłem zjeść wcześniej niż resztę posiłku – przecież ty go nie lubisz. Czy nie tak?

Nie doczekałem się odpowiedzi.

II

Aureola

Nie ma przecież nic bardziej przeraźliwego niż zobaczyć człowieka, który jest tak wspaniały, tak wielki, że ta jego wielkość, ta wspaniałość nas niszczy, a my temu procesowi się przypatrujemy i musimy go przetrzymać, a ostatecznie, koniec końców, również zaakceptować, choć przecież tak faktycznie nie wierzymy w ten proces, bardzo długo nie wierzymy, aż staje się on dla nas faktycznie niezbitą prawdą, pomyślałem, kiedy jest już dla nas za późno.

Thomas Bernhard

ROZDZIAŁ XIV

Człowiek może być tylko...

Kiedy pod koniec października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku papież Jan Paweł II w Dzień Modlitwy o Pokój przekonywał przedstawicieli dwunastu wielkich religii, że mimo tak wielu i tak poważnych różnic na głębszym poziomie człowieczeństwa istnieje wspólna płaszczyzna, która nie tylko może, ale wręcz powinna stanowić istotny punkt wyjścia do współdziałania dla dobra świata – mnie, który wtedy miałem lat dwanaście, w ogóle to nie interesowało. Losy religii i świata były mi obojętne nie ze względu na wrodzony nihilizm – w końcu trudno posądzać o wrodzony nihilizm dwunastolatka, który niewiele jeszcze pojmuje i wie – ani też nie z powodów, o których w ogóle warto by było mówić, losy świata były mi obojętne, ponieważ miałem swój problem. Ponieważ miałem swój wstyd i dopiero poznawałem Anioła.

*

Kiedy latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w wieku dwunastu lat po raz pierwszy przyszedłem do Izajasza Anioła, miałem niewielu kolegów, to znaczy nie miałem ich wcale. Bawiłem się z niektórymi, grałem w piłkę, paliłem ogniska na polach pod lasem, słuchałem jak rozmawiali między sobą o komputerach spectrum, timex, atari i commodore, będących w tamtym czasie nowością, o której

w mojej rodzinie nikt chyba nawet nie wiedział, lecz przede wszystkim wstydziałem się do bólu i do szaleństwa, wstydziałem się tak, że do dzisiaj wstydę się o tym mówić. Wstydziałem się domu, w którym żyłem i wychowywałem się, wstydziałem się pijącej krople miętowe i walerianowe babki, degenerującej swoje ciało i umysł przy pomocy innych też najnikczemniejszych i najtańszych specyfików, wstydziałem się, że odszedł od naszej rodziny ojciec, wstydziałem się, że matka pije w towarzystwie coraz straszniej banalnym i upodlonym, wstydziałem się, że moja matka pije i że nie radzi sobie z życiem, wstydziałem się, chociaż to wszystko było na zewnątrz mnie. Wstydziałem się tego, że matka jest zamykana w Tworkach, na Sobieskiego i w Drewnicy, gdzie żyje obok najbardziej zwyrodniałych i nieszczęśliwych wariatów, wstydziałem się jeździć do niej do psychiatryka i wstydziałem się tego, że wstydę się jeździć do niej do psychiatryka; wstydziałem się biedy, jaka nieustannie panowała w naszym domu tak pozornie podobnym do innych, a było to panowanie absolutne; wstydziałem się, że naszymi sąsiadami są wyrokowcy i alkoholicy, ludzie przetrąceni przez życie, którzy wszyscy – tej myśli wstydziałem się także – winni byli umrzeć, ponieważ żyjąc marnowali nie tylko swoje życie, ale też życie swoich najbliższych i każdego, kto żył w ich pobliżu.

Wstydziałem się swoich marzeń o nagłej śmierci ich wszystkich i nie potrafiłem przestać myśleć o tym, że tak byłoby może lepiej. Chodziłem więc wciąż zawstydzony i wstyd mój każdego dnia znajdował dla siebie pożywkę, a ja nie mogłem nic zrobić. Starłem się być niewidoczny, lecz nic mi to nie dawało. W końcu zawsze trafiałem na kogoś lub coś, co zawstydzalo mnie po raz kolejny. Teraz to może brzmi śmiesznie, ale mnie wcale nie było do śmiechu. Być może to wtedy pojąłem, czemu mówi się o spaleniu ze wstydu.

*

Wstydziałem się tego, że nie zawsze mam drugie śniadanie do szkoły i wstydziałem się tego, że mnie to zawstydzalo; wstyd mój był wielopiętrowy: po pierwsze wstydziałem się tego czy tamtego,

na przykład biedy i alkoholizmu rodzinnego domu, po drugie wstydziałem się, że wstydzę się tego czy tamtego, ponieważ, jak myślałem i czułem swoimi niedoświadczonymi zmysłami, powinienem kochać swój dom rodzinny z jego biedą i alkoholizmem, tak mnie zdradliwie uczono i dopiero wiele lat później potrafiłem się od tego uwolnić. Wstydziałem się, że powinienem kochać pijaczkę babkę i pijaczkę matkę i wstydziałem się, że nie umiem kochać pijaczki babki i pijaczki matki. Wstydziałem się, że nie kocham nikogo bezwarunkowo i przeszkadzało mi, że wstydzę się tego, że nie kocham nikogo bezwarunkowo.

*

A ponieważ już jako dziecko nie umiałem nie wstydzić się i wstydziałem się zawsze podwójnie – czegoś konkretnego i tego, że wstydzę się właśnie tego – cierpiałem także podwójnie, o ile tak można powiedzieć. Bo może byłem dzieckiem, a potem młodzieńcem przetrąconym przez życie w samych jego początkach i nie potrafiłem kochać, odkąd ojciec opuścił mnie i moją matkę pijaczkę, a może nie przetrącenie było tu najważniejsze, ale to, że nie wiedziałem, kim jestem i nikt z mojej biednej rodziny nie miał z tym nic wspólnego. Nie potrafiłem kochać, ponieważ cierpiałem nieustanne tortury i katusze emocjonalne i nie potrafiłem wyrwać się z niszczącego kręgu emocjonalnych tortur i katuszy, tak jak wyrwał się z nich mój dorosły i na swój sposób nie tak słaby, jak zawsze myślałem, ojciec. Nie potrafiłem kochać i wiedziałem o tym, więc – można chyba powiedzieć – ponieważ to wszystko tak wyszło: wstydziałem się całe życie strasznie. Przeżyłem to. Przecierpiałem i nie muszę już do tego wracać. Ale gdy wracam, boli cały czas w ten sam sposób, co dawniej. Przeżyłem to i nauczyłem się, że jeśli chodzi o pewne problemy, to nic tak nie wzmaga poczucia, że żyje się rzeczywiście, jak rozliczne nieprzyjemności na co dzień i dokładne upokorzenie na stałe, poczucie upokorzenia i nieusuwalny wstyd. Przeżyłem ten wstyd i daremność i przeżyłem niepocieszenie, przeżyłem całe lata wstydu i wiem, że – to niezamierzona aluzja – mój wstyd mnie po prostu przeżyje. Przeżyje mnie wstyd. Na pewno.

*

Wybawił mnie z moich wstydy przypadkiem spotkany Izajasz, bo jako jedyny nieomylnie rozpoznał, co może przynieść mi ulgę. Zaprosił mnie raz i drugi i odtąd zacząłem przychodzić w to miejsce, które na lata stało się moim drugim domem.

Pamiętam, że już po niecałym roku mojej znajomości z Izajaszem Aniołem, po kilku zaledwie miesiącach dość intensywnych spotkań, wynosiłem z domu mojego, tak nieoczekiwanie poznanego sprzymierzeńca, tony książek, albumy, sterty pism, ale wynosiłem przede wszystkim wrażenie, że świat może i powinien być inny – jeszcze jedno widzenie złudne, które przyszło mi skorygować. Pierwsi poeci, których wiersze wryły mi się na długie lata w pamięć, to byli, dość przypadkowo podsunięci przez Izajasza Anioła, Giuseppe Ungaretti i Tuomas Anhava, Włoch oraz Fin o zupełnie dziś dla mnie nieczytelnej liryczności. Nieczytelnej, bo książeczek z ich poezjami nie udało mi się później nigdzie kupić, a fragmentów pamiętam niewiele. Pamiętam, że przeżywałem niektóre fragmenty z ich wierszy tak głęboko, że przepisywałem je, te narzucające się wyobraźni obrazy i metafory, hurtem i chyba też w uniesieniu, bez skreśleń, do dzienników prowadzonych nader skrupulatnie od, jak to się mówi, zawsze. W dziennikach, które później w przystępie zdrowego samokrytycyzmu – zniszczyłem, najpierw drąc, potem paląc na popiół. Po Ungarettim i Anhavie, z których dzisiaj pamiętam blade strzępy metafor i wizji, raczej aurę niż temat, smak niżli obraz, przyszła pora na Randalla Jarrella i moje pierwsze poważne odkrycie, słynną *Twierdzę* Antoine'a de Saint-Exupéry'ego. Ostatni z wymienionych autorów i jego *summa* myślenia na długie lata, na ciemną epokę młodości była dla mnie czymś na kształt drogowskazu. Ukazał mi w tejże epoce świat uczuć i myśli doniosłych, świat najzupełniej miniony, a jednak obecny w sztuce. Ukazał mi wielkie przestrzenie, otwarty horyzont, nie piekło, lecz ziemię i niebo, którego istnienia sam nigdy bym nawet nie podejrzewał. Ta książka nie pozwoliła mi zasnąć, ta książka wprawiała mnie w dygot, tak trzeba to określić, trzeba wyjawic to językiem tamtej epoki mojego niepozieranego życia. *Twierdza* wprawiała mnie w drżenie, tak było.

Czytałem: „Jeśli żałujesz otrzymanej rany to jakbyś żałował, żeś się narodził albo żeś się nie narodził w innej epoce. Gdyż cała twoja przeszłość to tylko narodziny dnia dzisiejszego. Przeszłość jest taka i to wszystko. Przyjmij ją taką, jaka jest, i nie próbuj w krajobrazie przestawiać gór. One są właśnie takie, jakie są.” Czytałem te zdania i czułem dreszcz jak sztylet sunący lodowatym ostrzem po moim kręgosłupie. Czytałem: „Kobieta chciała cię ograbić, gdyż jej celem jest dom” – i niewiele z tego rozumiałem, ale smakowało mi piękno obrazów. Czytałem: „Nie otrzymasz żadnego znaku – albowiem właściwością bóstwa, od którego znaku pragniesz, jest właśnie milczenie”. I dalej: „Mowa, którą mówi drzewo, ma wymiar drzewa.” – i te zdania zapadły mi w pamięć na zawsze, na długie lata.

*

Tak było. Ta książka przez wiele miesięcy wprawiała mnie na przemian w stan błogości i przerażenia, w stan cichej, niemal mistycznej ekstazy, z której wychodziłem powoli, przymuszony przez wyroki losu, bez nich raczej bym tego nie zrobił, pewnie wołałbym nie wychodzić. Inny stosunek do ludzi, sposób bycia napiętnowany innością, również były efektami tej lektury, zanurzenia się w światy tej książki. Inaczej zacząłem postrzegać tak mężczyzn jak i kobiety, budziła się we mnie i rosła komiczna i groteskowa potrzeba duchowej wyższości, nie mojej, lecz świata i rzeczy, z którymi ja chciałbym mieć do czynienia.

*

A więc nie Dostojewski i Nietzsche – tak szczelnie od dawna porośnięci komentarzami, opowiedzeni do rdzenia i może też w sensie ścisłym zaczytani – nie smutni w swoich zabójczych czerniach francuscy modele od Sartre’a, nie grząski świat myśli współczesnej, brutalnej i często nijakiej, a Saint-Exupéry, z którego – nad czym Izajasz biadał – zrobiono autora dla dzieci. Więc ten Saint-Exupéry, którego sprowadzono dziś w majestacie jedynie słusznego modelu kultury źle popularnej do roli autora

powiastki dla dziewic i prawiczków, do roli autora bajeczki z morałem, niezwykle przyjemnej i niekłopotliwej, ten Saint-Exupéry to dla mnie punkt odniesienia miniony, a jednak wciąż szanowany.

A że tak jest także teraz i ponieważ świat widzę między innymi przez pryzmat tej właśnie książki, która uczyła mnie patrzeć bez złudzeń, i ponieważ w widzenia złudne popadam nie częściej niż inni, to stwierdzam, że większość nie widzi, do czego doszliśmy w kulturze – po Dostojewskim i Nietzschem – nie szukając alternatywy, nie próbując innego myślenia. I skoro już tak mają się sprawy, to mówić zamierzam otwarcie o tej, a nie innej kulturze, kulturze świadomej lub świadomej pozornie, lecz wystarczająco silnej, by móc marginalizować wpływ osób tak innych i tak zdecydowanie wielkich jak autor, o którym mowa. A mówię także za Izajasza Anioła, który mówić już tak dziś nie potrafi, odkąd spadła na jego głowę schizofrenia w najkoszmarniejszej postaci, odkąd Bóg zrobił z niego Hioba, któremu nie zwraca się tego, co stracił. Mówię za Izajasza Anioła i słowa jego powtarzam i w mowie swojej podniosłej i często też, wiem to, patetycznej nie siebie usłyszeć mogę, lecz jego – proroka, który nie znalazł posłuchu, proroka, który nie umiał ocaleć, proroka, który miał swoje miejsce w brzuchu wieloryba i gromił widzenia złudne. Lecz przede wszystkim nauczał: rodzinę, przechodniów, zwierzęta. Niektóre jego poglądy przyjdzie mi jeszcze powtórzyć. I słowa jego przetrwają w tej mojej fragmentarycznej legendzie, w przekazie zafałszowanym, jak zawsze, gdy są zaledwie strzępy. W narracji, tak jest, przygodnej i równie nieokiełznanej, co jego duchowa natura – i przed chorobą i po niej.

*

Pamiętam, jak Izajasz wrzał, kiedy mówił o świecie kultury współczesnej, pamiętam jak gromił tych wielkich, co przeszli na stronę Mammona i widzę wyraźnie, gdzie stoi cudzysłów dla was niewidzialny, wiem dobrze, gdzie powtarzam to, co usłyszałem od niego. Kultura, jak mówił Izajasz w swych pompatycznych tyradach, kultura, której nestorzy świadomie, z cynicznym roz-

mysłem uwzięli się, żeby pomijać świat sztuki tak innej i wielkiej, i przedłożyli nad nią widzenia złudne pokurczów mentalnych, duchowych i w ogóle pokurczów, i kalek bez cienia życia, kultura ta wielbiąc dziś dzieła i twory bezwzględnie chybione i miałkie, kultura ta musi tak zdychać, jak zdycha na oczach nas wszystkich.

Słuchałem wstrząśnięty do głębi potężną energią wykładu i porażony strasznym darem pompatyczności. Nie znałem kultury takiej, o jakiej wykladał Izajasz, nie mogłem mu sprostać w dyskusji, więc tylko struchlały siedziałem. W ten sposób los ukazywał mi ogrom tragicznych i dramatycznych rozdźwięków, ustami Izajasza Anioła płynęły wciąż anatemy, płynęły niemalże spienione potoki zdań wielkich i krągłych, a mnie murowało w podziwie, mnie nurt ten porywał i drażył, przewiercał na wskroś i na wylot, odurzał, niszczył i wskrzeszał – ja byłem jak glina w rękach potężnie sprawnego artysty.

Byłem pozornie posłuszny jego woli i chętnie poddawałem się temu, co Izajasz przy pomocy żywych słów robił ze mną, kiedy byliśmy razem. A mówiąc może mniej pompatycznie, lecz za to z precyzją jak najkonieczniejszą, w ten sposób objawiał mi Izajasz Anioł zjawisko marginalizowania kultury prawdziwej, zjawisko niszczenia w niej tego, co dobre i wartościowe na rzecz poronionych płodów, tak kochanych przez publiczność współczesną. Prywatnie i całkiem intymnie była to także lekcja nadziei i wiary, tej wiary, co to jej nigdy nie miałem i mieć już na pewno nie będę, i tej nadziei, której w świecie nigdy nie potrafiłem zobaczyć.

Izajasz Anioł zaopatrzył mnie w zapas nadziei na kilkanaście lat, lecz nie mógł wypełnić mnie dokładniej i nie mógł ocalić mi skóry, podarował mi zatem rzecz piękną, ale bezużyteczną, tak myślę, w każdym razie z perspektywy doświadczeń, które miałem przeżywać jeszcze i które były przede mną. Tak czy tak, jestem mu wdzięczny ogromnie.

*

Izajasz Anioł, sprawca licznych niesamowitych wydarzeń, podarował mi sam to, co najlepsze, bez patosu i bez pompatyczności, podarował mi swoją przyjaźń, wielkie dobro na czas cierpień i beznadziejności, na czas starań daremnych i niepokieszenia. Na całe bezużyteczne, o czym jestem przekonany, życie, na czas śmierci, którym miałem sprostać, na godziny wielkiej ciszy wokół, podarował mi Izajasz Anioł swoją wielką i surową miłość, której nigdy nie potrafiłem mu oddać, jakbym miał wydrążone i puste, poranione i zniszczone serce, co nie może mnie usprawiedliwiać, co jest ledwie cichym żalem w pustce.

Pomogła mi jego czysta i twarda w swojej istocie przyjaźń, dzięki niej zniosłem najpierw śmierć matki, potem klęskę mojej pierwszej miłości. W pewnym sensie dzięki jego miłości zniosłem później stratę wszystkich miłości, jego miłość była mocną szczepionką, była dawką, która starcza do dzisiaj. Pamięć o czynach i słowach, pamięć gestów, uśmiechów i myśli, pomogła mi przetrwać najgorsze, dzięki niej mogłem wytrwać z godnością w niezyciowych i koszmarnych warunkach. Pamięć o Izajaszu Aniele, po latach, o dziwo, wzmocniona, pomagała mi niejednokrotnie znosić ból i upokorzenia, które nikomu nie są oszczędzone. Jestem skłonny nawet teraz przypuszczać, że przez pamięć wielu wspólnie przeżytych chwil, byłem gotów znosić wszystkie udręki, jakich świat miał mi jeszcze dostarczyć. Pamięć epizodów z życia Izajasza Anioła i pamięć o jego potężnej dobroci i osobowości pozwoliła mi znieść z godnością pierwszy zawód i wszystkie kolejne. Myślę szczególnie o udręczeniach zaznawanych od moich kobiet, od cudownie zaślepionych kochanek, z którymi zawsze były problemy. Znosiłem więc mnogość udręczeń zaznawanych od kobiet uroczych, znanych mi bądź to epicko, bądź ledwie epizodycznie, lirycznie, w znikomych cząsteczkach, fragmentach, znosiłem to, aż zrozumiałem, że wojny z biologią nie wygram i stało się to, co się stało: pojąłem kilka znanych prawideł i zbliżyłem się wtedy do tego, kim jestem obecnie, bądź kim mi się zdaje, że jestem. Wątpię jednak, by dzisiaj były te lekcje dla mnie czymś więcej niż nauką złej sztuki prze-

grywania w odwiecznej wojnie z przyrodą i jej reprezentantką, kobietą.

Może jest to znikoma nauka po miesiącach obcowania z geniuszem, ale nie jest to nauka jedyna, może nawet i nie najważniejsza. We wspomnieniach pozostało mi jednak przede wszystkim słodkie znamię po rozmowach istotnych, przemieszanych z dręczącymi snami: o kobiecie, którą wtedy kochałem, o kobiecie, która była tą pierwszą. Izajasz Anioł zresztą tego nie wiedział, nie mógł też wcale przypuszczać, jakie na mnie wywiera wrażenie pożyczona mi przez niego książka w połączeniu z jego osobą, w połączeniu z wielkim zbiorem prawd wiecznych i trwałych, których czuł się depozytariuszem i w które wierzył aż do czasu szaleństwa.

*

Jestem mu, wciąż to powtarzam, jestem mu wdzięczny za udostępnienie mi sztuki, w której było to, co w sztuce być musi, wizja bólu i niebiańskie piękno, niezniszczone przez kicz i nihilizm. O bólu wiedziałem zresztą już wcześniej, niektórzy, niech zabrzmi to szczerze, już jakby przed narodzeniem mają przedsmak i posiadają wiedzę, czym mogą być ból i zniszczenie. Niekтары rodzą się z wiedzą o bólu i piekle, o nicości daremnych poczynań człowieka, po których jest czczość, dym oraz popiół, i rodzą się z wiedzą o ciele, i duszy znają też zakamarki, i gorzka jest cała ich wiedza, a życie ich trwa wciąż w niezgodzie, w udręce i w tym, co nazywam totalnym niepocieszeniem. Niepocieszeniem po stracie, choć straty nie musi być żadnej; jest ból i ból tu wystarcza. Do bólu przyucza się człowiek latami i latami uczy się żyć tak jak inni, ale inni także żyją w bólu, innych też trawi gorzka rozpacz. Stąd też nikt nie potrafi nam pomóc, nikt nie umie pomóc nigdy nikomu, wszelka pomoc jest fikcją, groteską, od pomocy robi się jeszcze gorzej.

Ale tego nie uczył Izajasz Anioł, jego nauki były pełne miłości, w jego słowach mieszkał duch Chrystusowy, w jego ciele było serce gorące, a mimo że rozum miał sprawny jak u biblijnego węża, i tak uległ chorobie i zanurzył się w otchłań psychozy.

Mnie do bólu trudno było przywyknąć, nie myślałem słowami Chrystusa, byłem młody i miałem wrzącą krew w żyłach, miałem ciało pełne głodów i pragnień. Czułem głód i nie chciałem cierpieć, to normalne w wieku lat kilkunastu, nie chciałem przywyknąć do bólu i potem także nie mogłem pogodzić się z jego wszechobecną i wszechogarniającą obecnością i na zewnątrz, i wewnątrz człowieka. Mogłem tylko przystanąć i patrzeć. To robiłem i to robię do dzisiaj. Patrzę w przeszłość i co widzę, to opisuję. Opisuję to, co zniszczone na wieczność.

*

Izajasz Anioł wiedział zresztą dobrze i mówił otwarcie, że człowiek może być tylko i wyłącznie zniszczony. Mówił tak, jakby przewidywał swoje chwalebne wpięklówstąpienie w obłąd. Jedyna i nieodwołalna jest pewność – mówił – całkowitego zniszczenia człowieka. Doświadczenie zniszczenia – perorował – jest zapewne równie pierwotne, co doświadczenie strachu, głodu i pożądania. Doświadczenie zniszczenia, bycie zupełnie zniszczonym, to przytrafia się prawie każdemu i w prawie każdym momencie.

– Same wielkie tematy – śmiał się Izajasz Anioł. – Podejmuję same wielkie tematy ludzkie i niszcę siebie, bo moja sztuka jest całkowitym niszczeniem siebie sekunda po sekundzie. Tak więc malując niszcę siebie, rzeźbiąc niszcę siebie, a zwłaszcza pisząc całkowicie i nieodwołalnie niszcę siebie. Pisanie, jak i całe tworzenie, jest zresztą najlepszym dopuszczalnym sposobem niszczenia siebie sekunda po sekundzie, a wszystko po to, by uporać się z największymi tematami ludzkości, samymi wielkimi tematami – śmiał się, kiedy to mówił, lecz jego śmiech brzmiał cierpko i smutno. – Dlatego – kontynuował – dlatego uznałem, że sztuka, że pisanie w licznych przypadkach stanowiące istotę i cel życiowych wysiłków, to jest najbardziej ludzki i najbardziej człowieka godny sposób na całkowite i nieodwołalne zniszczenie siebie wraz ze zniszczeniem totalnym iluzji jakiegokolwiek sensu, który nie byłby sensem boskim. Boskim! Rozumiesz? – Izajasz Anioł piorunował mnie wzrokiem, jakbym

to ja wymyślił wszystkie przeciwne jego myśleniu idee. – Dla mnie, a podejrzewam, że skrycie jest to też myśl znacznej części przeżartej rozczarowaniem i upokorzeniami ludzkości, a więc dla mnie sens jest jedynie w Bogu, poza Bogiem nie ma i nie może być żadnego sensu. To oczywiste.

*

A dla mnie – myślałem już później, kiedy Izajasza dotknął zimny palec szaleństwa – dla mnie coś takiego jak sens, tak jak rozumieją go filozofowie i teolodzy, nie istnieje, czyli – pozwolę sobie powiedzieć to nieco dobitniej – nie istnieje zupełnie i ostatecznie. A wszystko to, co klasyczni filozofowie i teolodzy uważają za epifaniczne przejawy sensu, ja traktuję jak iluzję i uważam za iluzję sensu. A wśród czynności niszczących tę iluzję sensu świata na pierwszym miejscu – tak jak, paradoksalnie, Izajasz Anioł – stawiam sztukę, a zwłaszcza sztukę pisania. Owszem, pisanie jest czynnością umożliwiającą wytworzenie sporej nawet ilości tego, co nazywam iluzją istnienia sensu, nie jest to jednak żaden argument, żeby nie widzieć, jak to samo pisanie niszczy wszelką iluzję sensu i jego objawień. Ale jest to, powtarzam, moje prywatne zdanie. Pani Erozja, Pani Entropia i ich cudownie nieomylna matka, Pani Śmierć być może przekonają niektórych, że tak całkiem jednak się nie myliłem. Bo niektórych da się przekonać łatwo, a co do reszty – sama szczególnie, zniszczeje, zejdzie, jak my wszyscy i jak każdy z osobna. Jest wiele sposobów niszczenia, jest mnogość sprytnych metod ucieczki w entropię, erozję i rozkład, w śmierć cichą, powolną i rozpad. Jest picie, jest ćpanie, jest seks, jest długie, powolne zdychanie na smutek i na melancholię, jest noc i jest dzień i depresja, jest sen widzeń złudnych i klęska, jest grzech i błąd nieskończony, jest wiele nieoczywistych zdarzeń. Metody niszczenia siebie, unicestwiania w każdym ze znanych wymiarów, na tyle możliwych sposobów, ile ich sobie można wyobrazić, metody, które wypróbowałem, ich liczne nieczyste rodzaje.

A wypróbowałem wszystkie metody niszczenia siebie, sięgnąłem po wszystkie środki, od najłagodniejszych począwszy, a na

ekstremalnych skończywszy. Pijaństwo, dragi i seks i wszystko, co nie było mi obce, trudno byłoby tu wymienić, za wiele było tego. Trudno też byłoby to wszystko nazwać, według przysłowia, ludzkim. Nie zawsze bowiem to, co nie jest już obce, staje się łatwo ludzkim. Częściej wszystko, co nie jest mi obce, a więc wszystko, co bym uznał za ludzkie, jest nieludzkie i doprowadza do szału humanistów oraz innych cenzorów. To normalne, więc nie dziwię się wcale, to zwyczajne, że najpierwsze odruchy stają się odruchami najsilniej egzorcyzmowanymi. Markiz de Sade, Sacher-Masoch, paru innych – całkiem pokaźna grupa tych, którzy nie uwierzyli, że wszystko, co ludzkie, jest ludzkie w każdej sytuacji. Bo może być arcyłudzkie i wtedy już ludzkie nie jest. Bo człowiek, powtarzam to stale bez wiary, że do kogokolwiek to dotrze, człowiek może być tylko i wyłącznie zniszczony, absolutnie, bezwzględnie, totalnie i nieodwołalnie zniszczony. Same wielkie, arcyłudzkie tematy – jak powiedziałby Izajasz Anioł. Same rozpaczywości podane w formie komicznej.

*

Dość tego. Czy to ma być w końcu tragedia? Czy komedia? Jak się dowiedzieć? Jestem przecież jedynie czasem kpiącym, a czasem melancholijnym narratorem przygodnym i nieokreślonym, który to tytuł przywłaszczyłem sobie, ponieważ przypadł mi do gustu. Jestem nikim innym jak Kronikarzem, Gadułą, Piszącym, jestem Błędnym, a może Obłędnym Rycerzem kronikarstwa, jestem wcieleniem wszystkich narratorskich duchów, które zechciały przyjść mojemu pisaniu z pomocą – to jest mój wielki *channelling*, wpuszczam duchy w swój umysł i sprawiam, że zaczynają przemawiać, to jest *channeling* pisarski, jedyny na jaki mnie stać, to moje unicestwienie radosne, arcyłudzkie w swojej niedoskonałości, arcyłudzkie, bo jedyne możliwe, to moje niszczenie siebie – dokładnie – sekunda po sekundzie, w zgodzie z tym, co mi powiedział Izajasz. Opowiedziałem o moim wstydzie, opowiedziałem o niechęci Izajasza Anioła do Fryderyka Nietzschego i Fiodora Dostojewskiego, opowiedziałem, co było do opowiedzenia i co dało się uzupełnić zmyśleniem. Więcej zro-

bić w tej chwili nie mogę, może kiedyś opowiem o tych sprawach
dokładniej i lepiej.

Życie to jedno pasmo wyniszczających zauroczeń – to nie jest
z Izajasza Anioła, to myśl, której sam doświadczyłem.

Życie to magia i chaos, to książka do napisania, to stos po-
krzywionych wydarzeń i kilka postaci z groteski.

Życie to zmarszczka na fali, którą widzisz na oceanie, a ocean
to wszechświat, o którym nikt nie ma w ogóle pojęcia.

Życie to pamięć.

*

Naprawdę?

ROZDZIAŁ XV

W rzeźni i konsyltorium...

Zabobonne myślenie i guślarskie praktyki, cały mętlik w domu rodzinnym mojej jasnowidzącej kobiety, który stał się i moim domem około roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego, kiedy mnie przygarnęła, a więc praktyki te i myślenie dochodziły z czasem do tak potężnego stopnia przerafinowania, że trudno wprost było połapać się w ich przyczynach, nie wspominając o skutkach, odległych i niepojętych. Po cóż bowiem, zapytywałem samego siebie, tak mieszano zwyczaje i obrzędy, jakim nieznanym bóstwom służyły te rytuały, o znaczeniu których nikt nic mi nie umiał powiedzieć? Patrzyłem na ruchy skupione, na zmarszczone czoło mojej jasnowidzącej kobiety i nie rozumiałem za wiele, właściwie nie rozumiałem niczego i wyłaziła ze mnie ignorancja zupełna. A moja jasnowidząca Luiza nie tylko prastarym zwyczajem wieszała czosnek na kołku, bojąc się może wampirów, a może – tak też pomyślałem – chcąc go mieć zawsze pod ręką, kiedy przyjdzie jej coś ugotować. To może bym jeszcze zrozumiał, chociaż zapewne nie poparł. To byłoby do pojęcia, ale to nie było wszystko. Bo moja Luiza nie tylko wieszała czosnek na kołku i nie tylko sprawnie przesypywała zioła, warzyła i porcjowała i dodawała do dań smacznych i jak rzadko pożywnych, bądź zmieniała w lecznicze mikstury, po których a to głowa przestawała boleć, a to płuca lepiej oddychały. Luiza nie tylko w kuchni uprawiała magię, nie tylko duchy powolnej jej, jak to nazywała, teurgii krzątały się dzielnie od świtu do północy, a czasem od północy do świtu. Moja jasnowidząca

kobieta miała, o czym się przekonałem, wiele tajemnic, o których nie lubiła za wiele rozprawiać. Jej prace nad panaceum, co traktowała poważnie i co ja traktowałem poważnie, bo zioła to i owszem, w zupach i w mięsie lubiłem i zawsze prosiłem o dokładkę, a więc jej prace nad panaceum to była rzecz wielka. Ale Luiza w coraz poważniejszej magii zdobywała potajemnie generalskie szlify. W coraz to, jak profańsko i bez znanstwa żadnego nazywałem, inne voo-doo i dziady wnikała, w coraz gęściejszej aurze praktykowała zakazane sztuki. W poświęcie czarnego światła, w oparach jak z herbapolu praktykowano w domu rodzinnym mojej jasnowidzącej kobiety. A ja, który przy wszystkim byłem, udawałem, że niczego nie widzę, chociaż na mnie od czasu do czasu także padał cień absolutnie złowrogi, całkiem biały jak przesćieradło lub całun, tak pobladły jak moja, kiedy widziałem go lub poczułem, twarz.

*

W domu mojej jasnowidzącej kobiety istniała długa tradycja związana z magiczną praktyką. Praktykowała matka mojej jasnowidzącej kobiety, praktykowała jej żyjąca wciąż babka, praktykował nawet stary ojciec. Każde z nich miało swoją działkę, swoją wielką magiczną domenę, każde miało swoje skrywane techniki, i każde, co nieuniknione w domu, jak ten, popyrtanym, głosiło wyższość innej ze sztuk czarnomagicznych. Matka mojej jasnowidzącej kobiety, Celestyna, kobieta pięćdziesięcioletnia, krzepka na ciele i duchu oraz wielce inteligentna, upodobała sobie chiromancję i ziołolecznictwo. To ona pierwsza dostrzegła mój talent do konfabulacji. Babka Laura, seniorka rodziny, wiekowa, ale jeszcze przytomna i bystra, lubiła wróżyć z lotu ptaków, spojrzenia i fusów. To ona dostrzegła pierwsza, że nie jestem tak bardzo głupi. Ojciec, Zenon, trzymał się destylatów i najchętniej wróżył z denka butelki, kilka kropel przemawiało do niego tak wyraźnie, jak by mu kto w ucho szeptał. Moja jasnowidząca Luiza trzymała się kart i kryształów, choć czasem brała też świece i wpatrywała się w płomień. Trzymała się mocno kryształów, ale znała się także na mancjach, na wszel-

kich sposobach czytania przyszłości z tego, co ludzi otacza. Nie miałem o tym pojęcia, więc chętnie dała mi kiedyś wykład:

– Geomancja dla ziemi, aeromancja dla powietrza, a hydromancja dla wody.

A były też wyraziściej humorystyczne sposoby mnożenia cudownych widzeń i dowiadywania się prawdy: bibliomancja, czyli odczytywanie przyszłości z otwieranej na chybił trafił książki (to coś dla mnie, mówiłem z początku, chcąc sprawić Luizie przyjemność); kapnomancja, czyli czytanie z dymu (raczej z komina, bo papierosy bywają zbyt niedokładne); kledomancja – z przypadkowych uwag (wystarczyło suk grabarza posłuchać); giromancja – z wirowania w miejscu aż do zawrotu głowy (tak, żeby stracić przytomność, ale nic nie dać poznać po sobie); margaritomancja – z gruszek; miomancja – z obserwacji myszy; onikomancja – z badania paznokci; same arcyskuteczne sposoby. W czas burz moja jasnowiedząca używała też co ładniejszych błyskawic i wróżyła sobie jak fulgulator, czyli ten, co korzysta z piorunów.

*

Rzeźnikowi z naszego osiedla, Tymoteuszowi Mrozowi, potrafiła powrócić z ociekających krwią łopatek oprawionych do sprzedania zwierząt – nazywała to skapulomancją, co wprawiało rzeźnika w zachwyty. Dzięki temu jadłem często na obiad najwykwintniejsze schabowe.

Pamiętam, jak spytał Luizę, kiedy byliśmy w jatce:

– Powróży mi pani szanowna? – a ona weszła za ladę, sięgnęła do mięsa na haku i po chwili mówiła zmienionym, schrypniętym głosem:

– Niebawem zostanie pan ojcem.

Pan Tymoteusz rumienił się jak panienka, przestępował z nogi na nogę i odzywał się nieco ciszej:

– No tak, bo my z żoną, wie pani... Ale... Czy będzie chłopiec?

Moja jasnowiedząca Luiza brała raz jeszcze w dłonie oślizłe, surowe mięso, gładziła przez chwilę ścięgna, przymykała w geście skupienia oczy i podawała wyrok znów chrypiąc, jakby w jej gardle tkwiła ość:

– Będzie syn. Niech pan będzie spokojny.

Gdybyście mogli zobaczyć, jak cieszył się pan Tymoteusz. Warto to było zobaczyć, ten płas radosny po sklepie. Lecz kiedy wyszliśmy z Luizą zauważyłem, że nie cieszy się tak jak zwykle, gdy miała udaną wizję, że chmurna jest i blada.

– Co jest, Luiza? – spytałem. – Zmęczyło cię to wróżenie?

– Nie jasnowidztwo mnie męczy, lecz to, że ja widzę za dużo.

– I co zobaczyłaś? Powiedz – prosiłem zaciekawiony.

– Ten syn, Norbercie, to nie jego dziecko. Żona zdradza go z pomocnikami.

– Z pomocnikami? Z iloma? – dopytywałem się w szoku i nagle poczułem smutek, który był jej codziennością. Jakby świat znalazł się nagle w miejscu ciemnym, depresyjnym i zimnym.

– Z Andrzejem, co na zapleczu oprawia wieprzowe polcie i z Maćkiem, co przyjeżdża tu z chłodni, nieczęsto, ale to wystarczyło.

Było jeszcze wiele innych sposobów wróżebnych, nie znam wszystkich, nie zapamiętałem. Z prawie każdym wiązała się jakaś dobijająca, życiowa historia. Każdy innej mógł sprostać potrzebie. A potrzeby były najdziwniejsze, zawsze pilne i nadzwyczaj trudne, prawie zawsze też niewesołe.

– Taka praca – mawiała Luiza. – Taki talent i nic z tym nie zrobię.

*

Lubiłem Tymoteusza, zwalistego rzeźnika o małych oczach poety i uśmiechu przejętego czymś dziecka i było mi go naprawdę szkoda. Lubiłem jego spokój i twarz – bo całościowo tak wyglądała – sympatycznego mordercy. Takie twarze mają zazwyczaj mężczyźni łagodni dla kobiet, ale dzicy, kiedy stanie się im na drodze. Jego żona mogłaby to potwierdzić. Zresztą facet miał talent w rękach i pamiętam, jak jego pracę podziwiała Luiza.

– Czy ty to widzisz? Czy słyszysz? – pytała mnie, gdy po raz pierwszy trafiliśmy do jatki Mroza. – Uderzenia jego ręki, praca mięśni ramion i dłoni, sposób, w jaki staje nad rozplatanym ciałem tego biednego zwierzęcia, a nawet dźwięki, jakie wydają jego

tasaki i noże, wszystko to, mimo że sama jestem wegetarianką i nie pochwalam zabijania zwierząt, ma w sobie tyle harmonii i piękna, jakby działa się w rytm niesłyszalnej, doskonale uwewnętrznionej muzyki.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Facet siecze, jak Wołodyjowski.

– Jak pan to robi? – pytała rzeźnika Luiza. – Tak niesamowity kunszt to niespotykana rzadkość.

– Kiedy zaczynałem robotę w swoim fachu – rzeźnik odłożył tasak i wytarł fartuchem pot z czoła – miałem przed oczami tylko polcie i tusze, tylko mięso i mięso, nic więcej. Tylko krowy i świnie.

– A teraz? – miałem pewność, że Luiza wie, o co pyta.

– Teraz – rzeźnik uśmiechnął się od ucha do ucha – robię to bardziej, jak by to wytłumaczyć – popatrzył na nas tak, jakby oceniał, czy może nas wtajemniczyć w swoje wewnętrzne sprawy – no, robię to swoją duszą – wyrzucił z siebie.

– Duszą? – teraz to ja nie skumałem.

– Teraz z tym mięsem, które tu państwo widzicie, spotykam się własną duszą, inaczej tego nie nazwę – rzeźnik przyjął na moment pozę, która miała nam unaocznic jak ważne dla niego jest wszystko, co nam tu teraz mówi. – I zaniechawszy – chrząknął przejęty i ruszył krwią skropionymi palcami – i zaniechawszy wszelkiej wiedzy pochodzącej ze zmysłów, szczególnie z dotyku i wzroku, lecz także, proszę mi wierzyć, ze słuchu, działam wyłącznie z pobudek wewnętrznych. Wyłącznie! – popatrzył, czy pojęliśmy i czy zrobiło to na nas wrażenie. – Dlatego nie widzę już mięsa, ale przez to jakby lepiej je widzę. Mój tasak tnie naturalnie – machnął tasakiem w powietrzu – jakby sam znajdował sobie drogę: przez szczeliny między kośćmi zwierzęcia, przez naturalne spojenia. Nie niszcę w ten sposób kości, zostawiam też żyły i ścięgna.

– To fantastyczne – Luiza klasnęła w dłonie i popatrzyła na Tymoteusza Mroza z zachwytem.

– No tak – pan Tymoteusz spuścił wzrok i powiedział to naprawdę skromnie. – Dobry rzeźnik musi ostrzyć swój tasak raz na rok. Kiepski, taki co wali jak w drzewo, niszczy noże jeden po drugim. A ja moim robię już prawie piętnaście lat – spojrzał

z dumą na ociekające krwią ostrze – i mimo to mój przyjaciel – pogłaskał metal – wciąż wygląda, jakbym dopiero co go naostrzył.

Luiza przeciągle i z uznaniem patrzyła na Tymoteusza Mroza. A potem chwilę myślała i stwierdziła krótko:

– Myślę, że mam coś dla pana. To będzie taki prezent ode mnie, bo naprawdę mi pan dzisiaj zaimponował. Dam panu mantrę.

– Co? – Tymoteusz Mróz nie zrozumiał.

– Niech pan w trakcie pracy powtarza *Om ami dela hri*. To panu pomoże, kiedy poczuje pan cierpienie tych zwierząt. – Luiza popatrzyła po hakach. – Mantrę tę dał mi mój nauczyciel Ole. Jest bardzo dobra. To mantra dla rzeźników.

– Co pani powie? – Tymoteusz kręcił w podziwie głową. – Jasne, że wezmę. Jak to leciało?

– *Om ami dela hri* – powtórzyła Luiza.

– *Om ami dela hri* – wymamrotał Tymoteusz Mróz. – Dziękuję pani. *Om ami dela hri*. Naprawdę dziękuję – miałem wrażenie, że Tymoteusz Mróz naprawdę uwierzył w siłę i moc zbawczą podarowanej mu przez Luizę mantry.

– Nie ma sprawy – dygnęła Luiza. – Proszę, niech pan z niej jak najczęściej korzysta.

Luiza podziękowała rzeźnikowi za sympatyczną rozmowę, a w drodze do domu stwierdziła, patrząc z dezaprobatą na mnie:

– Widzisz, ile się można nauczyć od pana Tymoteusza? Nie ciałem i nie zmysłami, a duszą! Duszą świat trzeba czuć!

– Ja lubię ciało. A dusza? Nawet nie wiem, co to takiego jest – drażniłem dla żartów.

– Będę cię chyba wysyłać po mięso, żebyś poznał się lepiej z rzeźnikiem. Może on cię nauczy, skoro ja nie przekonuję cię wcale.

– Przekonujesz – zaprotestowałem. – Naprawdę mnie przekonujesz. Ale po co ten radykalizm? Może ja mam być właśnie taki?

*

Tak czy tak, zaprzyjaźniłem się z Tymoteuszem Mrozem. Ja byłem łakomym mięsożercą, a Tymoteusz wspaniałym rzeźnikiem. I miał również swoją mroczną stronę. Ujawniła się w trakcie jednej z rozmów, gdy przyszedłem po pół kilo wątróbki i trafiłem na jego zły nastrój.

– Myślałem dziś o zabijaniu – tego dnia Tymoteusz był w swojej jatce sam. – Zabijanie, Norbercie, to jest zawsze coś prawdziwego, nie sądzisz?

– Co masz na myśli, Tymek? – widziałem, że jest w złej formie.

– Rzeźnia to rzeczywistość. Rzeczywistość to rzeźnia. Tu na około, popatrz – wskazał rękami na jatkę – całymi dniami życie rozkłada się, porąbane... Ja wiem, że mój towar jest świeży, ale ta świeżość rozkłada się nieprzerwanie. To świeże mięso, jeszcze niedawno tak żywe, leży tu rozplątane, a ja patrzę na to, ja przez cały spędzany tu czas widzę, a nawet słyszę to mięso. Pojmujesz? Słyszę to mięso. – Popatrzył na mnie z rozpaczą, lecz nie zdążyłem mu przerwać.

– Słyszałeś kiedyś mięso, dopiero co zabite? Słyszałeś to niestające muczenie, beczenie, te jęki? Tu jest wszystko. To rzeczywistość. Ludzi nie można niczego nauczyć inaczej, jak przy prowadzając ich tutaj, niech patrzają... Niech każdy spróbuje usłyszeć to wycie ściągien i żył, to skrzypienie odchodzących od ciała kości. Czy kiedy wchodzisz tu do mnie i widzisz, jak piękne jest mięso, nie myślisz, że świat jest straszny, życie jest okrutne, zwierzęta zabijają się nawzajem, żeby żyć, a jednak: to mięso ma w sobie tyle piękna... I jeszcze ta wiedza, że to mógłbyś być ty... Że to mógłbym być ja... Ktokolwiek... Widzisz to, Norbert? Powiedz.

– Daj spokój, Tymek, nie wariuj. Mantra przestała działać czy co? – chciałem go zdecydowanie pocieszyć, ale nigdy nie byłem w tym dobry. – Chodź, zamknij to dzisiaj w cholere, pójdziemy napić się piwa, co?

– Nie, Norbert, dzisiaj nie mogę. Dziś, właśnie dziś muszę tu koniecznie zostać. Muszę wsłuchać się w to do końca. W prawdę rzeźni. To mój świat. To moje... moje... moje...

– Tymek – nie wiedziałem, co mu powiedzieć, ale nie chciałem też, żeby został sam. – A jak tam hazard? – wiedziałem, że Tymek gra regularnie. – Wygrałeś może ostatnio jakiś drobny milion?

– Rzeźnia – Tymoteusz nie słuchał, co do niego mówiłem. Patrzył na swoje tasaki, patrzył na plamy krwi na podłodze i blacie. – Zawsze dziwiło mnie, odkąd pamiętam, zawsze, że na

tych hakach nie wiesz się po prostu ludzi. To mięso i to mięso, myślałem. A potem zacząłem się bać i odkryłem, musiałem to odkryć, że jest we mnie coś więcej niż mięso. Że jest to, o czym mówiłem Luizie. Ale mięso, myśl o mięsie wracała. Tylko to, co jest mięsem i tylko przez chwilę jest żywe.

– A rośliny?

– Mięsiste liście, mięsiste łydgi, mówię ci. To, co żyje, to mięso. A potem i ono gnije.

Nie wiem, co byłoby dalej, na szczęście wejście jakiejś kobiety przerwało monolog rzeźnika.

– Kilo zwyczajnej proszę – rzuciła podchodząc do lady.

– Dwanaście złotych – Tymek, kiedy patrzył na wagę i pęto kładzione na niej, poruszał się jak automat.

– Proszę – kobieta podała pieniądze, a ja skorzystałem z zajścia i pożegnałem się szybko, rezygnując z wątróbki na obiad.

– Trzymaj się. Przyjdę jutro – machnąłem do Tymoteusza ręką. I nawet mnie nie zaskoczyło, że nie uśmiechnął się na pożegnanie. W drodze do domu pomyślałem, że Luiza nie zna go od tej strony i nie pozna nigdy. Dla niej rzeźnik Tymoteusz Mróz pozostanie na zawsze cudownym, bo samorodnym *awatarem* mistrza Czuang Tsy.

*

Prośby kierowane do mojej jasnowidzącej kobiety zdumiewały różnorodnością, nie było wśród nich dwóch podobnych, ludzie dbali, by nie było nudno. Klienci rzecz jasna najczęściej pragnęli skorzystać z jasnowidzkiego daru w celu odnalezienia zguby albo też dowiedzenia się prawdy. O ile jednak w pierwszym przypadku moja jasnowidząca Luiza skłonna była pomagać zawsze, o tyle w drugim już rzadziej, a prawie nigdy, jeśli sprawa dotyczyła miłości. Niekiedy jednak było trudno odmówić wszelkiej pomocy.

– Dlaczego pomagasz tym ludziom? – pytałem kilka razy Luizy.

– Lubię to robić, zarabiam w ten sposób, nic innego w życiu nie potrafię. A oprócz tego...

- No co?
- Jasnowidzenie to stan, w którym widzę to, co znajduje się „z tamtej strony”. Stan, gdzie nie ma ani czasu, ani przestrzeni, to stan, w którym znikają ograniczenia ludzkiego rozumu i wrażliwości. W jasnowidzeniu wczoraj, dziś i jutro zmieniają się w uniwersalne Bycie.
- Kręci cię bycie wróżką?
- Jasnowidzenie, Norbercie, to nie do końca wróżbiarstwo. Wróżbici wspominają najwyżej, co człowieka czeka, szczęście czy nieszczęście. Nie widzą tego, tak jak i ty nie widzisz, co jest pomiędzy dobrem i złem, na granicy...
- Pomiedzy dobrem i złem to akurat coś dla mnie, nie sądzisz?
- Ty dalej nic nie rozumiesz. Wypowiadana przez wróżbitę przepowiednia, że na przykład czeka cię wielkie szczęście, potęguje w tobie radość, odwagę i dobre samopoczucie, w pewnym sensie cię determinuje.
- Ty tego nie robisz? Zgadłem?
- Tak, ja staram się tak nie robić. Zostawiam miejsce na działanie człowieka, na jego, jak by to ujął twój katolicki jurodiwy Izajasz, wolną wolę i wolną decyzję. Wiesz, że z zasady nie mówię o osobach trzecich. Wpatruję się w aurę klienta i w to, co dla niego istotne, ale nie mówię o niczym, co zobaczyłam, jeżeli nie dotyczy bezpośrednio tego, z czym klient przyszedł do mnie na seans. Na przykład dzisiaj. Przyszła do mnie kobieta, nazwiska nie mogę ci zdradzić, postać znana, szanowana, lubiana, a jednak tak nieszczęśliwa...
- Dlaczego?
- Z powodu syna, który ucieka z domu, ze szkoły, od niej. A ona nie radzi sobie i właściwie...
- Właściwie powinna iść do lekarza.
- Tak, ale widzisz, zna mnie i woli przyjść po poradę do mnie.
- Chce poznać przyszłość syna?
- Nie, chce wiedzieć, czy sama wytrzyma. Czy nie zwariuje od tego ciągłego lęku, że jemu coś się wreszcie stanie.
- I co?
- Uspokoiliam ją. Lecz wszystkiego jej nie powiedziałam. Bo ten chłopak umrze i to niebawem. A jej spokój weźmie się z jego

śmierci – Luiza powiedziała to tak, że odebrało mi na moment chęć do rozmowy.

– No, nieźle. To musi być wyczerpujące – stwierdziłem cicho po chwili.

– Jak każdy prawdziwy talent – uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Wiesz co? Ja to ci chyba nie zazdroszczę.

– Nie ma czego – westchnęła. – Uwierz mi, nie ma czego.

Zamilkliśmy w tym momencie oboje. Ja z wrażenia, a Luiza ze smutku.

*

Ludzie pragnęli skorzystać, znajdując zagubione drobiazgi, znajdując miłość swego życia, niekiedy bywało jednak, że zdarzali się mniej romantyczni panowie lub mniej romantyczne, obcesowe panie – i wtedy jasnowidząca stanowczo odmawiała pomocy. „Mogę szukać portfeli, mogę szukać złodzieja, mogę wypatrzeć, gdzie podział się ukochany czworonóg, mogę nawet postarać się znaleźć skarb rodzinny zakopany dawno, wszystko mogę, potrafię i chcę robić dla ludzi, dopóki mi daru starczy, ale nie będę, w żadnym wypadku nie będę tropić gachów i niewiernych kochanek, w żadnym razie nie pomogę żadnemu zazdrośnikowi, szpiegującemu swoją wielką miłość. Niech cierpi, niech zмага się z bólem, niech pozna swoje uczucie do głębi, niech przeżyje do samego końca, co to znaczy być w szponach uczucia. Ale niech nie przychodzi z tą sprawą do mnie, nie do tego czuję się powołana.” – Tak mówiła jasnowidząca Luiza, takie mowy wygłaszała obrończe i takimi argumentami usprawiedliwiała się przed natrętami.

Tak więc pomagała jasnowidząca wszystkim, którzy się do niej garnęli ze sprawami zagubionych kluczy, czworonogów i rodzinnych sreber. Dawała im nadzieję, wskazywała, gdzie odnajdą to, co zgubione, gdzie jest portfel z pamiątkowymi zdjęciami, gdzie zakopał ktoś skarb rodzinny. Podawała swoją śliczną pomocną dłoń jasnowidzącej i podawała rozwiązania kwestii pozornie nierozwiązywalnych. Nie podawała jednak ślicznej, pomocnej dłoni ludziom, którzy próbowali wciągnąć ją w niebezpieczne, roman-

tyczne intrygi. W tej materii wykazywała rozsądek, o który nikt by jej nie podejrzewał. Zgadzałem się z nią całkowicie, też nie chciałem brać czynnego udziału w awanturach romantyczno-naiwych, w których na ogół nie zyskuje się wiele. Zgadzałem się więc z jasnowidzącą Luizą, pomimo przyrodzonego sceptycyzmu, na który nie było zresztą miejsca w świecie mojej błyskotliwej kobiety.

*

W świecie mojej jasnowidzącej kobiety nie było miejsca na sceptycyzm, ponieważ sceptycyzm został ostentacyjnie wygnany ze świata, w którym razem żyliśmy. Sceptycyzm został wykluczony ze świata *teurgii*, dew, strzyg, demonów i homeopatii, ale we mnie, głęboko ukryty, trwał dalej niezniszczalny. Może było tak z powodu ogólnej niewydolności mojej niepozobieranej osoby, a być może było tak jedynie z powodu niedomogów mojej płaskiej jak stół wyobraźni.

W końcu jest tutaj życiowa prawidłowość, w końcu nie ma się przecież czemu dziwić i – raz jeszcze podkreślam – przeciwieństwa rzeczywiście się przyciągają. Przeciwności lgną do siebie bardzo, tak bardzo jak – wiem to z autopsji – wszechstronne jasnowidzenie do wielkiego niepozobierania. Jak światło lgnie do ciemności, jak ułomność do doskonałości, jak fantazja do rzeczywistości, jak wszelkie choroby do zdrowia. Nie wiem, jak to się dzieje, widzę jedynie tyle, że jest tu prawidłowość i trudno temu zaradzić, ta prawidłowość to schemat. A ten schemat to wielka tragedia, bo kobietę tak pełną zalet jak moja jasnowidząca Luiza, mężczyzna tak niedoskonały jak ja w całym swoim pokręconym i nie do uporządkowania życiu poznaje zawsze w olbrzymiej desperacji, osaczony przez zaślepione kochanki, uwikłany w rozliczne przygody, wręcz przyparty do egzystencjalnego muru. Jakże lepiej by to wyglądało, o ileż mocniej można by się ekscytować, gdyby prawda nie wyglądała tak prawdziwie, czyli zwyczajnie i bez tej fantazji. O ileż łatwiej byłoby opowiedzieć historię bogatą w fantastyczne kreacje, rozkoszne perypetie kochanków, obojga przytomnych i klarownych w roli kochanków właśnie.

Ale co zrobić, jeśli naprawdę było tak, jak to zaraz przedstawie? Co zrobić z narzucającym się, mało lirycznym wątkiem,

opartym na dramatycznej ucieczce od życia wśród zaślepionych kochanek, a także na ucieczce od życia w całości nieżyłowego, co zrobić z postacią odklejonego z lekka, nie najgłupszego faceta, który w ucieczce swojej trafia na jasnowidzącą kobietę? Co zrobić z narzucającą się sceną pogoni, kiedy trop w trop za odklejonym facetem postępuje druzgocząca w swej sile, anielska jasnowidząca kobieta? A co zrobić, kiedy nie postępuje trop w trop? Nikt nie wie? Ja także nie wiem. Kobieta zdeterminowana i pewna, że jej się uda, że uda się jej własną mocą odmienić uciekającego mężczyznę, taka kobieta to rzadkość albo przekleństwo. Ale kobieta wierząca, że może nie tylko odmienić, ale i trochę przykleić, zespolić życie mężczyzny na nowo z życiem w całej jego istotowości – taka kobieta to skarb, jeśli będzie ją miał kto docenić.

*

Co zrobić? – pytam duchów wielkich narratorów z przeszłości. – Co zrobić? – pytam duchów narratorów biegłych w opowiadaniu zawitych historii. – Jak opowiedzieć nieopowiadalne? – pytam duchów biegłych w opowiadaniu nieopowiadalnego. – Opowiadaj – mówią wielkie duchy. – Opowiadaj i nie martw się niczym. A już zupełnie nie zwracaj sobie głowy tym, co będzie, jak rzecz całą opowiesz. – Wziąłem sobie do serca głosy narratorskich duchów, chociaż zazwyczaj głosów i to głosów duchów nie miałem zamiaru słuchać, a pouczenie ich starałem się zapamiętać, choć normalnie nie próbowałbym nawet. A na koniec powziąłem zamiar opowiedzenia wszystkiego, jak było. Nie przeinaczając niczego i tyle tylko zmieniając, i tyle tylko zmyślenia dodając do prawdy i faktów, by całość nie była sucha i niewyraźna jak życie – bo w końcu cała przyjemność pisania jest w podmianach i przeistoczeniach...

*

Wśród jasnowidzek przygarniających niepozbieranych facetów, marzących o pozbieraniu i zrobieniu jeszcze czegoś ze swoim życiem, istnieje mądra konieczność zamieniona w zwyczaj.

Być może jest to zresztą zwyczaj, który przechodzi w konieczność, by tego faceta pouczyć, czym jest doskonały praktycyzm, by mężczyźnie odklejonemu zaszczerpić choćby minimalną porcję najdoskonalszego praktycyzmu. Tak i moja jasnowidząca kobieta, kiedy poznała mnie – odklejonego i niepraktycznego faceta – podjęła się zwyczajowych i koniecznych praktyk, pokazała mi, czym jest najdoskonalszy praktycyzm.

*

Doskonały praktycyzm mojej jasnowidzącej kobiety objawiał się w swojej bezwzględnej doskonałości i udowadniał swoją ostateczną praktyczność nie tyle w sprawach doniosłych, lecz przede wszystkim w drobiazgach i codzienności. Wszędzie tam, gdzie moja wstydliva nieporadność, dotkliwa niezaradność i przytłaczająca niezdarność doprowadzały postronnych widzów do śmiechu, a nawet i łez z tego śmiechu, wszędzie tam, gdzie moja niedoskonałość przyczyniała się do ogólnej wesołości, doskonały praktycyzm mojej jasnowidzącej kobiety święcił triumfy, a sama jasnowidząca i jej liczne kunszty nabierały w świetle doskonałego praktycyzmu nowych znaczeń i cennego połysku. Nieodmiennie korzyłem się, nieodmiennie, jak w wielu innych przypadkach, chyliłem swój niepraktyczny łeb i zastygałem w podziw. Nieodmiennie docierało też do mnie, jak niesamowita przytrafiła mi się kobieta, nie dość, że jasnowidząca, to w dodatku tak cudownie praktyczna. Uwiedziony doskonałym praktycyzmem mojej jasnowidzącej żony, potrafiącej wyczarować co trzeba, wysławiałem jej najdoskonalszy praktycyzm i wpadałem w coraz większą ekstazę. Wysławiałem doskonały praktycyzm mojej jasnowidzącej żony, popadałem w stany ekstatyczne i było tak, jakby sam anioł ekstazy brał mnie w białopióre objęcia, wczepiał we mnie anielskie pazury i unosił, dając przedsmak rozkoszy osiąganych w trakcie lewitacji. Błogość wielka ogarniała moje nieporadne członki, spokój znaczny spływał na zboląłą duszę. „W razie czego – myślałem praktycznie, jakby i mnie udzielił się doskonały jasnowidzki praktycyzm – w razie czego jej praktycyzm zwycięży. Jej naturalny, jak gdyby zwierzęcy, ale też jakże

pomocny praktycyzm znajdzie wyjście z najgorszej opresji”. Tkwił w moim praktycznym myśleniu rys magiczny, by nie rzec: życzeniowy. Pewien infantylizm, jaki dziś w takim podejściu dostrzegam. Ale dobrze mi było rozważać najtrudniejsze i najgorsze opresje, wiedząc, że jasnowidząca chroni jej doskonały praktycyzm. Wygodnie, przyznaję, było myśleć, że moja jasnowidząca kobieta w swoim wielkim i praktycznym istnieniu dba też niekiedy i o moje życie.

*

Moja jasnowidząca kobieta uwielbiała tarota i runy, ale dla mnie to także były gusła i zabobony. Runy Luiza darzyła sympatią większą, bo jako – jak mówiła – prostsze w swoim przesłaniu, zostawiały dla wyobraźni więcej miejsca na fantazjowanie. Tarot nie cieszył się takim uwielbieniem, zezwyczał i nawet zeświecczał, chociaż jego bezwzględny fatalizm i tak słynna na cały świat posępność miały w sobie dosyć jeszcze mocy, by korzystać z niego przy wróżeniu w sprawach mniej ostatecznych, trywialnych, przy problemach lżejszego kalibru.

Generalnie i dość bezkrytycznie moja jasnowidząca kobieta wierzyła w starą prawdę, że karty w ogóle nie kłamią. Prowadziło to czasem do sporów między nią a jej klientką, dochodziło do niewielkich scysji, których byłem mimowolnym świadkiem. Sporom takim przysłuchiwałem się chętnie, licząc zawsze na pogłębienie wiedzy i przyznając często w duchu rację wszystkim niezwykłym irracjonalistom, którzy w trakcie seansów wieszczona i prekognicji zaczynali nagle zmieniać zdanie i kończyli dramatyczną obroną czy wręcz apoteozą rozumu, Oświecenia i encyklopedystów. Nawet często tak bywało, ponieważ znaczna część klientki na co dzień nie wierzyła w magię, nie ufała horoskopom i wróżbom. Kiedy jednak przychodzili po radę, znajdowali się niejednokrotnie na życiowym rozjeździe i potrzeba im było szaleństwa, by w ciemności odnaleźć swą drogę, by znów mocno stanęli na nogach i wrócili do swej zwyczajności – po krzepieniu na duchu i silni wiarą w rozum i myślenie logiczne.

Chociaż i tak nie zawsze kończyło się to w ten sposób i niejednemu po takim seansie wracał do siebie z trudem. Nie dowiedziałem się nigdy, jakich sztuczek używała Luiza, lecz widziałem jak potrafiła przerazić niemal każdego.

ROZDZIAŁ XVI

Duchy, spotkania, smak tolerancji...

Nie dowiedziałem się, jakich sztuczek w swoim konsytorium używała moja jasnowidząca Luiza, ale przyznaję bez skruchy, nie uchylałem się od uczestnictwa w lekkich komedyjkach, jakie beztrąsko co kilka tygodni aranżowała z pomocą suk grabarza. Suki grabarza, czyli Mariola i Andżelika, dwie lesbijki lat około czterdziestu były tak zabobonne i przekonane o talentach Luizy, że własną wiarą mogłyby góry przenosić. Luiza zdawała sobie z tego sprawę i dlatego brała je do pomocy, która zazwyczaj nie wymagała ani zbytnej bystrości, ani specjalnych zdolności. Właściwie wystarczał sam zapal, a tego obie lesbijki miały w sobie dosyć. Mnie też to odpowiadało, bo mogłem nie angażować się wiele.

*

Zasiadaliśmy w takich przypadkach z klientem przy małym, okrągłym stoliku w konsytorium i dygotliwe trzaski rozpoczynały się prawie natychmiast po dotknięciu czubkami palców blatu. Luiza raczyła nas całym asortymentem duchów, wystukujących gorliwie hipnotyczne komunikaty. Przy czym duchy nigdy nie wyjaśniały tego, czego i tak nikt nie potrafił zrozumieć, jednak Luiza dyrygująca zajściem pouczała nas, że to normalne.

– Co normalne? – pytałem.

– Że nie rozumiemy. Że to, co do nas mówią, nie brzmi tak spójnie i z sensem. Warto nauczyć się cieszyć wszystkim, co niezro-

zumiały, ponieważ strasznie byłoby, gdybyśmy potrafili zrozumieć wszystko.

– Jak to? – spytałem. – Ty, która wręczasz mi co miesiąc horoskop, opowiadasz się za nierozumieniem, niewiedzą? Dlaczego?

– Horoskopy to jedno, a tajemnica to co innego – zachnęła się na to pytanie Luiza. – Mówię jedynie, że życie w świecie, którego tajemnice zostałyby rozszyfrowane do końca, byłoby katastrofą. Wyobraź sobie, że wiesz o świecie, albo lepiej, że wiesz o wszechświecie wszystko i że na wszystko masz racjonalną odpowiedź... Zgroza, Norbert, mówię ci, to dopiero by była zgroza. Z horoskopami to coś innego, tu nie chodzi o to, by wiedzieć wszystko, ale o to, by wiedzieć kilka procent więcej. Wyłącznie tyle. A zresztą – Luiza posłała mi jedno ze swoich specjalnie ironicznym spojrzeń – astrologia to dziedzina nauki.

– Naprawdę? – odpowiadałem bez przekonania i patrzyłem jak teatr stukotów grał swoje akty dalej.

*

Nieporozumień bywało jednak sporo. Któregoś razu klient, młody i zaangażowany literat, niejaki Wojciech Pendzel, sfrustrowany i pognębiony falą nieprzychylnych krytyki, która zalała go po lirycznym debiucie, zażyczył sobie, by duch któregoś z wielkich poetów romantycznych wskazał mu cel, do jakiego powinien dążyć.

– Idź na czaple – usłyszeliśmy wyraźnie głos przemawiający ustami wróżącej Luizy. – Pozbieraj jarzębinę. Nie za dużo.

– Ale? – Wojciech Pendzel nie wiedział, jak sprecyzować pytanie, miętosił w rękach połę marynarki i to luzował, to podciągał do góry krawat. – Ale... O co tu chodzi?

– Idź na czaple – chrapliwe nuty w gardle Luizy świadczyły, że duch jest znużony i za moment opuści ciało jasnovidzki. – Pozbieraj jarzębinę. Nie za dużo.

Wojciech Pendzel westchnął głęboko, przeżegnał się tak zamasyście, że Luiza aż się wzdrygnęła i stwierdził, że musi słowa wyroczeni, hermetyczne i nie tak jasne, jakich się spodziewał,

że musi słowa te, o zgrozo, przemyśleć. Nie wtrącaliśmy się, mnie zresztą nieszczególnie interesowało, co będzie, a już zupełnie nie miałem ochoty zastanawiać się nad słowami wyroczni. Natomiast Luiza, kiedy zorientowała się, że ma do czynienia z katolikiem – bo i tacy przychodzili do wróżki – pożegnała się z Pendzlem chłodno. Wiedziałem, że więcej go już nie przyjmie.

*

Innym razem podczas seansu dla grupy zdradzanych żon pojawił się głos Jacqueline Kennedy nawołujący panie do podróży w okolice Grecji. To jeszcze nie było najgorsze, bo chociaż co nieco na temat, znacznie gorzej bywało wtedy, gdy przybywali nieproszeni goście. Tak nazywała Luiza tę część zaświatowej sfery, która zjawiała się nagle i bez niczyjej zachęty. I tak za którymś razem z syczeniem nad głowami zebranych i podskakiwaniem stolika, w który ktoś jak mi się zdało najwyraźniej kopał, nawiedził nasz skromny seans i wniknął do ciała Luizy duch, który ciągle powtarzał:

– Ja jestem Witold Gombrowicz! Ja we wtorek! Ja w poniedziałek! Ja jestem Witold Gombrowicz! Gęba! Pupa! Syncyzna! Ja!

Zaciekawilo mnie to i jak nigdy dotąd pierwszy wyraziłem chęć zasięgnięcia porady u ducha, prosząc Luizę, by przez moment go nie usuwała, by zgodziła się na ten nieplanowany channeling. Luiza przystała na moje błagania i prośby, ujęta moim nieoczekiwanym zainteresowaniem przebiegiem seansu, więc zadałem szybko pytanie:

– Co stanie się...? – nie zdążyłem dokończyć, a głos już mówił przez Luizę:

*Cimci rymci historia dym.
Trans i porno młodziakowie.
Całość nicość pustka rym.
Testamentu nie pisz w głowie.*

Duch świszcząc i jak gdyby kręcąc się nad głowami zebranych przerwał na moment swój występ. Słysząc było jedynie gardłowe mamroty płynące zsiniałymi ustami Luizy: „Syncyzna, hi, hi! Trans!”, „Gdzie oni są? Gdzie krytycy? Dajcie mi ich, dajcie! Będziemy bawić się, ja im zagram! Pokażę im grę w Gombrowicza!” Było to odrażające i było to przerażające, bo chociaż duch w końcu przestał tak samo nagle jak zaczął – to znaczy przestała Luiza – to jednak wcale jeszcze nie oznaczało to końca wnikięcia, chociaż większość z nas modliła się chyba i przeklinała seanse wywoływania duchów.

W pokoju wszystko w jednej chwili pokryło się mrokiem, goście zastygli na miejscach i wiedziałem, że są przerażeni. Mariola trzymała dłonie przy twarzy, Andżelika miała zamknięte oczy. Mnie zresztą także nie było wcale do śmiechu, przypomniła mi się niejasno historia z Izajaszem Aniołem i wydarzenia na ulicy... Podobnie działo się właśnie teraz. Zimna substancja cienia kładła się na przedmiotach. Pokój skurczył się jak żywa tkanka dotknięta ostrzem w sam środek nerwu. Obecni także przygaśli, skurczyli się i zmartwieli. W pewnej chwili, kiedy gotowi byliśmy już zerwać się do ucieczki z tego pokoju, moja jasnowidząca kobieta uniosła się nieco na krześle, wzięła potężny oddech i głosem tym razem zgrzytliwym, rzekłbym nawet, że obłąkańczo zgrzytliwym, wyrecytowała drugą, jeszcze mniej zrozumiałą strofę:

*Chichot i gra ból na lepie mucha.
Duś duś ojczyzna synek duś duś.
Wszędzie sieć pająk ciemność siwucha.
To będzie co będzie i ty mnie nie kuś.*

– O rany! Nie można prościej? – jęknąłem i aż uniosłem się na fotelu z wrażenia, wystraszony, ale i pewien, że to już wreszcie koniec. – To znaczy co? – spytałem po chwili, mając młyn w głowie, skolowany i w nieprzyzwoitym wręcz szoku. – Ja nie jestem twój kuś? Tak? O to chodzi, duchu? O kuśkę? Czy może mam cię, duchu, nie kusić? Odpowiedz – prosiłem. Niestety, duch podający się za Gombrowicza zniknął, channeling skończył się w jednej chwili, Luiza sapnęła z wysiłkiem i Mariola zapaliła światła.

Podeksytowany tamtego dnia prosiłem jeszcze Luizę o sprowadzenie Vladimira Nabokova, z którego opowiadań lubiłem zwłaszcza historię o siostrach Vane, jednak Luiza była już wyczerpana i wykręciła się krótko:

– Innym razem, Norbercie. Dziś pomyśl nad słowami Witolda.

Nie wiedziałem, że Witold Gombrowicz był tak bliski mojej jasnowidzącej kobiecie, zaskoczyła mnie tą znajomością. Jednakże tego wieczoru postanowiłem nie dziwić się więcej niczemu, miałem w głowie dudniącą astmatycznym głosem ostatniego polskiego, a może i światowego wieszczą wyrocznię: „Duś duś ojczyzna synek duś duś. To będzie co będzie i ty mnie nie kuś”. I jeszcze to: „Testamentu nie pisz w głowie”.

Tamtego wieczoru, kiedy wszyscy wyszli, a ja zasypiałem już koło wyczerpanej seansem Luizy, zastanawiałem się, o co tu może chodzić i przez moment – przyznaję – nawet wierzyłem w duchy.

*

Byłem jeszcze na kilku seansach, może nie tak intrygujących jak spotkanie z wybitnym pisarzem, prawdę rzekłszy zdecydowanie idiotycznych, prawdę rzekłszy zdecydowanie zbędnych – ale muszę przyznać, że i tak wolałem te infantylne zabawy i chrupane w trakcie ich trwania kilogramami przysmaki wegetariańskiej kuchni, której wielbicielkami były Luiza, Mariola i Andżela, niż organizowane przez moją jasnowidzącą kobietę ezoteryczne wieczorki z udziałem koszmarnych nawiedzeńców, ekscentryków i pospolitych – na moje oko – hochsztaplerów.

*

Na klientelę odwiedzającą sześć dni w tygodniu konsylium mojej jasnowidzącej Luizy patrzyłem z uczuciami mieszanymi, a właściwie z olbrzymią i niewyjawioną wprost ironią. Rozumiałem potrzebę i szanowałem straszliwą desperację, która kazała owym ludziom radzić się jasnowidzącej, nie umiałem jednak pozostać neutralny wobec patologii towarzyszących ich decyzjom. Było tak, że ludzi, których los skłonił do odwiedzenia

jasnowidzącej, jak gdyby jednocześnie przestawała interesować normalność. I kiedy już przyszli do wróżki, kiedy przeszli próg konsyltorium, kiedy zapadli się w głęboki fotel, w którym sam uwielbiałem drzemać, to stawali się irracjonalni, wyzbywali się wszelkiej logiki i z ustami rozdziawionymi szeroko wsłuchiwali się w to, co Luiza podawała im precyzyjną polszczyznę. I to właśnie było dla mnie niepojęte, ta ich irracjonalność, ten nagły atak wiary w każdą lub prawie każdą głupotę. Co prawda, trzeba przyznać, podczas seansów Luizy świat duchów, strzyg i demonów, świat niematerialnych popaprańców dokładał starań, by moja jasnowidząca kobieta robiła wielkie wrażenie, podniosłe i niezatarte. Lecz to nie wyjaśnia wszystkiego. Zresztą, co by nie mówić, dosyć często zdarzało się także, że odwiedzający Luizę mieli na temat wróżenia pomysły i wyobrażenia własne, które nijak miały się do oferty w konsyltorium mojej jasnowidzącej.

– A gdzie kocur? – pytali nieśmiało lub bezczelnie, kręcąc głową lub wzruszając ramionami, przekonani, że kot być w takim miejscu powinien. – A dlaczego pani taka młoda? – Chyba zawsze spodziewali się tradycyjnej, na ludowo wystrojonej wiedźmy. Czasem miałem w takiej sytuacji ochotę powiedzieć:

– Za odpowiedź na to pytanie należy się złotych pięćdziesiąt. A pozostałe?

*

Ludzi tych zdumiewało, że Luiza nie jest sędziwą wiedźmą z krzywym jak klamka od zakrystii nosem i oczami jak u krokodyla. Nie potrafili zrozumieć, że nie hodujemy kotów, bo Luiza ma alergię na sierść. Milczącą dezaprobatą obdarzali pokój, w którym nie zaciągano żaluzji ani firanek czy kotar. A kadzidło zapalała Luiza na wyraźne życzenie klienta, kiedy chciała wytworzyć nastrój i wrażenie wielkiej tajemnicy.

– No a te... szklane kule, gdzie są? – słychać było pytania. I już miałem gotową odpowiedź i powstrzymywałem się, siedząc i zaciskając pięści, wykrzywiając się w straszonym grymasie.

– Ja ci dam kule, łachudro – mamrotałem zły na dziwactwa, których dla mnie było wokół od dawna za dużo. – Ja ci dam kule

– mrucałem i doliczałem kolejne pięćdziesiąt. I tak – jak to się mówi – kręciłem te słodkie lody, dzieląc się z jasnowidzącą moim drygiem do robienia pieniędzy w zamian za jej jasnowidzkie talenty, za jej dar niecodzienny i urok nader rzadko spotykany w tej branży.

*

Moja jasnowidząca Luiza uwielbiała karty wróżebne, szczególnie zwykłego tarota i uwielbiała też runy, ale były i inne talie. Jej kolekcja obejmowała niezwykle rzadkie okazy, a były wśród nich: karty spirytystyczne (do *goecji*, czyli wywoływania duchów), karty marsylskie, karty Mme Le Novuau, karty Mme Grimmand, egipskie, egipskie doktora More, japońskie, włoskie, hiszpańskie, Eteilli, amerykańskie, i chiromancyjne. A także talia reinkarnacyjna i druga, oryginalnego własnego projektu, za której wykonanie zapłaciła prawie dwa tysiące. Na tej ostatniej talii uwiecznione zostały – jak mi to objaśniła – najważniejsze momenty jej życia. Siebie znalazłem wśród blotek i wolałem nie pytać o powód; miało to pewnie związek z moim sceptycznym podejściem.

– Karty są jak ekran – mówiła Luiza klientom. – Widać w nich jak na ekranie, wystarczy chwilę popatrzeć. Kartami mogę uzdrowić i mogę zadać chorobę. – To brzmiało przekonująco i ludzie prosili o pomoc.

Trochę inaczej miała się sprawa z runami, które Luiza postanowiła zrobić na swoje dwudzieste ósme urodziny. Przyniosła wtedy do domu półmetrowy kawałek lipy i wzięła się za piłowanie krążków o średnicy około centymetra.

– Co robisz? – spytałem, widząc jak męczy się z piłką do metalu.

– Własne runy. Muszę pokroić ten kij na dwadzieścia cztery kawałki, każdy oszlifować i poczekać do pełni.

– Po co?

– Bo tylko w czasie pełni powinno się to robić.

– Runy?

– Tak. Tylko w czasie pełni krew z serdecznego palca ma moc i można jej użyć jako farby.

– Będiesz się ciąć? – zainteresowała mnie.

– Nie, Norbert – zabrzmiało jak „nie, pacanie”. – Ukłuję się w palec i krwią, która wycieknie, pomaluję runiczne znaki na krążkach.

Luiza siedziała w pozycji lotosu, trzymała gałąź lipy na lewym kolanie i prawą ręką piłowała zawzięcie krążki, krusząc na dywan drzazgami i kawałkami kory. Wokół paliło się siedem aromatycznych świeczek, do pełni pozostały dwa dni. Byłem ciekaw, jak to będzie z kluciem w palec, znałem niechęć Luizy do krwi i spodziewałem się pogotowia. Ale nie, wszystko odbyło się spokojnie i krążki zostały ozdobione staroceltyckimi runami, które mnie nie mówiły nic, a Luizie miały odtąd służyć do wróżenia. I służyły.

*

Żyliśmy w tym czasie – około dwutysięcznego roku – ze sprzedaży talizmanów (jak woda szły miedziane i srebrne *lamellae*), z handlu amuletami projektu własnego Luizy, z wyrobu świeczek i maści, a także ze sprzedaży ziół. Mój udział w całym przedsięwzięciu przedstawiał się dosyć mizernie, trzymałem się raczej z boku, obserwowałem, patrzyłem, od czasu do czasu siadałem i zapisywałem stronę, trochę bawiąc się wymyślaniami, trochę notując jak leci.

– Co robisz? – pytała mnie wtedy Luiza.

– Dorabiam ci mitologię.

– Przestań. To przecież życie.

– Wiem. Ale w to nikt nie uwierzy.

– Więc zmyślasz?

– Trochę. Tyle, ile trzeba.

– Niezbyt tę pasję rozumiem, ale ty nie rozumiesz mojej, więc chyba jesteście kwita – uśmiechnęła się ciepło.

– To prawda – odpowiedziałem uśmiechem.

Żyliśmy skromnie, mimo że rynek okazał się chłonny i wyposzczoney. Luiza mogła zarobić na jasnowiedzeniu, ale mówiła, że to powołanie i brała pieniądze bez przekonania. Widziałem, że najchętniej robiłaby wizje darmo. Odradzałem jej jednak aż

tak daleko posuniętą szlachetność, bo pewien byłem, że nie opędziłyby się od pragnących natychmiastowej wizji natrętów, dla których teraz jedynie pieniądze stanowiły barierę.

*

Moja jasnowidząca kobieta uwielbiała tarota i runy, bo pozwalały jej szybko zapomnieć o udrękach życia płci i miłości. Albowiem to właśnie życie płci i miłości, czyli życie seksualne mojej jasnowidzącej kobiety było źródłem tajemniczej siły, źródłem i pasmem nieustającej udręki, jednym długim nieudanym seksem i bezwzględną erotyczną Golgotą. I ja miałem tutaj swój nieznaczący udział. Stacje męki na tej drodze krzyżowej wyznaczały kolejne źle obmyślane *coitusy*, których nie ratowało nawet wirtuozerskie i pasjonackie wykonanie. Stacje męki były nam chyba pisane, odkąd zgłębiliśmy sztukę tantry i gimnastyki aryjskiej.

Efektowny *coitus*, ekstrawagancki *coitus* zakończony w stylu filmowego, najwytworniejszego orgazmu, *coitus* jak natychmiastowy i długi wyblysłk magnezji rozświetlającej karnawałowe niebo – to było największym, jak sądzę, tuż po pragnieniach tajemnych wtajemniczeń, marzeniem mojej jasnowidzącej. Pragnieniem, którego nie dane mi było spełnić, któremu nie potrafiłem sprostać. Z trudem godziłem się na obcowanie mojej jasnowidzącej kobiety z inkubami różnorakiej maści, które śniły się jej notorycznie i o których serio mówiła. Miałem jednak w tej drażliwej kwestii znacznie mniejsze pole do argumentowania, niż gdyby moja jasnowidząca żona polerowała mi poroże z mężczyzną. Z mężczyzną z krwi i kości byłoby, jak przypuszczam, boleśniej, ale mężczyźni innemu może bym jakoś zaradził, przy inkubie żadnych szans nie miałem.

*

Wspominałem już, że od seansów z duchami gorsze były wieczorki z udziałem nawiedziców i ezoteryków, wpatrujących się w Luizę jak w guru. Urządzała je w mieszkaniu Marioli i Andżeliki, suk grabarza, których nie lubiłem nie dlatego, że były les-

bami, ale za to, że jak pies ogrodnika, chociaż same nie zamierzyły brać (na przykład mnie, gotowego do wielu na tym polu poświęceń), to nie chciały, by wziął też ktoś inny (na przykład mnie, gotowego...).

– Suki grabarza, Luizo – tłumaczyłem mojej jasnowidzącej – to jest damska odmiana tego, kogo zwiemy psem ogrodnika. Sam nie weźmie i drugiemu nie da... I Mariola z Andżelą też tak. To lesbijki, a mają mi za złe, że oglądam się za kobietami. To przesada. Przecież nawet jeśli, to nie jestem dla nich konkurencją. Ani one dla mnie. Czy nie tak? Oprócz tego mam ciebie – zamierzałem pocałować ją lekko i zakończyć ten temat.

Luiza świdrowała mnie wzrokiem, może nawet zaglądała mi w duszę, ale jedyne, o co prosiła, to bym nie mówił tak przy jej koleżankach.

– Nie mów na nie suki grabarza. I tak mają ciężkie życie. I nie są jak te sąsiadki, które też tak sobie nazywasz. Mariola i Andżelika to świetne i mądre kobiety. Że lesbijki? Przecież tobie to nie przeszkadza. Więc nie dokładaj im swoim ciętym językiem. Wystarczy, że muszą tu żyć, wśród tej mentalnej hołoty. W tym katolickim kraju, w tym barbarzyńskim postkomunistycznym kolchozie. Ludzie tutejsi zatłukliby jedną i drugą, gdyby wiedzieli. Przecież znasz tę mentalność, wychowałeś się tu i rozumiesz.

– Ale ludzie już wiedzą, że to lesbijki.

– Tak, jednak nie są pewni. I to te dziewczyny ratuje. Połowie wmówią, że są siostrami, drugiej zamydlą oczy inaczej. Najważniejsze – podniosła głos – póki co najważniejsze, Norbercie, żeby dotrzeć do tego momentu, kiedy wreszcie wejdziemy do Unii i będziemy musieli znormalnieć.

– My?

– Ten kraj, Norbert, to państwo. Nie rznij głupka, przecież świetnie rozumiesz.

*

Chciałem spytać, co niby rozumiem, ale krótko mruknąłem:

– Naprawdę?

– Naprawdę, naprawdę – przedrzeźniała mnie jasnowidząca. – No, jak będzie z mówieniem o „sukach”?

– Masz rację, Luiza. Dobrze. Nie powiem tak przy nich – zgodziłem się w końcu na wszystko grzecznie i z obojętnością. – Ale to nie katolicyzm jest odpowiedzialny za to, że tolerancji jest ciągle za mało.

– A co? A co jak nie katolicyzm? – zjeżyła się moja heteroseksualna Luiza, gotowa bronić swoich kochających inaczej koleżanek. – A co jak nie katolicyzm każe wszystkim dewotom pomstować na homoseksualizm i znęcać się nad takimi jak ja, które mają odrobinę talentu, tyle że nie do panierowania mężowi kołtów? Dobrze chociaż, że nie chcą mnie spalić na stosie.

– Kto?

– Oszołomy. Ortodoksi. Idioci.

– Tak jednym ciągiem wymieniasz...

– Bo to ta sama parafia!

– Naprawdę? – mruknąłem znowu i wróciłem do myślenia o lesbach.

*

Rzeczywiście, urodziwa arystokratyczna Mariola z sympatyczną, nieco otyłą i buraczaną Andżelą nie miały lekkiego życia na naszym małym osiedlu. Ich związek rzucał się w oczy, ponieważ był związkiem jedynym, w którym kobieta kobietę całowała na ulicy z języczkiem. Mnie to nie przeszkadzało, Luiza przyjaźniła się z nimi, ale większość, widziałem, patrzyła ze złością i morderstwem w oczach. Tak samo ci, co chodzili na mszę, jak i ci, co na ścianie w pokoju mieli jeszcze portrecik Bieruta albo młodego Gierka. No i Izajasz Anioł, ten też miał o sukach grabarza, o tych dwóch, nie o reszcie sąsiadek, zdanie – nawet jak dla mnie – zdecydowanie za proste. Ale Izajasz Anioł mógł być mimo wszystko wzorem powściągliwości języka. Bo taki przeciętny katolik chodzący na mszę i odmawiający różaniec na widok Marioli z Andżelą zaczynał zgrzytać zębami, przeklinać i rzucać kurwami bez sensu i zastanowienia. A Anioł? Pomimo mojej miłości i wielkiego szacunku do niego, widziałem wyraźnie błędy, które popełniał oceniając ludzi. Jednak nigdy nie widziałem, by na głos wyklął kogoś wyłącznie z tego powodu, że ten ktoś nie był katolikiem, heteroseksualnym i białym.

*

– Tolerancja, Norbercie, to rzecz niezwykle ważna – powiedział Izajasz Anioł, kiedy niezbyt dyskretnie zagadnąłem go, co myśli na temat Marioli i Andżeliki. – Słowo to pochodzi od czasownika „*tolerere*”. To znaczy: znosić z trudem. Więc ja je znoszę z trudem i ich wszystkich, pederastów i tych nowoczesnych, uniseksów, czy jak ich tam zwał, znoszę z trudem. To znaczy: toleruję. I to im musi wystarczyć. Oni też mają wolną wolę i na Sądzie będą się tłumaczyć z tego, co zrobili i czego nie zrobili. A ja? „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzają. Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym nie dostrzegasz?” Mateusz siedem i jeden – uraczył mnie na koniec sentencją.

Nie w pełni podzielałem jego zdania w sprawie uniseksualności, pederastii i wolności wyboru, ale nie zabierałem głosu. Był starszy, był przyjacielem, był mistrzem, znał *Ewangelię* na pamięć. Do dziś mam u niego dług. Lojalność zobowiązuje. Dlatego w rozmowie z Luizą postanowiłem bronić Izajasza Anioła.

– To nie jest wina religii – wybąkałem cicho.

– A czego? – Luiza drżała. – I ty ich bronisz? Ty? Przecież wiesz, czym jest to chrześcijańskie piekło. Wiesz, że to najbardziej kompletny, totalitarny system represji, jaki kiedykolwiek wymyślili ludzie. To chrześcijanie wymyślili zło, a właściwie ukradli je Żydom. Razem z Bogiem, ich nieskończenie miłosiernym Bogiem, który godzi się na tortury, który Syna pozwolił ukrzyżować. A ten papież – dosiadła swojego ulubionego konika. – Wiesz, co mówi o papieżu lama Nydhal? Mówi, że jest przestępcą ktoś, kto kobietom w Tanzanii, gdzie połowa ludności umiera na AIDS, zabrania używania prezerwatyw. To karygodne. To prymityw. Tak mówi lama Ole i ja się z nim zgadzam w stu procentach. Chrześcijanie, katolicy to... to... – Luiza nie mogła przestać, jednak w końcu zmęczyła się i już tylko nerwowo sapała. – Buddyzm próbuje to obejść, próbuje wrócić do czasu sprzed podziału na dobro i zło. Ale katolicy... Jak możesz ich bronić. Ty? – powtórzyła rozgoryczona. – Ty?

Milczałem, lecz na końcu języka miałem „Naprawdę?”

– Wiesz co – po chwili milczenia Luiza postanowiła zmienić temat. – Obiecałam Marioli i Andżelice, że pomogę im przygotować coś dobrego na jutrzejsze spotkanie.

– Coś dobrego? – nie zrozumiałem.

– Potrawę – Luiza wyjaśniła łagodnie. – Coś z wegetariańskiej kuchni. I myślę, że mógłbyś mi pomóc.

– Co mam zrobić? – nawet nie próbowałem wymigiwać się, bo to i tak nic by mi nie pomogło. – O jakiej potrawie myślałaś?

– *Tortillas*. Co ty na to?

– Wszystko mi jedno. Poproszę przepis – zrezygnowany wyciągnąłem rękę, w której za moment wylądowała kartka z odręcznie wykaligrafowanymi poleceniami.

*

W kuchni, zerkając co chwila na kartkę zagotowałem wodę, do której zgodnie z przepisem dodałem nieco tłuszczu. Wrzątek zdjąłem ostrożnie z palnika i wymieszałem w nim mąkę kukurydzianą. Przygotowałem nadzienie: miskę szpinaku i drugą z grzybami. Odprężała mnie ta robota, mogłem przy niej myśleć o czymkolwiek. Może nie byłem tak zręczny jak Tymoteusz, ale od lat dobrze radziłem sobie w kuchni.

Gotowałem, odkrywałem i znów gotowałem jakieś pięć albo siedem minut. Dołożyłem to, co zostało z przygotowanego tłuszczu i pozwoliłem całości ostygnąć. Pracowałem spokojnie i zastanawiałem się, kogo tym razem spotkam na osławionym „wieczorku Safon”, jak zwykła nazywać te rauty ich pomysłodawczyni i organizatorka pierwszoplanowa, czyli Mariola. Widywałem już tam Amerykanów, Arabów, a nawet Eskimosów; na pewno jednak nie widziałem nigdy żadnego konserwatysty i ortodoksa. Byli ludkiem wesołym, lubiącym zabawę, wegetariańską kuchnię i rozmowy o niczym, a jeśli już o czymś to o magii i duchach. Nie powiem, że spotykali się na tych wieczorkach sami egzystencjalnie popaprani indywidualiści, gdybym jednak przypadkiem tak właśnie kiedyś powiedział, to niewiele odbiegałoby to od rzeczywistości, która bywała – jak dla mnie – przeładowana

tak zwanym *new age*. Kto przyjdzie tym razem? – zastanawiałem się, kładąc gotowe placki na dobrze rozgrzanej, nienatłuszczonej patelni i czekając, aż z każdej strony pojawią się małe brązowe kropki. Jaki duch zjawi się nieproszony tym razem? – to pytanie śmieszyło mnie, chociaż od przygody z Witoldem nabrałem nieco ostrożności w tych sprawach. Ale to, kto już wkrótce wykorzysta ciało Luizy do wypowiedzenia swojej kwestii z zaświatów ciekawiło mnie nade wszystko. Gdybym ja mógł wybierać...

– Jak ci idzie? – dochodzący z konsyltorium głos Luizy wyrwał mnie z kontemplacji meksykańskich placków. – *Tortillas* gotowe?

– Za moment – odkrzyknąłem i wziąłem się za przyprawy. – A co do *tortillas*? – spytałem.

– A z czym są?

– Z grzybami i ze szpinakiem.

– Cudownie. Mariola ma zrobić do tego kluski zapiekane po madziarsku. Antonio przyniesie soki i będą też makrobiotyczne bułeczki czapati oraz makrobiotyczna pasta do twoich *tortillas*.

– Brzmi super – krzyknąłem nieprzekonany. – A polędwica? Szynka? Schabowe? – tych pytań nie zadałem zbyt głośno.

*

Spotkania u Marioli i Andżeliki wyglądały zawsze tak samo. W ich pięknym, wysmakowanym, ale też i spuchniętym od *modern design'u* apartamencie, na który zapracowały we własnej agencji reklamowej, założonej na początku lat dziewięćdziesiątych, rej wodził znajomy pedał, striptizer o pseudonimie Antonio. Nazywałem go Toniem przez wzgląd na pewnego pisarza. Chociaż wyglądał jak szkielet, tyle że nieco większy, twierdził, że to, czego Bozia nie dała mu w centymetrach wzrostu, z nawiązką dodała gdzie indziej. O więcej go nie pytałem. Lesbijki piszczały z uciechy, a nawet moja Luiza rumieniła się z całą mocą znanej mi dobrze wyuzdanej pruderii. Antonio multiwitaminowym sokiem napełniał jednorazowe kieliszki, roznosił wegetariańskie sałatki, koreczki z doskonałego sera i kanapki z ciemnego pieczywa, kupowanego w sklepie z tak zwaną zdrową żywnością.

nością, ja zapadałem się w fotel z przemyconą piersiówką martini i kombinowałem, jak urwać się na camela. Bo inni tu nie palili, a kiedy raz zapytałem, czy ja mogę przy nich zapalić, Antonio pouczył mnie głosem grobowym:

– Stary, chłoptasiu, Norbercik, czyś ty na głowę upadł? W maju dwutysięcznego czwartego wchodzimy z hukiem do Unii, a ty co? Z papieroskiem w zębach? Z przebrzydłym nikotynowym nałogiem? A fe! Norbercik! Wstydź się! Patrz na Luizę, na Mariolę, na Czesia i na mnie. My nie palimy. – Rozejrzałem się i dostrzegłem jedynie uśmiechniętego złośliwie Filipka. Nie lubiłem draba. Na moje oko ten nygus uprawiał coś, co Izajasz Anioł nazywał satanizmem dewocyjnym – najpopularniejszą odmianę wiary w to, że zło jest tak silne, że jedynie pomagając złu można zabezpieczyć swój byt na tym i na tamtym świecie. Satanizm dewocyjny, tak, to pasowało do Filipka zwanego Paracelsusem. Filipek twierdził bowiem, że ma imię po przodku, którym był, ni mniej ni więcej, sam Philippus Aurolus Theophrastus Bombast von Hohenheim, zwany Paracelsusem. To robiło na bywalcach wrażenie. Teraz Filipek, w istocie – o czym wiedziałem od Tymoteusza Mroza, któremu Filipek proponował kiedyś współpracę – detalistyczny diler lekkich i niezbyt drogich używek, ubierający się wedle wskazań mody prezentowanej na kanale Fashion TV, szczerzył w moim kierunku garnitur zdecydowanie zażółconych zębów. Ale Filipek żółte zębiska miał od maryśki, jemu więc było wolno.

*

Nie zdążyłem odpowiedzieć Toniowi i ledwie oderwałem się od kontemplowania złośliwego uśmiechu Filipka, zewsząd dało się słyszeć pokrzykiwania i piski:

– Nie mówimy o polityce! Nie mówimy o polityce! Polityka to mega *bullshit!* Polityka i politycy *out!* Kto chce mówić o polityce niech idzie do domu oglądać polską telewizję. Kto chce mówić o polityce, niech da innym od polityki odpocząć.

– Ale Unia... – jęknął jakiś wielbiciel rozmów na tematy aktualne i przemijające.

– Unia? Unia? – ryknął głos damski spod drzwi – Unia, jak mawia w swoim kabarecie Laskowik, „jest dobra dla słunia”.

– Dla kogo? – nie wiem, kto zadał to pytanie.

– Dla słunia, bo jego w trąbę nie można zrobić.

– Dlaczego?

– Bo on już ma, la la la la! On już ma, la la la la! Już maaa!

– E, tam! – ta odpowiedź wyraźnie nie wszystkich zadowoliła.

Zewsząd dało się słyszeć takie głosy rozbawionej gromady, która jak zwykle była już zbiorem par wymieszanych, nietrwających, łączących się według nastroju i gustu, co nikomu tu nie przeszkadzało, ponieważ na tych spotkaniach wszystko bywało dozwolone. Jedynie mówienie o polityce uważano za grubiaństwo i nietakt. I piętnowano surowo, w najgorszym wypadku odmową zaproszenia na następny raut tego kogoś, kto chciałby politykować. Czasami, w przypadku złej przewinień – można było zostać pouczonym. Tak właśnie stało się kiedyś ze mną i dlatego odzywałem się rzadko.

*

Jeden raz tylko słyszałem, jak w domu Marioli i Andżeliki mówiono o polityce dłużej, konkretnie chodziło o antysemityzm Polaków, o którym głośno gardłował Antonio:

– Polacy nienawidzą nas, gejów – Antonio wykonał głęboki ukłon w stronę nieobecnego męskiego gremium – nienawidzą odmieńców – skłonił się w stronę Luizy i – o ile dobrze spostrzegłem, moją – a przede wszystkim nienawidzą Żydów. A Żydem...

– Antonio, daj spokój – Andżelika próbowała mu przerwać, jednak bezskutecznie. Tonio kontynuował swój spicz.

– Żydem może być każdy. Tak jest! – Antonio, który ledwo co trzymał się tego wieczoru na nogach, przyszedł już mocno pijany i może to powstrzymało Mariolę przed wywaleniem go na zbity pysk. – Żydem jest dla Polaków każdy, kogo Polacy uznają za Żyda. Antysemityzm w tym kraju jest traktowany jak narodowe dobro. Tu wciąż można bezkarnie twierdzić, że Żydzi sami się gazowali, że Żydzi sami się katrupili i że katrupili Polaków. Tu ciągle można usłyszeć – Antonio wpadł w trans pijacki – że

metodyczna, zaplanowana eksterminacja „narodu polskiego” robiona jest „rękami Żydów”. Żydów, pedałów i komunistów, a ostatnio także kapitalistów... Masy...

– Masą można być nawet samemu, wystarczy zachowywać się jak masa – nie wiem, kto to powiedział, ale Antonio w ogóle nie zwrócił na te słowa uwagi.

– ...Masy – bełkotał dalej, rozgoryczony i niepowstrzymany – nie szanują kogoś za to, kim jest, hep! – czknał potężnie – lecz za to, że jest taki jak wszyscy. Świat jest skrojony na miarę przytulnych, heteroseksualnych średniaków, hep! – czkawka utrudniała Antoniowi artykulację, sięgnął więc po sok pomarańczowy i wypił.

*

– Antonio, o co ci chodzi? – Mariola próbowała interweniować, wykorzystując pijacką czkawkę Antonia. Ale Antonio, który zdążył już łyknąć i odstawić szklankę, skrzywił usta i nie zwracając na nikogo uwagi bełkotał i mamrotał coś dalej o wrodzonym antysemityzmie Polaków:

– Antysemityzm... – bełkotał Tonio. – Antypedalizm... Antyfeminizm... Antyglobalizm... Dlaczego tutaj wszyscy są ciągle przeciwko? Anty-palanty... – usłyszałem jeszcze. – Same anty-palanty...

Denerwował mnie swoim gadaniem Tonio, którego zresztą lubiłem, mimo że raz poklepał mnie po pośladku, co prawie skończyło się bijatyką. Denerwował mnie konkretnie teraz, bo się upił i marudził jak rzadko. Denerwował mnie powtarzaniem tego, co wiedzieli wszyscy obecni.

Antonio powtarzał to, co wiedziałem, a nawet, z czym kiedyś, mając lat kilkanaście, pod wpływem Izajasza Anioła, próbowałem z całą mocą walczyć. Przypomniało mi się, jak często wyklócałem się wtedy z kioskarzami o plugawe gazetki, które wystawiali w witrynach swoich marnych blaszanych pudełek. *Poznaj Żyda, Nowa Myśl Polska, Polski Holocaust* – kiedy widziałem te pisma, kiedy widziałem błysk zainteresowania w oku kioskarza, który spostrzegł, że tak się przyglądam, nie

zastanawiałem się długo i stylem Izajasza Anioła zaczynałem wydzierać się na cały głos, jakby to mnie ktoś pięćdziesiąt lat temu, może taki jak ten kioskarz bandyta, prowadził do komory gazowej:

– Jak panu nie wstyd? To rasizm? Czy pan wie, że to jest karalne? Że propagowanie antysemityzmu jest przestępstwem? Paragraf dwieście pięćdziesiąt sześć i paragraf dwieście pięćdziesiąt siedem. Jeżeli to zaraz nie zniknie, złożę doniesienie o przestępstwie. Jeżeli... – straszylem dalej, a kioskarz bez nerwów patrzył.

Na kioskarzy, o czym przekonałem się szybko, to, co mówiłem, nie działało zupełnie. Niektórzy coś mamrotali, inni otwarcie mówili, że „tak, pan też pewnie żyd”, a najczęściej olewali zupełnie to tak zwane polskie prawo karne. Przecież nikt ich nie ścigał, nie gnębił, mogli czuć się jak Himmler i Goebbels; mogli sobie w witrynie kiosku wystawiać po prostu, co chcieli.

*

Dlatego nudził mnie na imprezie pijany i łzawy Tonio i nudził mnie jego żal do tak zwanych „prawdziwych Polaków”. Nudził do tego stopnia, że powiedziałem:

– Tonio, przestań. Ty jesteś żyd, bo pedał, ja jestem żyd, bo piszę. Mariola z Andżelą to żydówki, bo kochają się „nie po bożemu”. Luiza jest czysta żydówka, bo twierdzi, że jasnowidzi i wróży. Nawet Izajasz Anioł, słyszałem to na ulicy, jest żyd, bo jak na katola zdecydowanie przesadza z modłami. Widzisz Tonio, wszyscy jesteśmy żydami. I nie ma co tak rozpaczać. I jego świątobliwość Czternasty Dalajlama jest żyd dla Chińczyków, którzy są nazistami i Freddie Mercury był żydem, przynajmniej dla świętojebliwych...

Antonio nie zwrócił uwagi na słowa o Dalajlamie, ale na słowo „Mercury” wybuchnął gwałtownym płaczem.

– Freddie... Freddie... – płakał i kiwał się jak w chorobie siercejskiej.

– Chodź, połóż się na kanapie. Odpocznij – Mariola wzięła go wtedy pod ramię i wyprowadziła do pokoju obok. – Ja też tak

ostatnio płakałam – doleciało mnie jeszcze – jak oglądałyśmy z Andżelą *Thelme i Louise* i wiesz – Mariola podtrzymywała Antonia, którego nogi złapały jakiś tajemniczy rytm – Harvey Keitel biegł za samochodem, a one spadały, spadały... Ryczałam jak bóbr...

– Freddie... – chlipał w poduszkę Antonio. – Freddie...

Zabawa potoczyła się dalej, już bez poruszania nieprzyjemnych tematów.

To była jedyna w tym gronie rozmowa o polityce.

*

Na spotkaniach w domu Marioli i Andżeliki nie mówiono także o jedzeniu mięsa („Gdy zostanie wynaleziona sztuczna fotosynteza – lubiła powtarzać Luiza – będzie się na mięsożerców patrzeć, jak dziś patrzy się na kanibali.”) ani o pracy, którą stali bywalcy traktowali jak głupi przymus. Nie mówiło się też o religii, chyba że o buddyzmie, katolicyzm pozostawiając „katolom, oszołomom, i reszcie debili”. Buddyzm był mile widziany, buddyści chwaleni za wszystko. Szczególnie lama Nydhal, najbliższy „seksualny guru”, uczeń – Luiza wypowiadała te tytuły z zachwytem, z jakim angielscy kibice wypowiadają nazwisko Beckhama, kiedy ten wyjdzie na boisko z nową fryzurą – XVI Karmapy Rangdziunga Rigpe Dordże. Uczucie do lamy Olego zawisło na moment w próżni dopiero po przeczytaniu przez Luizę w *Twoim Stylu* czy *Vogue* rozmowy z lamą Nydhalem:

– Jak pan widzi rolę kobiety w buddyzmie? – spytała lamę Nydhala dla potrzeb kobiecego pisma przygotowana profesjonalnie dziennikarka, pragnąca zapewne usłyszeć o szacunku buddyjskiej wspólnoty dla wspólnoty feministycznej.

– Zaśpiewać, zatańczyć i podać cygaro – odpowiedział bez troski lama i Luiza (niestety, na krótko) przestała go podczytywać i chociaż wcześniej udawała się wszędzie, gdzie lama Ole nauczał, teraz przez kilka tygodni chodziła tylko na jogę. A wcześniej, co zapamiętałam, przywoziła ze spotkań w Kucharach i Ropkach mądrości, od których cierpła mi skóra. Mówiła po powrotach:

– Lama Ole powiedział, że Polska ma mnóstwo dobrych właściwości, ale tutejsi mężczyźni nie zrobili jeszcze wystarczająco wiele, by uczynić wolnymi polskie kobiety. Lama Ole powiedział, że mężczyzna w każdej kobiecie, która go pociąga seksualnie, powinien starać się dostrzec tą, z którą jest w stałym związku. Wtedy ujrzy w niej nieograniczoną przestrzeń i całe natchnienie wszechświata... Lama Ole... – Wprawdzie cytowanie lamy Olego Nydhala skończyło się (niestety, powtarzam, na krótko) po lekturze wywiadu, ale i tak byłem pewien, że z Nydahla moja jasnowidząca tak zupełnie nie zrezygnuje nigdy. A zresztą nie wiem, nie mam pojęcia. I pewnie już się nie dowiem.

Luiza przytaczała w rozmowach także innych, buddyjskich i zenistycznych mistrzów – na przykład Thich Nhat Hanha i Shunryu Suzukiego. Mieszała ich nauki ze Steinerem i o takiej mieszance mówiła z gośćmi, dla których pozostawała szczytem ezoterycznej wiedzy i wszechstronnego wyrafinowania. Ja mniej więcej wiedziałem, co powie, zapytana o to czy tamto i nie przysłuchiwałem się dobrze, nie miałem zamiaru się wtrącać. Bo i tak było to w końcu lepsze niż gdyby gadali o ciuchach, plotkowali o rodzajach komórek, czy wymieniali się namiarami na kluby.

Siedziałem w fotelu pod palmą, patrzyłem leniwie na wszystkich i nic mi to nie dawało, ćwiczyłem się w cierpliwości. Niestety, wzrastała we mnie dzika chęć zapalenia. Musiałem więc kombinować. Bo wyjść tak po prostu nie mogłem.

*

Spóźnieni uczestnicy tych spotkań wpadali w sam środek tłumy hałaśliwych ludzi, niepotrzebnie stłoczonych w zielonej od nadmiaru stylowych roślin przestrzeni między dwoma lustrami, robiącymi wrażenie nabitych ich odbiciami. Wszyscy byli tu młodzi bądź stylizowani na młodych, nadzieja na wieczną młodość unosiła się tu po prostu w powietrzu i mieszała z aromatem kadzidła, mocnych perfum i lekkimi słowami. Chociaż niektórych z owych gości to i owo wiązało ze sztuką, nie przychodził tu nikt, kto mógłby równać się z Izajaszem Aniołem. Jednak Izajasza nie zapraszano tutaj, a moja jasnowidząca Luiza dbała o to, by

nikt go nie przyprowadził. Obserwowałem godzinami, siedząc w głębokim fotelu jakby wyciętym z *Twojego Domu*, jak Luiza ułożona na puszystym czerwonym dywanie w pozie wyrzuconej na brzeg syreny, na oczach kilkorga rozentuzjasmowanych i wyraźnie zauroczonych nią kobiet i mężczyzn, z twarzą jak polakierowaną lodem od warstewki lśniącego potu, prawie że czołga się wspięta na kolanach, z talią tarota lub run w jednej dłoni, drugą klepiąc łożącego po wszystkim pudła, którego Andżela znalazła, a Mariola nazwała Deklem. Zazwyczaj przy okazji Luiza opowiadała wszystkim o ostatnich seansach z duchami, nieśmiały zachęcała do wizyt, w żadnym razie nie wspominając o pieniądzach, a na życzenie stawiała horoskopy, o co dopominali się wszyscy. Byłem w tym towarzystwie jedynym, który nie chciał znać swojej przyszłości.

*

W następnym stadium imprezy zaczynały się ezoteryczne harce, w którym moja jasnowidząca kobieta przewodziła za zgodą zebranych. Mariola, Andżelika bądź któryś ze skorych do zabawy gości brał Luizę za rękę i prowadził do drugiego pokoju, gdzie stały już przygotowane: stolik, ołówek i kartka, a obok nich kartonowa tarcza wielkości twarzy ze wskazówką jak u starodawnego zegara i wypisanym na tarczy alfabetem łacińskim i greckim oraz cyframi rzymskimi i arabskimi. Na to czekali wszyscy. Siadano, Antonio zapalał świece, Mariola z Andżelą uciszały rozchichotanych gości i kiedy palce wszystkich zetknęły się już opuszkami nad stołem, Luiza zaczynała tak zwane ewokowanie ducha.

*

Udawało mi się od tego wykręcić, w całym towarzystwie znano mój sceptycyzm i stali bywalcy wieczorów godzili się, bym pozostał w fotelu i – mając przez półotwarte drzwi widok na pokój tonący w blasku świec i półmroku – obserwował efekty tych wezwań, słuchał szurania stóp w szpilkach i lakierkach pod

stołem, sączył niedbale ukryte, ulubione martini Bianco i rzucał rozmerdanemu Deklowi makrobiotyczne krakersy. A zjawy przybywały, ilekroć Luiza usiadła do stołu, przybywały i wskazówka na tarczy zaczynała skakać między literami.

– Kim jesteś? – pytała Luiza.

– J... U... N... G... – wskazówka zatrzymała się. Zebrani zastanawiali się, kto to, a kiedy już ustalili, że chodzi o Carla Gustawa („samego Carla Gustawa” – jak ekstatycznie westchnęła Andżela) radości nie było końca. W końcu mogli trafić na Schopenhauera albo gorzej, bo na Immanuela Kanta. Pomyślałem, że Kant w zaświatach musi robić piorunujące wrażenie. Zapewne, żeby pamiętać, że umarł, nosi przy sobie karteczkę „Pamiętać, że już umarłem”. A może nawet ma drugą: „Pamiętać, że zostałem zbawiony.” Obok tej starej, którą napisał po wyrzuceniu starego służącego Lampego: „Zapomnieć o Lampem”.

Zebrani naradzali się krótko.

– Spytaj go, czy możemy go o coś zapytać – doszedł mnie szept Marioli albo Andżeli, ale Luiza nie zdążyła nawet zareagować, gdy usłyszałem, że wskazówka ruszyła.

– T... A... K...

Przez pokój przebiegł szmer. Tym razem na sali wśród zaproszonych przez niewiadomo kogo gości znajdował się Białorusin, chyba znajomy Antonia, który Polskę widział jako raj, w którym Adam może kochać Adama. Jego problemem nie była jednak orientacja seksualna, lecz wiara: Aleksander Fabienko, pracownik agencji prasowej zza Buga, nienawidził Boga, przy czym wierzył, że ten znieawidzony przez niego Bóg istnieje, ale wierzył i w reinkarnację, i w szamanizm, i w zdolności PSI mojej żony, więc to jemu pozwolono zapytać ducha, który zjawił się bez zapowiedzi. I Aleksander Fabienko zapytał – z szacunkiem i kurtuazją:

– Gospodin duch, czy człowiek nienawidzący Boga ma szansę na jakiegokolwiek zbawienie?

Zapadło głucho milczenie. Już myślałem, że nic się nie zdarzy, kiedy nagle wskazówka zaczęła skakać po tarczy. Luiza odczytała z kartki, co zanotował Antonio:

Człowiek, który Boga kocha, potrzebuje siedmiu inkarnacji. Temu, który Go nienawidzi, wystarczą trzy wcielenia. Ten, który Boga nienawidzi, prawdopodobnie więcej o Nim myśli, niż ten, który Go kocha, a przez to jest bliżej świętości.

Wskazówka przestała szaleć, Antonio pisać, a Luiza czytać. Wszyscy rozpletli dłonie i Mariola wstała, żeby zapalić światło. Aleksander Fabienko siedział bez słowa, kiwając w zamyśleniu głową. Nie wiedziałem, czy wyrocznia go zadowoliła, mało mnie to zresztą obchodziło. Schowałem martini, strząsnąłem Deklowi okruszki makrobiotycznych krakersów i wstałem, by pożegnać wszystkich. Luiza wyglądała na zmęczoną. Na wymiętą jak paczka krakersów. Wyglądała na zmęczoną, ale też szczęśliwą.

– Dziękuję – powiedział Fabienko, ujmując w swoje wypięłgnowane ręce nadgarstki mojej Luizy, jak gdyby jej mierzył ciśnienie.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Opowiem o pani znajomym. Naprawdę – jest pani wielka. Czuję się uzdrowiony.

– Naprawdę?

– Tak. Zostało jeszcze pięć wcieleń.

Nikt z zebranych nie miał pojęcia, jak Fabienko to sobie policzył.

*

Po takim wieczorze sływał na mnie czysto zwierzęcy spokój, a kiedy osuwałem się w sen pełen Mercedes i innych cudownie zaślepionych kochanek, prężących się lubieżnie na rozkaz mojej wyobraźni, tak bosko uległych wobec życzeń onirycznego reżysera, byłem zadowolony, że towarzyszyłem Luizie, że usłyszałem głos „papy Junga” i że – co może powinno cieszyć mnie najbardziej – po raz kolejny poznałem smak *tolerere*.

ROZDZIAŁ XVII

Lata katastrofy...

Wracając do Izajasza Anioła chciałbym jedynie powiedzieć, że jego akurat prywatne i utajone w znacznym stopniu udreki odkrywałem równie długo, co fakt, że naprawdę wszyscy cierpią tak samo: bez sensu, straszliwie i podle. Utajone i latami łączone w wybuchową całość, jak to bywa zazwyczaj, fobie, urazy, wstydy i upokorzenia wraz z pozostałymi elementami osobistego udreczenia Izajasza Anioła stały się dla mnie przezroczyście za późno, zbyt późno, żeby cokolwiek temu zaradzić, stały się oczywiste na rok, może dwa przed chorobą psychiczną, która swobodnie, ze swobodą zbrodniczej przypadłości zdołała powalić tego blisko dwumetrowego mężczyznę o zdrowiu, jak można było wnioskować z wyglądu, potężnym.

Nie zorientowałem się na czas w postępach i podstępach choroby psychicznej Izajasza Anioła, jak nie zorientował się nikt z jego najbliższej rodziny i ten olbrzymi i silny mężczyzna uległ chorobie, poddał się jej i pojechał do poradni specjalistycznej schorzeń neurologicznych na słynną w całej Warszawie ulicę Jana III Sobieskiego. Tam, w nieprzychylnych, lecz skądinąd jedynie bezpiecznych salach kliniki neurologii i neurochirurgii, gdzie wielokrotnie znajdowała się też moja szalona i niepotrafiąca zrezygnować z uprawiania oraz improwizowania szaleństw matka, znalazł się odurzony pierwszą porcją silnych leków psychotro-

powych, bezradny w tamtym momencie jak dziecko, Izajasz Anioł. Znalazł się na oddziale intensywnej terapii i sporo czasu minęło, gdy wreszcie mógł powiedzieć, co zaszło. Powiedział to zresztą nie mnie, a grupie nerwowo chorych, ja natomiast niezwykle długo zbierałem informacje o jego chorobie.

*

– Ból, zło i pomniejsze cierpienia powszechne – mówił Izajasz Anioł, kiedy choroba nie wzięła go jeszcze w objęcia i miał jeszcze siłę, by stwarzać na poczekaniu metafory zdolne potwierdzać istnienie Królestwa Nie z Tego Świata i wszechobecnego piekła – są skandalem, do którego nigdy nie miałem zamiaru przywyknąć. Dana od Boga łaska przez wiele lat koła mnie i pomagała mi i mojej wierze. Bogu, który mi łaskę wiary podarował, wiele zawdzięczam.

Milczałem i obserwowałem go, kiedy to mówił, a sposobność miałem znakomitą, ponieważ Izajasz od kilku spotkań szkicował moje portrety. Chciał mieć mój, jak to nazywał, „konterfekt”, a ja nie miałem nic przeciw. Nie rozumiałem malarstwa i bycie modelem wydawało mi się monotonna rozrywką, w tym wypadku o tyle ciekawszą, że Izajasz w czasie szkicowania mówił.

– Do rozmaitego bólu próbowałem bezskutecznie przywyknąć latami – mówił podczas tej pracy Izajasz, patrząc na kartkę i koniec ostro zatemperowanego ołówka ze zgryzioną gumką – a że nic z tego nie wyszło, to już wyłącznie mój problem. Nie przywykłem i pewnie już nie przywyknę do wszechobecnego bólu, zawsze będę uważał ból, zło i pomniejsze cierpienia codzienne za skandal. Stale myślę, że człowiek na ból nie powinien się godzić, ponieważ ból, o którym powiada się, że ponoć przypisany jest ludzkiej, marnej kondycji, to nie jest żaden argument, temu nie wolno ulegać, trzeba mieć stale w pamięci choćby jeden przykład walki zwycięskiej, jeden przykład pokonania bólu, co nie chroni od śmierci, lecz chroni od ponurej i drwiącej groteski, daje godność i pozwala opuścić świat z twarzą. Nie mam na myśli wypadków, kiedy ból sygnalizuje zagrożenie, sygnalizowanie zagrożeń, ta powszechnie doceniana funkcja bólu, jest oczywi-

ście konieczne, ale nie o to mi chodzi. Sygnalizować zagrożenie, a stwarzać sytuację, w której ból ponoć tylko sygnalizujący stanowić zaczyna zagrożenie większe i więcej przysparza cierpień, to sytuacja patologiczna i groźna, ale też niezwykle powszechna. Ból jest zresztą tematem zbyt rozległym i nie zamierzam go tutaj quasi-naukowo badać, nie jest mi to do niczego potrzebne, wystarczy mi to, co powiedziane. Latami obserwowałem ból swój i swoich najbliższych, latami zastanawiałem się nad mechanizmami tortury zwanej potocznie i beztrąsko życiem, latami zbierałem materiał dowodowy przeciwko sensowi istnienia, a także na to, że wyłącznie łaska Boża uratować może człowieka.

– Więc czym jest ból? – zapytałem z głupia frant, bo nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, takie to wszystko, co mówił wtedy Izajasz, wydawało mi się zawikłane.

– Ból to diabeł. Zapamiętaj to sobie – Izajasz pokiwał głową, zerkając to na portret to na mnie. – Po prostu ból to diabeł, a reszta to czcze opowieści. Jest jeszcze grzech, ale grzech... – Izajasz urwał, jak gdyby zastanawiał się, co powiedzieć.

– A osobowe zło? – przypomniało mi się, że użył kiedyś tego określenia.

Spojrzał na moment uważniej w moje zaciekawione oczy i cicho powiedział:

– Zło osobowe to ból, ten właśnie, który każdy ma w sobie. I cała tajemnica istnienia to od zawsze tajemnica bólu. Oczywiście, diabeł istnieje... Niejeden... Ale ból jest najgorszym z diabłów. Dlatego Kościół potępił doryzm.

– Co? – nie zrozumiałem.

– Doryzm. Pogląd, że jedynie cierpienie jest drogą do zbawienia. Myśl tak idiotyczna, że aż szkoda na nią w ogóle czasu – Izajasz Anioł uśmiechnął się. – To śmieszne, ale nawet Eckhart twierdził, że najszybszym ze zwierząt, jakie niosą człowieka ku doskonałości, jest cierpienie. Ale mylił się. Nawet on, jeśli chodzi o ból i cierpienie, mylił się.

Nic z tego nie pojmowałem. Rozejrzałem się bezradnie wokoło, jakbym szukał punktu zaczepienia dla tej nowej, niepojętej dla nastolatka myśli. Ale miejsce, w którym znajdowałem się z Izajaszem, kąć pokoju, gdzie ustawił sztalugi, zdawał się tak spokojny

w swoim najklasycyjszym, artystycznym nieładzie, że nic mi to nie pomogło, nie znalazłem punktu zaczepienia. Pędzle, dłuta, blejtramy – wszystko trwało w nieporuszonej chaosie.

– Jak to? – zapytałem bezradnie. – To znaczy, jak to jest z bólem?

– Nie pora na ujawnianie dowodów – roześmiał się dziwnie Izajasz – nie pora, jak mawiają komisarze śledczy. Ten czas jeszcze pewnie nadejdzie, ale kiedy, tego w tej chwili nie wiem.

*

Izajasz Anioł nigdy nie skończył mojego portretu. Wyrzucał kolejne szkice, zapraszał mnie na kolejne seanse, jednak nic z tego nie wyszło i chociaż mnie podobało się to, co widziałem naszkicowane jego ręką, nigdy nie pozwolił mi wziąć żadnego nieskończonego rysunku.

– To nie jest skończone – mówił. – Chcę namalować cię bezpośrednio, pięknie, ale i szczerze. Żebyś zobaczył, jaki jesteś. Chcę wydobyć prawdę na twój temat. Może uznasz swój portret za przykry czy przerażający, ale ja nie dam ci niczego słabszego. Uraziłbym cię. Poniżył. Nie tak?

– Czy jest jakaś recepta na geniusz? – zadałem mu przy okazji i takie niewyszukane pytanie.

– Geniusz to błąd w systemie. Tak twierdził Paul Klee – odpowiedział. – Ale dzisiaj... Dzisiaj jednak to tak zwani menedżerowie, tak zwani moderatorzy i tak zwani recenzenci brukowców i popołudniówek dostali się na łamy i szpalty i rządzą, narzucają swoje zdanie kosztem twórców, którym nie dorastają do pięt. Recenzenci chcą być dzisiaj – i to jest tragedia – wielbieni za to, że dołożyli swoje pięć groszy do dzieła, które jest warte fortunę. Pycha jest wszechobecna. Ale głupota jest większa.

– A intelektualiści? – zastanawiało mnie, jak postrzega ludzi, których ja traktowałem z szacunkiem już choćby przez to, że byli, jak mi się wydawało, ze świata innego niż świat mojej dryfującej w oparach kropli miętowych i walerianowych, wiecznie nadźganej babki i obłąkanej matki, co i raz lądującej w Tworzech albo Drewnicy.

– Intelktualiści? Te straszne nygusy? – Izajasz oderwał się na moment od kartki i bystro na mnie popatrzył. – Nie ma żadnych, no, prawie żadnych intelektualistów. W większości to intelektualne nygusy, szalbierze i hochsztaplerzy. Ci tak zwani dzisiejsi intelektualiści, Norbercie, to hołota wykonująca zbiorowe salto mortale w prymitywizm i podglądactwo. Wystarczy popatrzeć – Izajasz dostrzegł, że chcę mu przerwać i gestem dłoni powstrzymał mnie – na to, co ci tak zwani intelektualiści wychwalają, co podsuwają nam do wierzenia i do myślenia. Na to badziewie, te big brothery, ten syf.

– Wszyscy? – zdołałem wtrącić, co nie było łatwe, bo Izajasz gromił i gestykulował już niepowstrzymanie.

– Nie wszyscy. Ale ci, którzy gadają w mediach. Którzy robią za gadające głowy – prawie wszyscy. Jednak większość tych, którzy mają do powiedzenia coś ciekawego, nie ma dostępu do mediów. Wyjątki potwierdzają regułę.

– A kogo ma pan na myśli?

*

Nie odpowiedział, ale popatrzył na mnie tak wymownym spojrzeniem, że zrozumiałem natychmiast, że tej pracy nikt za mnie nie wykona i że sam będę musiał znaleźć sobie tych, którym uwierzę.

– Pamiętaj, Norbercie, jeżeli kiedykolwiek przyjdzie ci do głowy tworzyć – Izajasz nie miał pojęcia, że od czasu do czasu pisuję – będziesz zmuszony do nieustannego ćwiczenia się w prowokacjach, w niczym innym jak w prowokacjach. I niczego innego nikt też nie będzie od ciebie oczekiwał. A już na pewno nie sztuki.

Izajasz szkicował i wyrzucał niedoskonałe szkice, szkicował i znowu wyrzucał, a ja siedziałem naprzeciwko, szczęśliwy, że mogę na niego patrzeć, kiedy jest w swoim żywiole. Wśród małych i wielkich kartonów, różnokolorowych puszek, krótkich i długich, szerokich i wąskich patyków, ostrych dłuć, porowatych lub gładkich kamieni i szpargałów niewiadomego przeznaczenia, które znosił do domu zewsząd. Patrzyłem jak trwał

w swoim żywiole, z ołówkiem w palcach i z okularami na nosie – takiego chciałem go zapamiętać.

Tymczasem choroba robiła nieubłaganie swoje. Niewidzialna. Niepojęta. Straszliwa.

*

Jak doszło do wybuchu jego choroby psychicznej? Banalnie, tak jak zazwyczaj do tego dochodzi. Izajasz Anioł znalazł się na oddziale intensywnej terapii w stanie skrajnego wyczerpania jego wrażliwej duszy i równie delikatnej psychiki w dniu drugim pielgrzymki Jana Pawła II po Polsce. Dzień wcześniej doniesienia o wojnach prowadzonych nieustająco na Bałkanach, na granicy Izraela i Palestyny, a także w kilku państwach Afryki wywołały w Izajaszu tak silną, czy też jak mówią fachowcy, ostrą reakcję lękową, tak drastyczną, że w strachu – jak sam o tych swoich odczuciach zeznawał – stanowiąc zaczął zagrożenie dla najbliższego otoczenia, czyli żony i dorastających dzieci. Na terapii grupowej, którą zaaplikowano mu na początek, opowiadał – przedstawił mi to lekarz prowadzący, którego próbowałem wypytać o wiadome i tak rokowania – o wybuchu choroby w taki sposób, jakby wszystko to cały czas trwało, jakby nie mógł uwolnić się od koszmaru.

*

Ile to razy, moi kochani – tak zwracał się Izajasz Anioł do słuchających go melancholików, schizofreników, depresjonatów i innych dotkniętych chorobą, zgłuszonych najsilniejszymi lekami – ile to razy budziło mnie w tamte finalne, zaprzepaszczone poranki dni finałowych mojego związku z oszalałym światem, echo głosu niewyspanego spikera w radio. Ile przeklętych i niewydarzonych poranków upływało pod ostrzałem zdań, ile to razy trafiały mnie, wrywały ze snu i sprowadzały do tak zwanej rzeczywistości słowa przemęczonego spikera, informującego cały świat, że „ Izraelczycy żądają od palestyńskiego przywódcy...”. A żądali niemalże codziennie, rytuałem stało się to żądanie, za-

wsze wszyscy chcieli pokoju i w tle zawsze wybuchała bomba. Słowo „pokój”, moi kochani bracia, przestawało cokolwiek znaczyć i stawało się słowem pustym, nie mogłem już tego wytrzymać, nie mogłem już tego słuchać, moi bracia, czy mnie rozumiecie? – odpowiadały mu nieme spojrzenia, lecz kontynuował w napięciu i pytał. – Ile? Wiele, bracie schizofreniku i ty, bracie w depresji, naprawdę wiele razy tak było i wstawałem słysząc niewyspanego jak i ja spikera, szedłem do kuchni wstawić wodę na pierwszą, relaksującą i pobudzającą herbatę, myłem się, szykowałem do wyjścia, w sposób jawny zaznawalem przyłączenia do tej części zbolatego narodu, która także szła pracować, jak co dzień. Nie jestem w stanie określić dokładnie, podać daty, czy wyznaczyć początek, nie wiem, kiedy słowa zmordowanego spikera obudziły mnie w ten sposób po raz pierwszy. Pewne jest i to także, że bywały całe długie tygodnie, kiedy słowa zmordowanego spikera były inne. A jednak to właśnie te słowa, słowa o Izraelu wysuwającym żądania pod adresem palestyńskiego przywódcy, te właśnie słowa pamiętam, ponieważ budziły mnie najczęściej. A przecież, bracia szaleni, a może jedynie zbyt zdrowi, a przecież jak każdy normalny w tym kraju, daleki byłem od spraw polityki zagranicznej i konfliktów na masową skalę. Owszem, interesowało mnie to, ale nie chciałem od tego zwariować. No bo przecież nie problemy globalne, lecz trywialne zajmowały mnie co dzień, trywialne problemy artysty i myśliciela z Warszawy. Daleki byłem i nie interesowałem się, a jednak nie ustrzegło mnie to, co jest dowodem (i co nie jest przypadkiem), że pech pozostaje pechem mimo ambicji pokonania pecha. Wspominam o pechu, bracia szaleni, a może jedynie zbyt zdrowi jak na te czasy, o pechu mówię, albowiem skoro przez wszystkie te lata mogły mnie budzić inne słowa, skoro przez wszystkie te lata mogły budzić mnie piękne melodie, a budziły izraelskie żądania pod adresem palestyńskiego przywódcy, to jest to pech nad pechami, to nic z tego już nie rozumiem. A może to nie był pech? A może to był znak od Boga? Może tak powinienem to widzieć, już sam nie wiem, moi bracia szaleni... Czemuś mnie Boże opuścił? Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego mnie umieściłeś wśród braci o myślach splątanych? Dlaczego ten straszny pech, co jest

zwykłym, bo szyderczym gestem ze strony straszego świata, który gestów nieszyderczych nie zna. O ile milej byłoby budzić się przy muzyce, w przestrzeni dźwięków pięknej, subtelnej i harmonijnej, wśród ciszy zamienionej w magię wyobraźnią Sebastiana Bacha, biegłego w grze na organach i biegłego w płodzeniu dzieci. O ile przyjemniej byłoby, gdyby to sam wielki Mozart zstępował rano po falach radiowych do mojej głowy. Wychodzić ze snu najspokojniej, pozwolić snom cicho odejść, przy organach lub łagodnej harfie, przy gitarze albo przy fortepianie – to zmieniałoby wiele, jak myślę, niby drobiazg, ale całkiem poważny. Zastanówcie się, moi drodzy, moi bracia o myślach splątanych, przecież wiem, że i tu się nie myślę, przecież wiem, że przyznacie mi rację. To by było najkorzystniejsze i świadczyłoby może, że w świecie nie zawsze tkwi tylko szyderstwo.

O ile by było piękniejsze, gdyby budzili mnie Davis czy Coltrane albo nawet taki Monteverdi, gdyby budził mnie Bach albo Mozart, Jarre albo Laswell, gdyby budził mnie głos Ciaran Brennan, gdyby te informacje straszliwe nie wybuchały w mojej głowie codziennie, z czym godziłem się tak, jak każdy, kto ma z rana radio cicho włączone i słyszy to wszystko, i zapada się w piekło – Izajasz przerwał dla nabrania oddechu.

Wtedy dostrzegł, że nikt go nie słucha, bo bracia szaleńcy i inni odwracają się, kiedy mówi, i patrzą po sobie, po ścianach, i pewnie go nawet nie słyszą.

*

A tym łatwiej godziłem się z echem głosu spikera w zaprzepaszczone poranki – kontynuował swój monolog Izajasz, chociaż wiedział już, że nikt go nie słucha – że znośłem w ten sposób nie swoje, ale cudze i rzeczywiste nieszczęścia. Mając swoje, jak każdy, nie miałem chęci wnikać w te z radia, poparte statystykami obliczanymi wciąż od nowa, po każdym ataku w odwecie, po każdym wybuchu bomby. Zawsze bywał to atak w odwecie, zawsze było to uzasadnione, nie słyszałem przez te wszystkie lata, żeby coś tam wybuchło bez racji. Czy w ogóle jest na świecie gdzieś wojna, w której nikt nie ma swojej racji? Czy istnieje

na świecie generał, który przyznałby się, że zabija i śle na śmierć żołnierzy, i walczy, bo mu daje to więcej niż orgazm? Za tym także stały myśli szydercze, bezlitosne i bez miłosierdzia, za pytaniem o sens oraz bezsens zadawanym w czas finalnych poranków. Za tym też stało wyłącznie szyderstwo, nie chodziło przecież wcale o prawdę. Grało radio, ja budziłem się ciężko, konflikt trwał nieprzerwanie latami. A Bóg? Spytaście może, co z Bogiem? Modliłem się i wiedziałem, że nigdy mi nie odpowie. Że kiedy ja mówię do Niego to jest po prostu modlitwa, ale jak On przemówi, to będzie już schizofrenia. Wiedziałem to świetnie, wiedziałem, a nic mi to nie pomogło. Boże, mój Boże, dlaczego zrobiłeś mi to właśnie Ty? Dlaczego kazałeś aniołom, by ustawiły się w chóry i śpiewały o Izraelu i Palestynie, o Abrahamie i ziemi Ur, o Hebronie, gdzie bezpłodna Sara podsunęła Abrahamowi niewolnicę Hagar, o Mossadzie i Ben Gurionie. Dlaczego, Boże, dlaczego? Dlaczego uwolniłeś Mastema, dręczyciela z moich wszystkich koszmarów?

Konflikt trwał nieprzerwanie latami, kiedy te wiadomości budziły mnie, tak bywało, dzień po dniu. Zamachowcy, terroryści, samobójcy, intifada, hamas, džihad i hezbollah – Partia Boga. Bejrut, Szaron, Gaza i Arafat, Brygady Męczenników al Aksa, dlaczego, Boże, dlaczego? – wszystkie słowa powtarzane do znużenia, wszystko wojna, przez tak wielu zwana świętą, wszystko to w mojej głowie, obolałej i absolutnie zniszczonej.

*

W tamte finalne poranki – Izajasz nieznużenie przemawiał do wariatów i nerwowo chorych, a ci go ignorowali, chociaż kilku może jednak słuchało – po raz pierwszy doszły do mnie słowa, może spiker wypowiedział je nagle, może były częścią którejś z informacji, słowa znane, ale nigdy tak ważne: udręczony i bezwzględny – te właśnie. Udręczony, bezwzględny, bezwzględne, udręczone, z bezwzględnością bezwzględna, z udręczoną udręką, bezwzględne... Powtarzałem, jakbym po raz pierwszy w życiu usłyszał te dwa słowa w końcu nie nadzwyczajne, proste słowa, używane czasami, ale nigdy z tak wielkim napięciem. Było

to objawienie, całkowita epifania udręki, gigantyczne nietypowe dotknięcie bezwzględności przeczuwanej od dawna. Ile rzeczy stało się nagle jasnych i łatwych do natychmiastowego pojęcia, ile spraw wyjaśniło się nagle w sposób najoczywistszy z możliwych? Jak poważne miało dla mnie konsekwencje to odkrycie słów używanych powszechnie? Bezwzględny i udręczony, bezwzględny i udręczony pozostawał świat, i bezwzględne i udręczone były dni jego wszystkie bez końca. A na tle bezwzględnego udręczenia świata bladło każde prywatne zmęczenie, niczym było na tle bezwzględnego udręczenia świata osobiste zniechęcenie światem. Na tle tego bezwzględnego udręczenia świata, powtarzałem w tamten epifaniczny poranek, niczym są moje prywatne udręki, kuszenia i grymasy bezwzględne. Zaparzałem relaksującą herbatkę, szykowałem się wolno do pracy, rozmyślałem o rozlicznych finałach, o finałach emocji i uczuć. Głob miarowo, niedostrzegalnie jak zawsze kręcił się po tej samej orbicie; spiker w radio puszczał znane przeboje i też może pił herbatę, i myślał. I teraz, kiedy wam to mówię, kiedy wracam do tamtego czasu, jest mi tak, jakby czas stanął w miejscu, owszem, idzie, ale względne to wszystko. No i teraz, kiedy pytam o tamte poranki, pytanie – „Ile razy?” – powraca. To pytanie jest niezmiernie ważne, jakby mogła istnieć na nie odpowiedź, która zmieni cokolwiek w moim życiu. Ile razy, powtarzam więc z głębi mojego udręczenia w tamtym czasie i w tamte poranki, ile to razy budziły mnie w tamte finalne poranki dni finałowych słowa wymęczonego spikera wypowiedane w radiowym studiu, z kartki odczytywane spokojnie, głosem wydrażonym jak echo: „Izraelczycy żądają od palestyńskiego przywódcy...”? Ile zupełnie bezwzględnie zaprzepaszczonej poranków minęło, odkąd zacząłem być tym, kim obecnie jestem? Ile razy bezwzględnie zaprzepaszczonej poranek przechodził w równie bezwzględnie zaprzepaszczone południe? Ile też razy południe, wrzucone w tę samą przepaść, co ranek i co noc cała, zmieniało się w nowy wieczór, przewidywalny o tyle, o ile zaprzepaszczonej? I ile dni takich chytrze i bez ponaglenia idących zaprzepaszczyłem w sumie, trwoniąc je tak, jak pieniądze? Ile to już bezwzględnie zaprzepaszczonej dni znalazło się na moim egzy-

stencjalnym koncie? Ile długów narobiłem sobie przez to, ile poniosłem strat, co zyskałem? Czy konieczność jest tylko odmianą przypadku, a sens tęsknotą słabych, ułudą zawiedzionych? – pytał poeta i ja powtarzam to bolesne pytanie. I też wiem już, co rozumiał poeta, kiedy kończył swój wiersz ciemnym pytaniem do dębów: „Tyle pytań – o dęby – tyle liści, a pod każdym liściem rozpacz.” I nie po to przywołuję właśnie tego poetę, byście, kochani, dziwili się i głowami kiwali, przywołuję tego właśnie poetę, bo i jego zapewne budziły i nim także wstrząsały te słowa, których echo jeszcze teraz się niesie, coraz głębiej wydrążone i puste. Niepojęte. Straszliwe. Zwyczajne. Tak normalne, jak zaprzepaszczone poranki.

*

Opowiedział mi te przemowy lekarz prowadzący terapię. Przytoczył je słowo w słowo, zresztą część miał nagranych na taśmę. „Prowadzę dokumentację – powiedział. – Będę pisać o tych ludziach pracę”. Przegrałem od niego część taśm, przegrałem wszystkie z głosem Izajasza.

Rozumiałem Izajasza Anioła, kiedy odsłuchiwałem te taśmy, rozumiałem, kiedy Izajasz tak mówił o sobie na zajęciach terapii grupowej, kiedy zwierzał się schizofrenikom, melancholikom i depresjonatom, ponieważ czułem to samo i mogłem powiedzieć podobnie: wszystkie moje poranki także były zaprzepaszczone. Moje bezwzględnie i bezproduktywnie zaprzepaszczone poranki są kwintesencją mojego bezwzględnie i bezproduktywnie zaprzepaszczonego życia – myślałem, wsłuchując się w słowa Izajasza Anioła i porównując je z moim życiem, prowadzonym od lat tak bezładnie. – Moje wiosenne, ciepłe jak pierwsza burza, i zimowe, chłodne jak powierzchnia lustra albo ostrze traperskiego noża poranki – rozmyślałem z ironią – są kwintesentnym przejawem tego, do czego doprowadziło moje, inne o tyle, że niewypełnione doszczętnie Bogiem, życie. Życie impregnowane na szlachetne i dobre rady, rady szlachetnych i jak Izajasz dobrych. A przez to są moje zaprzepaszczone poranki znakiem szczególnym, a wręcz rozpoznawczym mojego wyobcowania i dotkliwej, nieeleganckiej

mizantropii. Należą do mniej głębiej niż do Izajasza Anioła, chociaż to Izajasz je tak nazwał, patetycznie i trafnie – jak zawsze.

*

Słuchałem taśm Izajasza, paliłem, piłem martini. Co miałbym jeszcze napisać? Czy byłem wzruszony? Byłem.

ROZDZIAŁ XVIII

Piszę albo nie piszę...

Gretę poznałem dzięki Mercedes – ironia losu bywa w takich wypadkach zabójcza.

– Poznajcie się – Mercedes przedstawiła mi Gretę w kawiarni, gdzie umówieni byliśmy na spotkanie. – Mówiłam jej o tobie... Że piszesz i że chętnie przeczytałbyś kawałek jej prozy.

Musiałem wyglądać na zaskoczonego, może wściekłego i gotowego w każdej chwili wstać, wyjść i więcej w to miejsce nie wracać, ponieważ Mercedes nie dała mi dojść do słowa i patrząc mi w oczy z błaganiem dodała szybko:

– To naprawdę świetna robota, spodoba ci się, zobaczysz. – Postanowiłem zostać, chociaż byłem pewien, że nie jest, jak mówi Mercedes. Ale Greta, tak, Greta wyglądała dobrze. Dla Grety warto było zostać.

– W porządku – mruknąłem. – Co chciałabyś, żebym ci powiedział? – Greta zrozumiała w lot, że to pytanie do niej, spojrzała mi prosto w oczy i ciepłym, pomyślałem, że za intymnym jak na takie spotkanie głosem, wolno odpowiedziała:

– Nie wiem, od niedawna dopiero jestem w Polsce i chcę tylko wiedzieć, czy to, co od czasu przyjazdu zaczęłam pisać trzyma się jakoś polszczyzny. Zależy mi na tym – to ostatnie powiedziała już ciszej.

– O, a skąd przyjechałaś? – zainteresowałem się, bo dziewczyna podobała mi się coraz bardziej. Kasztanowe, gęste, lekko

skręcone włosy, duże oczy w kształcie migdałów i usta jak gdyby śmiejące się cały czas – było w niej coś, dla czego mógłbym... Nie, no nie, znowu – pomyślałem. Ale było już, zdałem sobie sprawę, po wszystkim.

– Z Tel Awiwu. Ale nie mam ochoty mówić o tym teraz – Greta, nie byłem pewien, chyba jednak nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje. Za to Mercedes zobaczyła od razu. Moja mądra, nie zazdrosna Mercedes.

– O Boże! – krzyknęła nagle spoglądając nerwowo na zegarek. – Ja muszę bieć, mam firmowy lunch, na śmierć zapomniałam.

Pomachałem jej ręką i podziękowałem mrugnięciem. Było ją za co lubić, tę Mercedes, tak cudownie, choć oczywiście nie dość trwale zaślepioną kochankę.

– I o czym to napisałaś? – zapytałem, kiedy zostaliśmy z Gretą sam na sam. – Fikcja? Biografia? Reportaż? A może piszesz wierszyki?

– Masz – Greta wyjęła z torebki kilka kartek złożonych na czworo. – Przeczytaj to sobie w domu. Ja także muszę już iść. Tu masz telefon, zadzwoń, jak będziesz chciał mi coś powiedzieć. Jak nie zadzwonisz, zrozumiem.

– Już idziesz? Jaka szkoda! – wyrwało mi się, kiedy brałem z rąk Grety plik kartek.

W domu zajrzałem do tego, co dostałem od uroczej Grety. I z miejsca – a dowiedzie się zaraz, dlaczego – zmieniłem o tej kobiecie zdanie. Miała nerw, że tak powiem, wiedziała, co to znaczy pisać ostrą prozę. Przeczytałem:

Księga wyjścia

Tylko żeby nie brali tak tego wszystkiego na serio.

Miron Białoszewski

Rola mojej żydowskiej rodziny w edukacji sentymentalnej młodości od samego początku, jak sięgam pamięcią, wydawała mi się wielka i nieoceniona. Oczywiście wszystko to za sprawą mamy i taty, którzy w 1968 prosto po studiach wyjechali do Izraela z moją

starszą siostrą, Rachelą, trochę już myśląc też o mnie, chociaż mnie jeszcze nie było na świecie. Jak już byłam na świecie i nauczyłam się pisać, postanowiłam notować, co widziałam. Nie zawsze było to miłe, ale zazwyczaj nie jest miłe, co widzi się w wykonaniu takiej zwyczajnej rodziny. Mnie zresztą wszystko jedno. Piszę albo nie piszę – jak kiedyś to sobie powiedziałam – żeby poczuć się wolną. Nikomu nic do tego.

A widziałam wiele, bo w tym czasie każdy widział wiele. Wystarczyło patrzeć uważnie i nie udawać, że się nie widzi. „Takie czasy” – mawiał z przekąsem tata, który swoje – jak twierdził – już przeżył. Inni również nie zostawali w tyle.

Mama na przykład spadła z fotela, bo zobaczyła w telewizji lwa. Pani na filmie kładła sobie na głowie obsikaną przez siebie pieluchę. „Na pustyni to normalne” mówił tata. „No dobrze, ale czemu ten lew przed tym nie ucieka. Przecież to musi śmierdzieć” – mama wierzyła nogami. „Są inne sposoby na lwy. Można na przykład efektownie spaść z fotela” – tata kiedyś dużo podróżował, wiedział co mówił. W Tel Awiwie wszyscy go szanowali, chociaż przyjechał do Izraela goły jak święty turecki. „Żydzi szanują mnie, a przecież wiedzą, że przyjechałem tu goły jak święty turecki – mówił z radością. – Widzicie jaki miły jest ten nasz naród” – prężył dumnie pierś i uśmiechał się od ucha do ucha.

Babcia szurała kapciami i szukała ładnych guzików do koszuli nocnej bez dziurek od guzików. „Henryku, nie pojmujesz mojej potrzeby estetycznej – mówiła w kierunku taty. – Powinieneś więcej czytać.” „Strusie to są dopiero estetyczne” – tata bronił swojego kanonu piękna tylko pod nosem. Mama mówiła: „Ach, mama znowu mu robi wyrzuty. One nam życie dają, może nie jakoś estetycznie, ale ludzie zawsze będą jajka wcinać”. I kierowała oczy pełne łez w kierunku ślubnego zdjęcia. „Tylko żeby już nic o nich nie mówił...” – działała wybacząca siła babci. „A stjusicie sjają jak ludzie” mówił Dawid, mój młodszy braciszek. „Dlaczego mój syn ma wadę wymowy? – pytał tata – Jolanto, czy my znamy kogoś z wadą wymowy kto sobie poradził w życiu?” „Nie Henryku” – mówiła mama. „Dlaczego mój wnuk zna nieprzyzwoite określenia dotyczące układu wydalniczego człowieka?” – pytała babcia. I nikt jej nie odpowiadał.

Pojechałam do sanatorium na pół roku. Zamiast klawiszy mieliśmy tam pielęgniarki. Kiedyś jedna złapała mnie na nocnej wycieczce na drugie piętro. Pisałam list karny do mamy: „Droga Mamo! Spacerowałam w nocy po korytarzu zbyt wolno i złapała mnie siostra Hadasa. Złapała mnie również dlatego, że jej nie poznałam. Myślałam, że to Aaron i jak zaczęłam uciekać to było już za późno. Droga mamo! Bardzo mi przykro, że musisz to czytać. Chociaż pamiętaj, że wcale nie musisz – możesz podrzeć ten list w każdej chwili i wcale nie pokazywać go tacie. Jeszcze dwa takie listy i za trzecim będę musiała wrócić do domu. Ale niech się mama nie martwi – będę trenować w czasie wolnym. A poza tym to tylko siostra Hadasa łązi w nocy po korytarzach a ona jest tylko raz w tygodniu. Jakoś to będzie. W szkole w porządku. Pozdrawiam.”

Mama kupiła pół kilo czekoladowych cukierków, kiedy stuknęła w samochód jednego pana naszym zderzakiem. Nie dała mi ani jednego. Zresztą nie było na to czasu. Dziesięć minut i było po wszystkich. Mówiła: „Pamiętaj czekolada nigdy cię nie zawiedzie.” Przyszła ciocia Iza i mama mówiła: „Nie jem słodczy już od dwóch miesięcy. To takie niezdrowe.”

Byłam chora i dostałam wielkiego pluszowego psa z oklapłymi uszami. Potem mi go zabrali w szpitalu. Tata powiedział: „Takie jest prawo natury. Zwierzęta przenoszą zarazki. Ależ Greto, nie ma sensu dyskutować z biologią. Ja dużo podróżowałam – wiem co mówię.”

Mama miała jeden kapelusz ze sztuczną jarzębiną. Tata mówił: „Rozdziobią cię kruki, wrony jak wyjdiesz w nim na ulicę. W Wietnamie mieszkają takie ptaki, które wydziobałyby ci za to oczy”. Mama chodziła w kapeluszu po domu. „Przynajmniej tutaj nie muszę się obawiać żadnego drobiu” – mówiła.

Babcia spotkała na ulicy mojego kolegę Izaaka. „Podejdz tu, młody człowieku.” – powiedziała. Izaak uciekł i nigdy więcej mnie nie odwiedzał.

Na podwórku Dawidka wszystkie polskie dzieci ciągle prosiły, żeby powtarzał słowo „chór”. Mama spytała: „Dlaczego cię o to proszą?”. „Nie wiem. Chojoba jakaś, czy coś” – powiedział Dawid.

„Kotka mi się ocielila na rękach” – powiedziałam, kiedy kotka się ocielila. „Nie mówi się, że kotka się ocielila. Kotka może się tylko okocić” – powiedziała babcia. Dawid pojechał z tatą na wycieczkę

do lasu do Kanady. Jak wrócił powiedział: „Widziałem w lesie koczodana i koczodanową. I ona się chyba okoczodaniła niedawno.” Babcia zasłała.

Miałam dziesięć lat i owłosione pachy. Mama mówiła: „Będziesz się wcześniej puszczać. Tylko żebyś nie musiała wysłuchiwać na twój temat od sąsiadów. Nie zniosę tego.” Myślałam, że chodzi jej o wypuszczanie się z domu, piesze wycieczki.

*

Przed Bar Micwą chorowałam i któryś lekarz powiedział: „Dobrze, żeby chociaż miała zwierzątko. Zwierzątko potrafi zastąpić towarzystwo. Nich jej państwo kupią chomika.” Dostałam chomika. Był łaciaty, zwłaszcza na twarzy miał czarną łatę. Nazwałam go Napoleon, bo Napoleon kojarzył mi się z piratami, a piraci z łatami na twarzy. Napoleon umarł po trzech tygodniach mieszkania ze mną w jednym pokoju. Potem byli jeszcze Hultaj i Maciuś. Tata powiedział: „Z niektórymi ludźmi nawet zwierzęta nie są w stanie wytrzymać. A o mnie tu nie chodzi na pewno. Ze mną na co dzień żyje sześć tysięcy strusi i jakoś nie zdychają.” Rachelę zakopała chomiki w ogródku. Pół roku później przeczytałam w jakiejś gazetce dla dzieci, że chomiki w niesprzyjających okolicznościach zapadają w stan hibernacji. Jak niedźwiedzie na zimę. Bałam się, że zakopaliśmy je żywcem. Mama powiedziała: „No nie płacz. Jeśli one żyły to teraz są kretami. Na pewno jest im lepiej niż z tobą.”

Tata uczył mnie grać w karty. Mówił: „Masz karciarę w oczach.” Wiele razy szukałam jej w lustrze, ale nawet nie wiedziałam jak wygląda taka karciara i nigdy niczego nie znalazłam. Siadaliśmy przy dużym stole nakrytym obrusem w ciapki. Tata mówił: „Gapiaki w karty nie grają”, a potem zanosił się chichotem z niewiadomo czego właśnie wtedy, kiedy potrzebowałam ciszy. Zawsze przegrywałam. Tata mówił wtedy: „No wiesz – nie ma się co dąsać. Grę w karty opanowałaś już całkiem nieźle, ale na wygraną składa się jeszcze strategia, jaką przy stoliku zastosuje się wobec przeciwnika. Dużo podróżowałam – wiem co mówię.”

Kiedy miałam czternaście lat pojechałam z klasą do Auschwitz. Było dość smutno i bardzo daleko. Jak wróciłam tata powiedział:

„Jak nie płakałaś to chyba się spała ze wstydu.” Mama powiedziała: „Co ty za koszmarnie historie opowiadasz Henryku! Greta pokaż oczy! Pewnie, że płakała! Płakała tak, że jeszcze teraz ma zaczerwienione spojówki!” Przez trzy dni w każdej wolnej chwili tarłam oczy pięściami.

Kiedy dostawałam wysokiej gorączki to albo zaraz szłam do szpitala, albo przyjeżdżała do nas do domu pani doktor Apfelbaum. Miała wielkie, sine okulary i mama zawsze mówiła o niej: „Tyle bierze, bo wie, że jak dziecko chore to nie ma wyjścia”. Kiedyś ja powiedziałam tak jak pani doktor robiła mi zastrzyk. Mama złapała się za głowę i powiedziała: „A co ty dziecko opowiadasz!” I nakryła mi głowę poduszką. Myślałam: „Udusi mnie za prawdę. Na pewno mnie udusi.”

Któregoś lata pojechałam na kolonie z polskimi dziećmi. Na dyskotecę ciągle leciał przywieziony nie wiem przez kogo hit z refrenem „Cztery razy po dwa razy, osiem razy raz po raz...” W którejś ze zwrotek głos stawiał pytanie: „Czy normalny facet z bródką może zostać prostytutką?” Kiedy wróciłam z koloni spytałam mamę w łazience: „Czy prostytutka ma coś wspólnego z konstytucją, bo tak podobnie się to mówi?” Mama powiedziała: „O strusia noga! Już wiem kim zostaniesz jak dorośniesz! Jak nie będziesz prawnikiem! Nie ma mocnych – na pewno!”

Zaczęłam palić papierosy w szpitalu. Jedna pani co ze mną leżała powiedziała: „Nie ma jak papieros na zatwardzenie. Ja się nie wysram bez papierosa.” Mąż jej przywiózł całą paczkę. Kiedy mnie bolał brzuch też mnie częstowała. Jakaś pielęgniarka doniosła mamie. Powiedziałam: „No, ale o co mamie chodzi? Ja palę dla zdrowia!”

W 2000 roku tata zaczął znowu interesować się sytuacją w Polsce. Mama powiedziała: „Henryku, nie powinieneś! Masz tu swoje strusie i wrzody nie są ci do niczego potrzebne.” Tata powiedział: „Dobra, dobra” i wysłał specjalny formularz, żeby mu przysyłali *Gazetę Wyborczą* i *Nasz Dziennik*. Gazety przychodziły zawsze długo po dacie, jaką miały w lewym górnym rogu, ale tata nie zwracał na to uwagi. Bardzo czytał zwłaszcza *Nasz Dziennik*. Czasem płakał, czasem krzyczał: „Dopóki będą wychodzić tam takie pisma, nie mamy co myśleć o powrocie. Lepsza wojna z Palestyną tutaj, niż powrót do tamtych nazistów!”. Mama mówiła: „Dobra, dobra”. A tata patrzył na mamę i syczał: „Kobieto, nie wiesz, co mówisz. Wszędzie są jacyś

sąsiedzi, ale tu chociaż trochę mniej uwiera codzienność. Mówię ci, jestem pewien, że cała ta historia z Jedwabnem to pikuś, a najgorsze w Polsce jest i tak zwykłe życie.”

W samolocie do Polski pomyślałam: „Piszę albo nie piszę, żeby czuć się wolną”.

*

Tyle było zapisków tajemniczej Grety, którą natychmiast albo nawet szybciej (ja to umiem, dla mnie to nic nadzwyczajnego) postanowiłem poznać... rzecz jasna w sensie biblijnym. Miałem dla niej swoją pieśń nad pieśniami.

ROZDZIAŁ XIX

Tajemnica Karmelu...

– Metafizyczną tematykę świata schizofreników, ich świata można nazwać nieograniczoną – powiedział mi lekarz, który przyjął Izajasza Anioła do kliniki neurologii i neurochirurgii przy ulicy Jana III Sobieskiego w Warszawie, kiedy przybyłem z wizytą, by dowiedzieć się o postępach choroby. – A jest to, jak pan zapewne słyszał, świat jednej z najbrutalniejszych i najokrutniejszych chorób, w której można wydzielić trzy wątki: ontologiczny, eschatologiczny i charyzmatyczny. Zresztą – profesor Piński miał sposób mówienia rasowego psychiatry, ruchy rasowego psychiatry i właściwie wyglądał jak chodzące uosobienie psychiatrii w najlepszym międzynarodowym wydaniu – zresztą, czyż wszystko, co nie jest zdrowiem, czy to będzie zdrowie absolutnego przeciętniaka czy geniusza, nie jest zwyczajnym strachem, obłędem, przerażeniem?

– Nie rozumiem.

– Nieważne, tak sobie powiedziałem. Ale – profesor spojrział na mnie zza okularów – czy nie uważa pan, że człowiek naprawdę głęboko wierzący, współczesny człowiek wierzący nie potrzebuje żadnych znaków, objawień, niczego, żeby oszaleć? Taki człowiek, czego pański przyjaciel najlepszym dowodem, może oszaleć po skonfrontowaniu swojej wiary z telewizyjnymi informacjami, naprawdę... Zresztą właśnie Izajasz Anioł rzeczywiście

coś przeżył, czegoś doświadczył... A takie wielkie doświadczenie duchowe prawie zawsze doprowadza do rozchwiania psychiki.

– No właśnie, co z Izajaszem? – stojąc na szpitalnym korytarzu nawet nie próbowałem powstrzymać zniecierpliwienia. – Wyjdzie z tego?

– Z czego? Ze schizofrenii? – Piński przyjrzał się mojej osobie tak uważnie, że przez moment bałem się, że i mnie każe ubrać w piżamę i zostawi na obserwacji.

– Martwię się o niego – dodałem szybko, nie chcąc wdawać się w tłumaczenia.

– Ten człowiek, tak silnie wierzący, a nie wiem, czy wierzyć to teraz z medycznego punktu widzenia dobrze czy źle dla niego, mieści się we wszystkich trzech, przynajmniej z punktu widzenia medycyny, nurtach choroby zwanej schizofrenią – twarz profesora Tadeusza Pińskiego była maską z czystego smutku, ale to też była maska – zauważyłem – wliczona w rynsztunek rasowego psychiatry.

– To znaczy?

– W nurcie ontologicznym są ci, którzy myślą za dużo. W każdym razie z punktu widzenia medycyny. Rozmyślają o istocie bytu, koncepcjach człowieka i świata. Pan rozumie, co mam na myśli?

– Tak. Ale Izajasz... – chciałem spytać, ale profesor Piński nie dał mi skończyć zdania.

*

– Eschatologiccy, jak ich nazywam – ciągnął podręcznikowy wykład – żyją w ciągłym poczuciu apokalipsy spełniającej się na ich oczach. Charyzmatycy, to znaczy chorzy, których w ten sposób określam, dotykają wciąż spraw związanych z łaską, charyzmą, badają swoje przeznaczenie, pan rozumie? I są to często badania dla umysłu niebezpieczne, bo charyzmatycy zajmują się dopytywaniem o istotę sensu ludzkiego życia i świata, pogrążają się w swoim świecie, właściwie toną w nim... A do tego cały czas pytają o prawdziwy cel życia i nie chcą żyć w świecie bez celu. Pan zapewne wie, co mam na myśli, pan wygląda, jakby pan żył bez celu.

– Moim celem jest być z Izajaszem – miałem świadomość, że kłamię, ale wolałem nie mówić nic więcej i nie tłumaczyć się żadnym lekarzom. – Oczywiście rozumiem pana, ale co do mnie myli się pan, profesorze. Więc mówi pan, że Izajasz ma wszystkie możliwe objawy, że nie mieści się w jednym nurcie, że jest szalony na wszystkie możliwe sposoby?

– W sensie medycznym – tak. Chociaż „szalony” to dosyć nieprecyzyjne pojęcie. Dla mnie zresztą pański przyjaciel to po prostu nadwrażliwy człowiek – profesor Piński miał teraz w twarzy coś, co Izajasz nazwałby pewnie pierwszym stopniem świętości. Tyle że teraz Izajasz nie mógł nikogo zobaczyć, bo leżał zgluszony lekami, trwał tępo na psychotropach.

– Zaciekawiał mnie pański przyjaciel – kontynuował profesor. – Kiedy był przytomniejszy, o ile tak można powiedzieć, rozmawiał ze mną i muszę panu powiedzieć, ciekawe rzeczy mówił. Niebanalne. Mógłbym nawet zaryzykować tezę, że nie do medycyny należy ostatecznie słowo wypowiedziane na temat przypadku tego nieszczęśnika. Właściwie to Izajasz stawia nowe pytania psychopatologii, schizofrenii, całej nowoczesnej medycynie...

– A o czym konkretnie mówił Izajasz? – to szczególnie mnie interesowało. – Pytał o kogoś? Chciał czegoś?

– O nikogo i o nic nie pytał. Wspominał tylko o Ewagriuszu z Pontu i jego *Traktacie o modlitwie* i wie pan, to z punktu widzenia psychiatrii naprawdę ciekawe sprawy.

– Jak to?

– Ewagriusz, jak to mówił pański Izajasz, rozpoznał coś, co nazwał zasadzkami diabła, cztery rodzaje pułapek, w które może wpaść umysł modlącego się mnicha. Pierwszą pułapką jest rozbudzanie w sobie pragnień ziemskich, to znaczy Izajasz mówił, że to diabeł roznieca w nas ogień, ale wie pan... Diabeł... Dla psychiatrii diabeł to zaledwie jednostka chorobowa i to nie najważniejsza.

– A inne pułapki?

– A tak, inne. Drugim etapem jest tworzenie urojeń, człowiekowi zdaje się, że coś odkrył, że posiadał tajemną wiedzę, to dla psychiatrii sprawy codzienne, tu co drugi coś odkrył, coś zobaczył.

– A trzecia pułapka?

– Tu kończy się władza dzisiejszej psychiatrii. Trzecią pułapką jest grzech pychy, który każe człowiekowi wierzyć, że osiągnął już doskonałość przed Bogiem. Ale Bóg... To też taka jednostka... Zresztą, może nudzę pana?

– Skądże? Interesuje mnie wszystko, co dotyczy Izajasza Anioła. Niech pan mówi, profesorze.

– Dziękuję. No, została jeszcze ostatnia pułapka, o której pisał Ewagriusz. To – profesor Piński skrzywił się w niby uśmiechu – bezpośrednio uderzenie diabła. Diabła – powtórzył ciszej.

– Co wtedy? – spytałem.

– Izajasz Anioł mówił mi, że to piekło w umyśle i przed oczami. Wycie dobiegające znikąd i zewsząd jednocześnie, dzikie ryki, głosy, uderzenia biczów i świsty. Podobno w ten sposób demon – profesor Piński chrząknął – demon – powtórzył ciszej – manifestuje swoje niezadowolenie.

– Izajasz to właśnie przeżył?

– Twierdził, że przeżywał to nieustannie – profesor zasępił się. – Mówił o mistycznym *pati divina*, dotknięciu czy może doznaniu Boga... Wyznał mi, że to trwało latami. Pan rozumie? Latami. I przez te lata milczał, nikomu nie zwierzył się aż do tamtego dnia. Nawet żonie. Nawet panu. Wiedział, że nikt nie uwierzy... A tego diabła znał po imieniu...

*

– Po imieniu? – zapytałem zdumiony.

– Mastema – profesor Piński wypowiedział to słowo z naciśkiem. – Pański przyjaciel twierdził, że ten demon, który dręczył go latami to Mastema. Słyszał pan o takim diable? Bo ja nie.

– Mastema? – zastanowiłem się, bo przez mgnienie wydawało mi się, że gdzieś już słyszałem to imię. – Nie pamiętam, mogłem słyszeć przypadkiem, ale chyba... – zawahałem się – chyba nie słyszałem... Może kiedyś, dawno temu to imię obilo mi się o uszy – bezskutecznie próbowałem wysilić pamięć – ale w tej chwili, panie doktorze, nic mi to słowo nie mówi. Przykro mi. To Izajasz był mocny w demonologii. Mocniejszy niż ja czy pan, profesorze.

– Też tak myślę. Zresztą – profesor otarł ręce o fartuch, jak gdyby nagle poczuł, że ma je brudne – tutaj – pokazał głową nokoło – nie takie diabły hulają. Napoleony, Hitlerzy... Ostatnio – skrzywił się w ironicznym uśmiechu – mieliśmy tu nawet Busha.

– Kogo?

– Prezydenta Busha. Jeden chory twierdził, że to demon, który go prześladowa. Ciekawe, prawda?

– Tak – potwierdziłem, chociaż nieszczególnie mnie to teraz interesowało. Piński spostrzegł to i znów zmienił temat.

– To paranoja – wydał profesjonalną opinię. – To niezwykle wrażliwy człowiek, ale to tak czy inaczej paranoja.

– Dziękuję. Ja też tak to widzę – uśmiechnąłem się do profesora, nie mówiąc mu, co by powiedział zdrowy Izajasz Anioł. Nie było zdrowego Anioła, nie było więc o czym mówić. Patrzyłem w twarz profesora i czułem jak piecze mnie żal.

– Ale on tu zostanie, wie pan – profesor odezwał się cicho. – Przynajmniej przez jakiś czas. Dla dobra własnego i... innych. Zresztą... Jest jeden powód poważny.

– Jaki?

– Część z tego, o czym pański przyjaciel mówił na zajęciach terapii grupowej, nie miała miejsca. Te informacje o Izraelu i Palestynie grały w głowie Izajasza Anioła same z siebie. Już nawet nie musiał włączać radia. Powiedział mi, że to chóry anielskie śpiewały. Że kazał im to Mastema... No, ja nie wiem, jak diabeł może rozkazywać aniołom, ale Izajasz twierdził, że może... Nie sprzeczałem się, pan rozumie?

Zawstydzony odwróciłem głowę, jakbym to ja sam powoływał się na anielskie chóry i mało znanego diabła.

– Tak, to najzwyczajniejsza paranoja – krótko powiedział profesor Piński.

– Wiem – uśmiechnąłem się sucho. – Nie miałem w tej kwestii złudzeń. Ani jedno widzenie złudne nie ma dziś do mnie dostępu...

– O czym pan mówi?

– Nieważne, to taki zwrot Izajasza i mój. Jeszcze raz bardzo panu, profesorze, dziękuję.

– Nie ma za co. Do widzenia panu.

*

Nie wiem, dlaczego nie powiedziałem profesorowi Pińskiemu, czym były dla Izajasza Anioła ziemie Izraela i Palestyny znane słuchaczom informacyjnych serwisów radiowych i telewizyjnych pod nazwą Zachodniego Brzegu Jordanu, czym był dla Izajasza znajdujący się gdzieś w Palestynie Karmel, „ogród Boży” i „zasobna winnica”. A przecież Izajasz Anioł, o czym wiedziałem od początku naszej znajomości, nosił serce wypełnione psalmami, umysł pełen wersetów *Pisma*, i bez przerwy powtarzał:

- Chciałbym być eremitą w Karmelu.
- Czemu? – spytałem za którymś razem.
- Eucharystia, samotność, praca, milczenie, post, ubóstwo, posłuszeństwo, asceza – wyliczył Izajasz – gdybym miał czas na to wszystko, kontemplacja byłaby może łatwiejsza. Ale tak – westchnął. – W dzisiejszym, oszalałym, rozpędzonym świecie... Mogę się tylko modlić.

*

Tego właśnie nie powiedziałem profesorowi, nie chcąc wprowadzać go w centrum przeżywanego przez Izajasza dramatu i radości spotkania z Bogiem. Z Bogiem – jak go przedstawiał Izajasz – rozbijającym wszystko, co nie jest Boże, grzmotami i wichurami, z Bogiem dającym odnaleźć się w łagodności i zadumie nad światem. Karmel – uznałem – był zawsze tajemnicą Anioła i tajemnicą powinien pozostać. Dlatego profesorowi Pińskiemu powiedziałem tylko:

– Dziękuję raz jeszcze. Pójdę teraz porozmawiam z lekarzem odpowiedzialnym za Izajasza bezpośrednio.

– Niech pan poczeka – Piński chciał mi coś jeszcze powiedzieć. – Zastanawiałem się, komu to oddać, żonie Izajasza Anioła, czy może komuś innemu, ale myślę, że on chciałby, abym dał to panu. Za chwilę – profesor wykonał przepaszający gest ręką w kierunku dyżurki – za chwilę to panu przyniosę.

Stałem zaskoczony na szerokim korytarzu kliniki na Sobieskiego. Profesor wrócił po chwili, niosąc na oko sześćdziesięcio-

kartkowy zeszyt, nieco postrzępiony i pomięty. Profesor dostrzegł, że patrzę na zmiętą okładkę i wyjaśnił:

– On na tym spał. Ukrywał to przede mną i personelem. Nie wiem, skąd wziął ten zeszyt i musiałem, pan rozumie, odebrać mu go wraz z długopisem. To niebezpieczne narzędzie – kiedy to mówił, uśmiechał się do mnie cierpko. – Nie musi mi pan oddawać tego zeszytu. Zrobiłem kopię. Prawdę mówiąc, chciałem o przypadku Izajasz Anioła napisać artykuł do *Psychiatrii Polskiej*. O związkach medycyny naturalnej i pouczeń duchowych mistyków takich jak Ewagriusz z Pontu ze współczesnymi ustaleniami na temat paranoi. Pożyczyłem już z biblioteki ten *Traktat o modlitwie*, kuriozum rzecz jasna z medycznego punktu widzenia. Ale są tam ciekawe zdania. Na przykład takie, że miejscem dotkniętym przez demona jest mózg... Naprawdę ciekawe... Ale, coś jeszcze chciałem... Mam do pana pytanie. Czy mógłbym wykorzystać w moim artykule zawartość tego zeszytu? Nie ma pan nic przeciwko, prawda?

*

Nie odpowiedziałem. W końcu zeszyt należał do Izajasza, nie do mnie, jakże więc miałem decydować, czy profesorowi Pińskiemu wolno go wykorzystać czy nie? Wziąłem więc tylko zeszyt, skinąłem głową profesorowi na pożegnanie i oddaliłem się szybko krokiem człowieka, który przed chwilą uczestniczył w obrzydliwej i nielegalnej transakcji. Wychodząc z budynku szpitala rzuciłem okiem na okładkę. Widniał na niej znak Izajasza – serce na dłoni – i zapisany postpsychotropowymi kulfonami tytuł: *Kuszenie. Apokryf*. Notatek wewnątrz nie było wiele, ledwie kilka kartek pokreślonych i słabo czytelnych. Tekstu było na jakieś dwie albo trzy strony, a reszta to bazgroły, próby szkiców głów innych pacjentów, fenomenalne, na ile mogłem to swoim spojrzeniem laika ocenić, szkice do postaci pielęgniarki i pielęgniarek w ruchu. Na jednej stronie była nawet podobizna profesora Pińskiego, wyraźnie zdemonizowana, naznaczona rysami psychozy, jak gdyby to lekarz był w całym tym świecie najbardziej chory i najbardziej wymagający specjalistycznej pomocy.

*

Spieszyłem się, właściwie nie wiem czemu, jak jeszcze nigdy. Z ciekawością, ale i z niepokojem zastanawiałem się, co Izajasz mógł zostawić na koniec i co mógł na koniec napisać. Czy to miał być jego testament? Czy naprawdę chciał, żeby ktokolwiek do tego zaglądał? Może pisał to dla siebie, a może – wyłącznie dla Boga?

Sprzeczne myśli kłębiły się w mojej głowie, jednak nie miałem złudzeń, wiedziałem, że muszę poznać jego być może ostatnie myśli. Co mi zostało?

W drodze do domu zahaczyłem o supermarket. Kupiłem carnele, martini bianco, cytrynę i jednorazową zapalniczkę.

ROZDZIAŁ XX

Apokryf kuszenia...

Jak tylko wpadłem do mieszkania, a wpadłem, bo coś mnie gnało i inaczej nie da się tego nazwać, tak byłem podekscytowany, że natychmiast usiadłem ze szklanką martini dopełnioną cytryną i lodem oraz ciężką kryształową popielniczką pod ręką i z zapalonym camelem w ustach zabrałem się do lektury – łapczywie, z chciwością, której nie czułem już dawno, bo już dawno nie czekałem tak na żaden tekst.

*

W świecie wolności i zniewolenia Izajasza Anioła, którego to świata ostatni strzęp, jak patetycznie i może bez sensu pomyślałem, niosłem właśnie w plecaku do domu, a więc w tym świecie obowiązywały reguły inne niż konwencjonalne – i teraz było to widać.

Z każdym zdaniem wbijało mnie coraz głębiej w fotel. Izajasz Anioł, pacjent kliniki neurologii i neurochirurgii na ulicy Jana III Sobieskiego, zdiagnozowany schizofrenik i wielki, niezrozumiany w swojej epoce artysta i mistyk o swoim rozstaniu ze sztuką i o swojej wierze napisał:

Kuszenie. Apokryf

1.

Są trzy formy oplakiwania zmarłego, jedna doskonalsza od drugiej: łzy – ta stoi najniżej; milczenie – ta jest lepsza, i pieśń – ta jest najdoskonalsza.

Przysłowie chasydzkie

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Boże Wszechmogący, Stworzycielu nieba i ziemi, wysłuchaj mnie, bo do Ciebie zwracam się *de profundis*. Do Ciebie zwracam się z krainy, gdzie wszystko jest inaczej. Ty wiesz, co to za miejsce: *regio dissimilitudinis*. Tylko Ty mi już pozostałeś, odkąd nawet ja sam nie należę do siebie, jak mi to mówią wszyscy, którzy mnie tutaj pilnują, którzy starają się być dla mnie dobrzy, dla których jednak jestem już tylko wrakiem. Panie, miażdżysz mnie, ale wiem, że to Twoja ręka. Panie, niszczysz mnie, ale wiem, że to tylko próba. Istnieją męczeństwa subtelniejsze niż opisane w żywotach świętych. Włócnia z ognia w samym środku serca, Ty wiesz, jakie to może być piękne, Ty rozumiesz, że to tutaj to moje wszystko: tyle zapamiętałem, tyle przetrwało, tyle noszę w sobie. Ty wiesz.

On, Tamten Bez Imienia powiedział do mnie: „Zwyciężyłeś nas, Izajasz, pokonałeś.” A ja mu odpowiedziałem: „Tylko Chrystus, tylko Matka Boska mogą was pokonać. Odejdźcie, zostawcie mnie. Jestem nikim.”

Precz szatanie!

*

Tyle razy piękno świata wchodziło w moją duszę wraz z radością, tyle razy też wraz z cierpieniem wchodziło w moje słabe ciało. Bo dusza przyjmuje Ciebie przez radość, a ciało – teraz to wiem – przez cierpienie. Wszechświat jest pełen radości niewidocznej dla tak zwanej inteligencji. Wszechświat jest pełen cierpienia prowadzanego przez tak zwaną inteligencję.

Istnieje w cierpieniu rozkosz. Rozkosz w cierpieniu to diabeł. Niektórzy myślą, że to cierpienie wymyśliło ten świat i człowieka, żeby mieć kogo dręczyć. Ci, którzy tak myślą – to diabeł.

Precz szatanie!

*

Mówią mi, Panie, że jestem chory. Dlaczego tak mówią? Ponieważ nie doświadczyli tego, czego ja doświadczyłem. Nie widzieli tego, co ja widziałem. Nie słyszeli tego, co ja słyszałem. Ja doświadczyłem, widziałem i słyszałem, i Ty, Panie Zastępów, wiesz, że tak było. Bo to Ty na to zezwoliłeś. Pozwalasz na to duszy każdego, kto prosi Cię o łaskę.

Precz szatanie!

*

Podobno żyjemy w mroku, robimy, co możemy, a reszta jest obłędem sztuki. Myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że tak nie jest. Żyjemy w świetle Boga, w Twoim świetle i dzięki Twojej Łasce, robimy bardzo niewiele, a reszta to wynik naszego zmarnowanego, całkowicie zaprzepaszczonego życia. To spostrzeżenie mniej piękne i mniej dla ludzi pochlebne, ale – jak myślę – prawdziwsze, skoro wszyscy jesteśmy grzesznikami, zbrodniarzami i wszetecznikami, niezależnie od tego, z jakiej kultury czy nacji wywodzimy swoje imiona i profesje.

Precz szatanie!

*

Zawsze, odkąd sięgam pamięcią, rozumiałem, że ten, kto poświęcił się sztuce, niczego nie naśladowuje ani nie tworzy: on jedynie szuka czegoś w przeszłości. Nie wiedziałem tylko, czego dotyczą te poszukiwania. Teraz już wiem, że początku. Czyli Ciebie. Ale Ciebie nie można znaleźć, Ty musisz chcieć przyjść sam. I przychodzisz, gdy zechcesz. Przychodzisz do nas, oszalałych z bólu i tęsknoty, do nas obcych swojej prawdziwej naturze, do nas, którzy nawet nie

chcemy wiedzieć, że moglibyśmy spojrzeć na siebie Twoimi miłosiernymi oczami. A to możliwe. Co jednak mamy zrobić, skoro jedni dla drugich jesteśmy – ze swoim cierpieniem i radością, ze swoim pragnieniem i ekstazą – niewidzialni. Nikim jesteśmy jedni dla drugich i dajemy to sobie odczuć. A ponieważ widzimy, że tak jest, u początku naszej świadomości leży desperacja.

Precz szatanie!

*

Nic, tylko desperacja. U początku modlitwy, u początku myślenia, u początku sztuki. Póki nie zjawisz się Ty, Pan i Wybawca. W zwierciadle i zagadce.

Precz, szatanie!

*

Jesteśmy zdesperowani. I tylko Ty możesz uleczyć nas na zawsze. Panie, wypowiedz choć słowo, a będą uzdrowione dusze nasze.

Precz szatanie!

*

Sztuka jest tym, co zostaje po religii: tańcem nad otchłanią.

Sztuka leczy na moment.

Sztuka nie leczy na zawsze.

Tylko Ty to możesz.

Precz szatanie!

*

Wszelka sztuka ponosi klęskę, o ile nie jest współczuciem. I modlitwą.

Modlitwa jest lepsza niż sztuka, modlitwa dosięga Cię zawsze.

Precz szatanie!

2.

*Mam ufać? Szeol mym domem,
w ciemności rozłożę swe łożę,
grobowi powiem: Mój ojcie,
matko ma, siostró – robactwu.
Właściwie, po cóż nadzieja,
kto przedmiot ufności zobaczy?*
Księga Hioba

Panie wybac mi, bo zwątpiłem i serce moje jest puste. Ja sam stałem się wydrażony i nie wiem już, co jest rzeczywiste. Wiem tylko, że wszystko zaczyna się od poczucia winy i poczucia czasu.

Precz szatanie!

*

Zawsze wiedziałem, że artysta nie ma złych doświadczeń, co najwyżej rodzina artysty ma złe doświadczenia z artystą i niech wybaczą mi moja żona i moje dzieci, że nie potrafiłem być inny niż byłem, kiedy mówiłem im, że robię tak zwaną sztukę.

Wiedziałem – i to ciąży na moim sumieniu najbardziej – że tak zwane dzieło sztuki jest zawsze niczym innym jak wytargowaną niegodziwością, ponieważ, by je wykonać, artysta targuje się ze światem i ludźmi o wszystko: o czas, o uwagę, o spokój konieczny do pracy, nawet o miłość najbliższych, którzy także potrzebują miłości.

Precz szatanie!

*

Nie ma dzieł moralnych lub niemoralnych, są tylko dobrze bądź źle wykonane – to także pojąłem wcześniej i przyjąłem za jedną z mych reguł, czego dzisiaj mogę najwyżej żałować. Albowiem są dzieła uczciwe i nieuczciwe, co zrozumiałem późno, tyle że wcześniej niż inni.

Precz szatanie!

*

Moje słowa wydały mi się nicością, moje obrazy wyglądały na puste. Widziałem wszystko i nie widziałem niczego, to przepływało przeze mnie – fala za falą. Cisza! Cisza! Cisza! Tyle zostało z wszechświata! Teraz załuję – i dlatego nie tworzę. To część pokuty, resztę Ty mi wyznaczysz. Poza Tobą wszystko jest Cieniem i jest małe.

Nie pozwól, bym zanurzył się w Cieniu.

Oto Cię proszę.

Precz szatanie!

*

Artysta stara się zabić śmierć, bo interesują go narodziny. Bo Ty jesteś ich sprawcą, Ty kryjesz się w cieniu narodzin wszystkiego: człowieka, zwierzęcia, idei.

Precz szatanie!

*

To jedno może mnie usprawiedliwić: starałem się zniszczyć tyle śmierci, ile to było możliwe i ocalić to, co było do ocalenia.

Precz szatanie!

*

Artysta próbuje do systemu, który zawsze jest systemem nieludzkim, wprowadzić ludzki błąd i jeśli choć trochę uda się mu to uczynić, ludzie natychmiast zaczynają mówić o geniuszu. Kiedy mówili tak o mnie, widziałem, że tak naprawdę chwalą samych siebie. Czy byłem geniuszem, nie wiem. To dla mnie nieistotne. Ty wiesz.

Precz szatanie!

*

Twoje niebo, Panie, nie zna granic, Twoje Królestwo jest nieogarnione, Twój świat niewidzialny nie ma końca, ale tutaj, na ziemi istnieją tylko małe doczesne rzeczy, które możemy opisywać na co-

raz to inne sposoby. Nie powinniśmy jednak twierdzić, że nowy sposób opisu jest na pewno lepszy od starego. Nowy nie znaczy lepszy. Na tym polega sens dzieł klasycznych: one nie znają czasu, wyszły z niego, uwolniły siebie i teraz mogą uwolnić z czasu każdego, kto zechce wejrzeć w ich świat. Znasz ten świat, on jest od zawsze Twój. Artyści tylko uchylają rąbka. To jednak udaje się rzadko. Mnie dałeś dwie ikony namalowane w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego i obraz namalowany tutaj, w listopadzie roku dwutysięcznego drugiego, kiedy myślałem już, że nigdy nie sięgnę po farby i pędzle – za wszystko jestem ci wdzięczny, Panie.

Precz szatanie!

*

Postęp to często złudzenie, na pewno nie dzieje się on tak, jak chcielibyśmy to widzieć. Nikt nie wie, jak naprawdę odbywa się postęp. To wiesz jedynie Ty, miłosierny Boże, Panie Zastępów, Jahwe, Nienazwany i Nieogarniony. Wobec którego zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem, i którego każdą modlitwą proszę teraz i na wieczność o wybaczenie. Z pokorą.

Do zobaczenia w Nicości.

Precz szatanie!

Amen.

*

Co chciał powiedzieć Izajasz Anioł z otchłani, w której znalazł się tak bezbronny i sam? O jakiej mówił nicości? Czy o tej samej, o której i mnie zdarzało się myśleć? O jakiej nicości pisał Izajasz Anioł: „Do zobaczenia w Nicości”? Wsłuchiwałem się w to przedziwne zdanie, jakbym chciał dosłyszeć się w nim czegoś żywego, jakbym chciał dopatrzeć się w nim jakiegoś ruchu? Oczekiwałem drżenia? Drżenia macek Nicości. Przyłapałem się na coraz wyraźniejszym szukaniu w myślach obrazu, który oddałby moje odczucia w związku z tym jednym zdaniem.

*

Przez to jedno zdanie na moment wejrzałem w przepaść – w minione. Wpatrywałem się w to, co było bezpowrotnie minione, próbowałem cokolwiek zrozumieć i raz jeszcze nie rozumiałem nic. Jak jednak miałbym cokolwiek zrozumieć, myślałem, jak miałbym zrozumieć Izajasza czy jasnowidzącą Luizę, jeżeli siebie samego nie potrafię wytłumaczyć choć trochę. Jak miałbym, myślałem dalej, poruszony jednym zdaniem Izajasza, jak miałbym zrozumieć matkę czy wiecznie nadźganą babkę, jeżeli samego siebie muszę uznać za niepojętego? Zabawne? Chyba nie. Postępowałem różnie, robiłem rzeczy i złe i dobre, plugawiłem się, doskonaliłem, najczęściej tkwiłem pomiędzy – i żadnym, ale to żadnym razem, zatrzymany w pół słowa, pół gestu nie umiałem wytłumaczyć sobie, czemu to i tak właśnie robiłem. I dlaczego. Takie myśli wywołało we mnie to jedno Izajaszowe zdanie. A inne? Do innych wracałem tego wieczoru również, ale bez tego napięcia, bez tego wrażenia straszności.

*

Czytałem te strony wiele razy, szukając w nich Izajasza Anioła, którego znałem i kochałem. Ale – miałem niezbitą pewność – nie było go w nich, nie było na tych kartkach mojego mistrza i przyjaciela, którego powalił obłąd, w każdym razie nie było takiego kogoś, z kim mógłbym nawiązać kontakt. Na tych stronach znajdował się ktoś, z kim nie miałem już nic wspólnego. On tam był – jako autor, nazwisko – i nie było go – jako człowieka bliskiego ludziom. Izajasz Anioł, strawiony przez obłąd apostoła, nie był już, kiedy pisał te zdania – pomyślałem tak, przykładając do niego moją miarę – człowiekiem. Zauważyłem jednak coś jeszcze. Zauważyłem – przy którejś kolejnej lekturze tych kilku kartek – że żaden człowiek nie wytrzymałby takiego rozdarcia i to, że Izajasz wytrzymał je i że przypłacił tę swoją siłę jedynie – jak pomyślałem z goryczą – pospolitym obłądem, to także stanowiło dowód, że posiadał moc ducha większą niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Postanowiłem nikomu nie pokazywać *Kuszenia*. O profesora Pińskiego i kopię, którą posiadał, byłem dziwnie spokojny. Co mógł z niej pojąć, jeśli ja, najbliższy przyjaciel Anioła, rozumiałem tak zawstydzająco mało. Nie wierzyłem, by psychiatria mogła skorzystać z tych zapisków. Jaka być może ich wartość dla lekarzy czytających roczniki *Psychiatrii Polskiej*? Ot, jeszcze jeden przykład postpsychotropowego bełkotu, doprawiony idiosynkrazjami. Może to bełkot nieco klarowniejszy, może nieco błyskotliwszy, ale i tak jest jedynie mową szaleńca. Czy choć jeden lekarz zauważy coś więcej? Tak czy inaczej nie miałem dużego wyboru i może dlatego kopią profesora Pińskiego nie zamierzałem zaprzętać sobie głowy.

*

Może to, co postanowiłem zrobić, było błędem i decyzja moja była nieprzemyślana, wiedziałem jednak, że jedynie tak mogę i powinienem postąpić. Nie wahałem się długo, w końcu byłem coś Izajaszowi winien i pomyślałem, że w ten sposób spłacę może chociaż część długu. Wstałem z fotela, dość ciężko ruszyłem do przedpokojku i z kieszeni kurtki wyciągnąłem kupioną przed kilkudziesięcioma minutami zapalniczkę. Wróciłem na fotel, usiadłem, jeszcze przez chwilę patrzyłem na Izajaszowy *Apokryf*.

Pstryknąłem zapalniczką i krótki płomyk polizał kartki. Złożyłem je w miarę równo w popielniczkę i patrzyłem, jak czernieją i zwijają się w popiół.

Dym unosił się prosto, niemal pionowo. Odbyło się to bezdźwięcznie, szybko i spokojnie.

Rękopis Izajasza Anioła trafił w nicość, a więc dokładnie tam, gdzie w pewnym sensie znajdował się już jego autor. Ale nie tam, gdzie miał nadzieję spotkać i powitać w niedalekiej przyszłości nas wszystkich.

Popiół wrzuciłem do kosza, a popielniczkę umyłem.

*

W kilka dni później wysłuchałem relacji lekarza prowadzącego, który streścił mi wystąpienie Izajasza Anioła na forum

nerwowo chorych, odbywających zajęcia z tak zwanej terapii grupowej i podarował kasety z nagraniami Izajaszowych monologów. Wtedy nagle uświadomiłem sobie, jak ja sam byłem blisko obłądu i jak blisko, tak zobaczyłem tę myśl, jak blisko obłądu jesteśmy w ogóle wszyscy. Nie chcę rozwodzić się, w jaki sposób moje fatalne poranki tamtych dni finałowych związku z jaśnowidzącą kobietą przypominały poranki Izajasza Anioła – pewien jestem, że bez wątpienia przypominały i ta pewność jest porażająca. Nie chcę rozwodzić się, w jaki sposób te poranki wpływały na moje nastroje i samopoczucie codzienne, w jakiej mierze echo głosu spikera, tego samego, którego słuchał Izajasz Anioł, spikera codziennie wieszczącego eskalację konfliktu, działało na mnie. Mogę jedynie powiedzieć, że ja nie miałem zamiaru oszaleć, a to, że mnie się udało i że nie oszalałem jest już raczej przypadkiem. Moje bezwzględnie zaprzepaszczone poranki, okraszane martwym głosem spikera, doprowadziły mnie do tego miejsca, gdzie zacząłem zastanawiać się poważnie, kim jestem. I zacząłem zastanawiać się, kim może być człowiek, którego dzień po dniu, latami, wybudza się informacją o tej samej wojnie, o wojnie nie do zakończenia. Zastanawia mnie, kim jest człowiek, którego dzień po dniu wyprowadza ze snu i w świat jawy wprowadza wiadomość, że jest przemoc, której wstrzymać nie sposób. Kim jest człowiek, który wstaje co rano, parzy kawę, je bułki, bierze do ręki gazetę, a to wszystko w wielkim roztargnieniu, tak że nie dociera do niego, chociaż właściwie dociera, *news* kolejny o nawiedzonym zabójcy, fanatyku, koszmarze i odwecie za wysadzenie lokalu, za bombę w autobusie szkolnym, za napad w centrum miasta, w Bejrucie, w Gazie? Niepojęte. Straszliwe. Zwyczajne.

ROZDZIAŁ XXI

Niepojęte, straszliwe, zwyczajne...

Ile to razy nad ranem, zimą w ciemnościach egipskich, wiosną o bladym świetle wybuchło w głowie Izajsza Anioła i wybuchło w mojej, niczym ładunek trotylu wniesiony pod sukienką przez smagłą osiemnastolatkę do kawiarni w Jerozolimie lub niczym pocisk rozrywający ścianę jednego z jasnych domów w Gazie, ile to razy wybuchło w mojej głowie o świetle słowo „hamas” albo słowo „hezbollah”? Ile razy wybuchło słowo „Al Kaida”? Ile razy wybuchło „ETA”? Jak wypranym z emocji głosem spikersko ćwiczonym, bez ukrytych akcentów i uczuć, z jak doskonałą dziennikarską precyzją wprowadzano i mnie, i was także, i przede wszystkim biednego Izajasza Anioła, w świat codziennej, trywialnej przemocy? Jak gdyby to miała być dobra i szlachetna przestroga udzielona z sympatią. Chodzi o to, że ja rad nie słuchałem, tak jak nikt, kogo znam, nie słuchał, a szczególnie rad dobrych, szlachetnych, rad mogących całe życie zmienić. Nie słuchałem, bo nie umiałbym nigdy z rady dobrej i szlachetnej skorzystać. Nawet z takiej, którą podałyby mi ktoś znany lepiej niż anonimowy w gruncie rzeczy spiker. Bo ja nie potrafiłem nigdy skorzystać z rady dobrej i szlachetnej, płynącej wprost z dobrego i szlachetnego serca. I, żeby daleko nie szukać, tak było na przykład z radami mojej nieobliczalnej matki, tak było potem z radami mojej jasnowidzącej żony i każdej kolejnej cudownie, choć nigdy dość trwale zaślepionej kochanki. Moja nie-

obliczalna matka zdawała się wiedzieć tak dobrze, czego mi trzeba do szczęścia i do spokojnego życia, że tylko dezynwolturze, z jaką słuchałem jej rad zawdzięczam, że nie skorzystałem i że wolno mi teraz żałować. Podobnie też moja żona, jasnowidząca i nigdy dość zaślepiona, udzielała mi rad zawsze cennych, a ja nigdy nie skorzystałem z żadnej. Niepojęte. Straszliwe. Normalne. Wszyscy dobrze to znają z autopsji. Wszyscy wiemy, jak naiwną ideą jest idea udzielenia porady. Nawet jeśli o radę pytamy, to naprawdę nie o radę pytamy. Nawet jeśli komuś zawracamy głowę, by nam ze swojej mądrości doradził, to nie o to nam przecież chodzi, by nam zaraz ktoś miał zacząć doradzać. A o co w takim razie chodzi? Tego nie wiem i nie radzę mnie pytać. Bo udzielę odpowiedzi wykrętnej, tak jak zawsze w przypadku porady. To tak proste, tak jasne, tak zwykłe, że nie radzę wam nic absolutnie. Udzielanie rad zaliczyłem już dawno do dziedziny naiwności totalnej, do dziedziny naiwniactwa naprawdę, by tak rzec, arcyutopijnego. Zaliczone do dziedziny naiwniactwa arcyutopijnego stały się dobre rady tym samym, co widzenia złudne. Nie dało się nie zauważyć podobieństwa pomiędzy nimi. I tak to, co piętnował Izażasz Anioł, naśladowujący Ezechiela, i co tępił zawzięcie na przykład u mojej jasnowidzącej Luizy, było dla mnie jedną z wielu naiwnych idei, które człowiek może spotkać w świecie. Bo każde widzenie złudne jest w końcu ideą naiwną, a każda naiwna idea jest tyle warta, co rady.

*

A inne idee? Były naprawdę różne. Obok naiwnej idei udzielania rad wzniosłych i cennych, istniała równie mocna idea unikania chaosu. Tak samo niewykonalna w praktyce, tak samo nie do zastosowania. Były wśród widzeń i rojeń złudzenia i idee komiczne, większość jednak wydawała się groźna, bo przez każdą marnowało się życie. Z tego względu unikałem idei, nosicieli idei i wszelkich z ideami powiązanych zachowań, unikałem tak złych, jak i dobrych, zresztą nigdy ich nie rozróżniałem. Nie ufałem więc żadnym ideom. Ani podsuwanym przez bliskich, ani poznanym przypadkiem, ani pochodzącym od mojej nieomyślnej

i jasnowidzącej żony, ani tym, za którymi stał urok co i raz nowej, cudownie zaślepionej kochanki. Ideom ostatnim nie wierzyłem szczególnie, bo zazwyczaj były nieobiektywne. W nieufności osiągnąłem wyżyny, niezależność uczyniłem religią. Niewciągnięty w świat idei naiwnych, niezłapany w świat i sieć widzeń złudnych, osiągnąłem stan w zen zwany pustką, nieszczególnie zresztą troszcząc się o to. Sądziłem wszystkich i wszystko jak najbezwzględniej i podle, wyrażałem najokrutniejsze opinie na każdy poruszany temat – i nie pomyliłem się nigdy i było mi to obojętne. W udręczeniu swoimi klęskami odnajdując udręczenie każdego, w poniżeniu doskonale znanym odnajdując poniżenie powszechne, poznawałem klęskę i nicość, którą żył – jak widziałem i czułem to – każdy. I każdy, kogo spotkałem i z kim mogłem porozmawiać o jego udrękach, stawał się nagle mną – i niczego to nie zmieniało. A ponieważ wiedziałem, jak ludziom o ich udrękach mówić, jak wyjawiać to udręczenie, które zna niewątpliwie każdy, chciałem z tego talentu skorzystać, chciałem tępić idee naiwne, ten fundament ludzkiego cierpienia, tę podstawę widzeń złudnych i krwawych, odpowiedzialną za zło – jak wtedy naiwnie wierzyłem. Sądząc podle, unikałem naiwności powszechnej, ale nie unikałem naiwności osobistej – i dlatego, mimo że z dnia na dzień powiększał się dystans między mną a innymi ludźmi, i chociaż z dnia na dzień ubywało mi lat, które ludzie tracą na to, by sprawnie wyzbyć się widzeń złudnych, wyjść z epoki może i genialnej, ale lepiej powiedzieć: naiwnej – nie zmieniało się w moim życiu nic. To była ta słynna pustka. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, co mogłem zrozumieć i wyzbyłem się widzeń złudnych, wyzbyłem się idei naiwnych. Ja wyzbyłem się widzeń złudnych, ja wyzbyłem się rojeń naiwnych, nie udało się Izajaszowi – Izajasz Anioł zwariował.

*

Wiadomości o eskalacji działań wojennych podawane w codziennych serwisach informacyjnych głosem wymęczonego, lecz dziennikarsko bez zarzutu zachowującego się spikera, te wiadomości o eskalacji morderstw uzasadnianych rozmaitymi, najczę-

ściej całkowicie zbrodniczo zakłamanymi, więc całkowicie fałszywymi racjami, doprowadziły Izajasza Anioła do szaleństwa z bólu i bezsilności, doprowadziły do jego ześwirowania z lęku. W ten oto sposób natura, czyli moja dobra znajoma, wydała wyrok na jednego z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek dane mi było poznać, a wszystko to w zgodzie z jej odwiecznym, naturalnym prawem, które powiada, że niszczy ona najdoskonalwsze i najpiękniej rokujące egzemplarze gatunku ludzkiego. Natura, tak wychwalana przez ekologów, ekofeministki i ekoterrorystów obu płci, nasza tak zwana Matka Natura zawsze i bez żadnych oporów z siłą biologii wybiera do odstrzału tych spośród ludzi, którzy odważyli się wystąpić przeciwko jej pragmatycznej, biologicznej bezwzględności z całą godnością i siłą ludzkiego ducha i inteligencji. Ta właśnie natura, broniąca się uparcie przed duchem człowieka i jego żarliwą inteligencją, uciekająca przed wszystkim, co mogłoby życie ludzkie polepszyć, ta właśnie nieosobowa siła wybrała Izajasza Anioła na swoją kolejną ofiarę i umieściła go w nieprzychylnych, ale jedynych w tamtym momencie bezpiecznych przestrzeniach białych sal kliniki neurologii i neurochirurgii, na znanej w Warszawie i będącej przedmiotem wielu cynicznych kpin oraz żartów ulicy Jana III Sobieskiego. Co było dla osoby tak dumnej i – przed wybuchem choroby – tak niesfałszowanie rozumnej ciosem nie tyle poniżej pasa, co poniżającym, a czemu nikt nie potrafił skutecznie i trwale przeciwdziałać. Izajasz Anioł przeżywał jak nikt oprócz niego treść agencyjnych doniesień i musiał za to odcierpieć, chociaż – a wiedziałem to być może najlepiej ze wszystkich, bo najlepiej rozumiałem opowieść o bólu, jaki sprawiało mu wysłuchiwanie codzienne radiowego serwisu informacyjnego – chociaż najmniej na takie cierpienie zasłużył.

Izajasz Anioł oglądał wiadomości telewizyjne, Izajasz Anioł czytał codzienne gazety i czasopisma, Izajasz Anioł wysłuchiwał co rano radiowego serwisu informacyjnego, i Izajasz Anioł przeżywał jak nikt treść agencyjnych doniesień. A kiedy z tego powodu, niezrozumiałego i nieczytelnego dla większości ludzi, znalazł się w gabinecie psychiatry i psychoterapeuty, który na wszelkie możliwe sposoby starał się wszystkie wymienione przez Iza-

jasza Anioła przyczyny lęków i straszliwych bólów empatycznego odczuwania zbagatelizować, i kiedy stało się już oczywiste, że do użycia przez bezradną w obliczu postawy współczującego świata i istnieniu Izajaszowi Aniołowi medycynę pozostały wyłącznie drastyczne środki w postaci najmocniej i najbrutalniej otępiających drażliwość, duchowość i inteligencję psychotropów, to było już prawie pewne, na jakim żyje Izajasz Anioł świecie.

Izajasz też wiedział o co tutaj chodzi, mimo postępów choroby. Fakt ten wydaje się godny zastanowienia i skomentowania, mówi bowiem o współczesności i jej iluzorycznych zdobyczach więcej niż jakikolwiek naukowy wykład. Brutalność faktu mówi zazwyczaj więcej niż jakakolwiek nauka i tak też było tym razem. Jeżeli bowiem uświadomić sobie, że człowiekowi, którego cudowną, artystyczną drażliwość zniszczyła codzienna, skupiona praca umysłowa nad przyjmowanymi w formie wiadomości, podawanych przez krajowe i zagraniczne serwisy informacyjne, doniesieniami o mordach, gwałtach, zbrodniach, kataklizmach i nieszczęściach pomniejszej natury, jeżeli uznać, że można w ten sposób zniszczyć najsilniejszego z ludzi, o ile ma on nieprzytępioną niczym drażliwość, jeżeli pogodzić się z faktem, że tak zniszczonemu człowiekowi, istocie o drażliwości dopiero co okaleczonej perfidnie codzienną porcją informacji oferowana jest tak zwana pomoc i to pomoc podobno jedyna, w postaci otępiających i trwale upośledzających zdolności emocjonalne i empatyczne psychotropów, to jest to coś szatańskiego, demoniczność jest tu sama w sobie, a oprócz demoniczności jest tutaj też rys groteskowo-piekielny i może należy śmiać się, o ile ktoś jeszcze potrafi. Ja nie potrafię, wybaczcie.

*

Jeżeli jedno uszkodzenie drażliwości – tak myślę – bezbronnej wobec informacji z kraju i ze świata, podawanych przez najzwyczajniejsze codzienne serwisy agencji krajowych i zagranicznych, jeżeli ból przez to wywołany leczy się, ordynując jeszcze trwalsze i solidniejsze uszkodzenia i otępienia drażliwości, to jest to dowodem, jak głęboko jesteśmy, a mam tu na myśli cały

gatunek ludzki – tragicznie zdegenerowani. A jeśli uświadomi-
my sobie jeszcze i to, że środki farmakologiczne w postaci psy-
chotropów ciężko i nieodwracalnie upośledzających cudowną
wrażliwość człowieka i jego empatyczne zdolności są w istocie
jedynymi istniejącymi i ogólnie w leczeniu dostępnymi środka-
mi pomocy bezpośredniej i natychmiastowej, to świadczy rów-
nież o całym o gatunku, że jest bezwzględnie stracony. Ponieważ
ja wiem, co to znaczy, skoro wmyślam się w te sprawy od dawna,
skoro dane mi było zaznajomić się, przeżyć i poobserwować za-
równo to, co przytrafiło się Izajaszowi Aniołowi, jak i to, co wcze-
śniej pokazała mi na własnym przykładzie moja nieuleczalnie
obłąkana matka, zdiagnozowana jako depresjonatka i schizofre-
niczka, co klasyfikowało ją do natychmiastowego przejścia na
rentę inwalidzką w wieku lat niespełna trzydziestu, i ponieważ
latami przebywałem, myślałem i żyłem w bezpośredniej blisko-
ści osób autentycznie cierpiących na zaburzenia psychiczne, zdia-
gnozowane, jak powiadam, wcześniej lub później jako nieule-
czalne, ponieważ byłem świadkiem i obserwatorem i poznałem,
co znaczy ten ból, dowiedziałem się stąd, że to właśnie jest praw-
dziwa i niezafałszowana historia gatunku, historia degeneracji
i zgrozy, dowiedziałem się, kim jest dziś człowiek i zrozumiałem
całą straszliwą nędzę i mizериę jego bycia w tak niemożliwym
wszechświecie.

Nie musiałem ruszać się wcale z Warszawy, nie musiałem
odwiedzać zamorskich czy zagórskich państw, krain i lądów, nie
potrzebowałem lat bezsensownej wędrówki i nauki w niezna-
nych miastach, nie były w moim przypadku konieczne życiochłon-
ne studia, już na samym początku swojego, na ile to tylko moż-
liwe świadomego życia, zdałem sobie sprawę z tego, jakim ewe-
nementem i wybrykiem natury jest cały bez wyjątku gatunek
ludzki z jego aspiracjami, ambicjami, a nade wszystko z jego
nacechowaną rysem najzupełniej satanistycznym i patologicz-
nym przeszłością, czyli historią, a szczególnie jej przewidywal-
nymi, bo powtarzającymi się w notorycznych nawrotach zbrod-
niami, czynionymi sobie nawzajem przez ludzi, po których dzi-
siaj, w dwudziestym pierwszym wieku, na naszych oczach zo-
staje tylko ciemność, a wokół, jeśli na moment zamilknąć, da się

słyszeć najwyżej głuchą ciszę. Nie umiem widzieć tego inaczej, chociaż znam ludzi, co widzieli inaczej, a największym z nich był mój nauczyciel, mistrz stracony, mój Izajasz Anioł.

*

Właśnie Izajasz Anioł miał widzenie zgoła odmienne, miał wizję opartą o patronimiczny chrystianizm i mądrość Ojców Pustyni. I dopiero z czasem objawiła się mu sataniczna i lucyferyczna istota świata i egzystencji prowadzonej w nim przez każdego. Ten jednak moment, kiedy lucyferyczna istota świata objawiła się Izajaszowi Aniołowi z całym swoim demonicznym zapleczem i nieokiełznaną brutalnością, był momentem w historii choroby już późnym, była to chwila, gdy wiedza, dojrzewająca w myślach i uczuciach Izajasza Anioła, a którą on z całą siłą swojego prostolinijnego ducha ignorował bądź zwalczał, wydoستاła się na świat z wrzodu, który nosił w pobliżu duszy od dawna i w kształcie fobii, obsesji oraz lęków znalazła sobie owa wiedza ujście, a potem drogę i sposób na zniszczenie w Izajaszu Aniele tego, co było w nim najpiękniejsze: cudownej wrażliwości artystycznej i empatii zdolnej objąć świat. To więcej niż rozumiało, że dzisiaj, kiedy z tak intensywnym uczuciem wracam do lat spędzonych w bliskości tego wspańskiego człowieka i kiedy staram się przypomnieć sobie wszystko, co związane z jego wyjątkową na skalę świata osobą, lepiej pamiętam pewne fakty z jego i mojego obok niego bycia, niż słowa, których słuchałem, odkąd został moim nauczycielem i mistrzem.

Życie, ta torturująca nas maszyna, której wyroki nosimy wypisane na ciele i duszy, życie to nie jest we władzy słów, ale faktów, a więc czynów skończonych i w swoim skończeniu bezwzględnych. Słów może nie być, lecz fakty pozostają zawsze i to raczej fakty niż najbardziej nawet zdecydowane słowa, wyrażające najradykałniejsze choćby przekonania, to fakty nie słowa tworzą konstrukcję losu, który po latach zmuszeni jesteśmy nazwać własnym i który musimy przyjąć w największej pokorze, ponieważ nie da się z nim nic zrobić. Naczelna zasada filmowa, że mówią nie słowa, a czyny i fakty, sprawdza się tu doskonale

i należy przyjąć to do wiadomości z pokorą. W przypadku Izajasza Anioła było też pewnie tak, że mówiły wyraźniej jego czyny niż słowa, jego przykład trwał w jego osobie, w jego gestach i sile milczenia. Ze słów zapamiętałem niewiele, o wiele mniej niż pragnąłem zapamiętać i pewnie mniej niż Izajasz Anioł chciałby, żebym zapamiętał. Tak wyszło. Za to czyny zapamiętałem doskonale, nie ma chyba rzeczy, którą zrobiłby przy mnie, a której ja nie zarejestrowałbym z podziwem tajonym lub ekstatycznym i jawnym.

Wszystko, co robił Izajasz Anioł, było prawdziwe i piękne, jestem też pewien, że inaczej po prostu być nie mogło, ponieważ robił to on – i dlatego przyjmowałem to z wielkim podziwem, z podziwem i niedowierzaniem patrzyłem na jego rzeźby i obrazy, z podziwem czytałem jego druzgoczące moją nastoletnią wrażliwość, niepublikowane nigdy – dla zasady – poezje, z niedowierzaniem patrzyłem, jak postać ta tak monumentalna może mieścić się w swoim małym życiu. I było tak od jego pierwszego dla mnie czynu, od początku, który wzbudził mój natychmiastowy podziw, szacunek i aplauz, a którym było zdjęcie sandałów i pomaszerowanie boso w ulewnym i lodowatym deszczu. A potem było tak z każdym następnym już gestem, nie pamiętam, żeby było inaczej.

*

A więc było tak z każdym banałem i z każdą Izajasza Anioła wzniosłością, było tak z każdym drobiazgiem, każdym gagiem i każdym szlachetnym gestem, które robił mój mistrz w swoich aktach natchnionych. To stawiało go w rzędzie geniuszów, jak mawiają, interdyscyplinarnych. Ten człowiek, natury jaskrawie leonardowsko-goetheańskiej, nie pasował do dzisiejszego świata z jego wąskimi specjalizacjami. Nie pasował tym bardziej, że w końcu w jego interdyscyplinarnym geniuszu było też miejsce na świętość, Izajasz po prostu był świętym. To prawda, pamiętam czyny Izajasza Anioła lepiej niż słowa, ale i słowa niektóre pamiętam. Czasem nawet wydaje mi się, że cały mój język jest z niego, że cały mój język i składnia, i słownictwo, i metaforyka,

jest z niego najbardziej, bo to on wypowiadał się zawsze w ten sposób: emfatycznie, a jednak z precyzją. Nie spotkałem nigdy później człowieka, który mówiłby w taki sposób, jednocześnie w tak wielkim napięciu, a zarazem tak dosadnie. Spotkałem, owszem, pisarzy najdoskonalszych w swym fachu, których teksty budziły mój podziw i których także pokochałem od razu, jednak mistrz mój, Izajasz Anioł, był jedynym znanym mi osobiście człowiekiem, który umiał tak właśnie mówić, jak gdyby czytał wprost z książki. I to z książki napisanej stylem precyzyjnym i emocjonalnym szalenie. To, że Izajasz Anioł mówił tak, jak gdyby czytał z książki, moje młodzieńcze ucho wychwyciło od razu z radością, ale to, że nie mówił bez sensu, było odkryciem późniejszym.

*

Mowy Izajasza Anioła dotyczyły szczególnie spraw wiary, było w nich także o filozofii, oraz trochę o literaturze, ale niewiele, bo dość nisko ją stawiał, jak przystało prawdziwej osobie niepospolicie duchowej. Jego osobne, a często też osobliwe poglądy na historię i geopolitykę, również były czymś osobliwym, czego nigdy nie miałbym okazji poznać i usłyszeć gdzie indziej, co latami pobudzało mój umysł do twierdzenia, że nie dorównam i nie sprotam mu nigdy.

Mowy Izajasza były kunsztowne, dosadne i absolutnie precyzyjne, a logika jego wywodów pozwalała doprowadzić do porządku myślenie. Kiedy mówił o duchu, czy też raczej jego braku u współczesnych mu ludzi, gdy z zapałem komentował wyuczyny ekstatyków i mistyków dawnych, gdy entuzjazm ponosił go w chwili, kiedy słuchał audycji muzycznej, gdy oddawał się kontemplowaniu dzieł artystów i dłuta, i pędzla, zawsze wtedy znajdował się w swoim żywiole i sprowadzał myśl wszelką do sedna, podziwiałem tę sztukę tak trudną i wiedziałem, czy ledwie domyślałem się, że jest światu niesamowicie potrzebna, że bez sztuki Izajasza Anioła świat na pewno sobie nie poradzi. Słowami potrafił wskrzeszać, słowami potrafił niszczyć.

Słuchałem więc Izajasza z uwagą absolutnie napiętą, czując wartość niemal każdej godziny, która mijała nam razem. Słowa-

mi potrafił bawić, słowami potrafił ranić, do historii już przeszły ataki, którym często oddawał się nocą, kiedy w pracy lub w domu skupiony słuchał radia i ciekawych audycji, do historii przeszły już filipiki, które siały zniszczenie i popłoch wśród słuchaczy tych samych audycji, którzy mieli poglądy tak głupie, że zmuszały go do dzwonienia. Polemizował na antenie radiowej z koryfeuszami tak zwanego życia duchowego i intelektualnego w Polsce, polemizował z tymi, którzy zdanie tak zwanych przez Izajasza Anioła koryfeuszy polskiej humanistyki i politologii powtarzali, niszczył ich wszystkich i każdego z osobna metodycznie, tych banalnych z natury tak zwanych intelektualistów polskich, nieskorych do autentycznego wysiłku umysłowego, prowokował ich swoją postawą do tak zwanego zajęcia stanowiska, które zawsze było bezsensowne, jak twierdził, a potem, zdaniem po zdaniu, powoli i bez zająknięcia demolował i zmieniał ich myśli do chwili, aż uznał, że dzieło skończone, że zrobił, co było konieczne, i że za to pochwali go w niebie jego Pan, jego Jahwe Zastępów.

ROZDZIAŁ XXII

Śpiew muz...

Wspominam szczególnie, co mówił Izajasz Anioł o odtrąceniu i rozczarowaniu, te dwa słowa nader często pojawiały się w jego monologach, o ile nie mówił akurat o mistyce czy filozofii. Najtrudniej znieść odtrącenie i rozczarowanie – mówił Izajasz Anioł – a przecież życie ludzkie składa się niemal wyłącznie z odtrącenia i rozczarowania. Już na samym przykrym początku doznajemy odtrącenia i rozczarowania, później tylko pogłębia się to i uwidacznia dokładniej, dochodzą nieprzyjemne szczegóły, co sprawia, że odtrącenie i rozczarowanie nabierają smaku i jest to smak naszych dni na tej ziemi, smak doskonale znany, smak pierwszych powstrzymanych łez i nicości, z której wybawić może nas jedynie Bóg. Odtrącenie i rozczarowanie z dzieciństwa zamienia się niepostrzeżenie wraz z nieuniknionym wpływem czasu w odtrącenie i rozczarowanie lat młodości, by w czasie krótszym niżby spodziewał się ktokolwiek zaistnieć jako równie wielkie i tak samo bolesne odtrącenie i rozczarowanie w wieku dojrzałym, nie wspominając za wiele o starości, która cała jest jedną wielką epoką odtrącenia i rozczarowania. Odtrącenia i rozczarowania, a raczej licznych odtrąceń i rozczarowań nie szczędzi nikomu, a przede wszystkim nam, ludziom, uwikłanym w to życie, nam, tak boleśnie egzystującym z dnia na dzień nie szczędzi nam odtrącenia i rozczarowania ani tak zwane życie

prywatne, które już dawno, jak powszechnie wiadomo, straciło wszelkie cechy autentycznie prywatnego życia, ani też życie zawodowe i tak zwane życie twórcze, które od dawna jest tylko i wyłącznie marną namiastką i parodią tak zwanego dawniej autentycznie twórczego życia. Od początku do końca w tak zwanym życiu prywatnym i w tak zwanym życiu zawodowym i także w marnym, tak zwanym życiu twórczym, które nic nie ma wspólnego z twórczością i które od lat pozostaje żalną parodią życia w ogóle, od początku do końca towarzyszą człowiekowi dwie straszne Erynie, dwie złowieszcze i łatwo przewidywalne muzy oraz złowieszczy i wyczuwalni aniołowie. Muzy odtrącenia i aniołowie rozczarowania śmieją się demonicznym chichotem, widząc jak życie człowieka, jak jego tak zwane życie prywatne i jego tak zwane życie zawodowe, a także jego tak zwane, jakże żalose w istocie, życie twórcze, stają się drogą schodzącą ku pięknym, rozległym przestrzeniom cmentarzy miejskich lub małomiasteczkowych. Widać więc wyraźnie, jak od początku do końca w życiu człowieka dominują żywioły odtrącenia i rozczarowania i jest oczywiste, że to żadna nowość, że tak było, jest, a także będzie po wsze czasy od upadku stworzenia, aż do dnia Sądu Ostatecznego.

*

Izajasz Anioł mówił to wszystko spokojnie i bez tak typowego dla ludzi przegranych zgorzknienia. Od samego – mówił jeszcze na ten sam temat Izajasz Anioł, który wiele rozumiał – od samego najżałośniejszego początku, od narodzin pośród wód płodowych aż po koniec, w tym tak zwanym życiu prywatnym i jeszcze pokraczniejszym życiu zawodowym i twórczym, zostajemy my, ludzie uwikłani w to życie, wydani na pastwę żywiołów straszniejszych od żywiołu wody i ognia, demoniczniejszych od żywiołu ziemi i powietrza, okrutniejszych nawet od żywiołu zwanego kobietą, jesteśmy skazani i wydani torturze obcowania z żywiołami codziennego odtrącenia i codziennego rozczarowania – i cały czas, skazani uprzednio na porażkę, musimy toczyć z nimi wycieńczającą, obłądną i nierówną z zasady walkę. Wal-

ka z muzami odtrącenia jest beznadziejna i można najwyżej wsłuchiwać się w ich podszepty. Walka z aniołami rozczarowania jest z góry skazana na porażkę, a jednak musimy walczyć.

*

Nie ma nic – grzmiał Izajasz Anioł, chcąc zaszcześcić mi tę myśl na zawsze – nie ma nic poza odtrąceniem i rozczarowaniem na tej ziemi, która nie jest jeszcze Królestwem Niebieskim. Nie ma i nie może być nic, co nie uległoby wielkiej sile żywiołów, wielkiemu wpływowi muz odtrącenia i aniołów rozczarowania, na których pastwę wydany zostaje człowiek już w chwili narodzin, i od dnia narodzin, aż po dzień śmierci swojej skazany jest na obserwowanie i doświadczanie odtrącenia, i rozczarowania, skazany jest na daremność i niepocieszenie.

Kiedy to mówił, smutniał, wiedział, że mówi prawdę i było widać, że ciąży mu to na sercu. Izajasz wolałby umieć pocieszać i nie wprawiać w zakłopotanie bliźniego, ale prawda, prawda o egzystencji ludzkiej wydawała się mu istotniejsza i tej prawdy nie ignorował nigdy. Przypadki odtrącenia i rozczarowania – Izajasz Anioł prawie szeptem kończył ten jeden z niewielu tak dokładnie zapamiętanych przeze mnie monologów – liczne i boleśnie drażniące pamięć, liczne i wyraziste w swojej wymowie przypadki odtrącenia i rozczarowania, czy trzeba je mnożyć, pokazywać palcem, czy trzeba je konfrontować ze sobą, kiedy jest oczywiste, że nie trzeba i nie należy. Żeby uzyskać właściwy, nieskłamany obraz wydarzeń, żeby dać znak i pokazać, jak jest w rzeczywistości kruchej i groźnej, niewątpliwie nie ma żadnej potrzeby ukazywania tych codziennych przypadków wydania i skazania człowieka lub wielu ludzi naraz na pastwę żywiołów, na pastwę muz odtrącenia i aniołów rozczarowania. Wystarczy chwila pamięci, wystarczy małe spojrzenie wstecz i już widać, że cała tak zwana przeszłość to kłębowisko upokarzających zdarzeń i sytuacji bolesnych, o których nikt nie chce pamiętać, że całe to pasmo spotkań z własną upodloną naturą i własnym trywialnym charakterem, że cała ta nieskończona praca niszczenia iluzji osoby, to wielkie spotkanie z muzami i anio-

łami, wielkie spotkanie z żywiołem odtrącenia i rozczarowania – w odtrąceniu i rozczarowaniu, wśród szyderczego chichotu muz i złowrogiemu szumowi skrzydeł aniołów. Wśród tysięcznych udręć codzienności, tych wrednych owadzych ukąszeń spartaczona od a do zet egzystencji, istnieje niewiele pewności, jednak pewność co do żywiołów i muz odtrącenia, i aniołów rozczarowania, którzy nadchodzą, niosąc nam nasze klęski, ta pewność jest niezniszczalna. Codzienna, udręczona pewność, że odtrącenie i rozczarowanie nadejdą, i że nawet jeśli nie było ich ostatnio, to na pewno pojawią się szybko, pewność, że odtrącenie i rozczarowanie pojawią się w bliskim sąsiedztwie udręzonego umysłu i na strzępy rozszarpywanej duszy, ta pewność pozwala osiągnąć spokój dostępny nielicznym, jedynie tym, którzy znają żywioły i muzy odtrącenia i rozczarowania, i którzy potrafią żyć mimo żywiołów i potrafią o muzach zapomnieć, ponieważ wiedzą, że Bóg czuwa naprawdę nad wszystkim.

Izajasz Anioł nawet tak pesymistyczny wywód potrafił okraść puentą dającą, przynajmniej niektórym, nadzieję – umiejętność, której ja nie posiadam i której pewnie nie nabędę już nigdy.

ROZDZIAŁ XXIII

I nikt mu nie towarzyszy...

Moich wspomnień związanych z postacią Izajasza Anioła, poety, rzeźbiarza, malarza, mistyka, a wreszcie nieszczęśliwego szaleńca, jest tak wiele, że nie umiem z nich wybrać na koniec nic, co byłoby wyjątkowe. Z moich wspomnień nie wypływa nauka żadna, żaden morał nie zawiera się w moich słowach. Patrzyłem, jak ludzie zafascynowani Izajaszem Aniołem lgnęli do jego delikatnej i nieśmiałej w gruncie rzeczy natury, patrzyłem jak ci sami ludzie opuszczali go w chwili najmniej stosownej, byłem stałym obserwatorem świata jego uczuć i potężnych czynów i wiedziałem, że nikt nie dorówna tej postaci, która trwa niczym masyw górski, poszarpany nieprzychylnymi wiatrami, wyżłobiony przez rwące potoki, wyniszczony przez bicie piorunów, które zawsze uderzają w szczyt. Sam widziałem, jak od Izajasza Anioła odpadali po kolei ludzie, sam widziałem, jak ich zostawiał za sobą, sam miałem możliwość zobaczyć, jak łatwo opuszczali go bliscy, których darzył nieskończoną i prostą miłością, sam przy tym byłem i trwałem przy Izajaszu Aniele, miałem powód, by wierzyć, że więcej nie spotkamy się nigdy, bo ja też miałem od niego odejść, ja też miałem pozostać daleko.

*

Przypuszczałem, że ja też, jak i reszta, pozostawię go kiedyś samego, byłem więcej niż pewny, że ścieżki nasze rozejdą się kiedyś na zawsze. Wtedy także zacząłem naprawdę wątpić w to, w co Izajasz wierzył wytrwale, na przekór całemu światu, który był tylko ziemskim światem. Wtedy właśnie stałem się też mniej naiwny, pozbawiła mnie ta historia nadziei i wypruła ze mnie każdą wiarę, a miłości... Lepiej nic już nie powiem. Wyleczyło mnie to, co widziałem w całym życiu Izajasza Anioła, wyleczyło mnie jego przykład, który miał być przykładem miłości. Nie miłości jednak przykładem stał się los Izajasza Anioła, lecz przykładem szaleństwa i grozy, którą trudno zapomnieć i strawić. To mnie wstrzymuje przed gestem uznania dla każdej wiary, to nie pozwala mi wierzyć, bo wiara jest tu niemożliwa, o ile, jak zrobił to wielki Izajasz, nie przejdzie się tej granicy, za którą jest zwykły obłęd wypełniony psychotropami. Tam doszedł mój Izajasz Anioł.

*

Tam idzie z uśmiechem na ustach, zgłuszony psychotropami, zmieniony w bezwonną kukłę, poruszającą się wolno w wytartych, szpitalnych papuciach. Wyzbyty słynnej empatii, wydrażony z emocji i myśli. Tam idzie do swojego Boga, przez lata wychwalanego w obrazach, których nie chciał sprzedawać, w muzyce, którą grał tylko nocą, w poezji, której fragmenty odczytywał przy wyjątkowych okazjach i w monologach, których kilka zapamiętałem na zawsze. Widzę go w zmiętej, pasiastej piźamie, uniesionego po chagallowsku nad ziemią, chociaż on nie odczuwa, że leci, chociaż on już nie może nic poczuć. Widzę sen, w którym idzie przed siebie coraz bliższy zetknięciu z otchłanią. Widzę jak rusza palcami już zmrożonymi na wieki, jak wolno odwraca głowę, także zmrożoną i kruchą. Jego bolesne spojrzenie nie jest już jego spojrzeniem. W jego szalonych oczach, na samym dnie jego źrenic widzę ostatnie płomienie spełnionej Apokalipsy. Widzę czern w jego pustych źrenicach, czern na war-

gach uśmiechających się cały czas. Znowu ma wokół siebie anioły, bezskrzydłe i wtopione w powietrze. Słyszy dźwięki niedostępne nikomu, czuje zapach, który śnił tak często. To staje się bardzo przyjemne. Zdaje mu się, że jego ciało przeistoczyło się w gąszcz, w jedwabistą kolorową ścianę, w burzę kwiatów róży i kwiatów lotosu, i że teraz porusza się wolno we wszystkich kierunkach naraz, opadając płatkami róży i lotosu na wszystko, tak miękko, tak delikatnie, jak deszcz, jakby kropla za kroplą. Znikają w nim wszelkie dawne zamiary i myśli. Co było, już nie istnieje, co jest – nie daje się nazwać. Omdlały nie wie, gdzie trafił i czeka, co będzie dalej.

Jest tak, jakby patrzył na to wszystko z wysoka, jakby widział to swoje ciało, ten gąszcz, który przechodzi strumieniami błękitnych, pomarańczowych i żółtych płatków przez przedmioty, ludzi i miejsca. Kiedy otwiera oczy, część jego osoby czuje, że sen nie zakończył się jeszcze, że trwa i że trwać będzie wiecznie, a druga część, ta w oddali, leci razem z płatkami i w płatkach. Leci i dotyka chmur niczym wielki, mityczny i piękny smok z kwiatów lotosu i róży. Olbrzymi i kolorowy. To dzieje się z Izajaszem, gdy leży na szpitalnym łóżku. To wtedy rozgląda się, widzi wszystko i może nawet jest wszystkim. Płynie po niebie szczęśliwy, spokojny. Oddala się w nicość na zawsze. Widzi coś, czego nie ma. Nie towarzyszy mu nikt. Powtarza bezgłośnie: *Mater amabilis, Mater admirabilis, Mater boni consili, Speculum justitiae, Sedes sapientiae, Causa nostrae laetitiae, Vas spirituale, Vas honorabile, Rosa mystica, Turris Davidica, Turris eburnea, Domus aurea, Foederis arca, Janua coeli, Stella matutina...* Na moment milknie, lecz słyszy, że słowa wybrzmiewają dalej, już same: *Ave maris stella, Dei mater alma, Atque semper Virgo, Felix caeli porta! Sumens illud Ave Gabrielis ore, Funda nos in pace, Mutans Heva nomen...* Te słowa, teraz nie tylko je słyszy, lecz również widzi wyraźnie, to lecące, kolorowe płatki, miliony lecących płatków, miliony rozsypanych słów. I nagle – Izajasz czuje to wyraźnie – one wszystkie, płatki i słowa oblepiają go i obejmują. Przyjmują go w swoje wnętrze, w swój kielich. Stapiają się z nim i z nicością. I nikt mu nie towarzyszy. Ale on towarzyszy wszystkiemu. A przynajmniej tak mu się zdaje.

*

Krępy pielęgniarz zbliża się szybkim krokiem do łóżka Izajasza Anioła. Podaje Izajaszowi tabletki, prosi go o otwarcie ust. Izajasz nie reaguje.

– Weź – mówi cicho pielęgniarz. – No weź, nie utrudniaj, chłopie.

– *Noli me tangere* – śmieje się cicho Izajasz zakryty wichrem ramion, gęstą chmurą nic nie znaczących w tym miejscu, bez nadziejnych i rozpaczliwych w swojej wymowie łamańców... – *Noli me tangere*.

Pielęgniarz krzywi się w ironicznym uśmiechu, jeszcze mocniej wyciąga przed siebie rękę, chce podać Izajaszowi lek, ale ten siedzi olśniony sykstyńskim gestem, nie rusza się, milknie – i patrzy. Zdruzgotany niesamowitą ekstazą, widzeniem samego Boga.

Izajasz płacze ze szczęścia, łzy ciekną po niedogolonych policzkach.

I nikt mu nie towarzyszy.

Pielęgniarz cierpliwie czeka.

ROZDZIAŁ XXIV

Światy widzialne i niewidzialne...

„(...) dlatego nie będziecie miały widzeń złudnych i nie będziecie więcej prorokowały” – grzmiał prorok Ezechiel w części trzeciej, w wersie dwudziestym trzecim swojej księgi, grzmiał i miał niezbywalną rację. W otoczeniu mojej jasnowidzącej kobiety, pośród jej rozentuzjasmowanej świty zdarzały się, jak mówił prorok, „widzenia złudne”, bywały momenty, kiedy w atmosferze naszego spokojnego zazwyczaj domu wyczuwalny stawał się i niepokojący, zgęstniały opar wielkiej liczby niepotrzebnych widzeń złudnych, doświadczanych najczęściej przez takich, co to wyglądali jakby do trzech nie umieli zliczyć.

*

Widzenia złudne bywały niebezpieczne i wiedział starożytny prorok, co czynił, kiedy ostrzegał przed nimi pozbawione daru racjonalnego myślenia kobiety. W tajemniczy sposób zdarzało się owym widzeniom korespondować z materialnym, więc widzialnym światem – na czym właśnie polegała ich złudność, bo to był ich związek jedyny i raczej krótkotrwały. Wielu jednak nabierało się na to, dochodziło więc do sytuacji niepozbawionych rysu tragiczności, bądź farsowych w swoim przerysowaniu. Dla mnie widzenia złudne były czasami wszystkim, co umiałem do-

strzec, jeśli w ogóle coś dostrzegalem, to zazwyczaj były to widzenia złudne. Kiedy zdarzało mi się przypadkowo spostrzec, jak w ręku mojej jasnowidzącej kobiety zjawia się nagle przedmiot, którego wcześniej nie miała, byłem pewien i obstawałem twardo, że mam oto klasycznego zwiada, znanego starotestamentowym bardom, byłem pewien, że doświadczam widzenia jak najstraszliwiej złudnego, było przecież niemożliwe, by coś wzięło się nagle znikąd w ręce własnej żony. Kiedy trafiałem w mieszkaniu na stwora, co nie przypominał żadnego z istniejących zwierząt i o którym nie było także ani słowa w bestiariusz Borgesa – wtedy także przyznawałem pierwszeństwo naturalnym, lecz złudnym widzeniom. Ponieważ dochodziłem do wniosku, że to zresztą nie żadne widzenia, lecz zwyczajne frajerskie majaki, mój sceptycyzm dawał w ten sposób znać, że istnieje i że do końca go nie utraciłem, choć warunki były zdecydowanie niekorzystne. To, co dla niej, mojej jasnowidzącej kobiety, było widzeniem najprawdziwszym z prawdziwych, to, co czasami bywało, przyznawała, widzeniem złudnym, dla mnie było frajerstwem po prostu, jak każde ludzkie złudzenie.

*

Skłaniałem się nawet ku myśli, że moja jasnowidząca Luiza powinna na swoim darze zarabiać, że powinna ze swojego talentu do widzeń złudnych czerpać osobne od jasnowidzenia i zasadnicze korzyści, byłem pewien, że powinna mieć profit nieziemsko wysoki, skłaniałem się w myślach ku temu i mówiłem o tym z przekonaniem, bo sam głęboko przekonany byłem, że jej talent jest talentem nieziemskim. Tłumaczyła mi, że to nieprawda, i że to jedynie rzadka, lecz spotykana umiejętność, nieróżniąca się od talentów plastycznych, czy mojego daru zmyślania. Podjęła się zresztą Luiza, nie wierząc, że coś z tego wyjdzie, podjęła się wtajemniczenia mnie w resztę wieszczych arkanów. Próbowwała jasnowidząca Luiza nauczyć mnie sztuk jasnowidzkich, okazałem się jednak uczniem mało chłonnym i słabo pojętym, za to świadomie leniwym i w dodatku niereformowalnym. Sprawilo jej to widoczną przykrość i na dodatek, jak sądzę, nie miała. Nie

byłem jednak zdolny przyswoić sobie naraz tylu intymnych wyznań. Dla mojej żony jasnowidzenie było bowiem czynnością intymną, a wręcz naturalnie wstydliwą i nie na pokaz. Jasnowidziała w dowolnym momencie, jednak czasami wstrzymywała się od jasnowidzeń, broniła przed nimi i czekała spokojnie lub w nerwach, jak rozwinie się sytuacja.

*

Podobnie zresztą bywało z seansami duchów, na które zapraszała nielicznych i które organizowała rzadko. Dla mnie była to marna rozrywka. Mnie nie kręciły zjawiska mediumiczne i gwałtowny, niepowstrzymany *channeling*. Stąd i moje uczestniczenie w seansach wywoływania duchów nigdy nie było nadmierne, a najczęściej nie miało wręcz miejsca. Brałem w nich udział, pamiętam niektóre razy, byłem tam jednak zawsze bez ochoty i prawdziwej emfazy. Ta często towarzyszyła za to innym uczestnikom seansów. Ja wolałem zajmować pozycję niezaangażowanego, wystarczało mi obserwowanie tych, którzy najgłębiej w to wsiąkli. Zjawiało się zawsze kilkoro takich, miałem więc co obserwować. Spirytyzm od zawsze przyciągał jednostki najróżniejszej konduity, najpokrętniejszego kroju i najbardziej odjechanego autoramentu. A już wyżyny, na jakie moja jasnowidząca kobieta wprowadziła spirytyzm dzięki swojej mediumicznej sile, przyciągały całe armie świrów, samą śmietankę szajbusów, fantastów i innych zdrowo walniętych. Nie było tu czego zazdrościć, moja kobieta miała czasem pietra. A sam fakt, że go mogła przeczuć, nie ułatwiał jej życia wśród czubów. Chociaż nie tylko czuby i nie jedynie walnięci garnęli się do mojej jasnowidzącej żony. Wielu było też ludzi z dyplomami najwyższych krajowych uczelni, żyjąc blisko licznych spraw tajemnych naoglądałem się wszystkich po równo.

Obserwowałem tych wielbicieli i nie widziałem żadnego powodu, by w sporządzanych po seansach notatkach ukrywać ich nienormalność. W końcu jaki to świat, to wiadomo, w końcu w świrze nie ma dziś nic niezwykłego.

*

Różnie bywało na złowieszczych seansach. To podłoga jęknęła, to ktoś krzesło przewrócił, to gdzieś drzwi zaskrzypiały lub okiennica trzasnęła. Efekty akustyczne przeważały nad wizualnymi, ale zdarzały się także widowiskowe efekty naoczne. Efekty wizualne, jak już zaczęły się pojawiać, były traktowane ze szczególnym pietyzmem i nabożną czcią. To, co normalnie tak niedramatyczne, stawało się nagle załączkiem i puentą w arcydramacie seansu. To, co nikomu i nigdy nie przyszłoby na myśl, rozrastało się w trakcie seansów do niebotycznych rozmiarów.

Bywało różnie, bywało strasznie, sam kilkakrotnie padłem ofiarą bezwzględnej i nieuniknionej paniki, a raz czy dwa razy zdrętwiałem, jakbym ujarął się trawą, i trzeba mnie było cucić, choć byłem całkowicie przytomny.

Bywało różnie, różniacie, mniej albo bardziej duszno, aż strach wspominać o tym tu i teraz. Wolałbym, żeby tamto nie wróciło już nigdy, tyle tylko, że brakuje mi czasem tych seansów jasnowidzącej Luizy. Czasem chciałbym, żeby wróciło wielkie i niebotyczne szaleństwo, te samo wielkie i niebotyczne szaleństwo, które zawsze miałem w życiu z jasnowidzką. I może chciałbym też trochę, by wróciła choćby w myślach i w widzeniach złudnych dziwna czułość jasnowidzącej Luizy, bowiem wielka i niebotyczna czułość żyła w myślach mojej jasnowidzącej kobiety. I żałowała moja jasnowidzka, że nie może cudownie dostrzec, z kim los ją połączy na stałe, kogo los jej wdziękami zaszczyci, z kim dokona podboju kolejnych terytoriów krainy Erosa i Szahu. Dla jakiego błyskotliwego mężczyzny straci głowę, skoro nie straciła jej dla mnie, który byłem, powtarzam, przechodniem, bo taką rolę przypisało mi życie. Snu jej to z powiek nie spędzało, spała beztrudnie, kamiennie, spokojnie. A jednak cieszyłaby się, gdyby mogła zajrzeć w swoją najbliższą przyszłość, lepiej by się poczuła na pewno, gdyby mogła wiedzieć coś na ten temat z wyprzedzeniem.

*

Bardzo chciała zajrzeć Luiza w swoją jasnowidzką przyszłość i męczyło ją strasznie, że zrobić tego nie może. „Dlaczego nie możesz? – pytałem, widząc jak ją to męczy. – Dlaczego nie spojrzysz w przyszłość tak, by zobaczyć w niej siebie?” „Niestety – odpowiadała głosem, w którym brzmiał jedynie destylat smutku. – niestety w moją przyszłość zajrzeć może tylko inny, równie mocny jasnowidz”.

Nie rozumiałem dobrze, choć rozumiałem trochę, coś mi świeciło i myliłem się najwyżej nieznacznie. Współczułem jasnowidzącej i próbowałem jej pomóc – tak wpadliśmy na idiotyczny pomysł wizyty u koszmarnego wróża. Nie mogę nazwać go magiem ani jasnowidzącym – był wróżem, męską odmianą znającej kilka mocnych zaklęć wróżki. Prócz tego wróżył z tarota i herbacianych fusów, a to, że posiadał też runy, okazało się dla mojej Luizy argumentem decydującym i przesądzającym sprawę. Był więc Lagah, bo tak się kazał nazywać (choć stwierdził też w pewnym momencie wizyty: „Mówcie mi Czarek, po prostu, nie bawmy się w żadne zadęcia”), w pewnym sensie klasykiem wśród wróżów. Ale na pewno nie eksperymentatorem, bo do tego potrzeba coś więcej. W ten sposób poznaliśmy Lagaha i jego dziwaczną kompanię, złożoną z gwiazdeczek, modelek i kurewek niepośledniej urody.

Lagah (Czarek) miał około czterdziestki, był wysoki i dosyć szczupły, jasny kucyk i szpeciniastą bródkę nosił z dumą wiecznego playboya, pod oczami miał sine worki, ręce długie jak u szympansa, chodził zawsze w zielonej koszuli i zawsze z masą wisiorków. Właściwie nie wiem, dlaczego przyszliśmy po wróżbę akurat do niego. Luizę przekonała reklama, ale że ja dałem się na to nabrać?

*

Wizyta u wróża Lagaha zakończyła nasz piękny, choć tak kruchy związek, to jemu zawdzięczam utratę mojej jasnowidzącej kobiety. Nawet nie marne dziwki, które były w owym czasie

u niego, nawet nie to, żebym starym zwyczajem próbował zbliżyć się potajemnie do którejś, żaden eksces widzialny i pewny, żaden grzech, który by wyszedł na jaw. Wystarczyło kilka kart o wymiarach A4, które Lagah przygotował na wróżby. Wszystko stało się niespodziewanie szybko, kilka kart formatu A4 rzucił Lagah na trójkątny stół z pleksi, zaczął mruczeć i wywracać oczami, po czym szepnął:

– Po ptokach – i tyle. Chyba nawet nie zwróciłem uwagi, bo patrzyłem, jak urządził mieszkanie. Patrzyłem na zgniłozieloną kotarę, na świeczniki prawie szabasowe. Ślizgałem się wzrokiem po meblach, zauważyłem nawet, że za łóżkiem na specjalnej półeczce miał schowane *Hustlery* i *Catsy*. Najbardziej jednak zainteresował mnie plakat z fallusem wpisanym w pentagram i hasłem NIE MA BOGA POZA CZŁOWIEKIEM oraz pięcioma wyraźnie satanistycznymi punktami: „1. Człowiek ma prawo żyć według własnego prawa – żyć jak mu dyktuje jego wola: pracować zgodnie ze swoją wolą: odpoczywać zgodnie ze swoją wolą: umrzeć w takiej chwili i w taki sposób, jaka jest jego wola”. Pozostałe punkty mówiły mniej więcej to samo, ale ostatni brzmiał inaczej i aż mnie ciarki przeszły, gdy przeczytałem: „5. Człowiek ma prawo zabić tych, którzy zagrażają jego prawom.” I dopisek u dołu plakatu: „niewolnicy służyć będą – AL. II:58”. I podpis: Aleister Crowley *Liber OZ*. Gwizdnąłem cicho. Nazwisko Crowleya obilo mi się o uszy, Luiza od czasu do czasu powoływała się na tę osobistość, nie wspominając nic jednak o jego – jak na mój gust – siarką pachnących poglądach. Nie zdążyłem jednak pokazać tego plakatu z Crowleyem i stosu pornograficznych pism mojej Luizie zasłuchanej i skupionej na tym, co też Lagah wyuczynia z kartami, jak je miesza i co mruczy nad nimi – nie zdążyłem i mogę żałować, bo Luiza przejęła się wysłuchaną przed momentem wróżbą. A wróżba ta brzmiała: „Po ptokach”.

*

Od tej pory nasze udane, choć tak kruche małżeństwo zaczęło – trudno to nazwać inaczej – przeżywać najboleśniejszą agonię – takie były efekty wizyty, która miała przepowiedzieć nam

przyszłość. „Po ptokach” – tyle zapamiętałem, bo wyszedłem stamtąd jak zaczadzony. Nie wierzyłem, że to się kiedyś stanie, a już na pewno nie dopuszczałem do siebie myśli, że stanie się to w tak idiotycznych warunkach. I ani moje cudownie zaślepione kochanki, ani moje potajemne libacje nie wydawały mi się nigdy argumentem za tym, bym miał rozstać się z moja jasnowidzącą Luizą, a tymczasem wystarczyło „Po ptokach” wypowiedziane przez samozwańczego maga, bym poczuł dokładnie smak klęski, bo nie mogłem mierzyć się z nim we wróżbach. Nie pomógł nawet mój słynny sceptycyzm. Nawet mój słynny sceptycyzm, nawet moje ironiczne uwagi. Nie wierzyłem, nie wierzyłem po prostu, że cokolwiek może nas kiedykolwiek rozdzielić, a właśnie nas rozdzieliło. Wyszło na to, że myliłem się całkiem, padłem ofiarą oszusta i własnych widzeń złudnych totalnie. Świat niewidzialny i zaświatowa sfera zemściły się na mnie za wszystko.

*

Od tej nieszczęsnej wizyty zmieniło się wiele, nasz związek dryfował odtąd po morzu fiask i niespełnień. Dryfował po falach daremności i niepocieszenia, po spienionych falach codziennych, gorzkich i niepotrzebnych zawodów, po falach codziennych brudnych i niepotrzebnych przykrości. I nie było możliwości sprawienia, żeby stała się inną ta podróż, której przyjazne współnictwo skończyło się od spotkania z Lagahem. Pozostała jedynie niedoskonała wspólnota zainteresowań, jedynie grząska i gnijąca aura, aura rozbitego związku, aura dziwactw i niepocieszenia. Nie umiałem w spokoju patrzeć na poczynania ezoteryków, nie umiałem – to było silniejsze ode mnie i w końcu z samym sobą przegrałem – zaakceptować okultyzmu i magii, nie potrafiłem wyzbyć się ironii, a oprócz tego miałem od czasu do czasu kilka cudownie zaślepionych kochanek i te moje cudowne kochanki, nigdy dość zaślepione, a jednak wystarczająco, by spotkać się ze mną gdziekolwiek o jakiegokolwiek godzinie, były moim dryfem, moją skazą, moim grzechem i błędem. I to było jednak zdecydowanie za wiele, nawet jak na łagodną Luizę. Moje niedowiar-

stwo było dla mojej jasnowidzącej kobiety do ominięcia, moje szydercze spojrzenia były dla niej – że powiem to metaforą kulawą – do przeskoczenia, moje cudownie i nigdy dość trwale zaślepione kochanki, to było jednak za wiele, to była, mówiła Luiza, przesada. Z bólem zniosła pierwszą, ze łzami mi odpuściła pierwszą cudownie zaślepioną kochankę, przy której straciłem morale. Z bólem straszliwym przystała na danie mi drugiej szansy, a jednak nie skorzystałem. Nie skorzystałem, chociaż naprawdę kochałem jasnowidzącą Luizę.

Taka to była miłość z moimi przywarami w tle.

*

– Dlaczego ludzie w ogóle chcą być razem? – Luiza świdrowała mnie wzrokiem.

– Bo to lepsze niż nic – wyjąkałem.

– Wydaje mi się, że masz rację, to przerażające – była zdumiona.

Milczeliśmy chwilę.

– Jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś? – pytała rozgoryczona.

– Przecież widziałaś, co brałaś, przecież jesteś jasnowidząca.

– Ale ja tak ci ufałam – nie miałem na to riposty. – Ufałam ci, a ty co? Zajmowałeś się wciąż kochankami!

– To nie tak – wiedziałem, że tak. – Luizo, przecież wiesz, że nie o to...

– Coś ty zrobił ze sobą? – Luiza była tak przygnębiona, że nawet zrobiło mi się jej szkoda. – Splugawiłeś, nie mogę nazwać tego inaczej, ty po prostu splugawiłeś swoje ciało i mnie przy okazji. Twoja aura jest, teraz to widzę, w strzępach. A twój astral woła o pomstę do nieba!

– Astral?

– Przecież wiesz, o czym mówię, nie ściemniaj.

– Luiza, mnie to, jak powiedziałaś, splugawione ciało całkiem dobrze służyło. Nie mam zastrzeżeń...

– Cieleśność twoja znikczemniała – Luiza popatrzyła na mnie z politowaniem. – Znikczemniała – powtórzyła ciszej.

– Daj spokój. Co to za język? O czym ty w ogóle mówisz?

– Teraz to widzę – Luiza obcięła mnie wzrokiem z góry do dołu i z powrotem. – Jak mogłam wcześniej nie spostrzec tego, co się z tobą dzieje? Jak mogłam?

– A pamiętasz, co mi mówiłaś kiedyś? – chciałem zmienić przebieg nieprzyjemnej rozmowy. – Że cielesność, to któryś twój kabalista powiedział, jest celem, do którego prowadzą wszystkie ścieżki. I że cielesność nie jest niedoskonałością, ale doskonałością właśnie – podniosłem zgnębioną twarz i popatrzyłem prawie z triumfem. – I co ty na to teraz?

– O! Zapamiętałaś to! – Luiza nie mogła ukryć zdumienia. – Tylko ty mogłeś zapamiętać akurat taki fragment.

– Zapamiętałem także, co mówiłaś o wyzwoleniu przez zmysły.

– Przestań, ty nic nie rozumiesz. Wyzwolenie przez zmysły to... to... Zresztą, nieważne. Przecież nie będziesz usprawiedliwiać się teraz zasłyszanymi ode mnie koncepcjami. Popisz się może jakimś retorycznym chwytem w stylu twojego Anioła...

Miała rację, faktycznie głupio to wyglądało, że broniłem się jej naukami. Postanowiłem jednak nie odpuścić i spróbowałem sposobu, który sama mi podsunęła.

– Święty Tomasz – brnąłem i doskonale czułem, że brnę – podobno sam święty Tomasz podkreślał, że, jak to Izajasz mówił, to znaczy, jak mówił Tomasz – plątałem się i dukałem niepewny, co z tego będzie – połączenie duszy z ciałem jest... eee... *ad melius animae*... To znaczy, że wychodzi duszy na lepsze, a nie na gorsze – jakoś dobrnąłem do końca. – I widzisz – uśmiechnąłem się do Luizy, zadowolony, że niczego nie poplątałem. – Na lepsze!

– Co ty gadasz? Jaki święty Tomasz? Jaka dusza? Ty mówisz o duszy, ty? Ty w ogóle nie wiesz, co to głębia. Nie wiesz, co to jest dusza! Norbert, ja już nie dam rady. Myślałam, że dam, ale nie dam.

– Najgłębiej jest skóra – wyrwał mi się cytat z czytanego niedawno poety. Na szczęście nie dosłyszała, więc zacząłem raz jeszcze:

– No, tyle zapamiętałem, Luiza. Możesz być ze mnie dumna – chciałem ją trochę ugłaskać, żeby już skończyć to przesłuchanie. – A teraz pytam spokojnie, co ty na to? – próbowałem dać jej się wygadać. – Powiesz mi chociaż, co myślisz?

– Nic. Ja już wiem – Luiza nie chciała więcej gadać. Patrzyła daleko, poza mnie. Być może patrzyła w przeszłość i liczyła stracone lata.

– Co wiesz?

– Musimy się rozstać, niestety – Luiza już zdecydowała, wykonała palcami *mudrę* na uspokojenie – jeden z gestów używanych rzadziej – i tym samym poprosiła, bym zamilkł. Odwróciłem się i wyszedłem do kuchni.

*

Nie rozmawiałem z nią dalej, nie sprzeczałem się, nie kłóciłem. Kroilem chleb na kolację i przypominałem sobie wszystkie grzechy, moje drobne i wielkie pomyłki. Siekałem zielonego ogórka i patrzyłem w swoją pustą przeszłość. Smarowałem beztłuszczowe masło, patrzyłem coraz głębiej w siebie i czułem się, jakbym patrzył w krater wygasłego przed chwilą wulkanu. Jakbym liczył kolejne kręgi tego czyścica, który stał mi się domem. Moim domem z jasnowidzącą, moim domem wśród fantasmagorii. Patrzyłem i wspominałem, i wychodziło mi na to, że słusznie zrobiła Luiza, że słusznie rozstaje się ze mną.

Latami obserwowałem małżeństwa i mniej oficjalne związki, latami obserwowałem dziwactwa par małżeńskich i konkubinatów, jak nasz niedobranych. Każdy związek, to dostrzegałem najczęściej, miał swoje przekleństwa i tajemnice. Każdy miał swoje trupy w szafie i śmieci pod dywanem. Z nami nie było inaczej. Przyzwyczailem się, że Luiza wybacz mi moje dziwactwa, moje niepozbywanie i moje konfabulacje, w zamian ja tolerowałem jej świat, wypełniony widzeniami złudnymi, wróżbami i postaciami, z którymi w innych okolicznościach pewnie wolałbym nie spotkać się nigdy. Co z tego, że niektóre lubiłem? W tej chwili – kończyłem wyjmować talerze, widelce i noże – to nie miało żadnego znaczenia. Życie zbyt łatwo zamieniało się w czystą makabrę.

*

A potem, a potem, im dalej, im głębiej w ten krater wypalonego związku patrzyłem, tym więcej widziałem grzechów, tym więcej złych znaków na duszy. Tym wyraźniej podpadam – myślałem, podając Luizie kanapki – pod karę za ciężki grzech łajdaczenia, tym więcej jest we mnie *luxurii*, tym większa jest moja nieczystość – i jeszcze ta ciemna ironia! Nie umiałem zrezygnować z cudownie zaślepionych kochanek i zaślepiałem raz po raz to jedną to drugą nieznaną, nie umiałem uwierzyć w magię, chociaż miałem dowody wyraźne. Fundamentem mojego oporu były stale głupota i cynizm, bo bywało, co sam przyznawałem, nie najlepiej i z kochankami i – wiem także – były chwile magiczne prawdziwie z jasnowidzącą kobietą. Mnie jednak daleko było i teraz daleko jest także – do zdrowej natury człowieczej, co widzeń złudnych nie miewa. Nie chciałem mieć widzeń złudnych i miałem je – potem już miałem – widzenia te stale od nowa, a zwiążek mój z jasnowidzącą dryfował, dryfował, dryfował...

Jedliśmy jedną z ostatnich wspólnych kolacji, z głośników dochodziła muzyka. Wnikała pod skórę, głęboko, raniła i pozostawiała ślad. Marianne Faithfull śpiewała:

*Then we met a wealthy man in Boston
And he paid her a lot because he loved her..*

Śpiewała – myślałem – dla mnie.

*

To dla mnie tak czule śpiewała schrypnięta Marianne Faithfull, to dla mnie śpiewała o grzechach. Dopiero przez diabła, jak mniemam, jak sobie to wymyśliłem, poznałem, co śpiewa Marianne, to diabeł – śmiałem się udręczony, wściekły i rozgoryczony – to demon podsunął mi Brechta, podsunął mi Kurta Weilla. Te teksty o grzechach głównych, z którymi poznałem się dobrze. Z obżarstwem, gniewem i pychą, z pożądaniem i nieczystością. Jak również z pozostałymi, których już nie pamiętam.

Wtedy nie znałem tego w ogóle, nie umiałem rozeznąć się w szyfrze niepojętym bytu, nie rozumiałem głosów, choć często, przy jasnowidzącej słyszałem niesamowite głosy, nie potrafiłem dociekać zagadek istnienia i nieistnienia, patrzyłem na jasnowidzącą i ciemno widziałem przyszłość, której miałem być współuczestnikiem jeszcze przez pewien czas.

*

I był to czas wielkich przykrości, i był to czas złego pisania; nie było w tym czasie finezji i we mnie finezji nie było.

Finezja i ewidentny brak wszelkiej finezji to było odkrycie na miarę moich ówczesnych możliwości, brak finezji towarzyszył mi zawsze w momentach przesileń i finałów, brak finezji odzwierciedlał dokładnie całe moje dotychczasowe życie. Nie byłem ani finezyjnym uczniem, przypominałem to sobie co dnia, nie byłem też finezyjnym sportowcem, co pamiętałem bez końca, nie byłem może nawet, co boli i co nie jest do końca prawdą, za specjalnie finezyjnym kochankiem. Tego zaś, że ani mężem, ani przyjacielem nie byłem zbyt finezyjnym nie ma nawet co przypominać. Nie byłem, po prostu nie byłem i już zapewne nie będę. A teraz nie jestem bynajmniej finezyjnym kronikarzem finezji, tak samo jak nigdy nie byłem młodym i finezyjnym poetą, jak nigdy nie byłem autorem finezją popartej prozy, ani też zręcznym krytykiem cudzych dzieł i cudzej finezji. Nieustający brak finezji, nieustający brak polotu, niezgrabność pisma i mowy, wciąż ten sam obły grymas na twarzy.

A stąd niedaleko, by uznać, że to jest szczególny atrybut mojej nieszczególnej osoby: ten brak finezji, niezgrabność, to wieczne milczenie na stronie, na boku i na marginesie tych wszystkich wydarzeń, które miały być czymś pięknym dla mnie. Podobnym nietaktem wykazałem się w sprawach małżeństwa z jasnowidzącą kobietą, co przesywała mnie wzrokiem, ilekroć na nią spojrzałem. Podobnie liczyłem na więcej niż mogłem w tym związku uzyskać, a stąd niedaleka już droga do mrocznych i chorych wystąpień. Miałem nadzieję, miałem widzenie złudne, jak zawsze, gdy sprawa jest beznadziejna, liczyłem, że do katastrofy

w naszym związku nie dojdzie i że jakoś to będzie, że poukłada się wszystko.

*

Jak każdy moralnie nadpsuty – pozwólcie, że tak zażartuję – jak każdy duchowo upadły liczyłem na szczęście i talent w łapaniu owego szczęścia. Nie wyszło mi z tego nic i nic mi się nie udało, zostałem sam i – na szczęście – umiałem to zaakceptować. A moja jasnowidząca kobieta dryfowała w tym czasie sama, dryfowała w nieznanym kierunku, jej jasnowidzkim talentom nie brak było ciekawej roboty. Przyjeżdżali do niej z Białorusi, przyjeżdżali z Chile i Austrii. W jej życiu zrobiło się gęsto, jej życie nabrało rozpędu – i wszystko to już beze mnie, ja jedynie słuchałem Faithfull.

Dla mnie tylko śpiewała Marianne i leżałem i słuchałem jej śpiewu, dla mnie cicho śpiewała Faithfull, dla mnie oraz dla tych do mnie podobnych. Próbowałem wtórować jej cicho, ale przy moim braku wszelakich talentów brzmiało to obciachowo, żenada i hardkor, i trauma.

A Marianne śpiewała spokojnie głosem przepitym i ostrym, śpiewała o sztuczkach diabelskich, o grzechu i o miłości:

*Then we met a wealthy man in Boston
Ad he paid her a lot because he loved her,
But I had to keep a watch on Anna
Who was too loving, but she loved another,
And she paid him a lot because she loved him.*

ROZDZIAŁ XXV

Nic, tylko piekło, parodia i karykatura...

Była druga połowa sierpnia dwa tysiące drugiego roku, spikerzy serwisu informacyjnego BBC w radiu TOK FM co godzinę informowali, że „Europa wciąż walczy z powodzią”, papież Jan Paweł II od dwóch dni jeździł z pielgrzymką po Polsce, Izajasz Anioł trwał przed telewizorem i patrzył na celebrację mszy. Było rano, czas pierwszych myśli, pierwszego śniadania, herbaty. Izajasz Anioł wspominał niezwykle udaną, którąś poprzednią wizytę Ojca Świętego w kraju, tę, której naczelne przesłanie zawarł Jan Paweł II w haśle: „Ducha nie gaście!”, tylekroć wtedy i długo potem powtarzanym. „Ducha nie gaście!” – to motto jednej z poprzednich pielgrzymek Jana Pawła II po kraju upodobał sobie Izajasz Anioł szczególnie i bywały – zwłaszcza teraz, gdy papież znów przyleciał z wizytą – dni całe, gdy chodził po nasłonecznionych uliczkach naszego małego osiedla i ryczał, grozę budzącym wśród mieszkańców i obcych rykiem: „Ducha nie gaście! Słyszycie! Ducha nie gaście!” Zaśmiewał się przy tej okazji, jak gdyby był to taki młodzieńczy psikus w wykonaniu czterdziestokilkuletniego faceta, który pragnął wstrząsnąć nieco drobnomieszczaństwem bliźnich. Ale bliźni mijali go z obojętnością, zapewne ciesząc się, że jest tylko religijnie nawiedzonym wariatem, a nie na przykład jednym z tych pełnych szlachetnej prostoty młodzieńców, którzy wpierw biją w twarz, a potem proponują, by im oddać pieniądze. Lub nawet nie proponują. Po prostu leją. Dla żartów.

*

Izajaszowi nie przeszkadzało jednak, że nie zwraca się na niego uwagi, miał poczucie, że budzenie świata i tego świata nawracanie codzienne jest zajęciem niewdzięcznym i takim, które nie jest nagradzane od razu. Zresztą nigdy nie czekał na nagrodę za swoje uczynki. Chodził i ryczał: „Ducha nie gaście! Słyszycie!” – ale nigdy nie zaczepił nikogo. Kto miał uszy, ten słuchał, nic więcej. Kto miał uszy, ten nie mógł nie słyszeć.

Teraz jednak Izajasz siedział w domu, patrzył w ekran i mówił ledwo słyszalnym szeptem:

– Wszystko kiedyś było rytuałem – mówił ze smutkiem w głosie Izajasz Anioł, popatrując w czarno-biały telewizor unitra, na papieża i wiwatujące niezmordowanie tłupy – wszystko było pięknym, szlachetnym rytuałem. Rytuałem była kiedyś msza, a teraz – zasępił się i w zasępieniu swoim pogłodził resztki powichrowanej brody – teraz, tak tak, dożyliście tych czasów, nieszczęśni, dożyłeś i ty, bracie chomiku, i ty, bracie kanarku, i ty, siostrzo kocico piękna i niezależna nad miarę, i wy – zwrócił się do stojących na środku stołu kaktusów i pelargonii – bracisz-kowie i siostry najmniejsze – pogłodził kolec kaktusa – dożyliście tych czasów strasznych, kiedy to wszystko – spojrzął na telewizor unitra – co było rytuałem, stało się jakby z dnia na dzień piekłem, parodią i karykaturą. Nie należy ignorować faktów – Izajasz mówił jakby do siebie – to mści się okrutnie, kiedy się ignoruje fakty. Rytuał to coś istotnego, coś czego ludziom potrzeba, a teraz... – pokręcił głową i przytknął na chwilę oczy – teraz co z tego zostało? Zostały zaledwie widoki piekła, parodie i karykatury. Nawet on – Izajasz Anioł wskazał głową na ekran i zgarbioną, szarą postać Jana Pawła II przy mikrofonie – nawet on ma z tym wielki problem. A co dopiero my, mali ludzie, bracisz-kowie i siostrzyczki najmniejsze. Tak, bracie chomiku, kiedyś rytuałem było na przykład życie rodzinne, tak tak, życie rodzinne było rytuałem na pewno. I co? Co z tego zostało? Teraz życie rodzinne, tak zwane życie rodzinne jest najczęściej piekłem oraz głupawą parodią i karykaturą rodzinnego życia. Mamy dziś do czynienia z doskonale głupawą parodią wszystkich dzie-

dzin, które dawniej, za mojej jeszcze młodości, były, tak tak, rytuałem. Ja wiem, bracie chomiku, wiem, siostró kocico, że komunizm, socjalizm, degrengolada narodu polskiego, że degrengolada Europy Wschodniej i chaos, ja wiem, ale jednak... Nam jednak na czymś zależało! Zależało nam! A teraz? – Izajasz cukał się, milkł, patrzył w ekran, gdzie papież czytał coś z kartki. – Zamiast prawdy – zaczął znowu Izajasz – piekło, parodia i karykatura prawdy. Zamiast wiary – piekło, parodia i karykatura wiary. Zamiast miłości – piekło, parodia i karykatura miłości... Zamiast nadziei... – Izajasz spojrzął na ekran, na papieża i falujący w letnim skwarze tłum. – Zamiast nadziei codzienna porcja rozpacz, codzienna porcja cierpienia, codzienny nieustający ból... Rocznie z głodu umiera sześć milionów dzieci poniżej piątego roku życia! – szeptał, ale jak strasznym głosem szeptał Izajasz Anioł. – Dziennie dwadzieścia pięć tysięcy osób! Dzieci, bracie, chomiku, dzieci! I co? I nie! Tylko piekło, parodia i karykatura. Satanizm! Parodia i karykatura krzyża! Krzyż odwrócony dla śmiechu! Papież słyszany, ale nie słuchany! Codzienny, ogólnoswiatowy satanizm dewocyjny! Piekło, parodia i karykatura wszystkiego... Wszystkiego!

*

Każda tak zwana pomoc – Izajasz Anioł wpadł w trans – to jedynie piekło, parodia i karykatura. Próba pomocy to piekło, parodia i karykatura. Wydawanie i przyjmowanie oświadczeń na tak zwanym międzynarodowym forum. Raporty FAO, UNESCO i jakie tam jeszcze są. Piekło, parodia i karykatura. Obozy koncentracyjne w Chinach, sterylizacja kobiet, obozy pracy w Korei Północnej, handel żywym towarem w Azji i Afryce, handel bronią i narkotykami wszędzie – to jest realne. A przeciwdziałanie temu – to wyłącznie piekło, parodia i karykatura. Do tego miliony dolarów i euro wyrzucane bezsensownie w błoto. A dzieci – Izajasz przerwał, rozejrzał się i rozpłakał. – Boże, mój Boże – płakał Izajasz Anioł, a ja nie potrafiłem mu pomóc – czemuś do tego dopuścił? Ile dziś trzeba, bracie chomiku, nadziei, żeby wytrwać w tak piekielnym, sparodiowanym i skarykaturo-

wanym świecie? Ile dziś trzeba nadziei na Apokalipsę, na Sąd, na cokolwiek? Ile trzeba nadziei – albo głupoty, która bywa najczęściej piekłem, parodią i karykaturą nadziei, nie jej dzieckiem, a właśnie piekłem, parodią i karykaturą? Ile? I co z tego, że tak się staram – zwątpienie w głosie Izajasza przybrało nagle na sile. – Jeśli ja – mówił Izajasz Anioł jakby cytował z pamięci Jana Złotoustego – jeśli ja, uważany za przygłupiego i za rzecznika niedorzeczności, jeśli ja tyle razy zwyciężałem w sporach z tak zwanymi mądrymi, i jeśli moja zwycięska mądrość okazywała się nie głupotą, lecz mądrością doskonalszą od tak zwanej mądrości mądrych, i jeśli to nic nie dało – to co? Bracie, chomiku, to co? Bracie kanarku... Wy śpicie?

*

Istotnie, brat szary chomik drzemał, strzygąc od czasu do czasu uszami. Brat żółty kanarek dłużył dziobem pod skrzydełkami. Siostra łaciata kocica przeciągała leniwie grzbiet, wyciągała łapy i wystawiała pazury, mrucząc kocią piosenkę o myszach i niezależności. Kaktusy i pelargonie stały. Szara sylwetka Jana Pawła II na ekranie czarno-białego telewizora unitra przypominała rzeźbę w kamieniu, przedstawiającą ducha wyniszczonego miłością do całego świata, a nie postać strawioną przez wiarę i dogłębnie przeżywaną nadzieję. Jan Paweł II mówił właśnie o *zmyśle wiary*, jednak Izajasz Anioł nie słuchał, lecz patrzył, bo na ekranie działy się rzeczy niepokojące. Oto – zobaczył Izajasz Anioł – ekran czarno-białego telewizora unitra stał się blejtramem rozpiętym na pokrzywionych sztalugach, a namalowany obraz doznawał metamorfozy. Na moment zjawily się kolory i Izajasz ucieszył się, ale zaraz z kolorami zaczęło robić się coś dziwnego i Izajasz zastygł w przerażeniu. Oto niebo namalowane nad krakowskimi Błoniami zaczęło topić się i przemieniać z łagodnej, błękitnej akwareli w rozmyty i ociekający brudem gwasz. Oto topniały, a może gniły i rozkładały się namalowane jedną kreską papieskie żółcie, gniła i rozkładała się plama kardynalskiej purpury, rozchodziła się w szwach namalowana biel wykrochmalonych męskich koszul w namalowanym tech-

niką impresjonistyczną tłumie, oto cała papieska msza wyciekała z ekranu, cała papieska msza gniła na tym płótnie, cała papieska msza ulatniała się, rozpływała i w szwach rozchodziła, odsłaniając przestrzenie niebytu. W miejsce ściekających oślizgłych barw – Izajasz Anioł obserwował to z przerażeniem narastającym i chwytającym za gardło – zostawała mleczna pustka podkładu, jakim gruntuje się płótno. Na tej przerażającej płaszczyźnie, w pustce białej jak zamieć i lód, majaczyły teraz dwie postacie – schodząca i wstępująca. Izajasz Anioł patrzył i nie miał pojęcia, kto to może być, próbował skojarzyć osobę, lecz nic mu nie przychodziło do głowy. Przebiegło mu przez myśl, że to anioły, które czuł wokół swojej osoby tyle razy, jednak postać schodząca miała, jak dostrzegł Izajasz, torbę na długim kijku i nie wyglądała na anioła. Izajasz zapomniał o papieskiej mszy, zapomniał o Błoniach, zapomniał o śpiących, nieświadomych tych telewizyjnych przemian zwierzętach. Izajasz zastygł i milczał. Nikt prócz niego nie widział tego, co stało się przed chwilą. W oczach Izajasza Anioła pojawiły się dwie jasne łzy.

*

Tego dnia, siedemnastego sierpnia dwa tysiące drugiego roku siedziałem u Izajasza Anioła, słuchałem jego naznaczonego patosem monologu, popatrywałem wraz z Izajaszem na ekran, piłem herbatę, milczałem. Czułem się jak fałszywy czcigodny Jan, o którym czytałem w jednej z książek pożyczonych od Izajasza Anioła, że był powiernikiem świętego raba Bożego Symeona, ruskiego jurodiwego. Czułem się jak fałszywy Epifaniusz, powiernik świętego Andrzeja z Konstantynopola. Czułem się jak Platon, który nie mógł znieść bezsilności uwielbianego nauczyciela i dlatego wymówił się chorobą od odwiedzenia Sokratesa w więzieniu – i czułem się niewyraźnie. By nie powiedzieć: podle. Tyle lat towarzyszyłem dyskretnie życiu Izajasza Anioła, tyle lat wysłuchiwałem jego monologów i przypatrywałem się jego uczynom – i nigdy nie uwierzyłem w Boga, którego on miał przez cały ten czas na uwadze. Nigdy. Pojąłem to z całą strasznością. I teraz nawet to straszne zwierzę we mnie, to, jak je

nazywał Saul Bellow, okrutne szydzące zwierzę, *animal ridens*, które zawsze mogło odezwać się najniestosowniej – ono także milczało zupełnie. Papież tymczasem mówił – zastrzygłem uszami – o *ludziach wiedzionych zmysłem wiary* i nie zauważyłem, by na krakowskich Błoniach ktokolwiek zareagował żywiej na te jego tak niesamowite słowa. Izajasz Anioł siedział obok zastygły w milczeniu, z rękami złożonymi jak do modlitwy. Zdawał się nie usłyszeć słów, które padły przed chwilą z telewizora.

*

Papież mówił o *zmyśle wiary*, tyle do mnie wtedy doleciało, a ja zrozumiałem w błysku, czego mi brakowało od zawsze. Zrozumiałem, że brakowało mi *zmysłu*! *Zmysłu wiary*, przecież to oczywiste – aż podskoczyłem na krześle, kiedy to do mnie dotarło. Chciałem powiedzieć o swoim odkryciu Izajaszowi, ten jednak w najwyższym stopniu skupiony był na kontemplowaniu mszy, a w dodatku, od kilku minut płakał cicho, wpatrując się ekran. Dlatego nie powiedziałem mu wtedy, że zawsze brakowało mi *zmysłu wiary* i że w jego obecności nie wierzyłem tak samo, jak przy mojej jasnowidzącej żonie. Przy niej broniłem się z mocą całego dostępnego mi sceptycyzmu przed popadnięciem w omamy i widzenia złudne, przy niej nie uwierzyłem w ekofeminizm, techgnozę i wegetarianizm; zaś przy Izajaszu nie przekonałem się nigdy do żadnego z odłamów chrześcijaństwa, ani do katolicyzmu ani do prawosławia, ani nawet do protestantyzmu. Teraz wiedziałem, dowiedziałem się od papieża: brakowało mi *zmysłu wiary*, szóstego ludzkiego zmysłu. Izajasz miał go i wierzył, Luiza miała go także, oboje byli wierzący – ja nigdy – pojąłem to w jednej chwili, słuchając kazania na Błoniach – ja nigdy taki nie będę.

ROZDZIAŁ XXVI

Jeszcze jedno zmyślenie i prawda...

Dzięki Bogu, o ile Bóg ten istnieje, cieszę się dobrą pamięcią i mogę właściwie do woli przewijać na jej cichych szpulach ten film, który jest moim życiem, a którego nikt poza mną nie zobaczy. Reżyserem jest Mnemozyne, ja mogę być montażystą. Mogę bawić się w montażystę, ciąć dowolnie i retuszować kadry, jednak lubię, żeby było możliwie najdokładniej, chociaż wiem, że nigdy nie będzie tak, jak było. I teraz, kiedy puszczam ten tragicomiczny film po raz n-ty, nie wiem, czy widzę ten dzień, gdy weszliśmy – ja i Luiza, po raz ostatni razem – do Izajasza Anioła, czy tylko to wszystko wymyślam: ten dzień, Izajasza, Luizę, a zwłaszcza tamtego siebie. W każdym razie na pewno weszliśmy i zastaliśmy go z książką. Było tuż po wyjeździe papieża, koniec sierpnia, wieczór cichy i parny.

*

Zastaliśmy go z obłożoną w szary papier książką, pogrążonego w lekturze, nieobecnego duchem. Chociaż bardziej podobnego do ducha niż do człowieka siedzącego za stołem. „Duch nieobecny duchem” – przeleciało mi głupio przez głowę.

– Dzień dobry. Co to za książka? – spytałem, żeby jakoś zacząć.

Chcieliśmy powiedzieć Izajaszowi, że my długo już nie będziemy razem. Co prawda ostrzegał nas dawniej, że nie pasujemy do siebie, ale wtedy nie słuchaliśmy, no a teraz było tak, jak wyszło.

– *Pismo Święte*. Przeczytać wam coś, moje dzieci? – Izajasz wzrok miał przytomny, a w głosie siłę, której nie słyszeliśmy u niego już dawno. Zmylił nas tą swoją siłą, a może istotnie w tej chwili miał w sobie więcej takiej energii, którą czerpał z wiary. Wraz z katolicką celebrą i katolickim kultem tajemnicy Izajasz zyskał i to także, że sam stawał się, kiedy chciał, tajemnicą, i jak tajemnica bronił się przed rozpoznaniem... Nie zawsze to rozumiałem... Pytałem o to później Luizę, lecz i dla niej było to zagadkowe, niejasne. Powiedziała jedynie, że tego dnia wyczuwała coś w aurze Izajasza, w powietrzu, które według niej niesamowicie wokół Anioła wibrowało. Ale były to – musiała przyznać – fluidy nieznanne, obce. Jakby nagle temperatura spadła, lecz termometr nie pokazał zmiany.

– Tak – odpowiedziałem Izajaszowi natychmiast.

Luiza nie zdążyła zaprotestować. Rozsiedliśmy się wygodnie na krzesłach, wśród zwierząt z Izajaszowej arki, telewizor grał cały czas cicho, tak cicho, że w ogóle nam nie przeszkadzał.

– A który fragment? – zdążyła jeszcze spytać moja już była – o czym Izajasz nie wiedział – jasnowidząca kobieta, która *Pismo Święte* badała swego czasu pod kątem niezgodności z feministyczną teorią równouprawnienia kobiet i mężczyzn.

– To będzie coś z Ezechiela. Część trzynasta, od wersu dwudziestego drugiego.

– Znam ten fragment, to o widzeniach złudnych – oczy Luizy rozbłysły i wyraźnie ucieszyła się z tego, że może Izajaszowi pokazać, jak to zna się na jego religii. – Czy mogłabym... – Luiza niby to skromnie spuściła swoje duże oczy – zapytać o coś?

*

– *Diabolus in femina* – chrząknął Izajasz Anioł i popatrzył na Luizę ostrzej, jak gdyby chciał ją swoim spojrzeniem unieruchomić. – Pytaj, proszę...

– Czy według pana ten świat – Luiza pokazała palcem ściany obwieszane obrazami Izajasza Anioła – jest rzeczywisty?

– Owszem – Izajasz rozluźnił się, chociaż dziwne było, że nie zapytał, jaki związek ma to z Ezechielem. – Dlaczego nie?

– A te przedmioty? – Luiza jeszcze raz wyciągnęła palec i pokazała kolejno kilka rzeźb kamiennych, kilka drewnianych figurek, obój wiszący na ścianie, kalendarz z reprodukcjami ikon z Galerii Tretiakowskiej, a w końcu stos książek przy ręce Izajasza z *Kazaniami i traktatami* Mistra Eckharta na wierzchu. – Czy to też rzeczywiste?

– Jak najbardziej – zastanawiał mnie spokój Izajasza, który nie cierpiał, kiedy mu przerywano.

– W jakim sensie? – Luiza podniosła głos o pół tonu. – W jakim sensie to jest rzeczywiste, niech pan powie?

– W każdym, moje drogie dziecko – westchnął Izajasz i przysunął sobie pod oczy książkę. – W każdym, w jakim tylko chcesz.

– Wiedziałam – Luiza oklapła. – Dobrze już, niech pan czyta ten fragment. Ten o wiedźmach – uśmiechnęła się krzywo. – Znam go, znam...

– *Mundus vult decipi* – Izajasz zaśmiał się nieoczekiwanie. – Świat chce być oszukiwany, prawda? Pani Luiza z jej złudzeniami też, tak? – nie byłem pewien, czy Izajasz stwierdzał, czy pytał. – *Diabolus in femina* – powtórzył. – A taka mądra, taka sympatyczna... I taka ładna... Oczka, nosek, usteczka... – obejrzał ją sobie dokładnie i cmokał teraz z niewinnym, rzekłbym dziecięcym zachwytem

– Słucham? – Luiza udała, że nie dosłyszała, ale widziałem, że zagryzła wargi. Jej feminizm został tym „taka ładna” upokorzony równie dotkliwie i mocno, co przed chwilą tym „w każdym sensie...” jej buddyzm, jej pewność iluzji. Patrzyłem na nich, przysłuchiwałem się ich rozmowie i czułem się jak nie przymierzając Hans Castorp pomiędzy transcendentnym jezuitą Naphtą i *new age’owym* Settembrinim w spódnicy. On mówił „krzyż”, ona odpowiadała „lotos”; on szeptał „asceza”, ona odpowiadała „radość”; jego moc była równa jej determinacji, między nimi trudno było o zgodę. Dlatego cieszyłem się w duchu niezmiernie, że Luiza tak rzadko zgadzała się iść ze mną do domu Izajasza Anioła. Co

by było – myślałem – gdyby spotykali się częściej? I co by było, gdybym ja miał im asystować zawsze?

Z zamyslenia wyrwał mnie głos Izajasza.

– No nic, żarty na bok, kochani. Już czytam, skupcie się, moi mili – Izajasz sięgnął do książki, poślinił palec i zaczął wertować strony. Luiza zastygła na krześle, przymknęła oczy, czekała.

*

– Tak, to będzie ten fragment o widzeniach – zaczął Izajasz. – Ale nie przeszkadzajcie, proszę, nie przerywajcie mi pod żadnym pozorem... To naprawdę ciekawy fragment... No... już zaczynam... „Przeto tak mówi Jahwe Pan – zaczął czytać Izajasz Anioł – Oto wystąpię przeciwko wstążkom, którymi usidlacie dusze jak ptaki – tu Izajasz popatrzył z czułością na kanarka. – Pozrywam je z ramion waszych i dusze przez was usidlonę wypuszczę na wolność – tu nie wiem czemu popatrzył bystro na mnie. – Pozrywam wasze zasłony... Tu mogłoby być coś o Maji, co Luizo? – Izajasz wtrącił to szybko, ale nie czekał na żaden komentarz. – Pozrywam wasze zasłony – czytał dalej – i tak jak ptaki wyzwolę lud mój z rąk waszych, aby już więcej nie był łupem w waszych rękach, i poznacie – głos Izajasza rozwibrował się niebezpiecznie mocno, tak że czułem dreszcz w kręgosłupie i nagle zacząłem się pocić – i poznacie – powtórzył – że Ja jestem Jahwe. Ponieważ zasmucałyście kłamstwem serce sprawiedliwego, chociaż Ja go nie zasmucałem i ponieważ wzmacniałyście serce bezbożnego, aby nie zawrócił ze swej drogi zły i żył – Izajasz raz jeszcze przerwał i wpił się w nas strasznym spojrzeniem jak z ognia – dlatego – zagrzemiał tak, że zadrżały szyby – dlatego – powtórzył – nie będziecie miały więcej widzeń złudnych i nie będziecie więcej prorokowały. Wyzwolę lud mój z ręki waszej i poznacie, że Ja jestem Jahwe” – skończył i opadł na krzesło, z którego podniósł się w trakcie tej prawie że recytacji. Na mgnienie wydało mi się zresztą, że jest czytaniem na głos – tak naładowanym emocjami, tak emfatycznym – zmęczony, ale szybkość, z jaką sięgnął po szklankę z herbatą świadczyła o czymś przeciwnym; miał widać jeszcze mnóstwo energii.

– To my już może pójdziemy – mrugnąłem do jasnowidzącej i szybko wstałem, by nie dać Izajaszowi możliwości przetrzymania nas, tak jak to zazwyczaj robił. – Innym razem przyjdziemy pogadać – próbowałem uśmiechnąć się rozbrajająco, nie mam jednak pewności, czy odniosło to jakikolwiek skutek prócz tego, że Izajasz nie zaprotestował. – Dzisiaj musimy się spieszyć, tak tylko wpadliśmy na moment – skłamałem, a może mówiłem prawdę, w końcu faktycznie zbieraliśmy się do pożegnania. – No, niebawem pojawimy się znowu, na dłużej – plątałem się w obietnicach, ciągnąc zgłuszoną mową Izajasza Luizę do wyjścia.

*

Na zewnątrz Luiza stwierdziła, że czuje się jakoś dziwnie. Pobladła i miała zmętniałe źrenice.

– To znaczy? – spytałem, bo także czułem się jakoś inaczej; niby wszystko było ze mną w porządku, ale nagle poczułem się stary. Chłopie, pomyślałem szybko, co z tobą? Przecież jesteś dopiero po trzydziestce – przekonywałem się w duchu sam nie wiem, do czego i po co. W te myśli wpadł głos mojej bladej jak prześcieradło Luizy.

– Nie będę już wykonywać wizji – stwierdziła nagle i prosto. – Załatwił mnie – dodała jeszcze i zaklęła tak orydynarnie, że odwróciła się w naszą stronę jakaś idąca przed nami para z dzieckiem.

– W sensie? – zatrzymałem się i spojrzałem jej w oczy.

– Załatwił mnie w sensie ścisłym ten twój jurodiwy mistrz Anioł – i znowu zaklęła słowami, których po niej nie spodziewałem się nigdy. – Jak on to – Luiza kręciła głową – jak on to zrobił? Czytaniem?

Nie wiedziałem, lecz wychodziło na to, że rzeczywiście Izajasz zrobił to Luizie czytaniem. Przeczytał jej fragment z *Pisma* i szlag trafił nagle jej talent. Szlag trafił widzenia złudne, tak samo jak przepowiednie trafne. Szlag trafił źródło dochodów – przez moment zapomniałem nawet, że już nie jesteśmy razem – szlag trafił Luizę i mnie.

Wzburzony ruszyłem dalej, chciałem dojść jak najszybciej do domu. Chciałem zadać jakieś sensowne pytanie, ale w głowie

miałem tylko „Naprawdę?” Moja ex-jasnowidzka szła szybko obok, coś mruzczała i klęła pod nosem. Prawdę mówiąc nawet się nie dziwiłem. Prawdę mówiąc – pomyślałem natychmiast – Izajasz zdecydowanie przesadził. Luiza już prawie biegła i w tym biegu nie przestawała kląć. Sam bym zaklął, gdyby mnie to spotkało. Chyba nigdy nie rozumiałem tak dobrze Luizy, od dzisiaj – ex-jasnowidzki.

*

Niedługo potem Izajasz Anioł trafił do kliniki neurochirurgii i neurologii przy ulicy Jana III Sobieskiego w Warszawie. Pojechał tam – jak dowiedziałem się od jego cichej żony, z którą nigdy nie rozmawiałem zbyt długo – sam i sam też poprosił – to już powiedział mi lekarz – o zapisanie go na oddział dla osób z depresją. Tak się podobno wyraził: „z depresją”. Po krótkiej rozmowie wstępnej lekarz, jeden z dwóch, z którymi przez cały czas pobytu Izajasza w klinice spotykałem się, by omawiać tak zwane postępy choroby, wpisał Izajasza Anioła na listę pacjentów i polecił pielęgniarkom zaopiekować się nowoprzybyłym. Izajasz dostał piżamę, papucie i łóżko na sali z chłopakiem po samobójczej próbie i trzema wysztywnionymi jak świątki, udręczonymi katatonikami, którzy odtąd byli mu audytorium – doskonałym, bo bez oczekiwań. Po przebraniu się w szpitalne ciuchy Izajasz wziął lek i usnął.

*

Przez pierwsze miesiące odwiedzałem go wielokrotnie, ale nie udało mi się nawiązać z nim normalnego kontaktu. Izajasz Anioł poznawał mnie, byłem tego pewien, ale odzywać się nie chciał. Przychodziłem więc, podawałem pielęgniarce torbę z jabłkami i bananami, sokami i słodyczami, które kiedyś tak lubił. Zostawiałem też drugą torbę z różnymi książkami, ale Izajasz na książki nawet nie spojrział. Brał owoce, ale literatury nie tykał. Raz jeden ożywił się nieco, albo też tak mi się wydawało, kiedy przyniosłem mu *Naśladowanie Chrystusa*. Poobracał chwilę

w palcach tę książkę, pomiętosił okładkę zdrewniałymi palcami i kiedy miałem już nadzieję, że otworzy i przeczyta fragment, rzucił ją lekko na stolik tuż obok szpitalnego łóżka.

*

Przykre to były spotkania. Siadałem i nie wiedziałem, co zrobić: mówić do niego, dotknąć go, czy tylko patrzeć, jak rozsypuje się przy mnie, jak śmieszna pasiasta piżama nie daje rady utrzymać tej postaci tak gigantycznej w moich oczach. Towarzyszyłem mu kilkanaście lat, towarzyszyłem mu i widziałem, jak wznosił się, jak stawał się każdym świętym, którego żywot poznawał, jak doskonalił się i z jak niesłychaną wrażliwością odnosił się do mnie, do mojej jasnowidzącej Luizy, do obcych mu ludzi, a nawet – coś, czego ja nie umiałem nigdy – jak traktował z czułością zwierzęta, rośliny, wodę, powietrze i ziemię. Jak wzruszał się wszelkim istnieniem. Przypominałem sobie, jak żartowaliśmy z Luizą na temat tego, że Izajasz, gdyby zechciał, byłby lepszym buddystą niż ona, tak wyraźne żywił przekonanie, że nie należy niczego zabijać. Przypominałem sobie, jak nieraz po wizycie u niego, kiedy już trochę podrosłem, skończyłem szkołę, zdałem maturę, a nawet poszedłem na uniwersytet, jak nieraz wracałem wzruszony i prawie że uskrzydłony – a teraz wiedziałem, że stan ten nie będzie mi towarzyszyć już nigdy. Patrzyłem na Izajaszę Anioła, na równo przystrzyżoną brodę, na piżamę zmiętą i niedopiętą, na zniszczone, zszarzałe papucie, i myślałem, że jest swoim własnym Hiobem, tak jak był swoim własnym Izajaszem i jak był swoim Ezechielem, Noem, a także swoim własnym Michałem Aniołem, którego kochał całe życie tak bardzo, że mógł mówić o jego dziełach godzinami. Patrzyłem i uświadamiałem sobie, że był także, chociaż tego nie wiedział, moim wielkim szalonym prorokiem, moim Hiobem i moim Noem. Noem był – pomyślałem przez chwilę z gorzkim śmiechem do wewnątrz – może w tym wszystkim najbardziej. W końcu przygarnął mnie kiedyś, dziecko ulicy, samotne, do siebie i umieścił pośród swojego królestwa, gdzie spędzałem z nim długie godziny. Obserwując jak rządzi wśród ludzi, jak kochają go jego zwierzęta. Brat

chomik i brat kanarek, siostra kotka niezależna nad miarę... Jak słuchają go, kiedy wygłasza pompatyczne i straszliwe tyra-
dy. Noem był, pomyślałem, szczególnie: oprócz rodziny i zwie-
rząt zapragnął też zabrać człowieka. Trafiło na mnie. Przypa-
dek? Nie wiem.

*

Mijały puste godziny, mijały wypełnione pustką dni i tygo-
dnie. Przychodziłem w miarę regularnie i siedzieliśmy obaj, sie-
dzieliśmy i milczeliśmy, przychodziłem, wstawałem i wychodzi-
łem. Obserwowałem mojego mistrza, przypominałem sobie jego
dawną żywotność i nie chciałem pogodzić się z myślą, że zdrowe-
go już go nie zobaczę. Lekarz mówił mi o wszystkim, co ważne
i niczego mi nie oszczędzał. Z początku może nawet mamilem
się nikłą nadzieją, że Izajasz Anioł wyzdrowieje i niebawem po-
wróci do domu, ale trwało to krótko – Izajasz swoim zachowa-
niem coraz mocniej pozbawiał mnie złudzeń. Szczególnie, że le-
karz relacjonował mi na bieżąco, co Izajasz opowiadał na zaję-
ciach terapii grupowej, jak mówił o słuchaniu codziennych ser-
wisów informacyjnych z kraju i ze świata, jak przeżywał w wy-
obraźni wojnę na wciąż niespokojnych Bałkanach, jak przeży-
wał rzezie w Czeczenii, jak przeżywał już prawie pół wieku trwa-
jący konflikt pomiędzy Izraelem a Palestyną, którego echo odży-
wało co rano w jego głowie, jak załamał się – czego nie wiedzia-
łem – po jedenastym wrześniu, i jak dręczył się kataklizmami,
śmierciami i głodem, czyli tym wszystkim, o czym ja – bądź
z Luizą bądź pośród moich cudownie, ale nigdy dość trwale za-
ślepiionych kochanek – starałem się nie pamiętać. Starałem się
nie pamiętać, a to, że wciąż pamiętałem, zawdzięczam wyłącz-
nie jemu, który ze mną nie miał już o czym rozmawiać.

Raz jeden odezwał się do mnie, kiedy go odwiedziłem, ale
nie mówił w sposób właściwy mu, kiedy cieszył się dobrym zdro-
wieniem. W zdumieniu nie usłyszałem początku wypowiedzianego
zdania. Końcówka brzmiała jak „osu” czy „osa”, początku nie
dosłyszałem. Rozejrzałem się więc, gdzie ta osa, ale nie zobaczy-
łem żadnej. A Izajasz już się nie odezwał. Jak gdyby na ustach
miał pieczęć.

ROZDZIAŁ XXVII

Biodrówki na *svadisthanie*...

Przebojem upalnego lata, co Luiza, z którą wtedy spotykałem się już rzadko, odnotowała skrzętnie i z naturalnym przekąsem byleż jasnowidzącej, okazał się wąski pasek cielistej opalenizny z nagim, prowokacyjnie i – co Luizę złościło szczególnie – pornograficznie odsłoniętym pępkiem oraz dwoma sekretnymi dołeczkami, podobnie nagimi i podobnie, mnie przynajmniej, zachwycającymi – z tyłu, na wysokości *svadhistany*.

– Czego? – spytałem, bo nie byłem pewien, czy to jest to, o czym pomyślałem.

– *Svadhistany*. Co, już nie pamiętasz?

Rzeczywiście, mało co pamiętałem.

– No nie – przyznałem. – Więc co to?

– *Svadhistana*, czakra druga, krzyżowa i płciowa – Luiza wskazała dłonią miejsce gdzie to miało być – to punkt, w którym mieszka tajemnicza jaźń, to czakra seksu i pewności siebie, czakra związków i autorytetu, powiązana z obawą o utratę kontroli i mocy. Druga czakra – Luiza wyraźnie się rozkręcała, a ja jej nie przeszkadzałem, nie spieszyłem się tego dnia nigdzie – *svadhistana* daje nam niezależność. W drugiej czakrze zapisany jest cały nasz erotyczny potencjał i uwodzicielskość. To tu mieści się seks i myśl o nim. Ośrodek ten rządzi popędem – wyliczała – jego kolor jest krwście czerwony, wręcz szkarłatny, a w ikonografii przedstawiany jest z sześcioma płatkami i...

– Seks to chyba jednak – wtrąciłem ze sceptycyzmem, obserwując pobudzenie Luizy – chyba w głowie się mieści. Nie?

– W *svadhistanie!* – Luiza miała na twarzy wypisaną absolutną wiarę w moc drugiej czakry. – W *svadhistanie* jest ośrodek seksu! W *svadhistanie*, którą dzisiaj tak chętnie i bez namysłu demonstrują dziewczęta, a nawet kobiety dojrzałe, z tych, co nie wiedzą, kiedy trzeba przestać. A powinny!

– Naprawdę? – skrzywiłem się. – Przecież nikomu to nie przeszkadza – mruknąłem cicho, a głośniej zażartowałem. – Może trochę to rzeczywiście rozprasza, ale ja osobiście nie mam nic przeciw takim akurat rozproszeniom.

Ale ex-jasnowidzka była już w takim stanie, że mogłem tylko przeczekać.

– Norbert, skup się na moment. Czy ty nie widzisz, co się dzieje? *Svadhista* jest dziś motorem reklam, w których mowa o wzroście znaczenia i mocy, o niebiańskim szczęściu, które ludziom kojarzy się prosto z orgazmem. Reklamy serwują, zauważ, przesłanie na poziomie bioder. A biodra to *svadhista*, pojmujesz?

– Jak zawsze łączysz wszystko prawą nogą do lewego ucha. Reklamy, biodra, *svadhista*ne. Co jeszcze wymyślisz?

– Nie widzisz tego? No co ty? Przecież do tego akurat nie trzeba być jasnowidzem. Zresztą, kiedy napiszę na ten temat artykuł, to może nawet ty coś zrozumiesz. Zobaczysz.

Na razie nic nie widziałem. Chociaż...

*

Tego zwyrodniałego lata, a od kilku są już tylko takie, przyglądałem się biodrówkom opiętym pod kuszającą jak zło *svadhista*na. Przyglądałem się biodrówkom dżinsowym, wpatrywałem się w te z materiału, skupiałem wzrok na dzwoniastych nogawkach, obcinałem spojrzeniem ciężkie buty na wysokim podbiciu, czasem z gumy, czasem modniejszym, bo z korka. Rozszerzane u dołu biodrówki, ześlizgujące się, tego nieprzytomnego lata, a od kilku są już tylko takie, zjeżdżające z tak wielu kształtnych tyłeczków, spływające wręcz lekko po skórze prawie każdej spacerującej dziewczyny, biodróweczki w połączeniu z niedbale, z ko-

kieterią nałożoną bluzeczką – nagie plecy, wstążeczka i nicość, pajęczyna na ramionach i piersiach – te biodrówki i smak *svadhistany* tego lata były przebojem większym niż Arkadiusz czy tlenoterapia.

Nie byłem nigdy fanatykiem mody, nie rajcowały mnie pokazy fasonów, nie myślałem o spodniach od Pierre’a Cardina czy butach Prady, żadnych ozdób wcale nie nosiłem poza starym, pamiątkowym krzyżykiem. Lecz w to lato zobaczyłem – uprzedzony przez moją ex – co może zdziałać tak niewiele materiału na skórze i była to – czemu tego nie widziałem wcześniej? – rzecz raczej nie do wyjaśnienia.

*

Te biodrówki na *svadhistanie*, ta ostentacja kobieca, kiedy nosi się coś, co zanika, co zaprzeczać ma prawom fizyki, co poddawać ma grawitację w wątpliwość, te bluzeczki markowe bez pleców, żeby widać było dużo i wszystko, nawet jeśli to wszystko to biuścik w typie „małe dwa kapcie z pomponem”, ta agresja i te, że tak powiem, asertywne, jędrne piersi z brodawkami twardymi jak lód – tego lata każdy mógł o tym myśleć i marzyć, że dla niego ta *svadhistana* i związane z nią różne rozkosze. Ja patrzyłem i wiedziałem, że dla mnie to jest czas bardzo długiej ekstazy, która skończy się wielkim bólem, bo tak to się kończy zazwyczaj. Właściwie powinienem się cieszyć, właściwie powinno w tej modzie podobać się mnie oraz innym mężczyznom to wszystko, co moda ta niosła. A jednak nie potrafiłem cieszyć się *svadhistaną*; zanikło gdzieś moje pragnienie mnożenia życiowych doświadczeń, to znaczy zmieniło się moje (zmieniało się już od dawna) nastawienie do zaślepiania coraz to nowych, cudownych i coraz młodszych kochanek. Sam nie wiem, jak do tego doszło, ale fakt faktem – tak było. Przestałem gapić się na wszystko, co miało choć trochę z kobiety. Bawiło mnie jeszcze tylko wpadanie w stan melancholii na widok kobiecych pleców z uroczą wklęsłością *ensellure*.

*

Cudownie kształtne *ensellure* – słowo to zawdzięczę dziełu pewnego entomologa hobbysty, a używam go by nie nadużywać powiedzeń ex-jasnowidzki Luizy – *ensellure*, czyli wklęsłość lędźwiowa, kilka kręgów zaraz w dole pleców, to miejsce gdzie ciało kobiety jest giętkie i sprężyste jak płeć. Trudno raczej spotkać starszą kobietę, która mogłaby kusić tym miejscem, która mogłaby poddać ten skrawek swojego ciała pod ocenę młodych męskich spojrzeń, nie wzbudzając uczuć dość sprzecznych, mieszanych żartobliwej pogardy i litości zaprawionej szyderstwem. *Ensellure*, czyli *svadhistana*, przebój lata i hit kilku pokoleń: czakra seksu nagle ostro na topie z przypisanym jej wyuzdaniem (co nie było mi obce i straszne, lecz czy one, te w biodrówkach, wiedziały?). Zastanawiałem się nad tym. Zatrzymywałem swoje pozornie ślepe spojrzenie na tych eksponowanych drobniactwach tak mi drogiej damskiej anatomii i byłem z momentu na moment, z sekundy na sekundę coraz bardziej pewien, że oto stało się coś nieodwracalnego. Ale co tak właściwie stało się tego wyuzdanego do niemożliwości lata, co stało się w czerwcu dojrzłym jak owoc, co stało się w czasie lipca, który upłynął pod znakiem ogólnokrajowych przygotowań do kolejnej pielgrzymki papieża, a jednak nie tylko, nie tylko, bo przede wszystkim upłynął, czy raczej zanurzył się cały w lipcową, a potem sierpniową lubieżność? Co za nowe szło krokiem kobiecym, kołyszącym delikatnie i miło cudem odsłoniętego *ensellure*, dzikim cudem błyszczącej, zwilżonej balsamem *svadhistany*? Co znaczyło to eksponowanie czakry mniejszej, odsłanianie jej? Nie wiedziałem, nie rozumiałem, świat otaczał mnie niespodziankami. Kończył się dla mnie czas olśnień kochankami co i raz nowymi, gasł we mnie – przynajmniej chwilowo – cały zapał do uwodzenia. Luiza natomiast, niemająca pojęcia, co dzieje się tego lata ze mną, wyglądała na uszczęśliwioną. Może miało to związek z naszym rozstaniem, może beze mnie wreszcie mogła odetchnąć, nie musiała już słuchać zmyśleń, nie musiała już cierpieć z zazdrości. Nie wiem.

*

Luiza, tropiąca tego lata ezoterykę we wszechświatowej modzie, kiedy ją znów odwiedziłem, by zabrać kilka swoich książek, nie mówiła o naszym rozstaniu, nie wracała do kwestii z przeszłości, wyjaśniła mi za to zjawisko *svadhistany*, o której myślała, wyjaśniła je bardzo prosto i bardzo – jak to wyczułem – złośliwie:

– Jak by to stwierdził twój Izajasz i muszę się z nim trochę zgodzić, oto nadszedł Babilon i Szeol – Luiza uniosła dłoń, mrużąc do mnie szyderczo i naśladując bombastyczność Anioła pokrzykiwała pół basem – oto przyszły armagedońskie czasy, ciemność piekieł za plecami wyrasta, zmora Bestii wyszła w chwale na miasto. Tak by powiedział, co? – wyszczerzyła w moim kierunku zęby i rozchichotała się jak nastolatka.

Słuchałem tych kwiecistych perełek, tych pseudobiblijnych powtórzeń i racji, i myślałem, że jedyne, co widzę, to ulice pełne półnagich kobiet. Ta bielizna – dwie tasiemki przez krocze – ta tiulowość, te błyski dodatków – kojarzyły się raczej z dzikością lekkiej mody z Haiti lub Mali. Nie widziałem w tym Armagedonu. Luizę jak zwykle poniosło. A jednak...

*

Przecież od dawna szło nowe – myślałem, wracając od ex-jasnowidzki z plecakiem książek, które łaskawie pozwoliła mi zabrać. – Przecież wiedziałeś – mówiłem samemu sobie – czym się to wszystko skończy. Oto ulicą szła sympatyczna dziewczyna, ubrana zdecydowanie skąpo, jak gdyby chciała stanowić potwierdzenie legendarnego zdania „I znowu nie mam co na siebie włożyć”, a ja próbowałem zrozumieć i chyba nie rozumiałem, tylko czułem, że coś się zmieniło, że nie będzie już jak kilka lat temu. Waham się, nie stwierdzam z całkowitą i nieodwołalną kategorycznością, że każda kobieta tego lata była w istocie naga, lub bliska rajskiej nagości. Ale fakty mówiły za siebie: miały stringi, siateczkę i kilka bezsensownie kolorowych nitek okręconych wokół kształtnego tułowia. Wygląd miały, gdy z daleka

patrzyłem, luksusowego prezentu. Bombonierki, której można pragnąć, bombonierki, którą można otworzyć jednym szarpnięciem. Pomyślałem może nawet o torcie, bo skądś chyba musiały wyskoczyć, a tort wydawał się idealny, więc myślałem, że może z tortu. Chciały być – pomyślałem – wyuzdane nieznacznie i piękne w stopniu doskonałym, były zaś wyuzdane drastycznie i przerysowane żałościwie, ich ubrania spowijały pretensje, pajęczyny narcyzmu i kiczu; były może bombonierkami, ale jakby wywróconymi na nice. A ten tort, który przyszedł mi na myśl, był za słodki, żeby chcieć go smakować. Tego lata w powietrzu – tak myśląc w końcu zgodziłem się z ex-jasnowidzką Luizą – czuć było *svadhistanę* – i było to straszne. Straszliwe.

– Podoba ci się to lato – stwierdziła moja ex-jasnowidzka, kiedy spotkałem ją przy kolejnej wizycie, tym razem wywożąc ubrania, pamiątki i dokumenty.

– Nie bardzo, bo nic nie rozumiem – odpowiedziałem, wkładając do plecaka kilka par moich spodni, jeden garnitur i buty. – Czuję się trochę jak w kraju opanowanym przez naturystki.

– Ty? – nie uwierzyła. – No, nie mów, że ci to przeszkadza.

A jednak czułem się niewyraźnie. I – nie wiem, czemu tak było – czekałem na jesień, na chmury, czekałem – jak nigdy – na chłód. Luiza postanowiła napisać o modzie na *svadhistanę* i wysłać artykuł do *Wróżki* bądź też do *Nie z Tej Ziemi*. Powiedziałem jej, że to dobry pomysł, w końcu z czegoś musiała żyć.

Zabrałem swoje ubrania, powiedziałem jej krótkie cześć i wyszedłem, nie przypuszczając, że zobaczę ją dopiero przed Gwiazdką.

ROZDZIAŁ XXVIII

Madonna w płatkach lotosu...

W paczce doręczonej Luizie – jak napisała mi w długim i dość suchym liście, który dostałem od niej w wiele miesięcy po rozmowie o *svadhistanie* – w okolicach listopada roku dwutyśniętego trzeciego, znajdował się obraz malowany przez Izajaszę Anioła na terapii zajęciowej dla wychodzących z obłądu – jak ich nazywał lekarz – ontologików, eschatologików, charyzmatyków i pomniejszych, ale nie mniej cierpiących depresjonatów i schizofreników obu płci. Do obrazu dołączono lakoniczny list psychiatry prowadzącego, w którym informował ex-jasnowidzkę Luizę, że Izajasz Anioł wielokrotnie dostawał ataków straszliwej furii, podczas których stawał się potencjalnym zagrożeniem dla reszty pacjentów i personelu kliniki i choć nigdy nikogo nie uderzył, ani nawet nie próbował dotknąć, to jednak, z przyczyn zrozumiałych – tak stało w liście – zakładano mu kaftan i przykuwano do łóżka pasami. Cechą charakterystyczną tych dziennych i nocnych ataków było to, że pobudzony Izajasz wykrzykiwał w ich trakcie tytuł tworzonego przez wiele tygodni dzieła oraz imię, nazwisko i adres mojej ex-jasnowidzącej Luizy, śmiejąc się przy okazji podobno upiornie – tak stało w liście – i wyjąc, że dar jeszcze wróci. Lecz jaki, tego Izajasz nie wspomniał. Podobno – pisał też lekarz. – Izajasz próbował tłumaczyć wiążącym go pielęgniarkom, że wojna jest ojcem wszystkiego, jak słusz-

nie nauczał Heraklit, ale że piękno, harmonia, a zwłaszcza porozumienie jest matką. I że ludzie zapomnieli o tym i dlatego świat trwa na krawędzi, dlatego przechyla się co dzień i grozi wypadnięciem w Otchłań. – Zrozumiałem, że wszystko ze wszystkim pomieszało się Izajaszowi. Gdzie Heraklit z jego „wojna jest ojcem”, a gdzie Jahwe – chrześcijański Bóg ojciec? Czy Izajasz utożsamiał Boga z trwającymi na świecie wojnami? Czy zapomniał o podstępach diabła, którym tyle zajmował się kiedyś? Widziałem, że nawet Luizę poruszyła tragedia Anioła.

*

Pojechałem do Luizy zobaczyć to dziwne – jak napisała – malowidło, o którym wspomniała, nie chcąc niczego wyjaśnić. Przyjęła mnie spokojnie, a nawet serdecznie i prosiła bym zechciał przekazać pozdrowienia mojej – pierwszy raz powiedziała to tak, jak ja myślałem o tym zawsze – cudownie zaślepionej kochance, czyli – jak zaraz dodała – Mercedes. Nie wiedziała, że byłem już z Gretą, a ja sam nie powiedziałem jej o tym. Epoka cudownie, lecz nigdy dość trwale zaślepionych kochanek minęła w moim życiu bezpowrotnie, nie była to jednak wiadomość, którą chciałbym dzielić się z moją ex-jasnowidzką.

*

Obejrzałem płótno Izajasza dokładnie, było piękne, wyjątkowo piękne. Nad powierzchnią błękitną jak woda unosił się jak gdyby zielony płomień, który po oględzinach okazał się smukłą i długą łodygą wyciągniętego jak struna lotosu, choć przez chwilę nie byliśmy pewni i zdawało się nam, że to róża i spieraliśmy się o to, aż Luiza sięgnęła po album, gdzie wśród kwiatów znaleźliśmy podobny: i to jednak był lotos, na pewno. Z kwiatu sypały się płatki, było ich nienaturalnie dużo. „Deszcz kwiecia – szepnęła Luiza. – Deszcz kwiecia w prawdziwej pustce”. W każdym – zobaczyliśmy to przyglądając się z bardzo bliska – odwzorowany został z niesamowitą wręcz pieczołowitością i nieludzką wręcz, artystyczną precyzją wizerunek jasnogórskiej madonny:

czarna postać w koronie, ze szramą na popękany policzku. Były tam jeszcze postacie ukryte w rozmazanym tle, tak że widoczne dopiero pod pewnym kątem i ze ściśle określonej odległości. Po kształtach figur rozpoznaliśmy w nich nagą kobietę i równie nagiego mężczyznę, patrzących na spadające płatki i jak gdyby na coś czekających. Niczego tam więcej nie było. *Madonna w płatkach lotosu* głosił koślawy, mikroskopijny podpis w prawym dolnym rogu obrazu. Poniżej było coś napisane. Wziąłem lupę i zastanawiając się, jak Izajasz poradził z tym sobie, przeczytałem: „Bo góry mogą ustąpić i pagórki się zachwiać, ale miłość moja nie odstąpi od ciebie i nie zachwieje się moje przymierze pokoju, mówi Jahwe, który ma litość nad tobą. – Iz. 54, 10.” I sygnatura artysty: serce trzymane na dłoni.

Po oddaleniu się od obrazu i stanięciu w odległości kilku metrów malowidło ukazywało jeszcze inny wymiar, jak gdyby obraz w obrazie. Już nie była to platanina kształtów, w których można dopatrzeć się kwiatów i postaci ludzi, teraz uwyrażniała się w całości twarz, autoportret Izajasza Anioła. Patrzyłem na tę malarską sztuczkę i nie wiedziałem, co myśleć. Po raz n-ty miałem pustkę w umyśle – i wiedziałem, że tak już zostanie.

*

– *Madonna w płatkach lotosu?* – popatrzyłem na zamyśloną Luizę.

– Ty nie rozumiesz, prawda? – zobaczyła, że na nią zerkam i odwzajemniła spojrzenie. – Ale, nie przejmuj się, Norbert. Ja też jeszcze nie wiem, co myśleć. Ale widzisz? Zobacz ten gest, o tutaj – skupiłem się nad obrazem i poszukałem detalu, który zwrócił uwagę Luizy. – Tu, widzisz – Luiza nie przestawała mówić – palec wskazujący madonny zamknięty jest w prawej dłoni na wysokości serca; to wschodni znak wiedzy. Widzisz?

– Tak, widzę.

– A te palce to, tak myślę, żywioły: mały – ziemia, serdeczny – woda, środkowy – ogień, wskazujący – powietrze, i kciuk – pustka, *siunjata*.

– Co?

– O, a tutaj – Luiza nie zwróciła uwagi na moje pytanie – to wygląda na połączenie przeciwieństw, jak w seksie, kiedy każde jest obojgiem naraz. Ale tu chodzi o światy – materialny i duchowy. A ten palec tej drugiej ręki – to umysł. Widzisz to?

– Nie.

Nie widziałem.

– Madonna – powiedziałem bez sensu. „I lotos” – dodałem w myślach.

*

Rzeczywiście o takim dziwnym tytule – powiedziała mi w chwilę potem Luiza – wspominał też lekarz w liście, stwierdzając, że Izajasz Anioł uspokoił się, kiedy go skończył malować. Uspokoił, to nie znaczy wyzdrowiał – takim zdaniem kończył się wywód doktora. Lekarz prosił też, by Luiza nie odwiedzała Izajasza Anioła. O mnie nie było w liście ani jednego słowa. Luiza wyznała mi jeszcze, że sama wybrała prostą, oliwkową ramę, że zaraz następnego dnia dała obraz do oprawienia i kiedy tylko dostała go z ramą, powiesiła go w dużym pokoju. Zajmował spory kawał ściany, tuż pod półką z książkami o magii, kadzidełkami i kopią rytualnej maski jakuckiego szamana, jaką Luiza dostała od przyjaciela, który transsyberyjską koleją pojechał aż do Władywostoku. Płótno Izajasza Anioła pasowało do tego miszmaszu.

– Zawsze chciałaś mieć jego obraz – skrzywiłem się w gorzkim uśmiechu. – A teraz masz najpiękniejszy, jaki tylko mogłaś sobie wymarzyć.

– Przecież wiesz, że nie tego chciałam. Ja go też na swój sposób... No wiesz... Szanowałam go. To chciałam powiedzieć... To znaczy... – umilkła i rozejrzała się wokół, jak gdyby szacując straty. Jak gdyby w mieszkaniu miała widzialne jedynie dla niej straszliwe pobożowisko, jak gdyby w mieszkaniu był duch, który szalał i wywracał sprzęty. Byliśmy tam jednak sami, my dwoje i obraz na ścianie.

*

– Izajasz Anioł – w oczach Luizy wyczytałem prośbę, bym jej nie przerywał. – On był jak postać ze *Starego Testamentu*. Okrutny, często niesprawiedliwy jak ten jego Jahwe, ale też pełen smutku, zawsze gotowy zażądać od swojego Boga, by wytłuma- czył mu się z tego, co zrobił. To jedyny prawdziwy katolik, którego gotowa byłam szanować.

– Ty jego? Za co?

– Że był wobec swojego Boga stanowczy, że nie płaszczył się, nie skomlał, jak ci dzisiejsi niedzielnii chrześcijanie. Izajasz Anioł chodził do kościoła, ale w istocie nie potrzebował pośredników. On wiedział, że pośrednicy są niepotrzebni, wiedział, że do kontaktu z zaświatami wystarczy moc, którą człowiek nosi w sobie.

– Naprawdę? Nie jestem przekonany, czy by się z tobą zgodził. On szanował kościół, księży, papieża...

– Ale ich nie potrzebował!

– Naprawdę? Przecież on chodził na mszę, uczestniczył we wszystkich świątach...

– Ale wiedział, że tego kościoła nie da się nazwać mistycznym. Wiedział, że to zorganizowany hierarchicznie moloch, walczący o rząd dusz na świecie. Wiedział Izajasz Anioł – Luiza miała w oczach wściekłość – że ten kościół chciałby tylko władzy, tu w Polsce i na całym świecie.

– Naprawdę? Do mnie nigdy tak nie mówił. Czyżbyście spotykali się potajemnie – zakpiłem.

– Ja mam intuicję, bęcwale! Intuicja mi to podpowiedziała!

Po tych słowach Luizy do mnie, kiedy tak prosto dała wyraz swoim przekonaniom, zapadła dość nieprzyjemna cisza i miałem czas, by rozejrzeć się po nie moim już od jakiegoś czasu mieszkaniu. Przybyło buddyjskich gadżetów („relikwii, Norbert, relikwii” – powiedziałyby ex-jasnowidząca), przybyło elementów *feng shui*. Na regałach poukładane leżały pentagramy, energetyczne wisiorki *reiki*, pierścienie szczęśliwej gwiazdy, magiczne pentakle Salomona, krzyżyki Atlantów, symbole fortuny i egipskie kamienie mocy. Wszystko to, co jeszcze całkiem niedawno pomagałem Luizie sprzedawać. Patrzyłem teraz na te przedmioty

i nie rozumiałem, jak mogłem tyle czasu przeżyć w ich towarzystwie, w świecie tak bardzo nie moim. Na drzwiach do kuchni zobaczyłem tabelę: *Kuchnia według pięciu przemian*. Meble zostały te same. Ponieważ było przed Gwiazdką, koło szafy świeciła choinka, ozdobiona tradycyjnymi bombkami i robionymi ręcznie wielorękkimi figurkami Sziwy i Siakti. Były na niej powieszono też inne, mroczne bóstwa z panteonu Wschodu. Ale już się nie przyglądałem. Zmęczyła mnie ta różnorodność.

*

– Odkąd mam tu u siebie ten obraz – odezwała się nagle Luiza, jakby przyznawała się z pewnym zawstydzaniem do czynu może niezabronionego, ale na pewno źle widzianego – siadam często w chwilach wolnych od domowych zajęć i wpatruję się w płatkę lotosu, wpatruję się w namalowaną w nich twarz. Wydaje mi się, że to nie może być tylko zapis szaleństwa, że to metafora poważniejsza, coś, co Izajasz chciał zostawić po sobie. Drażni mnie, że nie rozumiem...

– Dlaczego? – nie wspomniałem jej o *Kuszeniu*.

– Bo czuję, że to list do mnie. A ja go nie umiem odczytać. Ale...

– No? – byłem ciekaw, co powie.

– Próbuję. W końcu – Luiza poprawiła włosy gestem nie przeznaczonym dla mnie – to dla mnie go namalował. Nie sądzisz – spojrzała mi w oczy – że to zabawne.

Zastanawiałem się krótko.

– Nie wiem.

*

Pożegnałem się i wróciłem do Grety, mojej nowej, już ostatniej kochanki. To ona zmieniła mnie wtedy być może najbardziej ze wszystkich. To słuchając o jej dziwnych losach zacząłem rozmyślać o swoich, to dla niej postanowiłem spisać historię Luizy, Izajasza i moją.

Greta niedawno uciekła do Polski z niespokojnego wciąż Izraela, miała dosyć terroru i wojny, miała dosyć bojówek i strachu.

– Moim marzeniem, pewnie uznasz, że to śmieszne, ale tak było – powiedziała mi pewnego razu – moim marzeniem w Tel Awiwie było żyć tak, jak żyje się w Berlinie czy Warszawie, to znaczy żyć w spokoju, bez strachu, bez upokarzającego, codziennego lęku. Ty nigdy – mówiła do mnie – ty nie zrozumiesz, co to jest ta niepewność, która każe ci podejrzewać każdego, kto idzie z plecakiem, każdego, kto ma ciemniejszą skórę.

– Co czułaś? – spytałem.

– Bałam się i nie umiałam zignorować strachu. Strach dopadał mnie w różnych sytuacjach, na ulicy, w pobliżu centrów handlowych. Uzależniłam się też od serwisów informacyjnych, nie było mowy, bym nie obejrzała dziennika. Bałam się go oglądać i oglądałam. Kiedy nie działało się nic, truchlałam, ale jeszcze bardziej truchlałam, kiedy zaczynały się ataki terrorystów. Tam, w Izraelu – Greta wykonała nieokreślony ruch głową – ludzie żyją jak automaty, jak gdyby byli zaprogramowani, by zachowywać się z ostrożnością niespotykaną chyba nigdzie indziej na świecie. Moja starsza siostra uciekła do Genewy. Młodsza też już oznajmiła rodzicom, że ucieknie, jak tylko skończy naukę. To piękny kraj, ale trudno tam żyć. Tu jest łatwiej, jestem tego pewna.

*

Greta wyjechała w dwa tysiące trzecim roku z Izraela do Polski na własne życzenie, tak samo jak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym jej rodzice wyjechali z Polski, gdzie szalało antysemityczne UB, do Izraela, który wtedy wydawał się być krajem wolnym od nienawiści, krajem stworzonym dla Żydów, gdzie Żydzi mieli mieć wreszcie swój dom. O tym wszystkim Greta nie chciała mówić. Domyślałem się tylko z półsłówek, z jakim trudem zdobyła się na ucieczkę. – *Ma hamacaw baarec* – powtarzała czasem z nutą goryczy w głosie, oglądając wieczorne wiadomości, tego roku jak i wszystkich poprzednich wypełnione izraelskimi sprawami. – *Ma hamacaw baarec* – mówiła wtedy z nieprzyjemnym, bolesnym zacięciem. Spytałem ją, co to znaczy.

– To pytanie o sytuację w kraju, jaka jest sytuacja w kraju, w ojczyźnie, rozumiesz? – wyjaśniła. – Tam wszyscy ciągle o to

pytają. Ci, co wyjechali na tydzień i ci, co wyjechali na lata, i ci, co nagle wracają do domu w Hajfie czy Tel Awiwie, i ci, którzy po prostu przez jeden dzień nie słuchali lokalnych wiadomości. To koszmar, mówię ci, Norbert, to koszmar. To ciągle *Ma hamacaw baarec*, ten strach, ta cała wojna.

O więcej jej nie pytałem, było widać, że nie ma ochoty opowiadać za dużo o życiu, z którego musiała uciekać. Opowiedziałem jej za to, w rewanżu, o Izajaszu Aniele, licząc, że ona jedna zrozumie, jak ogromnie cierpiał.

Teraz Greta była, od niedawna, ze mną i twierdziła, że jest w końcu spokojna. Kiedy jechałem więc do niej, do nowej, ostatniej kochanki, bardzo młodej i absolutnie świadomej, i kiedy byliśmy razem – byłem niezwykle spokojny, byłem spokojny naprawdę. Wraz z Gretą skończył się w moim życiu etap kochanek zaślepionych cudownie, lecz nigdy – co wiedziałem – dość trwale, by którakolwiek wytrzymała dłużej. Rozstałem się z piękną Mercedes, powyrzucałem notesy, planowałem nie odzywać się więcej do żadnej z lubiących moje towarzystwo kobiet.

*

Wraz z Gretą skończyły się dla mnie – myślałem w drodze powrotnej od Luizy, którą zostawiłem pogrążoną w kontemplacji obrazu Izajasza Anioła – przynajmniej na jakiś czas widzenia złudne i inne, do których nie nadawałem się wcale, co wiedział Izajasz Anioł. Do Izajasza postanowiłem nie jeździć, zresztą i tak już dawno go nie odwiedzałem. Podobno wyszedł z kliniki neurologii i neurochirurgii. Podobno żył dalej z żoną, tą samą od dwudziestu lat. Podobno znowu szkicował, malował, a nawet rzeźbił. Podobno kupował farby, sztalugi i pędzle... Podobno miał wernisaże, wystawy i miejsce w muzeum. Podobno zgodził się wygłosić cykl wykładów na stołecznej Akademii Sztuk Pięknych... Podobno znów chodził na mszę i krzywił się, słysząc herezje, które ksiądz na kazaniu głosił, jak zdarzało się nieraz już wcześniej... Podobno widziano go nawet, jak chodził szczęśliwy po mieście, przystawał przed przechodniami i dawnym juroridwym zwyczajem wykrzykiwał „Ducha nie gości!” Podobno miał

swoich uczniów, jakąś młodzież z katolickiej oazy... Podobno... Podobno... Podobno... Nie mogłem już tego słuchać. Za dużo bolało mnie wspomnień. Chciałem pozbyć się ich i zapomnieć. A zresztą... Nie wierzyłem w żadną z tych fantastycznych relacji. Nie uwierzyłem w żadną z tych fantastycznych relacji i byłem pewien, że nie było tak pięknie. Wiedziałem, że mój Izajasz ma swoje prywatne piekło, a w nim swój prywatny raj – zależnie od tego, co nosi w zniszczonym przez wizje umyśle. Jeżeli – czego mu szczerze życzyłem – Bóg z diabłem przestali znęcać się nad nim i szydzić. Jeżeli leki działały i nic się nie pogorszyło.

*

Wieczór nadchodzi wolno i nieubłaganie, nadciąga jak wrogie armie, jak wojska nieprzyjacielskiej ciemności, bataliony realnego mroku, dywizje lęków i fobii; wieczór zapada się we mnie, ja w wieczór zapadam się całkiem. Wieczór zapada we mnie i bierze co chce i odchodzi, z wirtuozerskim zacięciem odziera mój świat ze spokoju. Z finezją kata-artysty odziera mnie z lęków i fobii i czyni przygodnym gadułą, narratorem tych pozornie nierzeczywistych historii. Znam dobrze jego podstępne gesty, znam jego tajemnicze przejścia, nie boję się, nie uciekam, pozwalam mu wgłębić się we mnie, wymościć w mojej duszy posłanie dla gwiazd i dla białego księżyca. Wieczór ma za zadanie wyniszczyć w moim umyśle to, co zostało z poranka i godzin popołudniowych. Wieczorem nie umrę, tak myślę, wieczorem nie chciałbym umrzeć; to pora, gdy każde przeżycie nabiera konturów i barwy. To czas smakowitych historii o moich zmysłowych kochankach, to czas legendarnych fabuł na temat jasnowidzącej kobiety; to czas na wspomnienie życia biednego Izajasza Anioła. To czas, kiedy jestem samotny, ale sam nie potrafię pozostać, bo zbliżają się do mnie postacie, schodzą się trupioblade zjawy, przychodzą jak na własny pogrzeb, szeleszczą przeźroczytymi kośćmi. A potem noc lekka kołysze to wszystko, co śniłem nieświadomie za dnia i każde widzenie złudne umieszcza na właściwym miejscu. Tak dzieje się tylko wtedy, tak dzieje się tylko tu.

ROZDZIAŁ XXIX

Drobiazgi do zanotowania...

Może za wiele, a może za mało zmieniło się, odkąd moje życie, po rozstaniu z jasnowidzącą Luizą i po zniknięciu Izajsza Anioła w odmętach kliniki neurologii i neurochirurgii przy ulicy Jana III Sobieskiego w Warszawie, zaczęło zmieniać się, przestaczać, ukazywać stronę inną niż dotychczas, stronę, której do tej pory nie brałem w moim życiu pod uwagę. Minęła dla mnie epoka cudownie, lecz nigdy dość trwale zaślepionych kochanek, minęła epoka narracji przygodnych i nieokiełzanych, przynajmniej na pewien czas postanowiłem zaprzestać myślenia o wielu sprawach, którymi żyłem przez lata. Być może byłem po prostu zmęczony, nie wiem, tak czy nie: po nieuniknionym rozstaniu i po stracie mojego mistrza byłem mniej pewny wszystkiego i bardziej gotowy na klęskę. Żartowałem co prawda czasami, że ja też mógłbym powiedzieć o sobie: spotkałem mistrza i kilka naprawdę wyjątkowych kobiet, czego więc mógłbym chcieć w życiu więcej – ale żart ten brzmi nie za dobrze i chyba nawet mnie już nie śmieszy. W końcu to wszystko to tylko dość pospolite problemy. Problemy, czyli nic straszliwego. Drobiazgi do zanotowania.

*

Co było dalej? Wiem trochę. Mariola i Andżelika postanowiły nie czekać na nasze wejście do Unii i w kwietniu dwutysięcz-

nego czwartego wyjechały do Amsterdamu, gdzie – jak zgodnie stwierdziły – dzięki homoseksualnemu lobby łatwiej im będzie zaadoptować dziecko. Tam przeniosły swoją agencję reklamową i zdaje się – idzie im nieźle. Antonio z Czesiem wyjechali do Szwecji, pracują w klubie dla gejów, rozstają się i wracają do siebie, cały czas żyjąc w strachu przed AIDS. Filipek od Paracelsusa siedzi. Nie za dilerkę. Za próbę gwałtu na nastolatce z Krakowa, która była na tyle sprytna, by nabrać od niego towaru, a potem wsypać go przed policją i oskarżyć o molestowanie. Profesor Piński opublikował w *Psychiatrii Polskiej* artykuł o pretensjonalnym tytule *Ewagriusz z Pontu – psychiatra, który jadł szarańczę*. Artykuł, ku mojej radości, przeszedł bez echa, mimo zamieszczonych w nim, niezbyt wielu i niezbyt na szczęście czytelnym fragmentów *Apokryfu Izajasza Anioła*. Remigiusz Kolec ożenił się z Diamandą i jako największy talent stołecznej Akademii Sztuk Pięknych, popierany przez profesorskie gremium, dostał stypendium dla młodych zdolnych, wyjechał do Rzymu i popadł w uzależnienie od heroiny, o czym – po jego zgonie – doniosła krótko prasa brukowa i artystyczna. Podobno zamierzał zorganizować na placu świętego Piotra gigantyczny spektakl z feministkami przybijającymi swoje genitalia do małych odwróconych krzyży, w roli głównej planując obsadzić Diamandę, ale Watykańczycy i Włosi nie wyrazili zgody. To go dobiło – twierdziła prasa, której szalony pomysł Polaka wydał się świetną okazją do skonfrontowania rzeczywistej wiary Polaków z poglądami konserwatywnego Jana Pawła II. To popchnęło Remigiusza Kolca w szpony heroinowego nałogu. Brał ostro i zszedł szybko, Diamanda zamierzała wydać po jego śmierci wspomnienia, lecz odradzono jej to ze względu na nikłą wartość handlową kilku pozostawionych przez Remigiusza obrazów, które marszandzi nazwali „beznadziejnie zmanierowanym rzygiem, nie dość jednak rzygliwym jak na potrzeby odbiorców współczesnych”. Twierdzono, że Kolec miał talent, lecz brakowało mu głębi. Stało się więc na tym, że Diamanda, już wdowa, nakręciła o Remigiuszu film: *Młody geniusz z Europy Wschodniej* – puszczała go w Telewizji Edukacyjnej. Mercedes jest w ciąży i pewnie niebawem urodzi. Moja ostatnia cudownie, lecz nigdy dość trwale za-

ślepią kochanka wróciła pokornie do męża, a może to mąż pokornie wrócił do niej – nie mam pojęcia, jak było naprawdę, mówili mi o tym sami bardzo dalecy znajomi – i mają swój biały domek z czerwonym dachem, kominkiem i równo strzyżony ogród, a także kino domowe (obowiązkowy komplet filmów porno, obok Almodóvara, Tarantino i Lyncha), krwistoczerwone volvo S40, i – o ile Mercedes nie zmieni upodobań, które przez kilka miesięcy dzieliła ze mną – rozwód na horyzoncie. Luiza pisuje do *Wróżki*, *Focusa* i *Nie z Tej Ziemi*, jej artykuły wzbudzają entuzjazm u czytających je nawiedzalców. Nie mamy ze sobą kontaktu, czasami kupuję te pisma, by dowiedzieć się, co z ezoterii tym razem wypatrzyła w stroju lub zachowaniu bliźnich. Bywają to rzeczy ciekawe, chociaż na pograniczu bredni. Niestety, nie ma wyboru, jej jasnowidzki talent – mimo obietnicy chorego już Izajasza Anioła – póki co nie wrócił. O Izajaszu postanowiłem nie mówić nikomu. Greta była ostatnią osobą, której opowiedziałem o jego świętości i wpięklówstąpieniu w obłąd. Co powiedziała? Nic. To była najmądrzejsza i najdojrzała reakcja, z jaką spotkałem się przez cały ten czas.

*

Najdramatyczniej – mówię to absolutnie poważnie – potoczyły się losy rzeźnika Tymoteusza Mroza, któremu Luiza wywróżyła dziecko, lecz nie powiedziała, że to nie jego. Nie wiem jak, lecz Tymoteusz dowiedział się o zdradzie żony i kiedy spotkałem go – nawet nie dawno to było – nasza rozmowa przebiegała tak:

– Cześć Tymeek! – ucieszyłem się, że go widzę, jakbym odnalazł zdjęcie sprzed lat lub liść zasuszony w dawno nieotwieranej książce.

– *Allah Akbar! Allah Akbar! Allah Akbar!* – usłyszałem w odpowiedzi i zdębiałem. – *Wah Muhammad rassullillah! Inna shahada rasullillah!..*

– Tymeek, coś ty? – słuchałem i patrzyłem z niedowierzaniem, jak Tymeek zamienia się w *muezzina*.

– Nie nazywam się Tymeek... – powiedział Tymeek z wyniosłością, której wcześniej, kiedy był jeszcze Tymkiem, raczej u niego

nie dostrzegalem. Przyjrzałem się mu dokładnie. Opalony, w białej wykrochmalonej koszuli, z lekkim zarostem na przystojnej twarzy i zimnymi oczami dziecka, które mogłoby być mordercą, wyglądał na spokojnego, jak ktoś, kto ustalił tyle, ile było do ustalenia i teraz nie czeka już na nic. Na palcu prawej ręki miał złoty sygnet, pod szyją zieloną chustkę z jakimiś arabskimi zygzakami. Staliśmy przy stacji metra, ja chciałem jechać do Centrum, a on właśnie musiał skądś wracać. Zaczepiłem go, zdecydowany pogadać, ale teraz, kiedy przyjrzałem się jego minie dokładniej, nie miałem już takiej pewności, czy to była sensowna decyzja.

*

Co znowu za „*Allah Akbar*” – myślałem dość gorączkowo? Nie rozumiałem, a nawet chyba nie chciałem zrozumieć. Przyzwyczajony do dziwactw, nie na każde byłem mimo wszystko przygotowany. Spróbowałem jednak, skonfundowany, raz jeszcze.

– Pan nazywa się?... – chciałem ustalić, czy może nie pomyliłem się co do osoby i ten, co przede mną stoi to jakiś sobowtór rzeźnika, ale Tymek nie dał mi skończyć.

– Dawniej nazywałem się Mróz, teraz nazywam się – Tymek spojrział na mnie wzrokiem jeszcze dumniejszym i jeszcze nieprzyjemniejszym niż na początku spotkania – Mohammad Abdullah ibn Gelad. Jestem szczerym i bogobożnym wyznawcą Allaha, oby imię Jego raziło uszy niewiernych, oby Jego postać napawała ich przerażeniem, oby kobiety zawsze Mu ulegały, oby...

– Daj spokój, Tymek – przerwałem tę inwokację. – Przeszedłeś na islam? – jeszcze nie dowierzałem.

– Tak.

– Po co? – nie mogłem wyjść z szoku.

– Muzułmanin może nawet zabić kobietę, jeśli ta go zdradzi; to mi się bardzo podoba.

– Tymek, kretynie, to o to chodzi? Że ci baba przyprawiła rogi, to ty zmieniasz religię?

– Wiesz co! – wybuchnął. – To dziecko, które mi wywrożyła Luiza, to było nie moje! Miałem chować bękarta! Pośmiewisko! Wiedzieli o tym wszyscy, wszyscy się ze mnie śmieli, a ja nosiłem na rękach, cieszyłem się... – Tymek zachłysnął się żalem.

– A czyje to było dziecko? – udałem, że o niczym nie wiem.
– To nieważne – Tymek machnął zniechęcony ręką. – Kazałem tej suce wynosić się, jak tylko mi ludzie powiedzieli...
– A potem przeszedłeś na islam? – kręciłem głową. – Tak nagle? Ni stąd ni zowąd?
– Bracia mnie przekonali.
– To ty masz braci, Tymek? – zaskakiwał mnie coraz bardziej.
– Bracia muzułmanie, pobożni wyznawcy Allaha...
Stałem na przeciwko Tymoteusza Mroza na ulicy i nie wiedziałem, co powiedzieć.
– A rzeźnia? – spytałem w końcu. – Co z twoją pracą? Robiłeś to tyle lat, byłeś w tym niedościgniony...
– Rzuciłem to. Teraz robię w dywanach. Chcesz może kupić nowy dywan? Szeroki wybór, doskonały gatunek. Pierwsza klasa. Polecam gorąco.

*

– Co? – przerwałem tę reklamówkę. – Nie chcę żadnego dywanu. Co się z tobą dzieje? Tymek, powiedz.
– Najpierw nic nie robiłem i tym, co mnie pytali, mówiłem, że zawsze chciałem mieć dużo wolnego czasu i dużo pieniędzy, i teraz przynajmniej mam dużo wolnego czasu, ale potem bracia mnie przekonali. Powiedzieli, że *Koran* mówi wyraźnie: „Nędza jest nadzieją diabła”.
– Jaka nędza, Tymek? – chciałem uporządkować jakoś te informacje. – Do dywanów? Przeszedłeś do sprzedawania dywanów?
– Tak, co w tym złego? Nie kpij, Norbert, nie ma z czego. Teraz sprowadzam z Afganistanu dywany. Za bezcen, bo tam tego pełno. W Kabulu i Dżalalabadzie mam nagranego dostawcę. Ahmad ibn Hazim, tak się ten facet nazywa, z początku namawiał mnie na rozprowadzanie po Europie haszu, ale nie zdecydowałem się. Do narkotyków to ja się nie nadaję. Konkurować z mafią i obudzić się któregoś pięknego dnia z młotem pneumatycznym albo palnikiem acetylenowym w dupie, to nie dla mnie. Wolę dywany. Naprawdę tanio kosztują. I bracia mi pomagają.

Nie mogłem słuchać tych mudżahedińskich głupot, tych opowieści z tysiąca i jednej dżalalabadzkiej nocy. Haszysz, Kabul, dywany sprowadzane za bezcen – kiedy patrzyłem na Tymoteusza Mroza mówiącego o swojej nowej karierze z przekonaniem, szlag trafiał mnie powoli, ale nieodwołalnie. Nie mogłem jednak nic zrobić. Tymoteusz był zawsze uparty, a jako wyznawca Allaha na pewno uporu nie stracił. Skrzywiłem się w niby uśmiechu:

– Tymek, spójrz mi prosto w oczy i powiedz – spróbowałem po raz ostatni łagodnie – ty naprawdę wierzysz, że *Koran* może zapobiec zdradzie? Że kobieta, kiedy będziesz wyznawcą Allaha, nie zrobi ci tego, co będzie chciała zrobić? To koszmarna naiwność! Głupota!

– Być może. Ale w islamie jako muzułmanin będę mógł ją ukarać tak, jak na to zasłuży – Tymoteusz był nieprzejednany.

– Naprawdę? – mruknąłem bez przekonania. – A jedenasty września?

– Ja się do polityki nie mieszam.

– Ale polityka miesza się do ciebie, nie uważasz?

– To wszystko *dżahilija*. Jedna wielka – smakował to słowo – *dżahilija*.

– Co?

*

– Bałwochwalstwo – Tymkowi zaświeciły oczy. – Cały Zachód to bałwochwalstwo, bałwochwalstwo to *dżahilija*. Rozumiesz, Norbercie?

– Jakie bałwochwalstwo? Tymek, o czym ty mówisz?

– Konsumpcja, nieograniczony zysk, rozrywka, tylko to liczy się na Zachodzie. Mężczyźni nie mają honoru, a kobiety godności...

– Przestań, to jakiś obłąd, co mówisz. Ty w to wierzysz?

– Tak.

– Tymek – próbowałem go jakoś zmiękczyć, bo nie podobał mi się ten radykalizm. – Tymek, przecież to niemożliwe, żebyś ty... – brakowało mi argumentów i bałem się, żeby znowu nie obudził się w nim neofita-fanatyk. – Przecież – zaryzykowałem – przecież islam to, co by nie mówić, religia najbardziej szalona

ze wszystkich. Gdzie tam do niej katolicyzmowi czy prawosławiu, nie wspominając o buddyzmie czy liberalnych protestantyzmach. Tymek, przecież ty wiesz... – Przerwał mi gestem zniecierpliwienia

– Każda religia jest szalona – powiedział. Zaskoczyła mnie jego odpowiedź. Takiej przytomności umysłu nie spodziewałem się po Tymoteuszu Mrozie, byłym rzeźniku, a obecnie handlarzu dywanami ze Wschodu. – Norbert – Tymoteusz stracił na moment cały fason islamskiego fundamentalisty. – Norbert, przecież żeby wierzyć, trzeba być w każdej chwili szaleńcem.

– I ty jesteś? – ulżyło mi, kiedy to powiedział. – Z powodu zdrady?

– Tak – zaskoczył mnie po raz kolejny i zgłupiałem do reszty.

– Więc wszystko z powodu kobiety? – spytałem. – To według ciebie poważne?

– Myśl, co chcesz, ja niebawem wyjeżdżam. Chcę mieć harem, chcę mieszkać w państwie, gdzie szanuje się mężczyzn.

– Za jaką cenę? – jęknąłem. – Za cenę gnębienia kobiet?

– Powiedziałem ci: myśl, co chcesz – Tymek tylko wzruszył ramionami. – Jeszcze będziecie mi zazdrościć.

*

– Kto niby?

– Faceci stąd. Wszyscy. Zaproszę cię kiedyś do siebie i będę patrzeć, jak zgrzytasz zębami z zazdrości, że wokół mnie, dawnego Tymka-rzeźnika, skaczą laski, jedna zgrabniejsza od drugiej. Jak mi się spodoba, to może nawet dam ci jedną na noc... Co ty na to?

– Na bank ci odpierdoliło, Tymek – westchnąłem, będąc już pewnym beznadziejności przypadku, który właśnie uśmiechał się od ucha do ucha, jak gdyby minutę temu udał mu się najlepszy w życiu interes. – A kobiety prędzej czy później rozpieprzą ci ten muzułmański raj, zobaczysz. I będą mieć rację, nie uważasz? Nie sądzisz, że tak będzie lepiej dla wszystkich?

Tymek, czyli Mohammad Abdullah ibn Gelad, handlarz kabulskich i dżalalabadzkich dywanów za bezcen nie odpowiedział.

Znów wsunął się – tak muszę to zjawisko nazwać – wsunął się w rolę pobożnego muzułmanina i patrzył teraz na mnie z pogardą, jak na niewiernego. Ruszyłem z miejsca, minąłem go i poszedłem w kierunku metra. Nie wołał za mną, też poszedł w przeciwną stronę.

Od tamtej pory nie spotkaliśmy się ani razu.

*

W domu, kiedy wróciłem już z Centrum, gdzie spotkałem się z uśmiechniętą i zadowoloną z zakupów Gretą, wyjąłem z lodówki kurczaka, przygotowałem go do upieczenia, wstawiłem w głęboką brytfannę i wstawiłem do piekarnika. Wśród tych czterech opustoszałych ścian panowała w tej chwili niezgłębiona cisza, w takiej ciszy można zapomnieć o wszystkim, pomyślałem, ale można też, jeśli ma się dość siły, postarać się wszystko przypomnieć.

Kurczak w brytfannie przyrumieniał się i skwierczał absolutnie niesłyszalnym skwierczeniem, ja tymczasem wyjąłem z szuflady biurka notatki robione przy jasnowidzącej. Przerzuciłem w milczeniu kilka stron sporządzanych od dawna notatek. Czekало mnie sporo roboty, odrzucania, skracania, zmyślenia. Byłem pewien, że nikt nie uwierzy, że to wszystko zdarzyło się w rzeczywistości. Ludzie wierzą tylko w to, co sprawdzalne, a tej historii nie da rady sprawdzić.

*

Rozgryzając i szarpiąc zębami gorącą pierś kurczaka z ziołami, przygotowanego wedle mojej własnej receptury, oraz popijając go doskonałą kadarką, pomyślałem, że nic mi już nie przeszkadza, niczego (prócz kogoś takiego jak Greta) nie potrzebuję – i że tak jest po prostu dobrze. „Wokół mnie jest wystarczająco pusto” – pomyślałem.

Po kolacji zapaliłem camela i odebrałem telefon od niej.

– Masz ochotę na mały spacer? – spytała głosem, który rozpoznałbym chyba zawsze.

– A dokąd? – spytałem powoli. – Dokąd to chciałybyś iść?
 – Z tobą gdziekolwiek – wymruczała tak, że poczułem dreszcz niczym piorun.
 – Naprawdę? – bawiłem się dalej i wiedziałem, że i ona się bawi.
 – Nie. Żartowałam – fuknęła.
 – Naprawdę? – spróbowałem jeszcze raz starej sztuczki.
 – Nie gadaj tyle, przyjeżdżaj – udawała, że jest zezłoszczona.
 Wykąpałem się, ogoliłem i ubrałem najszybciej jak tylko mogłem. Skropiłem twarz Basala Shiseido i sprawdziłem, czy mam papierosy. Do plecaka odruchowo wrzuciłem *Sonety* Szekspira i Petrarke. W autobusie, jadąc na drugi koniec miasta miałem czas, żeby przeczytać kilka razy spokojnie:

*Tak często jako Muzę cię wzywałem,
 Tyle doznałem twego wspomnienia,
 Że w obcych piórach echo uzyskałem;
 W tobie poezja ich szuka natchnienia.
 Twój wzrok z niemowy wydrze śpiewne tony,
 Głupocie każe wzlatywać nad światem,
 Dodaje pięknych piór skrzydłom uczonym
 I wdzięk podwójnym wieńczy majestatem.
 Bądź najdumniejszy z wierszy, które czynię:
 Z ciebie się rodzą, pod twym wpływem dźwięczą;
 Innym wygładzić możesz styl jedynie,
 A wdzięk twój czyni każdą sztukę wdzięczną.
 Lecz tyś jest całą sztuką mojej sztuki;
 Wznosisz ciemnotę mą na szczyt nauki.*

*

Otworzyła mi w białym, dyskretnie rozchylonym szlafroku i zanim wpuściła do środka, bez pośpiechu oparła się o framugę.
 – Spodziewałeś się? – zapytała niewinnie, bawiąc się końcem rudych włosów ułożonych na jasnej szyi. Nie śmiała się i tylko w jej zielonych oczach dostrzegłem ironiczne błyski.

– Ani trochę – skłamałem z miną pokerzysty i przytuliłem ją do siebie mocno.

– Kłamczuch! Kłamczuch! – jedną ręką próbowała grozić mi żartobliwie, a drugą obejmowała mnie w pasie tak, że o mało co nie runęliśmy na środek wyłożonego boazerią przedpokoju.

– Uhm – chrząknąłem na widok pokoju, do którego mnie wprowadziła.

Wszystko było w nim tak, jak lubiłem. Trochę książek, biurko, krzesło i łóżko. Żadnych dzwonków *bagua*, egzotycznych lampionów czy masek.

– Napijesz się ze mną martini? – spytała, kiedy usiadłem.

– Może później, bo wiesz, niewiele jest takich chwil...

EPILOG

Nic nie jest doskonałe, cóż więc dopiero mówić o doskonałości rzeczy pisanych lub wręcz takich notatek jak te, składających się z niezliczonych tysięcy możliwych strzępków wspomnień. Opowiedziane są tu okruchy, z których przychylnie nastawiony czytelnik bez trudu złoży sobie całość. Nic więcej. Okruchy mojego dzieciństwa i młodości, nic więcej.

Thomas Bernhard

Bawiło mnie przyćmiewanie powszechnie znanej historii kronikami ludzi bezimiennych.

Paul Valéry

Dziś, na początku roku dwutysięcznego piątego, chińskiego Roku Koguta – jak powiedziałyby ex-jasnowidzka Luiza – jestem mniej pewny wiary w swój legendarny sceptycyzm i znacznie mniej pewny siły tak zwanego ludzkiego ducha. Choć nie spotkałem śmierci, chociaż mnie do tej pory przypadkiem udało się jakoś przeżyć, mimo licznych tak zwanych okazji. Choć mnie się właściwie udało – licząc wszystko wedle tutejszych kryteriów. Tak, to mi zapewne było zapisane w dalekich gwiazdach. Ale czy mam to traktować jak osobiste zwycięstwo? Nie sądzę. Nie uporządkowałem swojego życia, wręcz przeciwnie, bo zabawiając się tą narracją przygodną i zapisując historię Luizy, moją i Izajasza Anioła, uczyniłem to niepojęte życie jeszcze mniej zrozumiałym i – co mnie śmieszy – bardziej tajemniczym dla mnie samego. Sam dla siebie stałem się przez tę opowieść indywiduum niewyraźnym i nie całkiem czytelnym. Jaka z tego może być dla kogokolwiek korzyść? Nie wiem. Przypuszcza, że raczej żadna.

*

Tylekroć cytowany przez moją jasnowidzącą kobietę Budda, podobno kiedyś tak nazwał ten stan swoim uczniom: „Po-

przez moje całkowite i nieprześcignione przebudzenie nie osiągnąłem niczego i dlatego nazywam je całkowitym i nieprześcignionym przebudzeniem.” Mógłbym się pod tym podpisać z zastrzeżeniem, że mnie nie oświeciło i przebudzenie każdego ranka, chociaż nie słucham już radia, a demon Mastema nie dręczy mnie jak Izajasza Anioła, jest dla mnie z dnia na dzień trudniejsze: coraz mniejszą mam ochotę wstawać, coraz mniejszą mam ochotę coś zrobić, coraz mniejszą mam ochotę coś zmienić, wolę być i jedynie patrzeć. Jedynie patrzeć i słuchać, i pisać. I w zwycięstwo, jak powiedziałem, nie wierzę. To wszystko.

*

Nie osiągnąłem niczego, bo niczego nie było do osiągnięcia. Nie nauczyłem się niczego, bo nie było żadnej nauki. Słyszałem o nadziei, ale nie doświadczyłem jej. Słyszałem o tajemnicach wiary, ale żadnej nie mogłem pojąć i zaakceptować. Słyszałem słowa wielu nauczycieli, ale nikt z nich mnie nie przekonał. Szczyt mojej wiedzy o życiu objawił się w mojej niewiedzy. Nic z tego, co rzeczywiste nie wydało mi się pełne sensu, a wszystko, co pełne sensu, było zawsze nierzeczywiste. I śmiać mi się chciało, kiedy przypominałem sobie historię jednego ze znajomych mojej jasnowidzącej Luizy, postaci, która w tej opowieści nie znalazła dla siebie miejsca, mężczyzny, który po latach medytacyjnej praktyki doświadczył silnego *satori* i próbował opowiedzieć o nim na jednym z spotkań u Marioli i Andżeliki. Opisywał to, czego doświadczył i było to raczej mętne, niejasne, facet gestykulował, jakby gestem mógł unaocznic pustkę, więc nie słuchałem uważnie, i dopiero na koniec skupiłem się bardziej na tej jego transcendentalnej historii, a skupiłem się, bo w finale powiedział ni mniej ni więcej: „Teraz, kiedy mnie oświeciło, jestem tak samo nieszczęśliwy jak przedtem.” Kto z obecnych tamtego wieczoru rozumiał go lepiej ode mnie?

Być może to przebudzenie.

Być może to dalej sen.

To wszystko.

*

W zwycięstwo nie wierzę już i myślę o nim wyłącznie szyderczo, inaczej nie umiałbym i nie dałbym mu rady. Zwycięstwo i szyderstwo – powtarzał Izajasz Anioł i moja była jasnowidząca kobieta zapewne zgodziłaby się z nim teraz – zwycięstwo i szyderstwo, taką dostrzegam parę, obok pary daremność i niepocieszenie, obok pary smutek i melancholia, obok wszystkich słów mego życia ułożonych w zestawienia i pary. Obok wszystkich awersów i obok wszystkich rewersów także ten awers i rewers: zwycięstwo i szyderstwo. Każde zwycięstwo jest szyderstwem i żadne szyderstwo nie jest zwycięstwem – tak mówił Izajasz Anioł i to się w końcu sprawdziło.

*

Ja mam tak samo, widocznie przejąłem to po nim. I widzę, że to, co dzieje się w moim życiu od zawsze, to jedno wielkie szyderstwo, które nie jest zwycięstwem – i zwycięstwo, które jest tylko i wyłącznie szyderstwem. A jeśli już trafi się jakieś zwycięstwo, które by nie było szyderstwem jawnym, to szybko okazuje się ono tylko i wyłącznie szyderstwem słabo zakamuflowanym i zawoalowanym. Jedno długie szyderstwo albo szydercze zwycięstwo to jest coś, co idioci nazywają życiem, a bezmyślni potrafią nawet dodać, że chodzi o życie szczęśliwe. Szyderstwo. Szyderstwo wieczne. Szyderstwo wieczyste albo i wiekuiste. Szyderstwo, czyli życie każdego, podobno ofiarowane, lecz raczej wciśnięte na siłę.

Szyderstwa są na tak zwanym porządku dziennym każdego, istnieją same szyderstwa i każdy jest tego świadom, o ile nie stara się bardzo udawać, że tego nie widzi, o ile nie kłamie sobie, że widzi coś poza szyderstwem. Szyderstwem są słowa pocieszenia, skoro żadnego pocieszenia nie ma. Szyderstwem są słowa otuchy, skoro nie może być żadnej otuchy, skoro jedyną otuchą jest pewność szyderstwa i szyderczego zwycięstwa. Szyderstwem są słowa miłości, bo ona zawsze przegrywa z szyderstwem. Szyderstwo jest wszechobecne i wiekuista jest władza szyderstwa. Szyderstwem jest czułość, bo żadnej, oprócz szyderczej, czułości nie ma. Szyderstwem jest prawda, bo prawda może być tylko

szydlercza. Szyderstwo jest jedynym zwycięstwem, ale jest to ten rodzaj zwycięstwa, któremu nikt nie chce wierzyć, bo zbyt jest prawdziwe i boli. I nic z tym nie można zrobić. Rozumiem to jako ideę, ale sensu w tym nie dostrzegam. Wszyscy są skazanymi – głosił Izajasz Anioł, a było to już pod koniec życia tego pięknego umysłu – na rozpacz i beznadziejność zombie, żywymi trupami jesteśmy, chodzącą zgnilizną i szlamem. Skazani na beznadziejną egzystencję złożoną z marnej pracy za kiepskie pieniądze, wyniszczających i upokarzających związków międzyludzkich, skazani na nieprzewidywalną rozpacz, z której wyjąć nas może jedynie nieskończenie miłosierny Bóg. Nie ma nikogo, kto byłby w tak zwanej lepszej sytuacji, są tylko ci, którym wydaje się od czasu do czasu, że znaleźli się w tak zwanej lepszej sytuacji, są tylko ci, którzy łudzą się nieprawdopodobnie tragicznie, ale złudzenie to jest po prostu jeszcze jednym widzeniem złudnym, a te trzeba zawsze zwalczać, nie ma bowiem zarazy straszniejszej.

*

Kiedy słuchałem Izajasza Anioła, nie wiedziałem jeszcze, że zostanę kronikarzem widzeń złudnych i że widzenie złudne jest tak samo nietrwale, jak każde. I każde zdycha tym szybciej, im szybciej każdy łudzący się dochodzi do przekonania i pewności, że tak zwana lepsza sytuacja, jest w gruncie rzeczy sytuacją gorszą, że, krótko mówiąc, najlepsza z tak zwanych lepszych sytuacji jest przede wszystkim najgorszą z możliwych sytuacji, w jakiej można było znaleźć się w życiu.

To kolejne szydlercze zwycięstwo. Ta beznadziejność i wywodząca się z niej, z dnia na dzień coraz szczelniej wypełniająca to tak zwane życie, rozpacz, wszystko to składa się na obraz rzeczywistości w małym środkowoeuropejskim kraju w pierwszych latach trzeciego tysiąclecia, ale możecie być pewni, jak ja jestem pewien, że sto i tysiąc lat temu takie same były odczucia i tak samo szydlerczo wyglądały wszelkie klęski i wszelkie – to przede wszystkim – zwycięstwa. Upiornie, upiornie, a jednak swojsko i zrozumiale to brzmi, skoro nikt do tej pory nie zaprotestował. A może nie było odważnych. Upiornie, upiornie myślę i upiornego myślenia nie jestem w stanie zatrzymać. Upiorne są moje przypuszczenia

i upiorne są moje pewności, upiorne jest to, co dostrzegam i upiorne, co tylko sobie wyobrażam. Żadną miarą nie zatrzymam upiorności, żadną sztuczką nie pokonam upiorów i to jest moja cała uczciwość, to jest moja uczciwość upiorna. A ponieważ jest to uczciwość upiorna i ponieważ nie znam już żadnej innej, obcuje już tylko z upiorami, tak wypada to życie określić. Może zresztą nie z upiorami, to powiedziane jednak trochę za mocno, może lepiej powiedzieć: z widmami, z moimi bliskimi widmami.

*

Obcuje już tylko z widmami, nie mam rodziny wśród żywych, nie mam wśród żywych przyjaciół, a moje wszystkie nowe znajomości wykazują zadziwiającą zdolność do rozpadu, nie pozostaje mi nikt ani nic. Tylko widma mają jeszcze czas dla mnie, tylko widma mają jeszcze znaczenie, tylko proste i nieulekłe mierzenie się moje z ich widmowymi, zjawiskowymi egzystencjami jest jeszcze dość rzeczywiste i zrozumiałe. Żywi stracili znaczenie, a wcześniej cały swój fason, widma w swej widmowatości i zjawy w swojej zjawiskowości, tylko te byty subtelne mają jeszcze jakiegokolwiek znaczenie i być może – mają też pozór sensu, którego nigdy za wiele. Widmo mojej jasnowidzącej kobiety, wierzącej w karmę i kiełki. Widmo Izajasza Anioła, wierzącego, że walczy z demonem. Widmo mojej martwej już matki, która nawet swoją śmierć zaimprovizowała, o czym kiedyś może jeszcze opowiem, i widmo także już martwej, w moich wspomnieniach wciąż dryfującej w oparach kropli miętowych lub walerianowych, wiecznie nadźganej babki – te widma mają jeszcze pozór życia i sensu. Tego sensu, czy quasi-sensu, który stwarza się tak zwaną sztuką, kiedy nie ma już nic do stracenia, kiedy cisza staje się wszechobecna. Tak, Luizo. Tak, Izajaszu Aniele. Tak, Greto.

*

Tak myślę. Zjawia nietkniętego jeszcze moim piórem ojca, zjawia mojej, ledwie tkniętej piórem, obłąkanej matki, obie te zjawy postaci, których nie miałem okazji poznać gruntownie i dobrze,

wszystkie one są jeszcze do wymyślenia. Do obejrzenia w koszmarach, do schwycenia w sieć słów opowieści. Widmo mojego ojca, którego prawie w ogóle nie znam i którego nie widziałem od lat, zjawy jego najbliższych, tej tak zwanej jego drugiej rodziny, zjawy realne jak on sam i równie jak on przykre w rzeczywistym, nie zjawiskowym braku wszelkich oznak istnienia – to też jest jeszcze przede mną, do wymyślenia, do wydobywania z nicości. Zjawy i widma babć, dziadków, ciotek i zdumiewająco nikłej, kiedy o tym pomyślę, ilości wujków oraz tak zwanych dalszych krewnych i powinowatych. Błąkające się w mojej głowie widma i duchy przodków, jakich nie umiem sobie nawet wyobrazić i które kiedyś, jak podejrzewam, zmuszony będę wyobrazić sobie ze wszelkimi absurdalnymi szczegółami. Bolesny brak wiedzy w zakresie podstawowym i elementarnym na temat tego, kim byli, jak żyli i co robili poza tak zwanym oficjalnym życiem, czym zajmowali się na tym tak zwanym ziemskim, tragiczno-komicznym padole. Ciche śmierci wielu z nich. Brak życia większości, ich nieautentyczne półżycie, zamiast autentycznej całości istnienia. Wada nie tyle rodzinna, narodowa czy nawet plemienna, wada najoczywiściej gatunkowa, skaza ludzkiego gatunku.

*

Przypomniało mi się, o co kiedyś pytała mnie jasnowidząca Luiza. Czy nie tęsknię do autentycznej całości istnienia, czy nie brakuje mi czegoś? Nie wiem. Nie zastanawiam się. Chyba nie tęsknię. Chyba mi nie brakuje. A może wiem i zastanawiam się cały czas – tylko nie umiem nazwać i dlatego wolę nie odpowiadać na to pytanie? A może to z tego braku, z tej niepewności i pustki bierze się pragnienie, by wszystko, słowo w słowo tak jak było dokładnie zapisać? Nie zważając, że trzeba bezwstydu, by tak grzebać we własnych wspomnieniach. Nie wiem, nie jestem pewien. Nie wiem, nie czuję tego. Nie szukam pewności i nie próbuję poczuć, dawno już odpuściłem, naprawdę, odpuściłem – i tak już zostało.

I widzę, że mamy tak prawie wszyscy. Poza autentycznymi świętymi, fanatykami i szaleńcami. Tylko oni nie odpuszczają nigdy. A my? My to naprawdę co innego.

*

My prawie wszyscy mamy tutaj to samo: nieautentyczne półżycie zamiast autentycznej całości istnienia, brak wiedzy na temat tego, co mogłoby być dla nas ważne. Nieautentyczna codzienność, coraz bardziej nierzeczywista, brak wiedzy na temat tego, co mogłoby być rzeczywiste. Moje nieautentyczne półżycie i moja przez lata widmowa i zjawiskowa egzystencja, oraz innych nieautentyczne półżycia i ich egzystencje płaskie i monotonne, a wszystko to cały czas w zwierciadle krzywym i bezlitosnym, wśród majaków o autentyczności, niezależności i autentycznej całości istnienia – czy nie tak to wszystko wygląda?

To widzę, siedząc wśród szyderczo uśmiechniętych widm, gotowych skoczyć mi prosto do gardła, o ile ich nie wyzwolę, nie wyprowadzę z nicości, nie obdaruję choćby szczątkowym i pozornym życiem. Te widma są agresywne, ponieważ jedynie ja im zostałem. Te widma są niewidzialne, bo wszystkie je noszę w sobie. Bezimienne i bezcielesne, znane słabo i nie inaczej jak fragmentarycznie, w nijakich, bezbarwnych szczegółach. Niespokojne jak ich całe życie. Wyczekujące, skupione, mające chęć opowiadać. Od czasu do czasu w ruchu, od czasu do czasu statyczne. Wymyślam im wszystkim imiona, wymyślam im cały ich los. Układam z ich losów mozaikę i czuję, że one ją widzą. Rozpoznają się w niej albo nie, ale widzą ją, to wystarczy.

To moi jedyni bliscy.

Moi jedyni obecni.

Cierpliwi i bardzo pewni, że spotkamy się oko w oko.

Cimci rymci historia dym.

Całość nicość pustka rym.

*

Naprawdę?

Od autora

Fragmenty wiersza *Pizdy* Johna Updike'a przytaczam w przekładzie Waława Sadkowskiego. Fragmenty *Kubusia Fatalisty* Denisa Diderota przytaczam w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Fragmenty *Złotego kwiatu lotosu* przytaczam w przekładzie Tomasza Sikory. Fragmenty *Twierdzy* Antoine'a de Saint Exupéry'ego przytaczam w przekładzie Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej. Wiersz *Historia* Paula Muldoona przytaczam w przekładzie Piotra Sommera. Fragmenty *Mojego nawrócenia* Mirabeau przytaczam w przekładzie Marka Bratunia. Dwuwiers Anioła Ślązaka przytaczam w przekładzie Marcina Brykczyńskiego i Jerzego Prokopiuka. *Sonet LXXVIII* Williama Shakespeare'a przytaczam w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. Motto do *Aureoli z Przegranego* Thomasa Bernharda przytaczam w przekładzie Marka Kędzierskiego, fragmenty *Estetyki słowa* Paula Valéry'ego przytaczam w tłumaczeniu Jana Błońskiego. W mottach do *Epilogu* przytaczam fragment z *Autobiografii* Thomasa Bernharda w przekładzie Sławy Lisieckiej.

W *Prologu* wykorzystałem fragment prozy Grzegorza Wróblewskiego z książki *Kopenhaga*.

Zainteresowanych informuję, że demon Mastema istnieje. Przynajmniej w *Krótkim słowniku demonów* dołączonym do nieocenionej w swoim bogactwie pracy Ks. Alfonsa Józefa Skowronka *Aniołowie są wśród nas*.

Cytaty z *Pisma Świętego* podaję za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallottinum, Poznań – Warszawa 1971.

*

Poza tym w tekście znajdują się w dosłownej bądź zmienionej postaci cytaty z wielu dzieł z rozmaitych dziedzin i nie mam powodu ukrywać, że książka ta zawdzięcza wiele pomysłów innym książkom i artykułom, których tytuły nie zostały w niej – ze zrozumiałych względów – podane wprost. Wielu w ten lub podobny sposób skrywało swoje źródła. Milan Kundera opisał i skomentował ten proceder zdaniem: „Artysta powinien umieć posprzątać wokół swojego dzieła.” Zresztą – niech będzie jeszcze jeden porządny cytat – zgadzam się z Paulem Valéry: „Nie ma pisarzy *oryginalnych*, ponieważ ci, którzy zasługiwali na to miano, są nieznani, a co więcej – niepoznawalni. Są natomiast pisarze, którzy udają oryginalnych.” I jeszcze Virginia Woolf: „Książki pochodzą od książek, tak jak rodziny pochodzą od rodzin. Jedne od Jane Austen, inne od Dickensa. Przypominają swoich rodziców, tak jak ludzkie dzieci przypominają swoich, ale różnią się, tak jak dzieci się różnią, i buntują się, jak dzieci się buntują.” Tyle o zależnościach, wpływach i zapożyczeniach widocznych w prezentowanych tu – jak żartobliwie mówiłem o *Kronice widzeń złudnych* – alegorycznych *pismach edukacyjnych*.

W tej książce – tak samo jak w każdej innej – nie miałem zamiaru niczego udawać. Także tak zwanej absolutnej niezależności autora, która wydaje mi się zjawiskiem z dziedziny mitologii. Dlatego nazwiska twórców, którzy tym razem byli dla mnie natchnieniem, są – mam nadzieję – oczywiste. Inni pozostaną anonimowi, ale i o nich myśleć będę z wdzięcznością. Jak zawsze w tego typu przedsięwzięciach tyle samo czasu spędzałem codziennie na ustalaniu i respektowaniu pewnych koniecznych mi do pisania reguł, przymusów i nakazów, co na ich omijaniu i oszukiwaniu – również samego siebie – i wcale się tego nie wstydę.

*

Wszystkim, którzy pomogli mi w czasie pisania tej książki, bardzo serdecznie dziękuję, niektórym należą się jednak podziękowania szczególne. Oto one:

Barbarze Klickiej dziękuję za nieocenioną pomoc okazywaną mi na każdym etapie pracy nad tekstem, a także za miłość, cierpliwość i wyrozumiałość. Jesteś – po szekspirowsku ujmując – „całą sztuką mojej sztuki” – i oboje dobrze o tym wiemy. Marcinowi Pieszczykowi, przyjacielowi, dziękuję za trafne, po mannowsku ironiczne uwagi, które pozwoliły mi ustrzec się niejednego błędu. Justynie Radczyńskiej i Pawłowi Misiurewiczowi dziękuję za pomoc w sprawach technicznych, konsultacje i kontrowersje. Grzegorzowi Nurkowi i Romanowi Honetowi dziękuję za redaktorską opiekę, przyjaźń i wyrozumiałość. Jerzemu Pilchowi dziękuję za stałe dopingowanie mnie do wytężonej pracy. Piotrowi Matywieckiemu dziękuję za życzliwe i mądre uwagi. Błażewi Dzikowskiemu dziękuję za *copyleft* na pytanie „Czy gongiem można leczyć kaca?” Gabrieli Matuszek i Izabeli Filipiak dziękuję za wydatne przyczynienie się do tego, że książka ta ukazuje się w Wydawnictwie Zielona Sowa.

Spis treści

I Yoni

PROLOG	11
ROZDZIAŁ I	
Fenomen narratorów przygodnych....	24
ROZDZIAŁ II	
Kawałek historii dryfującego małżeństwa....	35
ROZDZIAŁ III	
Łagodne perswazje....	43
ROZDZIAŁ IV	
Arcydemony zmyślone....	59
ROZDZIAŁ V	
Bezradni w obliczu grozy i piękna....	70
ROZDZIAŁ VI	
O sztuce i jej okrucieństwach....	87
ROZDZIAŁ VII	
Prywatna historia karnawału....	98
ROZDZIAŁ VIII	
Zawartość pięknego umysłu....	109
ROZDZIAŁ IX	
Dylematy wieczne, widzenia wciąż złudne....	120
ROZDZIAŁ X	
Tymczasem legendy krążyły....	128
ROZDZIAŁ XI	
Między oddechem a ciałem....	131
ROZDZIAŁ XII	
Intymne porady chińskich mistrzów....	138
ROZDZIAŁ XIII	
Zły znak....	147

II Aureola

ROZDZIAŁ XIV	
Człowiek może być tylko...	163
ROZDZIAŁ XV	
W rzeźni i konsyltorium...	176
ROZDZIAŁ XVI	
Duchy, spotkania, smak tolerancji...	191
ROZDZIAŁ XVII	
Lata katastrofy...	214
ROZDZIAŁ XVIII	
Piszę albo nie piszę...	226
ROZDZIAŁ XIX	
Tajemnica Karmelu...	233
ROZDZIAŁ XX	
Apokryf kuszenia...	241
ROZDZIAŁ XXI	
Niepojęte, straszliwe, zwyczajne...	251
ROZDZIAŁ XXII	
Śpiew muz...	261
ROZDZIAŁ XXIII	
I nikt mu nie towarzyszy...	265
ROZDZIAŁ XXIV	
Światy widzialne i niewidzialne...	269
ROZDZIAŁ XXV	
Nic, tylko piekło, parodia i karykatura...	282
ROZDZIAŁ XXVI	
Jeszcze jedno zmyślenie i prawda...	288
ROZDZIAŁ XXVII	
Biodrówki na svadisthanie...	296
ROZDZIAŁ XXVIII	
Madonna w płatkach lotosu...	302
ROZDZIAŁ XXIX	
Drobiazgi do zanotowania...	311
EPILOG	321
Od autora	329